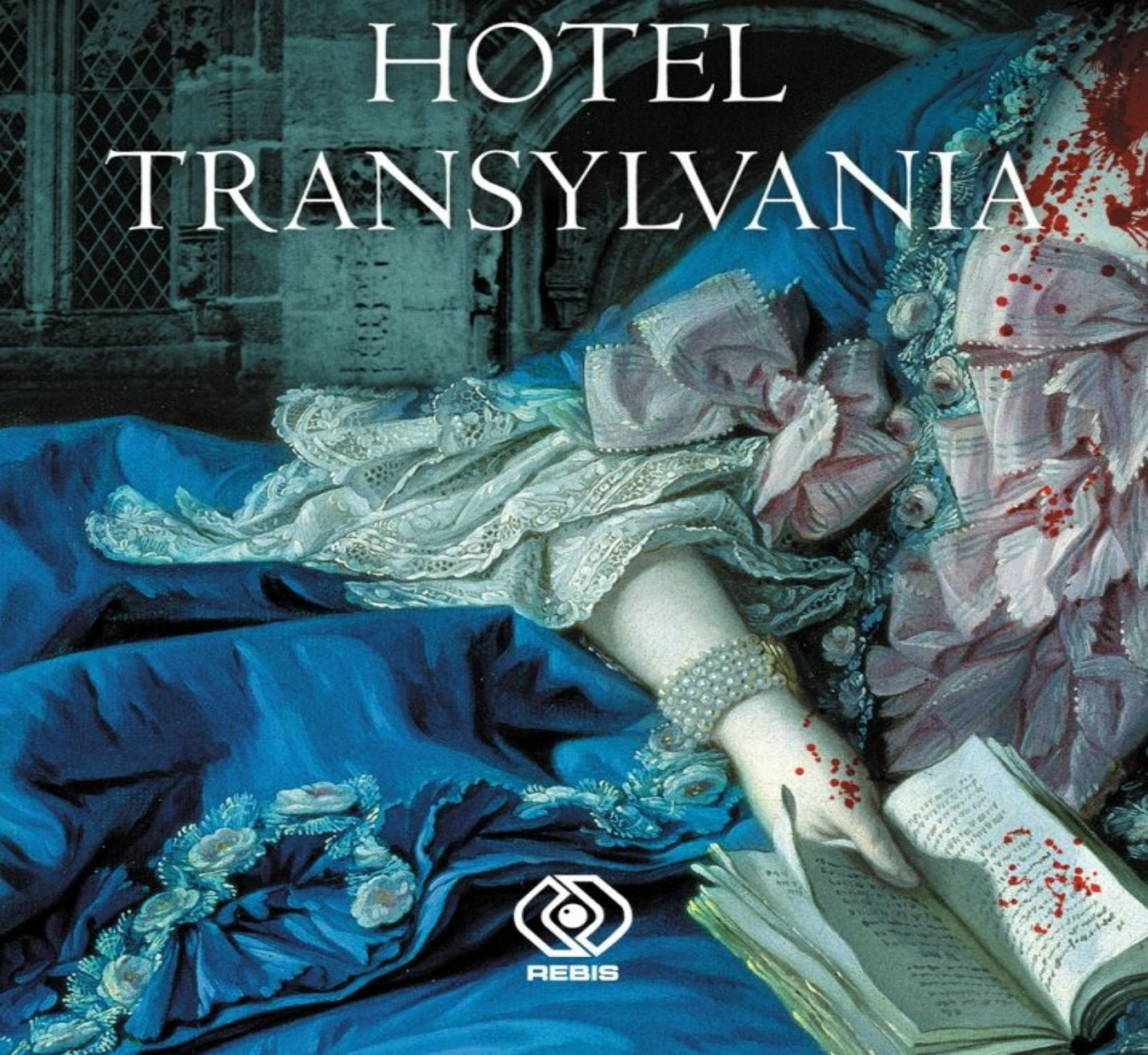


# CHELSEA QUINN YARBRO

---

## HOTEL TRANSYLVANIA



REBIS

# Spis treści

- Karta tytułowa
- HRABIA DE SAINT-GERMAIN [WIZERUNEK]
- CZĘŚĆ PIERWSZA
- HRABIA DE SAINT-GERMAIN
  - .1.
  - .2.
  - .3.
  - .4.
  - .5.
  - .6.
  - .7.
  - .8.
- CZĘŚĆ DRUGA
- MADELAINE ROXANNE BERTRANDE DE MONTALIA
  - .1.
  - .2.
  - .3.
  - .4.
  - .5.
  - .6.
  - .7.
- CZĘŚĆ TRZECIA
- BARON CLOTAIRE ODON JULES YALINCE PIEUX DE SAINT

## SEBASTIEN

- .1.
- .2.
- .3.
- .4.
- .5.
- .6.
- .7.
- .8.
- .9.
- .10.
- .11.
- .12.
- .EPILOG .
- Notatki na marginesie
- .Wampiry .

# CHELSEA QUINN YARBRO

## HOTEL TRANSYLVANIA



Przełożył: Radosław Kot



2009



LE COMTE DE ST. GERMAIN  
CÉLÈBRE CHIMISTE.

*Quand que l'ambition s'élève le jour, Le cœur s'élève le jour, et le cœur  
Lors que le cœur s'élève, et que le cœur s'élève, et que le cœur s'élève.*

Monsieur de Tby  
 Maître de Camp  
 Comte de l'Ordre Royal  
 et de l'Ordre Royal  
 Membre de l'Académie  
 de Madrid, de l'Académie, de l'Académie  
 de l'Académie de l'Académie de l'Académie



Comte de St. Germain  
 de l'Académie de l'Académie de l'Académie  
 de l'Académie de l'Académie de l'Académie  
 de l'Académie de l'Académie de l'Académie

*Paris chez l'Imprimeur de l'Académie de l'Académie de l'Académie*

# CZĘŚĆ PIERWSZA

## HRABIA DE SAINT-GERMAIN

Wyjątek z listu kontessy d'Argenlac do jej bratanicy, Mme Madelaine de Montalia; datowane 13 września 1743:

*(...) Z rozrywek na tę noc przewidziane było muzykowanie, a madame diuszessa zebrała w swoim salonie naprawdę wspaniały zespół. Nawet Rameau, chociaż zaawansowany wiekiem, dołączył do nas, sam jednak nie występował. Mile la Trevallon śpiewała włoskie ballady, a Prywatni Muzycy Króla wykonali kilka utworów na smyczki.*

*Był tam i Saint-Germain - nie hrabia Louis, lecz inny, bardzo tajemniczy dżentelmen, przybyły do Paryża dopiero w maju - który zagrał kilka własnych kompozycji na skrzypce i klawikord. Rameau pogratulował mu tych dzieł i dodał, że spotkał już kiedyś pewnego muzycznego mężczyznę do złudzenia przypominającego Saint-Germaina, lecz było to dawno temu, w 1701 lub 1702 roku, i wówczas mężczyzna ten miał około pięćdziesiątki, podczas gdy jego rozmówca nie może mieć więcej niż czterdzieści pięć lat. Saint-Germain przyjął padłe z ust wielkiego muzyka pochwały z niekłamaną wdzięcznością. Powiedział, że skoro pamiętany przez Rameau mężczyzna zostawił po sobie wrażenie tak silne, to on, Saint-Germain, mógłby tylko życzyć sobie, żeby to właśnie jego Rameau wspominał, jako że obraz żadnego zwykłego człowieka nie mógłby przetrwać tak długo w pamięci Rameau. Rameau nadmienił, że imię mężczyzny, którego niegdyś poznał, brzmiało il conte Balletti i że podobnie jak Saint-Germain był on dżentelmenem światowym i nieprzeciętnym...*

*Mieliśmy nadzieję ujrzeć Mme Cressie, lecz diuszessa powiedziała nam, że jest ona chora i nie mogła przybyć, tak więc nie mieliśmy możliwości wysłuchania jej gry na violi d'amore. Wszystkich nas zasmuciła wieść o jej niedyspozycji, a Saint-Germain był na tyle uprzejmy by, wyrazić pragnienie, aby komplementy, którymi został*

obdarzony mogły przypaść la Cressie. Oznajmił, że trzy przedstawione melodie skomponował właśnie na jej instrument i bardzo pragnął usłyszeć ich brzmienie w jej wspanialej interpretacji.

Był też i Beauvrai, który zauważył, że wszystkie damy zafascynowane są Saint-Germainem. Zawyrokował, że doznamy rozczarowania, gdy Saint-Germain zdemaskowany zostanie jako oszust. Biedny Beauvrai, ze swymi złymi przecuciami, perfumami i krzywymi nogami, jak on może być zazdrosny o tak eleganckiego mężczyznę, jakim jest Saint-Germain. Beauvrai przybył z kompanią Saint Sebastiena, która to znajomość nie jest związkiem godnym chwalenia się nim.

Tylko dobre imię jego żony i bon ton umożliwiły mu wejście do najlepszego towarzystwa, które doprowadza Beauvrai do takiej wściekłości...

Twój wuj i ja z radością oczekujemy twojej wizyty, droga bratanico. Cieszymy się, że rodzice zdecydowali wysłać cię do nas, jako że w kwestii córek trzeba być realistą. Kobiecie twojej urody i mądrości nie wolno pozwalać rozkwitać niezauważenie w Prowansji. Zapewnij swych rodziców, że zagwarantujemy d opiekę dam, które najlepiej wiedzą, jaką powinna być kobieta twego pochodzenia i o takiej jak twoja delikatności uczuć. Ufam, że nie urazi cię moja bezpośredniość... Przekonana jestem, że najlepiej, gdy dziewczęta wcześniej zdobywają zrozumienie dla praktycznych wymogów życia.

Zanim jeszcze będę mogła ucałować twoje policzki, polecam się tobie i twoim szanownym rodzicom, w szczególności zaś memu bratu, markizowi, i nalegam, by wysłali cię do mnie przed końcem września. Żegna de, z radością, że nią jest właśnie,  
Twoja kochająca ciotka Claudia de Montalia Kontessa d'Argenlac



# . 1 .

Znany był jako hrabia de Saint-Germain i chociaż używał też innych imion, niewielu w Paryżu potrafiłoby przypomnieć sobie najświetniejsze nawet z nich, jako że szacowny dwór Ludwika XV mało interesował się tym, co działo się poza granicami Francji czy też przed wstąpieniem na tron Króla Słońce.

Istniały zatem i takie zakątki Francji, których nie znał błyszczący dwór, jak chociażby ta nędzna uliczka, którą skierował właśnie swe kroki. Jego intensywnie ciemne oczy wypatrywały teraz stert nieczystości, wypełniających noc prawie namacalnym zapachem, które trzeba było omijać. Dzielnice nędzy w nocnej porze, jak daleko Saint-Germain sięgał pamięcią, były takie same na całym świecie.

Cichy, dokuczliwy odgłos płynącej wody szumiał mu w uszach. Był jak nieustanne brzęczenie owada i przypominał o bliskości Sekwany.

Z cieni patrzyły na niego jarzące się czerwono oczy szczurów, a spowodowane jego przejściem szwargotanie gryzoni skłoniło Saint-Germaina do obnażenia zębów w niepokojącym grymasie. Nigdy nie nauczył się ich lubić, chociaż często zdarzało się, że musiał znosić ich towarzystwo.

Na następnym skrzyżowaniu zatrzymał się, niepewny, którą obrać drogę. Nic nie oznaczało mającej biec kreta ku rzece alei. Wbił wzrok w ciemność i ruszył wąską uliczką. Ponad nim chyliły się ku sobie, niemal stykały, stare, ciężkie brzemieniem wieków domy. Stąpając jeszcze ostrożniej, natrafił na nieociosane kamienie, które służyły tutaj za chodnik.

Przed sobą dojrzał blask latarni i cofnął się do wykusza bramy, by poczekać, aż przejdzie strażnik. Zagryzł niecierpliwie wargi. Były inne drogi, którymi mógłby przejść niezauważony przez strażę, lecz korzystanie z nich było dość niedogodne i prowadziło czasem do odkryć szczególnego

rodzaju. Dwukrotnie już przynajmniej w swojej karierze naraził się impulsywnym postępkom na niepotrzebny rozgłos. Zatem czekał.

Gdy strażnik przeszedł, ruszył dalej. Na nogach miał czarne buty na wysokim obcasie, lecz szedł cicho, a jego mocno zbudowane ciało poruszało się z gracją rzadką u ludzi w tym wieku.

W końcu dotarł do miejsca, o którym mu mówiono - Zajazdu Pod Czerwonym Wilkiem. Szczelniej osłonił swój ozdobny strój długim płaszczem z czarnego aksamitu. Był na tyle ostrożny, by zostawić w domu co cenniejsze przedmioty, z wyjątkiem wpiętego w koronkę na szyi nieskazitelnego rubinu. Wiedział, że tak owinięty płaszczem i z nie upudrowanymi włosami bezpiecznie może iść między tych, którzy czekali nań w mrocznej tawernie. Niewielką dłonią o smukłych palcach odsunął rygle i wszedł do wnętrza.

Dziwięciu zebranych w brudnym szynku mężczyźni podniosło głowy, gdy drzwi się otwały. Paru z nich cofnęło się z lękiem, jakby ich sumienia nie były zbyt czyste.

Saint-Germain pozdrowił ich, zamykając drzwi.

- Dobry wieczór, Bracia - powiedział, kłaniając się z lekka.

- Pan jest księciem Rakoczym z Transylwanii? - spytał po chwili jeden z nich, śmielszy widać od pozostałych. Saint-Germain skłonił się ponownie.

- Mam ten zaszczyt.

Pomyślał, że imię to nie było jego własnym bardziej niż Saint-Germain czy Balletti. Miana Rakoczego używał przez wiele lat w Italii, na Węgrzech, w Rumunii, Austrii i saskim mieście Dreźnie. - Przypuszczam, że jesteście Gildią? - spytał, nieco zniechęcony. Czarownicy byli zwykle niepewnym elementem i ci tutaj nie stanowili wyjątku. Paru miało twarze inteligentne, z oczami tęskniącymi za wiedzą, która dla nich stała się bóstwem. Lecz pozostali... Saint-Germain westchnął. Pozostali byli tacy, jak tego oczekiwał. Przebiegli ludzie działający bez oglądania się na literę prawa, rozdający trucizny i przeprowadzający aborty na rzecz tych, którzy godzili się z

szantażem i płacili. Ludzie, którym spryt zastępował umiejętności, a chciwość była ich pasją.

- Nie byliśmy pewni, czy zechcesz przyjść, panie - powiedział jeden z czarowników. - Robi się późno. Saint-Germain wszedł dalej do pokoju.

- Przybyłem o umówionym czasie. Zegary nie wybiły jeszcze północy. Z pobliskiego kościoła wybrzmiało właśnie sześć uderzeń zwiastujących środek nocy, uroczyście ostrzegając, że nadeszła godzina duchów.

- Tak naprawdę - powiedział Saint-Germain sucho - to jestem wcześniej.

- Najgłębsza noc - mruknął jeden, nieomal się zegnając, po czym zwrócił się do Saint-Germaina, wykrzywiając twarz w parodii dobrej woli.

- Poinformowano nas, że możesz nam pomóc, panie, w sprawie klejnotów. Saint-Germain westchnął.

- Wy, Francuzi, tak bezpośrednio objawiacie swą zachłanność.

Dwóch z mężczyzn zeszywniało, a paru innych uśmiechnęło się przymilnie. Ten, który spytał o klejnoty, wzruszył ramionami i czekał na odpowiedź.

- Niech będzie - Saint-Germain przeszedł na środek pokoju i zajął miejsce u szczytu ubogo zastawionego stołu. - Przekażę wam sekret klejnotów, lecz pod pewnymi warunkami.

- Jakimi warunkami? - spytał czarownik, widać najbardziej zainteresowany kamieniami.

- Wyświadczenia mi pewnych przysług. Zrobicie to, i to tak szybko, jak to możliwe. Gdy zadania te zostaną wykonane, wówczas wyjawię przed wami sekret klejnotów.

- A gdy przysługa zostanie wyświadczona - zaszydził ten sam - to pojawią się kolejne warunki, i jeszcze następne, i koniec końców pan zniknie, a nam zostanie tylko płótno w kieszeni na opłacenie naszych prac. - Odwrócił się.

- Powiedziałem wam: jesteście chciwi - przypomniał Saint-Germain. Do rozmowy włączył się jeden z grona tych, których hrabia ocenił jako spragnionych wiedzy.

- Ja przyjmę pańskie warunki - powiedział. - To prawda, że może nas pan oszukać, lecz skłonny jestem wykorzystać szansę. Saint-Germain zmierzył go spokojnie wzrokiem.

- Jak masz na imię? - zapytał, a jego pięknie nakreślone brwi lekko się uniosły.

- Jestem Beverly Sattin - powiedział po chwili trochę niespokojnie, jako że czarownicy nie podawali zwykle swoich prawdziwych imion.

- Anglik? - spytał Saint-Germain w tymże języku.

- Tak. Od wielu lat mieszkam we Francji. Jeśli wolno mi powiedzieć, to czekałem na taką okazję od dawna. Wasza Wysokość? - skinął głową w sposób świadczący o znajomości wytwornych manier.

- Gdzie się kształciłeś, Sattin?

- Magdalene College, Oxford - powiedział. - Zostałem wydalony w dwudziestym dziewiątym za praktyki niezgodne z religią. Byłem wtedy na drugim roku.

Pozostali czarownicy ożywili się, a ten spośród nich najbardziej zainteresowany klejnotami wszedł im w słowo.

- Nie rozumiem tego, o czym mówicie - poskarżył się i nakazał oberżystę, by na nowo napełnił kielichy winem.

- Było z mojej strony nieuprzejmym wykluczać cię z rozmowy, dżentelmenie - powiedział Saint-Germain z powagą, lekko z cudzoziemską akcentowanym francuskim.

Szynkarz krążył tymczasem wokół stołu: jego okrągła twarz lśniła od potu, widać było zdenerwowanie. Spojrzał ukradkiem na Saint-Germaina, podnosząc kolejny kielich i napełniając go.

Hrabia uniósł drobną, wytworną dłoń.

- Nie piję wina - powiedział, odprawiając oberżystę. Ten skłonił się tak głęboko, jak tylko pozwalała mu na to masa cielska i oddalił się pośpiesznie, zadowolony, że uwolnił się od towarzystwa tych złowroźnie wyglądających mężczyzn.

Gdy gospodarz odszedł, Saint-Germain sięgnął do jednej z wielu kieszeni swego czarnego płaszcza i pod czujnym spojrzeniem czarowników wyciągnął zeń skórzany woreczek z wytłoczonymi symbolami. Widząc, że przykuł bez reszty ich uwagę, powiedział:

- Domagacie się ode mnie świadectwa prawdy. Właśnie je wam przedstawiam.

Otworzył sakiewkę i wyrzucił na stół tuzin wielkich diamentów. Żaden z czarowników nie pozostał nieczuły na widok wspaniałych klejnotów. Ten, który pożądał ich najbardziej, wyciągnął rękę, lecz zaraz cofnął ją z lękiem.

- Proszę - przyzwolił Saint-Germain. - Weźcie je. Sprawdźcie. Upewnijcie się, że są prawdziwe. Potem wysłuchajcie mnie.

Rozparł się na topornie ciosanym krześle i zapatrzył w kominek. Dziewięciu mężczyzn wzięło tymczasem diamenty w swoje ręce i zagłębiło się w rozmowie prowadzonej przyciszonymi głosami. Gdy czarownicy umilkli, hrabia przemówił.

- Sądzisz zapewne, Le Grace, że sprytnie dokonałeś podmiany - powiedział, nie spoglądając w jego stronę.

Czarownik, który tak kochał klejnoty, podskoczył zauważalnie. Wymamrotał, że książę się myli i wskazał na angielskiego czarownika.

- To chyba on. To nie ja.

Saint-Germain odwrócił się, skupiając na Le Grace spojrzenie swych ciemnych oczu.

- Postaraj się mnie zrozumieć, Le Grace - powiedział łagodnie. - Nie będę tolerował okłamywania czy oszukiwania mnie. Nie jestem głupcem. Sattin nie wziął diamentu; ty to zrobiłeś. Jest w wewnętrznej kieszeni twojej kamizelki. Jest tam też sześć oszukańczych kawałków szkła. Mój diament jest siódmy. Zanim policzę do dziesięciu masz położyć go na stole. Raz...

Le Grace nie mógł znieść spojrzenia świdrujących, czarnych oczu Saint-Germaina.

- Książę Rakoczy... - zaczął, rzucając spojrzenia kompanom.

- Dwa.

- Wasza Wysokość, proszę raz jeszcze się zastanowić, Le Grace nie jest... - próbował ratować sytuację jeden z czarowników.

- Trzy.

Szczur przemknął obok paleniska, popiskując wściekle. Dwóch mężczyzn podniosło się i odwróciło plecami do Le Grace, jeden z nich powiedział przy tym do towarzysza:

- Le Grace wcale się nie przedstawiał. Książę po prostu go znał.

- Cztery - stanowczo kontynuował Saint-Germain. Mimowolnie ręka Le Grace zagłębiła się w kieszeni kamizelki. Jego twarz stężała ze strachu.

- Możemy to przedyskutować, książę.

- Pięć.

Sattin odsunął się nieco od Le Grace i zwrócił po angielsku do Saint-Germaina.

- To prawda, że jest łajdakiem, Wasza Wysokość, lecz bywa użyteczny.

- Nie dla mnie. Sześć.

- Lecz to bez sensu - zaprotestował Sattin. - Jeśli zna pan sekret klejnotów, to ten jeden z pewnością nie może wiele dla pana znaczyć.

- Siedem. Nie lubię być okradanym - powiedział. - Nie lubię być okłamywanym. Człowiek, który oszuka mnie na jeden klejnot, oszuka mnie na wiele. Osiem.

Ciężkie krople potu wystąpiły na twarz Le Grace, przesunął po niej rękawem. Poprawił się niespokojnie na krześle. W ustach nagle mu zaschło i sięgnął po wino, pijąc hałaśliwie.

- Dziewięć - chociaż głos jego nie brzmiał głośniejszy, słowo to zabrzmiało w obskurnej gospodzie niczym wystrzał.

- W porządku - przyznał się Le Grace i sięgnął do kieszeni kamizelki. - W porządku! - pogardliwie cisnął woreczek na stół. - Sprawdź je.

Westchnienie ulgi przeszło po sali, napięcie ustąpiło. Dwóch stojących przy ogniu czarowników wróciło do stołu. Saint-Germain otworzył mieszek.

Opisane wcześniej siedem kamieni upadło na stół obok klejnotów rozsypanych tam wcześniej.

- Który zatem jest właściwy - spytał sarkastycznie Le Grace.

Saint-Germain sięgnął bez słowa i zebrał sześć kamieni w stos. Potem, zwinąwszy wokół ręki kawałek serwety ze stołu, uderzył w kamienie pięścią. Gdy uniósł dłoń, na stole pozostał szklany proszek. Spojrzał pytająco na pozostałych.

- Książę Rakoczy... - powiedział powoli Sattin. - W imieniu naszego Bractwa i naszej Gildii przepraszam cię i proszę o wybaczenie. Saint-Germain przytaknął.

- Zgoda. Zamknijcie tylko dobrze tego człowieka i przypilnujcie, by nie miał już więcej dostępu do Gildii.

Sattin skinął głową i zwrócił się do pozostałych.

- Słyszeliście, czego żąda książę - wskazał dwóch, którzy uznawali jego prawo do rozkazywania. - Pesche i ty, Oulen, weźcie Le Grace na górę. Do pokoju na strychu.

- Chodź - powiedzieli zbliżając się do niego. Byli przygotowani, by zabrać go siłą gdyby stawiał opór. Le Grace popatrzył na nich.

- On jest zwykłym oszustem. Żaden z tych diamentów nie jest prawdziwy.  
- Popatrzył z rozpaczą na swych braci z Gildii. - One nie mogą być prawdziwe. To tylko szkło.

Saint-Germain rzucił mu zimne, znudzone spojrzenie.

- To, że jesteś szarlatanem, to nie powód jeszcze, by wszystkich innych uważać za pozbawionych honoru.

Ujął największy diament i położył go na sproszkowanym szkłe. Zawiązał serwetę wokół dłoni i z całą siłą opuścił rękę na kamień. Stół zadrżał. Gdy podniósł rękę, klejnot wbity był w stół do połowy obwodu, lecz pozostał nienaruszony. Saint-Germain rozwarł dłoń i odrzucił serwetę.

- Pańska ręka... - zaczął Sattin.

Saint-Germain położył dłoń na stole, obracając ją wnętrzem do góry.

- Jak widzisz.

Le Grace już nie odważył się nazwać tego oszustwem. Opuścił głowę i pozwolił, by bracia z Gildii go odprowadzili.

- Dał mu pan odprawę - powiedział Sattin z niejaką satysfakcją w głosie, wiedząc, że i jemu udzielono odpowiedzi.

- Na krótki czas jedynie - rzekł hrabia, potrząsając z niechęcią głową.

- Nim minie parę godzin dojdzie do wniosku, że była to iluzja i zapragnie mnie skompromitować. - Dotknął swych ciemnych włosów. - Mniejsza z tym, Angliku. Więcej mam pilniejszych spraw, niżli rozgoryczony fałszywy czarownik.

- Powiedział pan, że potrzebuje naszej przysługi. - Sattin przechylił się do przodu, a sześciu mężczyzn słuchało go teraz w napięciu.

- W zamian za sekret klejnotów, tak - Saint-Germain popatrzył na nich.

- Który z was jest Francuzem?

Czterech przyznało się do francuskiego pochodzenia.

- A reszta? - spytał Saint-Germain, odhaczając gestem Anglika Sattina.

- Ja jestem Hiszpanem. Nazywam się Ambrosias Maria Domingo y Roxas. Jestem z Burgos. - Skłonił się osobliwie, dodając: - Zostałem ekskomunikowany za herezję, uciekłem jedynie dzięki temu, że eskorta, która miała dostarczyć mnie do Madrytu, nie była zbyt uważna. Twierdzą teraz, że uciekłem za pomocą czarów, lecz tylko przytomność umysłu mnie uratowała.

Saint-Germain przyjrzał się małemu Hiszpanowi.

- Mogę w przyszłości mieć dla ciebie zadanie - powiedział po hiszpańsku.

- Póki co, gratuluję ucieczki. Jesteś jednym z niewielu - skierował teraz uwagę na Francuzów.

- Czy któryś z was miał kiedyś do czynienia z arystokracją? Czarownicy wymienili spojrzenia, a jeden z nich, nieco starszy od pozostałych, powiedział:

- Ja byłem majordomusem w majątku Savigny. Było to ponad dwanaście



lat temu.

Saint-Germain uniósł brwi.

- Na ile potrafisz naśladować ich maniery? Och, nie tych naprawdę wysokiego urodzenia, lecz bogatych burżujów? Były majordomus wzruszył ramionami.

- Nigdy tego nie próbowałem, książę, lecz jestem pewien, że wiem, o co chodzi. Dość dobrze potrafię małpować.

- A zatem będziesz tym, który dokona dla mnie transakcji - ujrzał wyraz lęku na twarzy mężczyzny. - W le Fauborough - hrabia uśmiechnął się do siebie - przy Quai Malaquais numer dziewięć, znajduje się dom gry. Wybudowany został za czasów Ludwika XIII. Różne były jego losy. Znany jest jako Hotel Transylwania.

- Nazwany tak został od innego Rakoczego, czy nie tak było, panie? - zaryzykował Sattin, gdy cisza przeciągnęła się zbyt długo.

- Sądzę, że tę nazwę nosił już wcześniej - powiedział Saint-Germain, jakby mało go ta sprawa obchodziła. - Lecz trzydzieści lat temu pewien Rakoczy mieszkał w tej rezydencji.

- Pański ojciec? - pytanie Sattina wyrażało ciekawość ich wszystkich, co widać było po twarzach.

- Jeśli chcecie tak to widzieć.

Czarownicy spoglądali po sobie, po ścianach, po lśniącym ogniem kominku. Patrzyli gdziekolwiek, tylko nie na postać w ciemnym ubraniu, która siedziała, czekając cierpliwie, aż zwróci swą uwagę z powrotem na nią.

- Cóż takiego mamy zrobić z Hotelem Transylwania? - spytał za wszystkich Domingo y Roxas.

- Pragnę, abyście go dla mnie nabyli. Możecie sobie powiedzieć, że jestem sentymentalnie przywiązany do nazwy czy do budynku, jeśli potrzebujecie dla tego jakiegoś wyjaśnienia - powiedział, uprzedzając ich pytania. - Dostarczę wam funduszy wystarczających po dziesięciokroć na to, aby go

kupić. Mam nadzieję, że nie wydadacie aż tyle, lecz ile by kosztował, nabędziecie dla mnie Hotel Transylwania. Czy to rozumiałe?

- Tak jest, Książę Rakoczy.

Pesche i Oulen, czarownicy, którzy zabrali z pomieszczenia Le Grace, wrócili i z przesadną skromnością usiedli przy końcu stołu.

- Ta mała książeczka l'Abbe Prevosta uczyniła nazwę Hotelu Transylwania niemiłą dla ucha - mruknął Saint-Germain. - Nie miał takiej reputacji, gdy... mój ojciec... w nim mieszkał. Zatem - powiedział energicznie, spoglądając na ogień - kupisz Hotel Transylwania, nie wymieniając przy tym mego imienia. Możesz powiedzieć, że jesteś czyimś agentem lub że kupujesz go dla siebie. Lecz w żadnym wypadku nie wolno ci powoływać się na mnie. Gdybym godził się z tym, policja wiedziałaby o transakcji w ciągu godziny. Twoja dyskrecja jest, ufam, całkowita?

- Tak jest, panie.

- Dobrze. - Zwrócił się do czarownika, który niegdyś był majordomusem. - Jak się nazywałeś?

- Cielblue - odpowiedział niezwłocznie. - Henri-Louis Cielblue.

- Czarująco. Imię budzące zaufanie. Możesz używać swego lub jakiegokolwiek innego imienia, gdy będziesz prowadził negocjacje z obecnymi właścicielami rezydencji.

- A co zrobisz z nią, panie, gdy będziesz już jej właścicielem? - spytał Pesche z szacunkiem, lecz z ciekawością i skąpstwem w oczach zarazem.

- Otworzę go na świat, rzecz jasna. Zbyt długo był ubogim krewnym rezydencji de Yille. To się zmieni.

- Panie... - zaczął Domingo y Roxas. - Dlaczego pragniesz go posiadać? Czy dlatego, że sam pochodzisz z Transylwanii?

Wymuszające zwykle szacunek spojrzenie Saint-Germaina stało się nieco błędne.

- Przypuszczam, że to dlatego, iż Transylwania jest moją ojczyzną i byłem tam księciem krwi - jego twarz rozjaśniła się. - To prawda, panowie, że

ziemia ojczysta przyciąga, niezależnie od tego jak daleko od niej i jak długo bez niej się żyje. Powiedzmy sobie zatem, że jest to moja zachcianka, którą wy potraktujecie z pobłażaniem. W zamian poznacie sekret klejnotów. To nie jest zła transakcja.

Beverly Sattin przyjrzał mu się ze spokojem.

- Do kiedy trzeba to zrobić?

- Jak najszybciej, mój drogi Sattin. Chcę, by Hotel Transylwania był mój, nim minie październik. - Zebrał diamenty w stos. - Tym zapłacicie za rezydencję. Przypuszczam, że wartość ich okaże się dość duża, by sprostać każdej cenie, jaką podać może właściciel. A gdyby policja dowiedziała się o moim nabytku, wówczas uznam was za wrogów i potraktuję stosownie do tego - trącił diament, który wbił uprzednio w stół. - Tego tu będziecie musieli wydłubać. Niech gospodarz da wam nóż - wstał i zebrał płaszcz wokół siebie, przygotowując się do odejścia. - Będę tu o tej porze za dziesięć dni. Powiecie mi, jakie poczyniliście postępy.

- Książę Rakoczy - powiedział Sattin. - Co z Le Grace? Saint-Germain ściągnął wypielegnowane brwi.

- To pewien kłopot - pogładził palcami rubin na szyi. - Póki co, przytrzymajcie go tutaj. Możecie zmieniać się na straży. I pamiętajcie, by była to straż z krwi i kości, uzbrojona w ciężką pałkę. Byłoby nad wyraz kłopotliwe, gdyby uciekł.

Przyjrzał im się raz jeszcze, stwierdzając, że chociaż byli raczej kiepscy, to widział już gorszych.

- Za dziesięć dni, panie - powiedział Sattin, kłaniając się nisko.

Saint-Germain odpowiedział lekkim ukłonem, a potem wymknął się z Zajazdu Pod Czerwonym Wilkiem w wilgotną i zimną ciemność paryskiej nocy.

Wyjątek z listu markiza de Montalia do l'Abbe Ponteneuf a datowane 21 września 1743:

(...) Tak zatem, mój drogi kuzynie, zrozumiesz troskę, jaką otaczam moją córkę, Madelaine. Argumenty mojej żony przekonały mnie, lecz nie mogę pozbyć się głęboko tkwiącej we mnie obawy, że moja córka może wpaść w ręce pewnej osoby. Madelaine przybędzie do Paryża czwartego lub piątego dnia października w towarzystwie swej damy, Cassandre Leuf, która znajduje się na służbie w naszej rodzinie od ponad dwudziestu lat, Nie lękam się o moją córkę, gdy strzeże jej Cassandre. Lecz to nie wystarczy. Moim pragnieniem jest, byś nie tracił jej z oczu i dawał jej przystęp do korzyści płynących z twoich rad, jako że obaj wiemy, jakie to pokusy dostępne są na dworze naszego ukochanego monarchy.

Pewien jestem, że polubisz Madelaine. Jest ona dziewczyną wrażliwą i o nieprzeciętnym intelekcie. Urszulanki, które ją kształciły, chwaliły jej erudycję i były zasmucone, iż nie czuje ona powołania do poświęcenia się religii. W rzeczy samej, jedynym, na co narzekały, był brak cierpliwości do osób mniej od niej samej inteligentnych oraz pełne niepokoju zamiłowanie do miłości dziwacznej i fantastycznej. Moja żona dowodzi niemniej, że małżeństwo i dzieci usuną te kaprysy natury, skądinąd słodkiej i odpowiedzialnej (...).

Słyszałem od mojej siostry, kontessy d'Argenlac, u której Madelaine się zatrzyma, że Beauvrai znów obraca się w dobrych kręgach, zawdzięczając to wysokiemu urodzeniu swojej żony. Muszę z naciskiem zaznaczyć, że żadne związki z Beauvrai nie mogą być tolerowane. Nie można pozwolić, by ktokolwiek z kompanii skupionej niegdyś wokół Saint Sebastiena splugawił moją córkę. Pozwól, bym wezwał cię do bycia rygorystycznym w strzeżeniu mego dziecka przed takimi, jak oni.

(...) Błagam cię, byś uzyskał pewność, gdyby Madelaine zapragnęła małżeństwa, czy kierować będzie nią głos serca, a nie dążenie do podwyższenia swej pozycji. Zbyt często bowiem małżeństwo rodzi się z oczekiwań żywionych przez innych, a nie z mocnych więzów serc. Moja żona obarczyła siostrę moją zadaniem znalezienia dla Madelaine odpowiedniego męża i zapewnić cię mogę, że uszczęśliwiłby mnie widok jej pomyślnie wydanej. Lecz nie mógłbym znieść widoku życia jej zniweczonego, jak tyłu innym już to się zdarzyło, Polegam na tobie, że dojrzysz prawdziwą jej naturę.

(...)

*Na imię Boga, którego obaj szanujemy i czcimy, a który wyprowadził cię na wiodącą ku zbawieniu drogę z piekielnych ogni, polecam się tobie i błagam, byś pamiętał w swych modlitwach, o moich grzechach. Na tym świecie mam honor być Twoim najbardziej uniożonym i szanującym cię kuzynem*

*Robert Marcel Yves Etienne Pascal Markiz de Montalia*

## . 2 .

- Stwierdzić muszę, hrabio - powiedziała Mme Cressie, kładąc jedną dłoń na swej pięknej, białej szyi - że zjawiasz się nie wiadomo skąd. Saint-Germain skłonił się nisko ponad wyciągniętą ku niemu drugą jej dłonią, niemal dotykając wargami mocnych, smukłych palców.

- Tylko wtedy zdarza, się, że wszystkie inne muszą zblednąć w swej urodzie, gdy jest z nami La Cressie. Gdybym wyłonił się obok ciebie spod ziemi, policzyć mógłbym się między szczęśliwymi, gdyż jak inaczej można znaleźć sobie drogę między wszystkimi twoimi adoratorami?

La Cressie zaśmiała się niepewnie.

- Bardzo szarmancko, sir. Lecz, jak widzisz, jesteś tu przy mnie sam.

- Tym większe jest zatem moje szczęście - Saint-Germain rozejrzał się po zatłoczonej sali i skinął ręką ku alelowi.

- Bardzo pragnąłem spotkać się z tobą, pani, lecz stwierdzić muszę, że to pomieszczenie jest trochę zbyt pełne zgiełku. Może gdybyśmy wyszli...

Zgodziła się i skierowali się do alelowi. Jej szerokie jedwabne suknie szeleściły przy każdym ruchu niczym liście. Ubrana była w morskie zielenie ze sztywną halką z kremowych koronek, odsłoniętą tam, gdzie spódnica upięta była w niewielkiej tiurniurze. Włosy były zaczesane prosto, w stylu znanym jako turkawka, a pokrywający je puder rozsiewał zapach bzu.

Idący obok Saint-Germain mocno się od niej odróżniał: nosił krótkie spodnie i surdut z szerokimi połami; wszystko to z czarnego jedwabiu. Zawinięte mankiety surduta ujawniały czarny brokat. Do kompletu dobrał takiegoż koloru pończochy i buty, wobec czego tylko wyszywana kamizelka i nieskazitelnie biała koronka wokół szyi i nadgarstków koła surowość jego stroju. Na zapinkach iskrzyły się diamenty, a rubin lśnił w koronce na szyi.

Gdy podprowadził ją do niskich krzesel w alelowi, rzucając wzmiankę o

tak silnie kontrastujących ich strojach, La Cressie westchnęła:

- Uprzejmy jesteś, Saint-Germain, lecz przeglądam się czasem w lustrze. Nawet mój mąż zdobył się ostatnio na parę uwag dotyczących mego wyglądu. Obawiam się, że przebyta choroba zostawiła na mnie ślady. Widzę to w zwierciadle - znów przyłożyła rękę do szyi, mimowolnie dotykając kształtnej naszywki w kształcie violi d'amore.

- Prawdą jest, że ciągle jesteś trochę blada - zauważył, wytrząsając na zewnątrz koronkowe mankiety. - Lecz do twarzy ci z tym. Z jasnymi włosami i takimiz oczami, bardziej jesteś eteryczna, niż kiedykolwiek. Widziałem, jakim wzrokiem patrzyła na ciebie ciemnooka markiza de la Sacre Sassean. - Przyjrzał się naszywce na jej szyi. - Świetny pomysł. Sądzę, że zapoczątkujesz tym modę.

- Dziękuję, hrabio - powiedziała, niepewnie próbując zadać kłam chłodowi, który zawierał się w jej głosie. - Chciałabym zapoczątkować modę.  
- Urwała nagle.

- Co się dzieje, pani? - spytał łagodnie, gdy cisza zbyt długo wisiała między nimi.

Mme Cressie podniosła nagle przestraszony wzrok.

- To nic, hrabio, nic - jej śmiech był wymuszony. - Miałam ostatnio trochę męczących snów.

- To nie jest zwyczajne, gdy wychodzi się z choroby. Czy pozwolisz, bym dał ci napój, który ułatwi sen?

- Ty? - powiedziała szybko, zmieszana. - Nie, nie, nie o tym myślałam. Przyszło mi do głowy jedynie, że może powinniśmy pospieszyć na kolację. Słyszałam, jak lokaj zapowiadał ją już jakiś czas temu, a teraz wydaje mi się, że jestem głodna.

Saint-Germain uśmiechnął się dwornie. Wiedział, że tak naprawdę to nie była zainteresowana kolacją, gdyż apetyt jej ciągle przyćmiewała słabość, lecz zaoferował jej ramię, na którym położyła dłoń.

Hotel de Ville przeżywał właśnie jedną ze swych najlepszych nocy. W

główniej sali balowej dwudziestu muzyków grało dla rzeszy tańczących, poruszających się po inkrustowanej podłodze niczym morze kwiatów: tak liczne i rozmaite były kolory jedwabów, brokatów, atlasów, aksamitów i koronek, które tam noszono. W hotelu znajdowały się pokoje gier karcianych, gdzie trafić można było nawet na zakazaną jokę, a robry dotyczyły zaiste zawrotnych sum. Mało było tutaj zgiełku, a wyraz arystokratycznych twarzy skłaniał się ku ponurości. Inne gry hazardowe panowały w oddzielnych pokojach, w których rozbrzmiewały dialogi tak samo niemal błyskotliwe, jak lśniące złote ludwiki, piętrzące się na stołach przed eleganckimi graczami.

W sali, w której podawano kolację, Saint-Germain powitał dystyngowanymi skinieniami głowy liczne grono swoich znajomych, niektórym posyłając okolicznościowy gest dłoni. Poprowadził Mme Cressie do jednego z wielu zacisznych stolików i, usadziwszy, zapytał:

- Co mogę mieć przyjemność przynieść ci, pani?

- Cokolwiek, co sam weźmiesz - odpowiedziała nieprzytomnie.

- Nie jestem akurat głodny - rzekł, myśląc, że nie jest to całkiem prawdziwe stwierdzenie. - Widzę, że mają tu szynkę i kurczaki, i że dzisiejszego wieczoru daje się dostrzec też coś, co wygląda na talerz z przysmażanymi homarami. - Uśmiechnął się do niej całą mocą swych ciemnych, fascynujących oczu. - Podejrzewam, że będziesz pani tak uprzejma i zechcesz pozwolić mi, bym wybrał za ciebie?

Mme Cressie zatraciła się w głębi jego oczu, zapatrzyła na jarzącą się w nich obietnicę.

- Tak - mruknęła. - Cokolwiek wybierzesz... - Między jej brwiami pojawiła się drobna zmarszczka, a ręka znów ukradkiem sięgnęła szyi.

Saint-Germain tymczasem zaczął torować sobie drogę przez tłum wygłodzonych ku długiemu bufetowi zastawionemu na północny posiłek. Gdy napełniał talerz dla La Cressie, przerwał mu ową czynność diuk Vandonne, dość młody mężczyzna z dziwnymi, przebiegłymi oczami,



będący zakałą rodziny i hańbą dla samego siebie.

- Nienawidzę tych uroczystości - powiedział młodzieniec przez ściśnięte zęby, rozluźniając koronki wokół szyi. - Lękam się ich i nienawidzę.

- To dlaczego pan przyszedł? - spytał Saint-Germain, odwracając uwagę od pasztetu z wątróbek dziczyzny z owocami jałowca, który to nakładał hojnie na talerz La Cressie.

- Bo gdybym nie przyszedł, zostałbym niechybnie skarcony przez matkę i jej dwie siostry - mówił silnie wzburzonym głosem Vandonne. - Nie jestem w stanie im umknąć: mieszkają ze mną. Otóż i jestem. Oczekują, że znajdę żonę; że zwabię na swój tytuł i do mego łóżka jakąś możliwą do przyjęcia dziewczynę - zaszydził. - Znam lepsze sposoby wykorzystywania dziewczyn.

- Tak? - Saint-Germain zwrócił się ponownie ku bufetowi. Wiedział, że diuk uprawiał jedne z najmniej akceptowanych perwersji, lecz mimo to padła z jego ust uwaga wprawiła go w lekkie zakłopotanie. Vandonne zachichotał. Dźwięk ten zmroził hrabiego.

- Beauvrai powiada, że do tego potrzeba dziewczyny. Chciałbym, żeby udało nam się znaleźć jakąś. Myślę oczywiście o prawdziwej dziewczynie. Takiej, która nadawałaby się do użytku.

- Do czego niby? - Saint-Germain uniósł brwi. Jego twarz przybrała wyraz uprzejmego, lecz słabego zainteresowania, ukrywając wypływający z pewności, że dobrze zrozumiał te słowa, zimny lęk.

- Och, do tego i owego - powiedział wymijająco Vandonne. - To nie jest miejsce, by o tym rozmawiać. - Twarz diuka spoważniała. - Tak czy tak, nie jest pan jednym z nas. Chociaż... słyszałem, że jest pan cudzoziemcem, a cudzoziemcy czasem zajmują się takimi rzeczami - sięgnął po następny kielich wina, gdyż właśnie kelner przynosił obok zastawioną szklaną tacę. Vandonne zaklął, gdy przez własną niezręczność rozlał wino na kaskadę spływających mu po piersi koronek. Wychylił połowę pozostałej w kielichu zawartości, nim znów zwrócił się do Saint-Germaina.

- Czy lubi pan dziewczynę?

- Obawiam się, że nie jestem kompetentny w tej dziedzinie - powiedział hrabia, kłaniając się dla zachowania formy i wracając niezwłocznie przez gości już tłum do Mme Cressie.

- Wielkie nieba! Nie dam rady zjeść tyle, hrabio - powiedziała zmieszana, gdy ustawił przed nią pełny talerz. Saint-Germain uśmiechnął się.

- Cóż, pani, sama chyba to rozumiesz, że skoro brak mi było pewności, co właściwie lubisz, to zdecydowałem się uznać, że może większa różnorodność cię zadowoli. A jeśli jest tu więcej niż pragniesz, może więc samo jedzenie uczyni cię głodną i wzmocni apetyt. Nic na to nie poradzę, lecz sądzę, że bladość, na którą się uskarżasz, wynika po części z rzadkich posiłków.

Usiadł naprzeciwko niej.

- Lecz ty nic nie jesz, Saint-Germain - zauważyła. Zbyt to machnięciem ręki.

- Przyjąłem zaproszenie na późniejsze przyjęcie. Proszę zatem. Pasztet. A potem trochę tego wspaniałego auszpiku lub może jajka a la Florentine.

Mme Cressie była rozdarta. Przebywanie w towarzystwie tak znanego i tajemniczego hrabiego było oczywiście czymś, co znacznie podnosiło jej pozycję towarzyską, jak i przyjemną odmianą od obojętności męża. Przy bliższym jednak poznaniu okazywało się, że Saint-Germain jest kimś mogącym naruszyć jej spokój. Jego badawcze oczy, co odkryła, były zbyt bystre, zbyt przenikliwe, ze zbyt dużą łatwością zdolne dojrzeć jej prawdziwe myśli, a niepokojąco szczere zainteresowanie, które jej okazał, groziło zniszczeniem wszystkich zapór ochronnych, które wzniosła wokół siebie. Skubnęła pasztet, rozważając swe kłopotliwe położenie.

- Jeśli masz kłopoty, pani, możesz mi się z nich zwierzyć - powiedział do niej cicho. - Daję słowo, że cię nie zdradzę. Znów zawahała się, uderzona jego zaskakującą przenikliwością.

- Nie jestem pewna, czy dobrze pana rozumiem, hrabio. Saint-Germain pochylił się ku niej i przemówił łagodnie:

- Bezspornie można powiedzieć, że nie jesteś jeszcze w pełni sobą, moja droga. I jeszcze wyraźniej widać, że masz poważne kłopoty. Gdybyś zechciała mi opowiedzieć, co cię gnębi, może mógłbym zasugerować ci coś, co byłoby dla ciebie pomocą. Słyszałem - tonem głosu wyrażał jeszcze więcej sympatii - że twój mąż rzadko bywa w domu. A skoro nie jestem w stanie wzbudzić wygasłego uczucia, ni stworzyć go tam, gdzie go nie ma, może uda mi się znaleźć przynajmniej jakieś remedium na twój żal. Wyprostowała się, z twarzą w szkarłacie, słysząc ten afront.

- Sir!

Natychmiast spostrzegł swój błąd.

- Nie, nie madame. Złe mnie pani zrozumiała - rzucił jej wymuszony uśmiech, by rozproszyć wątpliwości. - Aczkolwiek, jeśli tego właśnie byś zapragnęła, niewątpliwie nie byłoby dla ciebie problemem znalezienie kogoś, kto zechciałby ci dotrzymywać towarzystwa. Lecz rozważ moje słowa. Nie żebym cię nie podziwiał: uważam cię za zachwycającą kobietę. Lecz musisz zrozumieć, że takie sprawy nie interesują mnie już od dawna.

La Cressie czuła, jak rumieniec spełza powoli z jej twarzy, i wykorzystała swą chwilową przewagę, by przyjrzeć się temu dziwnemu mężczyźnie. Nie miał spojrzenia celibanta, lecz kiedyś już zauważyła brak plotek wiążących go tak z kobietami, jak i mężczyznami. I to nie dlatego, by nikt nie miał doń przystępu. Przypomniała sobie nagle - myśl ta przyniosła na jej wargi cień uśmiechu - że było parę kobiet, które ze zdecydowaniem oblegały Saint-Germain przez kilka miesięcy, lecz nic z tego nie wynikło.

- Wygląda na to, że oboje niezupełnie się rozumiemy - podjęła. Saint-Germain rozłożył ręce.

- Jeśli ty mnie źle rozumiałaś, pani, to czym innym może to być dla mnie, jak nie pochlebstwem? - spojrzał na jej talerz. - Lecz ty nie jesz, madame. Czyżby ten wikt cię nie satysfakcjonował?

Z przymusem ujęła ciężki, zdobiony spiralą widelec.

- Nie chciałam cię urazić, hrabio - powiedziała, zabierając się za następny

kawałek pasztetu.

- To byłoby niemożliwe, madame. - Ta machinalnie uprzejma odpowiedź była osłoną dla załączków znudzenia. Poprawił ulotny obłok białej koronki, która rozlewała się na jego czarno-srebrnej kamizelce, tak że diamenty przypięte do mankietów zaśniły jak krople wody, a wielki rubin rozbłysnął niczym serce poety.

La Cressie uśmiechnęła się zazdrośnie do klejnotów, myśląc, że nie jest w porządku, iż Saint-Germain może mieć tyle wspaniałych diamentów i ów wielki rubin. Potem porzuciła te myśli i skupiła uwagę na jajkach a la Florentine.

Saint-Germain obserwował ją tymczasem, a w jego ciemnych oczach czaiło się lekkie rozbawienie. Dobrze, że była głodna, nawet, jeśli tylko po to, by go zadowolić. Dotknął swych włosów, by upewnić się, że pokrywający je biały puder wciąż się ich trzymał. Pewien był, że jego służący, Roger, wykonał pracę ze zwykłą starannością. Z zadowoleniem stwierdził bowiem, że palce wróciły z lekkim tylko śladem pudru. Przytaknął sobie w duchu, myśląc, że każda epoka miała własne kaprysy mody, i że popularne we Francji pudrowanie włosów w niczym nie ustępuje układaniu ich w perfumowane stożki tłuszczu, jak czyniono to dawno temu w Tebach. Uciszył tę myśl i spytał La Cressie:

- Czy auszpik ci smakuje, madame? Spojrzała na niego przez swe gęste, jasne rzęsy.

- Wspaniały, tak jak można się tego było spodziewać. Miałaś rację, co do rosnącego w miarę jedzenia apetytu. - W oczywisty sposób musiała odczuwać onieśmienie, gdyż dodała cicho: - Obawiam się, że kiepskie ze mnie towarzystwo, hrabio.

- Nie, madame, zapewniam cię. To radość dla mnie widzieć cię przy stole - było to w całości prawdziwe stwierdzenie. - To przywraca kolor twym policzkom.

- To raczej wino, które wypiałam - powiedziała przekornie.

- Wracasz do siebie - podniósł się, kłaniając przechodzącemu obok ich stolika towarzystwu.

Parę osób z tej grupy odpowiedziało na jego pozdrowienie, po czym wystąpił z niej niski mężczyzna na krzywych nogach i o wyglądzie dandysa. Nosił osobliwą perukę z trzema gołębimi piórami za każdym uchem. Jego surdut był z brzoskwiniowego atłasu ze złotymi obrębieniami, koszulę zaś usztywniały fiszbiny. Kamizelka z ciemnobrązowego jedwabiu wyszywana była w motyle, uszyte z tego samego, co surdut brzoskwiniowego atłasu krótkie spodnie, zwracały przesadną uwagę na jego wrzecionowate nogi, którego to efektu nie osłabiały fiołkoworóżowe pończochy ozdobione z boków bordowymi szlaczkami. Jego niemodne buty miały wysokie, czerwone obcasy, tak że drobił w nich, idąc, jak kobieta. Trzy rzędy koronek na piersi uniosły się z oburzeniem, a w topazach odbiło się światło.

- Przekleństwo! - rzucił głosem zbyt donośnym i chropawym od nadużywania tabaki. Saint-Germain spojrział na owego mężczyznę.

- Sir?

- Jesteś pan szarlatanem - krzyknął tamten, ciągnąc za ramię jednego ze swych towarzyszy. - Nie widziałem nigdy takiej bezczelności. On tutaj! Następne co ci powie, to że jest właścicielem tego przybytku!

Lekki uśmiech rozciągnął wargi Saint-Germaina.

- Przykro mi, proszę pana, lecz z całą pewnością nie posiadam tej rezydencji na własność.

- Chcesz być wobec mnie sarkastyczny, co? - mężczyzna postąpił naprzód, a poły jego surduta zafalowały. - Mówię ci to w twarz, ty łajdaku: jesteś oszustem i kłamcą!

Mme Cressie z hałasem upuściła widelec, wbijając przerażone spojrzenie w Saint-Germaina. Hrabia nie uśmiechał się. Jego ciemne, tajemnicze oczy wpatrywały się w umalowaną, brzydką twarz impertynenta.

- Baronie Beauvrai - powiedział uprzejmie - zdecydowany jesteś doprowadzić do kłótni bez żadnego powodu. Nie zrobiłem niczego, by cię

obrazić. Postanowiłeś wybrać mnie właśnie, by mieć na kogo rzucać swe bezpodstawne insynuacje - przerwał, by sprawdzić, na ile wzbudzili uwagę ludzi wokoło. Z zakłopotaniem stwierdził, że nie tylko ci, którzy przyszli na kolację przestali jeść i patrzyli na nicy, lecz i kilku eleganckich dżentelmenów przystanęło przed drzwiami pokoju karcianego. Na ich twarzach malowała się barbarzyńska zawziętość.

- Jeśli godzisz się z tymi zarzutami, jesteś tak fałszywcem, jak i tchórzem!

- Beauvrai odstąpił z zadowoloną miną do tyłu i czekał.

Przez chwilę Saint-Germain opanowywał gwałtowne pragnienie, by schwycić i zadusić starego rozpustnika. Podnosząc swój wspaniały głos tak, by słyszalny był we wszystkich zakątkach sali, powiedział:

- Uczono mnie zawsze, że znajdując się w obcym kraju należy przestrzegać zwyczajów gospodarzy i pamiętać o tym, że jest się gościem. Byłoby z pewnością nieuprzejmością i niewdzięcznością wszczynać tu burdę, baronie Beauvrai. Sądziłem, że człowiek o pańskiej pozycji i tyloma skandalami na sumieniu, nie będzie chciał wzbudzać nowych niezdrowych sensacji. Z drugiej jednak strony, nie jestem Francuzem, jak uprzejmy byłeś zaznaczyć - wyczuł wrogą reakcję na te słowa i szybko z tego skorzystał. - Przybyłem tu, gdyż słyszałem wiele dobrego o francuskim smaku, kulturze i nauce, które wychwalane są na całym świecie. Szkodą byłoby, gdyby ktoś taki, jak pan, przyćmił tę wspaniałą reputację.

- C-C - powiedział jeden z mężczyzn przy drzwiach, naśladując gestem pozdrowienie szpadzisty.

- Nie chcę, by mnie zbywano! - nalegał baron, tym razem jednak z mniejszym impetem. Jeden z jego towarzyszy wziął go pod ramię, chcąc wyprowadzić, lecz ten stawiał opór. - Gdybyś był mężczyzną, zażądałbyś satysfakcji.

- Nie jest moim zwyczajem potykać się z mężczyznami, którzy w oczywisty sposób dawno już stali się niezdolni do walki. Byłoby to z mojej strony karygodnym postępkiem, gdybym cię zabił. A uwierz mi, baronie, nie

chcę tego - zniżył wprawdzie głos, lecz jego słowa były i tak słyszalne w całej jadalni.

Beauvrai rzucił mu ostre spojrzenie.

- Pożałujesz tego - powiedział lodowato. Odwrócił się do swej kompanii. - Straciłem apetyt. Ten pokój cuchnie pospółstwem. - Obrócił się na wysokim obcasie i wyszedł godnie z pomieszczenia.

Do Saint-Germaina przystąpił młody mężczyzna w różanych jedwabkach. I- Muszę przeprosić za mojego wuja - powiedział, kłaniając się niepewnie. - Zdarzają mu się chwile, gdy nie jest w pełni sobą.

Saint-Germain pomyślał w duchu, że w ciągu ostatnich paru minut widział . prawdziwej natury Beauvrai, niż normalnie można było dostrzec pod warstewką ogłady.

- Nie jest już tak młody; to nie to, co kiedyś - powiedział do młodego mężczyzny. - Zapewne jest pan w stanie zadbać o to, by nie zasiedziało się tutaj zbyt długo.

Młodzieniec przytaknął.

- To straszne. Popołudnie spędził z Saint Sebastienem - nastąpiła chwila pełnej zakłopotania ciszy, gdyż wielu jedzących podniosło głowy nasłuchując - Saint Sebastien powrócił, niestety, do Paryża, tak jak się obawiałem. - Uczynił nerwowy, zrezygnowany gest. - Prosiłem mego wuja, by nie szedł, lecz on...

- Dostrzegam kłopotliwość pańskiego położenia - hrabia starał się ratować sytuację. - Trudno jest bratankowi powściągnąć wuja, prawda?

- Tak - młody człowiek rzucił mu wdzięczny uśmiech. - Zdaje pan sobie z tego sprawę, prawda? Wciąż uważany jest przecież za głowę rodziny, chociaż majątek już od dłuższego czasu nie znajduje się w jego rękach... - głos znów mu się załamał. Mówił chaotycznie. Saint-Germain przyznał rację młodemu baronowi.

- Takie kwestie zawsze są skomplikowane - mruknął. - Pańska kompania na pana czeka - dodał z lekkim ukłonem, dając tym do zrozumienia, że jest

usatysfakcjonowany i że uważa sprawę za zamkniętą.

Młody człowiek skłonił się.

- Wdzięczny jestem za wybaczenie. Zrobię, co tylko będę mógł, aby miał pan pewność, że nie będzie z nim więcej kłopotów.

- Naprawdę? - powiedział Saint-Germain, gdy młody człowiek wracał już do swego towarzystwa. Im był go bliżej, tym śmielszy stawał się jego krok. Saint-Germain nie spotkał nigdy przedtem barona de Radeux, lecz słyszał o nim, że ma o wiele lepsze maniery niż pomyślunek. Zdecydowany był teraz przychylić się do tej opinii.

- Hrabio? - odezwała się do niego Mme Cressie, gdy minęło już skrępowanie. - Czy zechcesz mi nadal towarzyszyć?

Saint-Germain spojrzał na nią. Jego ciemne oczy były niepokojąco ożywione.

- Wybacz mi, proszę, na moment - powiedział z zamyśleniem. - Zapewniam cię, że niedługo ujrzysz mnie znowu. Nie będziesz zapewne urażona, gdy przyprowadzę do twego stolika kontesę d'Argenlac?

Twarz La Cressie rozjaśniła się.

- Claudia? Ona jest tutaj?

- Widziałem ją niecałą godzinę temu. O ile się orientuję, ma ona pod swym skrzydłem jakąś krewną z prowincji, lecz pewna być możesz, że kontessa nie pozwoli swej wiejskiej krewniaczce, by cię zanudziła.

- Och, hrabio, nigdy nie można odgadnąć, kiedy mówisz poważnie, a kiedy żartujesz. Przyprowadź natychmiast kontesę, a pewna jestem, że przez wzgląd na nią oczarowana będę jej krewną.

Saint-Germain skłonił się i wyruszył na poszukiwanie Claudii, kontessy d'Argenlac.

Znalazł ją w sali balowej, czekającą, aż jej bratanica skończy taniec, jak wyjaśniła hrabiemu, gdy przyszedł i poprosił uprzejmie, by zechciała przyjąć zaproszenie na kolację.

- Myślałam, że to dziecko umrze ze strachu, gdy tu przybyłyśmy. Dziś



wieczorem jest tak tłoczno, a ona po raz pierwszy w Paryżu. Stwierdziła, że nikt jej nie zauważy w tak wielkim zgromadzeniu. - Zaśmiała się perliście, by podkreślić, jak osobliwą była ta myśl.

- Skoro tańczy, to nie może być przypadek. Ktoś ją najwyraźniej zauważył - uśmiechnął się mile Saint-Germain. Lubił kontesę i wiedział, że pod tą frywolną fasadą krył się inteligentny, bystry umysł. - Kim jest ta biedna dziewczyna?

- Nie biedna, hrabio. Jest jedynym dzieckiem mego starszego brata, Roberta. Opuścił on parę ładnych lat temu towarzystwo. Nie spotkasz go zatem. To markiz de Montalia.

Saint-Germain pochylił głowę i chociaż nie był wysokim mężczyzną, ten wdzięczny gest dodał mu wzrostu.

- Gdzie jest ta twoja bratanica bez skazy?

- Mój Boże, chciałabym ci ją wskazać.

- Opisz mi ją. Zobaczę, czy uda mi się ją odnaleźć.

Kontessa uniosła się na palce i spojrzała na nieustannie płaszący tłum.

- Jest w lawendowej sukni z weneckiego jedwabiu na włoską halkę w kwiaty. Jej spódnica podwiązana jest srebrnymi wstążkami, ma na sobie naszyjnik z granatów i diamentów. W uszach ma diamentowe kolczyki. Gdzie ta dziewczyna? - kontessa złożyła wachlarz strapionym gestem. Próbowwała wskazać bratanicę, lecz było to jak próba odróżnienia postaci na obracającej się szybko karuzeli.

- Tam! - powiedziała w końcu. - Pod trzecim kandelabrem od drzwi, z wicehrabią de Bellefort.

- Tym w błękitnych atłasach? - upewnił się Saint-Germain.

- Tak - kontessa pozwoliła sobie na uśmiech. Saint-Germainowi zdawało się, gdy to mówiła, że jej głos dobiega z daleka. - Jej imię to Madelaine Roxanne Bertrande de Montalia. I wprawdzie jako ciotka mogę być stronnicza, niemniej sędzę, że jest piękna.

Pod trzecim kandelabrem od drzwi bratanica kontessy d'Argenlac

obróciła się właśnie w tańcu. Jej upudrowane włosy były prosto uczesane, w sposób odpowiedni dla młodej kobiety, która wkracza dopiero do socjety. Jej piękne brwi były w ciemnym odcieniu kawy, podkreślając tym śmiejące się fiołkowe oczy. Była wprawdzie trochę zbyt wiotka, lecz jej sposób poruszania się pełen był wdzięku, a gdy w odpowiedzi na jakiś komentarz de Belleforta uniosła brwi, to był to widok zaiste królewski.

Saint-Germain powoli wypuścił powietrze.

- Jest najpiękniejszą kobietą, jaką widzę od wielu lat. - Patrzył, jak schyla się w dygu kończąc taniec. - Przewiduję, że odniesie spory sukces, Claudio. Kontessa sprzeciwiła się kurtuazyjnie i z uśmiechem w oczach.

- Chodź. Pozwól mi ją sobie przedstawić. A potem będziesz mógł zabrać nas na kolację. Pewna jestem, że Madelaine jest głodna, gdyż mnie wygłodziło samo przyglądanie się tańcom - mówiąc to, torowała sobie drogę wśród schodzących z parkietu. Saint-Germain podążył za nią, wymieniając po drodze powitalne skinienia głową.

- Ach, Madelaine - powiedziała energicznie kontessa, gdy podeszła do bratanicy. Złożyła de Bellefortowi uprzejmy ukłon i przeniosła uwagę na Madelaine.

- Jest ktoś, kto pragnie cię poznać. Wspominałam ci już o nim w moich listach. Mężczyzna, który jest zagadką dla nas wszystkich. Saint-Germain, pozwól, że przedstawię ci moją bratanicę Madelaine de Montalia.

Hrabia skłonił się nad wyciągniętą dłonią, muskając ją jedynie wargami.

- Oczarowany - powiedział cicho i uśmiechnął się na widok rumieńca, który zalał twarz dziewczyny.

Wyjątek z listu Mme Lucienne Cressie do jej siostry, l'Abbesse Dominique de la Tristesse de les Agnes; datowane 6 października 1743:

*(...) Sny, o których ci wspominałam, nie ustają i nie mogę się ich pozbyć. Czasem obawiam się nawet, że tak naprawdę to wcale nie chcę ich odegnąć. Modliłam się,*

lecz na próżno. Powiedziałam nawet o tym mojemu mężowi, lecz on, oczywiście, potraktował to jako dobry żart i poradził mi, bym wzięła sobie kochanka, a to odpędzi ode mnie myśli o śmierci. Lecz to nie śmierć mnie nawiedza, moja ukochana Dominique. Nie wiem, co to jest, lecz nie jest to śmierć.

Poszłam, za twoją radą, do mego spowiednika, a on powiedział, że byłam blisko grzechu i winnam błagać Boga o wskazówkę. Obiecał, że będzie modlić się za mnie. Wypomniał również, że gdybym miała dzieci, nie zawracałabym sobie głowy takimi problemami. Wstydziałam się powiedzieć, jak to jest z moim mężem i ze mną. Achille utrzymuje, że jego gusty są greckie, tak jak i jego imię, i że w Atenach te grzechy były cnotami. Jestem już jednak pewna, że gdybym miała dziecko z innym mężczyzną, zadenuncjowałby mnie jako cudzołożnicę. Tak zatem nie dane mi już, jak się wydaje, mieć dzieci i biedny ojczulek doradza na próżno.

Saint-Germain, o którym pisałam wcześniej, przysłał mi trzy nowe ronda. Moja viola d'amore jest mi jedyną pociechą. Spróbuję zapewne skomponować kilka własnych melodii, skoro skazana jestem na tak wiele pustych godzin.

Zamówiłam u Mattei wiolonczelę. To sugestia Saint-Germaina. Spróbowałam na jednej swej ręki i byłam zdziwiona tym instrumentem. Ukształtowany jest tak jak skrzypce, wiesz, i trzyma się go między nogami, jak violę d'amore czy da gamba. Nie ma strun basowych, jak viola d'amore, co z początku mnie rozpraszało. Lecz ton jej był tak słodki, a brzmienie tak wspaniale śpiewne, że nie mogłam się oprzeć. Zapewne któregoś dnia, gdy odwiedzę twoje zgromadzenie, zabiorę instrument ze sobą i zagram dla was (...)

(...) Wierzę boskiemu miłosierdziu i ufam, że wszystko z tobą jest w porządku. Pozwól, że poproszę cię o modlitwy za mój sen, a nie będę budziła się ze strachem o mą duszę. Ani też ze wspomnieniem nieświętej zupełnie rozkoszy. Zawstydzają mnie pisanie o tym, lecz taka jest prawda. Miałam te sny tylko trzy razy, a gdy się budziłam, wypełniona byłam lękiem przed samą sobą. Lecz sama w nocy, gdy Achille jest z tymi mężczyznami, którzy są jemu podobni, wówczas chcę śnić znowu i czuję, że ciało moje płonie rozkoszą. Kimże jestem, że moje ciało tak mnie zdradza?

Pięć lat temu uważałam naszego ojca za despotę, jako że wysłał cię do

zgromadzenia, a nie na poszukiwanie męża. Lecz dzisiaj sędzę, że błagałabym go, by pozwolił nam zamienić się miejscami. Zaaranżował małżeństwo dla mnie, nie dla ciebie, gdyż pewien był, że żadna dziewczyna ze zniekształconą stopą - tak jakby miał widzieć stopę kobiety ktokolwiek oprócz jej męża - nie może poślubić nikogo, jak tylko Kościół. Wybacz mi to, co mówię, lecz taka jest prawda.

Mówiłaś, że twoje powołanie jest prawdziwe, lecz gdy wspomnę, jak łkałyśmy razem, napełnione niepokojem... A nasz ojciec, gdy umierał, wyznał, że nie było mu lekko na duszy, gdy myślał o tobie. Och, powiedz mi, że jesteś szczęśliwa, moja najdroższa siostrze. Pozwól mi uwierzyć, że chociaż jedna z nas jest szczęśliwa.

Bądź wobec mnie cierpliwa, moja Dominique. Bądź pobłażliwa. Jestem dzisiejszego wieczoru roztargniona. Gdybyś mogła zobaczyć Achilla z Beauvrai i tymi trzema młodymi mężczyznami, czułabyś się podobnie jak ja. Lecz cóż z tego, niczego teraz nie mogę zrobić. Tak zatem czekać będę na moją wiolonczelę i utwory, które obiecał skomponować dla mnie hrabia de Saint-Germain. Zapewne to późna godzina tak mnie rozstroiła, jak i widok Achilla tego wieczoru tak wzburzył mój umysł. Nasza matka mówiła mi, że zawsze gryzłam się rzeczami, których nie mogłam zmienić, i że było to głupie marnowanie czasu. A Achille z pewnością nie nadaje się do zmiany. Mam w końcu moją muzykę, co jest sytuacją szczęśliwszą niż położenie Claudii d'Argenlac, która nie ma dzieci, a której mąż jest hazardzistą. Przynajmniej majątek Achille jest nietknięty, a on nie dba zupełnie o to, co ja z nim zrobię, przynajmniej tak długo, jak długo nie dotyczy to w żaden sposób jego osoby.

Będę się z tobą żegnać, moja droga siostrze, mówiąc ci dobranoc. Może ty zaznałaś spokoju, który nie z tego jest świata, i może twoja dusza zaznaje odpoczynku nie niepokojona po nocy. Z siostrzanymi afektami i miłością pokutnicy,

pozostają najbardziej oddana ci

Lucienne Cressie

## . 3 .

Gdy Madelaine weszła do pokoju, kontessa d'Argenlac uniosła głowę znad śniadania.

- Ach, dzień dobry, moja droga. Mam nadzieję, że dobrze spałaś? Madelaine miała wciąż uśmiech na twarzy.

- Tak, ciociu. Miałam przepiękne sny.

- Biorąc pod uwagę, jaki triumf odniosłaś ostatniego wieczoru, to nie powinnam się dziwić - zaśmiała się lekko kontessa zapraszając Madelaine gestem, by usiadła. - Na co masz ochotę, moja droga? Jest pasztecik, są owoce. Gdybyś chciała, to mój kucharz może przygotować omlet. Musisz być głodna.

- Tak samo osądził mnie wieczorem Saint-Germain. Dał mi dwie dokładki pasztetu - usiadła wprost w strumieniu światła padającego z szerokich okien i rysującego wzory na jej szlafrocuku w błękitne i białe pasy. Jej włosy, wolne od pudru, lśniły złotymi błyskami.

- Gdyby nie sprawiło to zbyt wiele kłopotu, to chciałabym dostać tej chińskiej herbaty, którą ojciec przysłał - wzięła ze stojącej pośrodku stołu porcelanowej patery jabłko i zaczęła obierać je małym, ostrym nożem.

- Oczywiście - kontessa nie odwracając się wydała stojącemu w drzwiach lokajowi polecenie.

- Weź sobie kilka - powiedziała do Madelaine, przysuwając jej talerz z pasztecikami. - Krem cytrynowy w nadzieniu pochodzi z cieplarni mego męża. Powiedział kiedyś, że postanowił jeść brzoskwinie jak rok długi.

- Gdzie jest hrabia? Nie widziałam go od wczoraj, chociaż obiecywał, że do nas dołączy. Twarz kontessy zachmurzyła się na chwilę.

- Był z przyjaciółmi. On lubi hazard, moja droga. W rzeczy samej, są chwile, gdy naprawdę się o niego obawiam. Czasem wręcz umieram z

niepokoju - wzięła do ręki serwetkę. - Zresztą, to nic. Mam przecież mój posąg i moje dzierżawy, których on tknąć nie może. Jeśli popadnie w ruinę, eh, bien, przypuszczam, że i tak go wesprę... - westchnęła i upiła skąpy łyk gorącej czekolady.

- A zatem nie jesteś szczęśliwa, ciociu - Madelaine wyglądała na naprawdę poruszoną.

- Jestem szczęśliwa na ile mogę być taką, moja droga. Żadna kobieta nie może wiele oczekiwać od tego świata. Nie trzeba daleko sięgać, by tego dowieść. Pamiętasz tę kobietę, z którą jadłyśmy przy jednym stole?

- Madame Cressie? - Madelaine uspokajała się z wolna. - Wyglądała na wymizerowaną i smutną.

- Przeszła niedawno chorobę - rzekła kontessa, jak gdyby było to bez znaczenia. - Któregoś dnia będziesz miała nieprzyjemność poznać jej męża. Jest jednym z tych mężczyzn... Nie chciałabym cię szokować, lecz jest coś, przed czym powinnaś zostać ostrzeżona. Są na tym świecie mężczyźni, którzy czują antypatię do kobiet...

Madelaine przytaknęła skwapliwie.

- Siostrzyczki mówiły mi, że zdarzało się tak często ze świętymi i że ci, których powołanie było szczere, sami uciekali i odcinali się od świata, by nie musieć znosić ognia trawiącego ich ciała...

Ciotka przerwała jej ostro.

- Nie mówię o księżach, chociaż sędzę, że i wśród nich są tacy, którzy, gdyby mieli tylko sposobność, żyliby jak Achille Cressie. To mężczyźni rozpaleni zmysłami. Oni wykorzystują się nawzajem, jak kobiety, tak więc nie odczuwają potrzeby, by sprzymierzać się z naszą płcią. Usłyszysz o nich niejedno. Bardzo często są przystojni, otoczeni powszechnym poważaniem, piastują wysokie stanowiska. Diuk de la Mer-Herbeux jest jednym z nich i pewna jestem, że nie ma do czynienia z kobietami więcej, niż Achille Cressie. Lecz oczywiście - zaśmiała się nieoczekiwanie i okryła lekkim rumieńcem - jest miły i bardzo uprzejmy. Nie znam nikogo, komu bardziej

skłonna była bym zaufać. I jest bardzo niestosownym oskarżeniem to, co mówią o nim, że opowiada się za pokojem z Anglią tylko z powodu owego angielskiego lorda - potrząsnęła głową. - Spotkasz go wkrótce. Poza podobnymi gustami łączy go jednak z Achille tyle, co mnie z jakąś straszną hiszpańską baronessą z szesnastoma pieskami salonowymi i całą świtą księży - znowu przerwała na chwilę. - Tak naprawdę, to nieważne, co mówią. Sądzę, że w istocie diuk de la Mer-Herbeux i Achille Cressie różnią się bardzo nawet, gdy chodzi o ich prywatne gusta.

Madelaine zapatrzyła się w okno.

- Często zastanawiałam się, ciociu - rzuciła w zamyśleniu - jak to jest, że nawet między bardzo dobranymi partnerami może istnieć tyle różnic. Kontessa przytaknęła stanowczo.

- Cóż, małżeństwo jest czymś naprawdę szczególnym, nie sądzisz? Wiem, że gdyby Mer-Herbeux szukał żony i ja byłabym wolna, nie wahałabym się.

- Zauważyła rozszerzone zdziwieniem oczy bratanicy, lecz nie zamilkła.

- Zapewniam cię, że byłby wspaniałym mężem. Jest dobrym przyjacielem, nader czarującym i szczerym w uczuciach. O ilu mężczyznach można to powiedzieć? A jeśli w pewnym sensie nie lubi kobiet, cóż, jest wielu takich mężczyzn, którzy nie dotrzymują towarzystwa swoim żonom.

- Lecz po co w ogóle się żenić? Skoro Achille Cressie nie pragnął swej żony, to po co?... - Madelaine wzięła pasztecik, lecz po chwili odłożyła go na bok.

- Wszystkie musimy wyjść za mąż, moja droga. W przeciwnym razie spotykamy się z powszechnym potępieniem, a zresztą, bywa nawet... Tam, gdzie w grę wchodzi pieniądze i stan, małżeństwo jest po prostu kontraktem. W takich okolicznościach uczucia mają niewiele do rzeczy - w jej głosie pojawiła się cierpkość, a wyraz oczu zaczynał w Madelaine budzić lęk. - Małżeństwo jest uświęconym obyczajem, moja droga. Mężczyźni, jeśli są młodszymi synami, mogą go uniknąć, lecz kobiety zostają albo żonami, albo zakonnice, albo kurtyzanami. W przeciwnym razie stają się

niepożądanym ciężarem. Ewentualnie - dodała z lekkim uśmiechem - czasem zostają ciotkami.

Madelaine wpatrywała się w obrane jabłko leżące na jej talerzu.

- To ponure perspektywy, ciociu.

- Wielkie nieba! - rzuciła kontessa ironicznie. - Teraz będziesz uważała mnie za męczenniczkę, a ja nie jestem kimś takim. Spójrz, Madelaine. Życie to coś więcej niż jakiś tam mąż. I by dopowiedzieć rzecz do końca, to bywa nawet czasem męczące, mieć ich ciągle wkoło siebie, starających się o nasze łaski, łaszących się - skinęła na służbę o dolewkę czekolady. Madelaine zrozumiała, że temat został już zamknięty, ale jej ciekawość nie minęła.

- Ciociu, dlaczego opowiadasz mi o tych mężczyznach? Kontessa uniosła brwi.

- Sporo czasu spędziłaś wczoraj z Bellefortem, a ja nie chcę, żebyś zbyt mocno brała sobie do serca jego awanse.

- Czy on też... - spytała niedowierzająco. Jej mały nóż stuknął o porcelanę.

- Krążą plotki. A towarzystwo, w którym się obraca nie jest z tych najlepszych - kontessa dopiła resztę czekolady i sięgnęła po pomarańczę.

- Ponadto, gdyby naprawdę zaczął starać się o twoją rękę, może nie zostać zaakceptowany przez twego ojca. Jest zbyt blisko z Beauvrai i jego kompanią.

- Beauvrai? - Madelaine odcięła kawałek jabłka i pogryzała go w zamyśleniu. - Czy to ten osobliwy starzec w okropnej peruce? Ten z baronem de les Radeux?

- Spotkałaś już de les Radeux? - spytała szybko ciotka.

- Tak, gdy byłaś w sali karcianej. De Bellefort przedstawił nas sobie i nawet tańczyłam z nim. Tańczy bardzo dobrze.

- Spotkałaś też Beauvrai? - kontessa uświadomiła sobie, że to nie powinno się nigdy zdarzyć. Dała swemu bratu słowo, że nie pozwoli Madelaine związać się z kimkolwiek z otoczenia Beauvrai. Teraz odkryła, że nie minął jeszcze tydzień, a jej bratanica tańczyła już z bratankiem Beauvrai.



Madelaine zauważyła niezadowolenie ciotki.

- De les Radeux wskazał mi go jako swego wuja. Powiedział, że przez ostatnich kilkanaście lat nie zjawiał się w salonach, co wyjaśniało jego dziwny wygląd.

Kontessa za tupąła niecierpliwie.

- Paulin - zwróciła się do lokaja. - Chcę, byś sprawdził, czy gotowa jest już herbata dla mojej bratanicy, a jeśli tak, to chcę, byś ją przyniósł - popatrzyła za lokajem opuszczającym pokój. - Nie chcę mówić o tym przy służących. Nie wolno ci, moja droga, mieć nic wspólnego z Beauvrai. Nic! To przysięgły wróg twego ojca. Wygląda może na głupca, ale jest bliskim przyjacielem Saint Sebastiena, a to najgorsze towarzystwo. Madelaine otworzyła szeroko oczy.

- Ja nie miałam zamiaru...

- Kilkanaście lat temu - przerwała jej ciotka- zanim się urodziłaś, miał tu miejsce okropny skandal. Został szybko wyciszony; gdyż sięgał do bardzo wysokich kręgów, lecz wszyscy byliśmy wówczas przerażeni. To był jeden z powodów, dla których twój ojciec opuścił dwór i Paryż.

- O tym wiedziałam - Madelaine pochyliła się nad stołem; koronkowa chustka na jej piersi falowała w rytm przyspieszonego oddechu, kryza na szyi zaczęła uwierać. - Wiedziałam, że był jakiś powód tego wszystkiego. Ojciec zawsze mówił mi, że poczuł się zmęczony korupcją panującą na dworze, ale ja wiedziałam, że musiało być coś więcej.

- Słyszałaś o dawnej kochance króla, Montespan? - kontessa z trudnością mówiła dalej. - I o oskarżeniach dotyczących jej związków z czarownikami i trucicielami? Było nawet paręnaście egzekucji... Mówiono wówczas powszechnie o Czarnych Mszach, niech nas Bóg ma w swej opiece - przeżegnała się pospiesznie. - I w końcu wypadła z łask, a z czasem stała się, jak to mówią, bardzo religijna. Lecz gadano też, że religijność jej trwała do czasu i wciąż podobno istnieli na dworze tacy, którzy czcili szatana. Dwadzieścia lat temu wysunięto pewne oskarżenia także przeciwko

Beauvrai i Saint Sebastienowi. Twój ojciec wraz z około tuzinem młodych mężczyzn był również w to zamieszany, lecz opuścił dwór i nie wszczynano już w tej sprawie dalszych kroków... - przerwała, podnosząc głowę na wchodzącego lokaja.

- Herbata, madame - Paulin postawił na stole czajnik z angielskiej porcelany. - Czy mademoiselle będzie chciała mleka do herbaty, jak pijają ją Anglicy? - spytał tonem sugerującym, iż według niego dolewanie mleka do herbaty jest jedną z najbardziej ohydnych perwersji.

- Chińska herbata jest najlepsza bez żadnych dodatków - powiedziała Madelaine wytwornie. - Lecz dziękuję ci.

Paulin skłonił się i wrócił na swoje miejsce przy drzwiach.

Madelaine wróciła tymczasem do równowagi, tłumiąc resztę niepokoju. Jej głos był już spokojny.

- Plotki zawsze mijają się z prawdą, ciociu. Ale rozumiem, dlaczego chcesz, bym zachowywała się tak, aby żadna plotka na temat mej osoby nie zaczęła krążyć w towarzystwie.

- Dobra z ciebie dziewczyna - stwierdziła kontessa. Jej uznanie dla bystrości Madelaine było szczere. Mimo młodego wieku dziewczyna nie była ani głupia, ani naiwna. - Wiem, że potrafisz to zrozumieć.

Madelaine skończyła pasztecik i spojrzała na ciotkę.

- Opowiedz mi o Saint-Germainie - poprosiła. Kontessa zaśmiała się, zadowolona, że znajduje się znów na pewnym gruncie rozmowy.

- Czy i na tobie zrobił wrażenie? Ostrzegam cię, że wiele innych kobiet spotkała już porażka.

- Słyszałam, że nie ma kochanki - powiedziała Madelaine między jednym a drugim łykiem herbaty. - Czy jest taki, jak ci mężczyźni, przed którymi mnie ostrzegałaś?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Nie, w tym przypadku to nie o to chodzi - ugryzła następny kawałek pomarańczy. - Wszystkie jesteście oczywiście nim zachwycone. Jego obejście i inteligencja... Musiałaś słyszeć te czarujące

historie które opowiadał przy kolacji. I te oczy... Większość z nas sprzedałaby dusze za nie.

- Wczoraj wieczorem nie jadł razem z nami - zauważyła Madelaine dolewając sobie herbaty.

-Och, jeśli o to chodzi, to on nigdy nie je z innymi. Kilka razy widziałam go na przyjęciach ale nigdy dotąd nie zauważyłam by tknął coś zjedzenia lub napoju. Pewna jestem, że to część aury tajemniczości, która go otacza. Zapewniał mnie że jada w odosobnieniu - zaśmiała się niespodziewanie, a był to śmiech ciepły i szczęśliwy. - Jest zabawny, gdy zaleca się do którejś z nas, lecz błędem byłoby sądzić, że robi to poważnie. Staraj się nie zwracać za bardzo uwagi na jego komplementy.

- Nie powinnam zatem wierzyć w komplementy, które mi mówi?

- Madelaine nie umiała ukryć zawodu. Słowa, które słyszała od Saint-Germaina były tymi, które chciała usłyszeć.

- No nie - stwierdziła uprzejmie kontessa. - Jego komplementy są prawdziwe. Lecz nie byłoby rozsądnie słyszeć w nich cokolwiek więcej poza samymi pochwałami. Koniec końców, nikt nie wie na pewno, kim on jest. A chociaż jest to przypuszczenie uwłaczające wprost hrabiemu, to może się przecież okazać, że jest on, jak głosi Beaiwrai, zwykłym oszustem.

Madelaine wpatrzyła się w dal.

- Lecz jest hrabią. Przynajmniej wszyscy tak twierdzą.

- Ach - kontessa kiwnęła głową. - To dlatego, że sam tak mówi; ma klejnoty i maniery, które zdają się to potwierdzać. musisz zobaczyć jego powóz - szczyt doskonałości! I jego czterech lokajów noszących tabaczkowe stroje ze złotymi galonami. Nigdy nie widniałam Saint-Germaina dwa razy w tej samej kamizelce, a większość z nich była wyszywana jedwabiem. Kimkolwiek jest, musi być bajecznie bogaty. Gdy ujrzałam go po raz pierwszy, diamentowe kłamry przy jego butach po prostu mnie oślepiły. Ciesz się zatem jego komplementami - stwierdziła, kończąc pomarańczę.

- Wiele możesz zyskać pokazując się w jego towarzystwie, gdyż cieszy się

on wysoką pozycją. Lecz nie przywiązuje większej wagi do jego załatów.

- Niech tak będzie. Lecz to wstyd twierdzić, by tak wspaniały mężczyzna miał być oszustem. ....

- Nie powiedziałam wcale, że jest, a tylko, że może się mm okazać. Zauważ - kontessa zawahała się na moment - on twierdzi, że ma krewnych, co jest dziwne. Każdy przecież ma krewnych.

- Nikogo nie ma? - spytała Madelaine marszcząc brwi.

- Nikogo. A jest bardzo bogatym człowiekiem, moja droga. Bogaci ludzie zawsze mają krewnych. Nie jest, oczywiście, Francuzem, lecz można przypuszczać, że ktoś powinien gdzieś spotkać kogoś z jego rodziny, a to się, o ile wiem, nigdy nie zdarzyło.

- A skąd pochodzi? - Madelaine naląła sobie jeszcze herbaty, proponując to samo ciotce.

- Nie, dziękuję, moja droga. Nie znoszę herbaty - wróciła myślami do tematu rozmowy. - Jest coś jeszcze, czego nikt, zdaje się, nie wie. On był wszędzie... To pewne. Jego znajomość języków zadziwia wszystkich - mówi po rosyjsku, po arabsku, wszystkimi językami europejskimi. Niektórzy twierdzą, że jest kapitanem lub kupcem - znów zamilkła w zamyśleniu. - Może rzeczywiście jest kimś takim, ale głowę dałabym sobie uciąć, że nie nabył swych umiejętności na pokładzie statku.

- Słyszałam, jak La Noisse mówiła, że dała mu swe diamenty, a on je powiększył - Madelaine wyrysowywała palcem na obrusie skomplikowany wzór.

- Też o tym słyszałam. I widziałam te diamenty, które z całą pewnością stały się większe. Mógł wprawdzie podmienić kamienie, ale nie rozumiem, czemu miałby to robić. Co by na tym zyskał? - potrząsnęła głową zirytowana takimi problemami. Wstając od stołu, dodała jeszcze: - Zamierzam wyjechać po południu. Gdybyś miała ochotę mi towarzyszyć, to proszę bardzo. A wieczorem jest przyjęcie u diuszessy de Lyon.

Madelaine spojrzała w okno ukazujące ciepły i słoneczny dzień.

- Dobrze, jeśli chcesz mojego towarzystwa. Szkoda, że nie zabrałam ze sobą mojej klaczy. Obawiam się, że będzie mi tego brakowało - smutek na jej twarzy zdawał się wynikać z myśli o nieobecności wierzchowca.

- Można wynająć konia, jeśli chcesz - Claudia d'Argenlac nie lubiła jeździectwa i była zaskoczona, że jej bratanica o tym wspomniała. - Mam wrażenie, że wychowywanie na wsi...

- Jeździłam wszędzie, ciociu. Czułam się tak swobodna, gdy Chanee ścigała się z wiatrem, a ja musiałam trzymać się jej ze wszystkich sił... - twarz Madelaine rozjaśniła się nieco na to wspomnienie.

- Mam nieśmiałą nadzieję, że nie zamierzasz jeździć w ten sposób po ulicach Paryża! - w pierwszej chwili kontessa była przerażona, potem jednak rozważyła sprawę. - Każę, by stajenny rozpytał o jakieś właściwe konie dla ciebie, a jeśli stwierdzi, że jesteś wystarczająco biegłym jeźdźcem, to wtedy zobaczymy.

Madelaine uśmiechnęła się do niej ciepło.

- Och, dziękuję, ciociu. Jestem pewna, że będę czuła się mniej... obco w Paryżu, jeśli będę mogła jeździć.

- To zatem mamy już ustalone - kontessa była wyraźnie uradowana widokiem ożywienia, które pojawiło się na twarzy bratanicy. Czuła, że Madelaine została już z grubsza zaakceptowana w światku paryskiej socjety. Wykorzystała ten entuzjazm:

- Co włożysz dziś na siebie? Madelaine wzruszyła ramionami.

- Nie myślałam o tym.

- A zatem poradzę ci, byś wzięła tę toaletę z atłasu w wiśniowe paski. Będzie całkiem na miejscu. Jeszcze jej nie nosiłaś. Aż żal pudrować włosy do takiej sukni, ale na to nie ma rady.

- A jakie klejnoty do tego, ciociu?

- Twoje granaty wystarczą.

- Och, dziś rano Cassandre stwierdziła, że łańcuszek jest uszkodzony. Jedno z ogniw jest prawie pęknięte. Zadrapało mi szyję - dotknęła karku w

miejscu, gdzie kończyła się kryza. - Poprosiłam ją, by zadbała o zreperowanie.

- Szkoda - kontessa potrząsnęła głową. - A zatem niech będą diamenty. Masz przecież tę kolbę z wielką perłą. To powinno pasować do okazji.

- Dobrze - Madelaine wstała i podeszła z ciotką do drzwi jadalni. Nagle obróciła się i objęła kontesę w impulsywnym porywie.

- Nie obchodzi mnie, czy mój ojciec uważa za niebezpieczne dla mnie przebywanie w Paryżu, czy nie. Cieszę się, że tu jestem, ciociu. I kocham cię za troskę, jaką mi okazujesz. Jednocześnie zadowolona i zakłopotana kontessa uwolniła się z ramion bratanicy.

- Cóż - przyznała - nie jest trudno być miłym dla tak pogodnej i kochanej dziewczyny, jak ty. A teraz pozwól mi odejść, moja droga. Muszę się przebrać, jeśli mam się pokazać na zewnątrz.

Madelaine odstąpiła dając przejść ciotce, potem podążyła za nią do obszernej sieni przylegającej do frontonu domu. W jej oczach czaiła się zaduma, a z ust nie padło ani słowo.

Tekst listu od Beverly Sattina do Księcia Rakoczego; napisane po angielsku, datowane 8 października 1743:

*Do Jego Wysokości, Franza Josefa Rakoczego, Księcia Transylwanii:*

*B. Sattin przesyła wyrazy unizonego szacunku.*

*W sprawie, o której rozmawialiśmy kilka dni temu, mam przyjemność powiadomić Pana, że działania Błękitnego Nieba posuwają ją naprzód i że upragnione rozwiązanie jest bliskie.*

*Upraszam Waszą Wysokość o spotkanie się z nami w umówionym miejscu w noc dziesiątego, kiedy to dostępne będą pożądane przez Waszą Wysokość dokumenty.*

*Po sfinalizowaniu transakcji ja i moi współtowarzysze będziemy niewysłownie wdzięczni za obiecane nam materiały.*

*Z nadzieją, że sprawy Waszej Wysokości powiodą się w pełni, mam zaszczyt*

*pozostać,*

*Pańskim najbardziej unizonym sługą*

*B. Sattin*

## . 4 .

Clotaire de Saint Sebastien oparł się na pufach swej miejskiej karocy westchnął. Rozmowa z de les Radeux nie sprawiła mu satysfakcji. Chłopak nie zamierzał otwierać przed wujem rodzinnej szkatuły niezależnie od tego, jakich ten używał argumentów.

Karoca podskoczyła na wybojach. Saint Sebastien zaklął. Nie dość, że mógł zostać pozbawiony dostępu do fortuny Beauvrai, to jeszcze nie był pewien, czy otrzyma ofiarę, na którą tak przecież liczył. Achille Cressie zaręczył za swoją żonę, lecz był na tyle głupi, by urazić jej uczucia. Trudno powiedzieć, czy zechce ona i teraz dobrowolnie wziąć udział w Mszy, nie mówiąc już o położeniu się na ołtarzu i dopełnieniu ofiary.

Postukał niecierpliwie palcami o gałkę laski. Musi mieć tę kobietę. Nie ugnie się przed trudnościami, gdy jest już tak blisko celu.

Przez chwilę myśli jego krążyły wokół Sabatu. Od prawie sześciu lat nie uczestniczył w żadnym i czuł, jak maleje jego moc, jak opuszczają go siły. Potrzebował tej mocy zrodzonej z przelanej krwi i ze strachu ofiary. Przypomniwał sobie młode, gibkie ciało Lucienne Cressie. Leżała pod nim naga, rozciągnięta, a towarzystwo posiadało ją jeden po drugim, aż w końcu i on ją posiadał, pijąc z niej młodość niczym pszczoła nektar. Później, gdy nadszedł Dzień Zaduszny, posiadał ją znowu... Tym razem wbił w jej szyję sztylet i łapał ściekającą krew w kielich, aż do chwili najwyższej ekstazy...

Nagle karetą zakołysała się i ostro zahamowała. Rozzłoszczony przerwaniem toku myśli, Saint Sebastien wysunął głowę przez okno i spojrzał w górę, gdzie na koźle siedział woźnica.

- No, co? - spytał.

- Przepraszam, panie - mruknął, przeczuwając, co zaraz nastąpi. Saint Sebastien wpatrywał się w niego z coraz bardziej złowróbnym wyrazem



twarzy.

- To za mało, chłopcze. To wszystko za mało. Oddaj lejce stajennemu. Natychmiast - wysiadł, niecierpliwie stukając długą laską. - Nie zamierzam tego powtarzać.

Wolno, bardzo wolno stangret zszedł z kozła i jeszcze wolniej skłonił się przed Saint Sebastienem.

- Trzech żebraków wyszło prosto pod konie - powiedział, nie tyle po to, by przebłagać swego pana, lecz by odsunąć karę.

- Powinieneś ich przejechać - uniósł wysoko laskę, dłoń pieściła kulę z polerowanego kamienia, osadzoną na dociążonym ołowiu srebrze.

- Konie, panie. Nie chciałem narazić na szwank twych koni.

- To kłamstwo - Saint Sebastien opuścił laskę na ramię woźnicy i z lekkim uśmiechem wsłuchał się w jego krzyk bólu. - Oprzyj ręce na drodze - poleciał bez cienia litości w głosie.

- Nie! Nie! - woźnica zaczął się cofać trzęsąc głową; złość walczyła w nim o lepsze ze strachem.

Tym razem kamienna kula laski uderzyła go w kolano. Woźnica padł obok karety krzycząc wysokim, cienkim głosem. Krzyknął raz jeszcze, gdy Saint Sebastien, wycelowawszy dokładnie, zmiażdżył mu jednym ciosem drugie kolano. Krew rozlewała się coraz szerzej, przesiąkając przez grube bryczesy.

Saint Sebastien oblizwał usta przyglądając się przez chwilę rannemu woźnicy. Oczy przymgliła mu somnambuliczna rozkosz. Potem, w pełni usatysfakcjonowany, obrócił się ku siedzącemu na kozle przerażonemu stajennemu. - Możesz jechać dalej - powiedział wsiadając z powrotem do karety.

- Ale pański woźnica... - zaczął stajenny.

- A jaki mogę mieć w gospodarstwie pożytek z kaleki? - spytał Saint Sebastien głosem niezaprzeczalnie słodkim. Wyjrzał przez okno na paru ludzi, którzy zdumieni przystanęli na ulicy. Niby nie widząc ich, rzucił:

- Niektórzy dobrze zrobią ślepnąc na tę chwilę. Ulica szybko się

opróżniła.

- Nie lubię powtarzać moich poleceń - powiedział do stajennego.

- Ruszaj.

Stajenny zebrał lejce i popędził konie. Z ulgą powitał napięcie się lejców, gdyż to uspokajało jego roztrzęsione ręce. Skupił się na powożeniu.

Woźnica tymczasem obserwował oddalającą się karetę, chociaż ból przyćmiewał mu spojrzenie. Przeklinał tego wyperfumowanego, złego człowieka, który w niej odjeżdżał. Nienawidził Saint Sebastiena, lecz w tej chwili zgodziłby się nawet służyć mu do śmierci, byle tylko mieć znów całe nogi. Ból był intensywny i przyprawiał go o mdłości. Gdy próbował się poruszyć, zapłonął z nową siłą. Zdał sobie sprawę, że w każdej chwili może zostać przejechany przez następny powóz i zapragnął, by właśnie tak się stało. Został haniebnie okaleczony, został upodlony.

Nagle padł na niego czyjś cień.

- Woźnico? - powiedział ktoś posługujący się dziwnie akcentowanym francuskim.

Woźnica spojrzał w górę i ujrzał nieco kanciastego, starszego mężczyznę w tabaczkowej liberii wskazującej, iż musi on być sługą kogoś naprawdę bogatego. Woźnica jęknął. Dość miał bogatych gospodarzy.

- Widziałem, co się stało - mężczyzna ukląkł obok rannego, nie bacząc na brud ulicy. - Jeśli pozwolisz, to chciałbym ci pomóc.

- Zostaw mnie.

- Jeśli to zrobię - odparł tamten z wyraźną troską w głosie - to przed upływem godziny będziesz martwy. Powóz cię przejedzie lub jakieś łotry, które tylko wypatrują pechowych przechodniów, ukamienią cię chociażby dla twej odzieży - zamilkł i dotknął ramienia woźnicy. - Jak masz na imię?

Ja jestem Roger. Woźnica nie chciał odpowiedzieć, lecz mimo to przybysz nie odchodził.

- Hercule.

- Bardzo dobrze, Hercule - stwierdził Roger. - Idę teraz posłać po

służących z gospodarstwa mego pana. Zaniesiemy cię do niego, a on z pewnością zrobi dla ciebie wszystko, co tylko możliwe. Nie masz się czego bać. Mój pan jest biegły w sztuce leczenia.

- Czemu niby twój pan miałby mi pomagać? - zadrwił mimo bólu Hercule.  
- Jestem woźnicą bez nóg. W oczach Rogera pojawił się uśmiech zrozumienia.

- I mnie mój pan często zadziwia. Raz udzielił schronienia zbiegłemu niewolnikowi, wiele przy tym ryzykując. A potem jeszcze zapewnił owemu niewolnikowi możliwość dokonania zemsty, której ten bardzo pragnął.

- Kłamstwa - miał wypowiedzieć to, Hercule niemal krzyknął. - Ach, nie. To ja byłem tym niewolnikiem - powiedział Roger. - Odejdę teraz na chwilę, Hercule. Nie trać nadziei.

Hercule miał właśnie powiedzieć Rogerowi prosto w twarz co sądzi o tej propozycji, lecz stary służący już oddalił się. Hercule z miejsca poczuł się osamotniony. Łatwo było odmawiać staremu i jego panu, gdy lokaj klęczał tuż przy nim, lecz teraz, leżąc na drodze bez pewności, czy nie nadjedzie zaraz następny pojazd i nasłuchując kroków złodziei, Hercule zaczął się bać. Leżał w miejscu, z którego widać już było zwartą zabudowę miasta, ale bramy Paryża oddalone były i tak jeszcze o milę. Podróżni, którzy przystanęli na chwilę w trakcie jego scysji z Saint Sebastienem i widzieli jego okaleczenie, odeszli. Nie było nikogo, kto mógłby mu teraz pomóc, gdy Roger odjechał małą dwukołówką.

Jego strach narastał na równi z coraz silniejszą nienawiścią do Saint Sebastiena. Czuł, jak ogarnia jego myśli i czerpał z niej satysfakcję. Nienawiść była mocniejsza i bardziej uporczywa. Więcej jej było niż odwagi i to dało mu dość sił, by mimo cierpienia odpełznąć na skraj drogi.

Popołudniowe słońce przypiekało, lecz chłodny jesienny wiatr przynosił wytchnienie. Czuł, jak krew wypływa z niego i myślał wciąż o tej chwili, gdy czerwone plamy zaczęły pojawiać się na jego bryczesach witane uśmiechem Saint Sebastiena.

Gdy w pewien czas później leżał już półprzytomny, drogą nadjechał jeden z najwspanialszych powozów, jakie widział kiedykolwiek. Ciągniony był przez czwórkę dobranych siwków i mimo cierpienia Hercule zauważył, iż były to naprawdę piękne zwierzęta. Nie posiadał się ze zdziwienia, gdy powóz, podtoczywszy się do niego, stanął, a schodki zostały opuszczone. Pierwszy wysiadł Roger i skierował się prosto do Hercule.

- Nie ucierpiałeś bardziej? - spytał, przystając przy woźnicy.

- Nie - odpowiedział Hercule, z trudem znajdując słowa. - Odczołgałem się.

- Odczołgałeś się? - powiedział mężczyzna, który właśnie wysiadł z powozu i stanął za Rogerem. Był średniego wzrostu, budowy krępej, lecz proporcjonalnej. Miał na sobie czarne, eleganckie i modne ubranie, na tle którego odbijała się jedynie biel koronek wokół szyi i na nadgarstkach. Drobne stopy obute były w czarne trzewiki z zapinkami zdobionymi klejnotami. Czarne włosy obrywały się bez pudru, na wysokości karku wiązała je równie czarna, gustowna kokarda. Na atrakcyjnej ogólnie twarzy malowała się inteligencja i wrażenia tego nie psuł nawet mocny, lekko krzywiony nos. Obcy przyklęknął obok rannego woźnicy, nie zważając na brud mogący zniszczyć jego ubranie.

- Kto ci to zrobił, dobry człowieku?

- Saint Sebastian - wyszeptał Hercule porażony nagle siłą wyrazu ciemnych oczu dzentelmena.

- Saint Sebastien - powtórzył nieznajomy. - Saint Sebastien - potem odwrócił się do swego sługi. - Dobrze zrobiłeś, Rogerze. Zanieście tego człowieka do mojej rezydencji. Pewien jestem, że znajdziemy dla niego jakieś zajęcie. Zajmę się tym później. Dopatrz, by umyto jego rany, lecz niech nie zakładają mu bandaży. W ranach mogą być odpryski kości, które muszą zostać bezwzględnie wyciśnięte.

- Kto to jest - spytał Hercule Rogera, gdy wnoszono go ostrożnie do powozu.

Pan Rogera, który usłyszał pytanie, odpowiedział za swego sługę. - W tym stuleciu najczęściej jestem nazywany hrabią de Saint-Germaine.

Wyjątek z listu kontessy d'Argenlac do jej brata, markiza de Montalia; datowane 11 października 1743:

*(...) Ostatni wieczór spędziliśmy w salonie, by Madelaine odpoczęła po przyjęciu u diuszessy de Lyon, na którym byliśmy poprzedniego wieczoru. Madelaine odniosła wielki sukces. Saint-Germain napisał kilka nowych pieśni na wiolonczelę. Mme Cressie otrzymała właśnie swój nowy instrument, a kompozytor skłonił Madelaine, by zgodziła się wystąpić jako wokalistka. Utwory, mój miły bracie, byty czarujące. Nie było przy tym w nich nic, do czego nawet tak zatwardziały moralista jak ty, mógłby mieć obiekcje. Madelaine śpiewała wspaniale, a Mme Cressie stwierdziła potem, iż występ w takim duecie sprawił jej wielką przyjemność i poprosiła Madelaine, by ta zechciała śpiewać z nią częściej. Wierze, że obie skłonią Saint-Germaina do napisania nowych utworów. Saint-Germain powiedział, iż hańbą byłoby pozbawiać świat muzyki w ich wykonaniu. Przypuszcza zatem, iż nie będzie miał innego wyjścia, jak skomponować owe pieśni.*

*Możesz sobie wyobrazić, jakim szokiem była dla nas po tak miłym wieczorze wiadomość, iż Lucienne Cressie zapadła na poważną chorobę. Oto do czego w końcu doprowadził ją Achille. Muszę ci wyznać, że mam co do niego pewne podejrzenia. Coraz więcej czasu spędza w towarzystwie Saint Sebastiena i Beauvrai. Późną porą, dziewiątego, było u Cressich jakieś zgromadzenie. Niektórzy mówią, że były to zwykłe rozpustne praktyki Achille'a, lecz nie jestem tego taka pewna, szczególnie, iż od tego właśnie wieczoru nikt nie widział Lucienne. Możesz nazwać mnie nierozsądną, miły bracie, ale wiesz, jakim to potworem jest Saint Sebastien i prędsiej niż w cokolwiek uwierzę raczej, że raz jeszcze usiłuje zebrać wokół siebie czcicieli szatana. Bądź pewien, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby żaden z tych mężczyzn nie zamienił nawet słowa z Madelaine.*

*Jutro odwiedzimy Hotel Transylwania. Nie musisz się niepokoić, nie pozwolę*

*Madelaine grać. Ma odbyć się tam przyjęcie wraz z przedstawieniem operowo-baletowym we włoskim stylu. Pojawiły się pogłoski, że rezydencja ta ma zamiar rywalizować z Hotelem de Yille. Nie wiem, czy będzie to możliwe, lecz z pewnością dostarczy to nam wspaniałej rozrywki. Wszyscy się tam wybierają.*

*Muszę pogratulować ci córki. Jest rozkoszna. Jej maniery są nienaganne, umysł bystry, jest rozmowna i ma dobrze poukładane w głowie. Czasem zadziwia mnie swoją erudycją. Gdy ostatnio Saint-Germain raczył nas przy kolacji swymi opowiastkami, ona zakpiła sobie z niego! Zaczął właśnie historię o wampirach, a ona stwierdziła, iż jest nonsensem bać się wampirów! skoro każda krew może zaspokoić ich pragnienie. Jedyne, co według Madelaine należy zrobić to zaoferować im jagnię lub konia, by załatwić sprawę. Powinieneś zobaczyć zaskoczenie, które odmalowało się na twarzy Saint-Germaina. Ucałował jej dłoń mówiąc, iż ustępuje jej pola. Później popijaliśmy jeszcze wino z baronem i baronową de Haute-Misou. Baron opowiedział nam wiele o florentyńskim rzeźbiarzu imieniem Michelangelo i o jego pracach. Sam czytał o tym niedawno, a Madelaine natychmiast zidentyfikowała i autora, i jego najstynniejszą malunek - siostry, które ją uczyły będą zapewne uradowane, gdy usłyszą, że chodziło o freski w Kaplicy Sykstyńskiej i że Madelaine zaraz opowiedziała nam historię tego miejsca. Baron był oczarowany. Stwierdził, iż rzadko udaje się spotkać młodą kobietę odznaczającą się taką erudycją, która przy tym równa jest jej urodzie. Madelaine powiedziała na to - i nie należy jej za to ganić, mój drogi bracie, jako że jedynie żartowała - iż gdyby wszystkie kobiety były tak kształcone, jak ona, to baron musiałby przeżywać podobne oczarowania w każdej godzinie swego życia.*

*Tysiącrotnie dziękuję ci za przysłanie mi mojej bratanicy. Ufam, że będziesz usatysfakcjonowany wynikami starań, jakie wobec niej poczyniłam w Paryżu. Pozdrów ode mnie markizę i zapewnij ją, iż córka jej ma się dobrze i często chodzi na msze. Nie sądźcie, że pozwalam Madelaine zaniedbywać obowiązki religijne - nie ma to nic wspólnego z sukcesami towarzyskimi. Jest posłuszna i szczerą, a jej spowiednik powiedział mi, że dusza jej jest czysta. Dobry ten człowiek, nasz kuzyn, znany jest ze swej pobożności i ma, jak rozumiem, twe błogosławieństwo, by dbać nad potrzebami*

duchowymi mej bratanicy.

Pożegnaj cię teraz, mój drogi bracie. W ciągu niewielu dni dostaniesz niewątpliwie następny mój list. Niech Bóg czuwa nad tobą i nad markizą i ześle wam spokojne myśli. Pozdrawiam cię z całym należnym szacunkiem i głębokim uczuciem.

Twoja siostra Claudia de Mon talia Kontessa d'Argenlac

P. S. Pozwoliłam sobie nabyć dla Madelaine piękną hiszpańską klacz do jazdy wierzchem. To wspaniałe zwierzę. Madelaine zaś jest świetną amazonką. Teraz, gdy to piszę, jest właśnie na przejażdżce w okolicy Bois-Vert, gdzie razem z resztą towarzystwa spędza popołudnie.

## . 5 .

Donatien de la Sept-Nuit przytrzymał szarmancko strzemię, asystując Madelaine dosiadającej swej hiszpańskiej klaczy. Wokół nich inni wspinali się na siodła, sposobiąc się do drogi powrotnej do Paryża.

Madelaine umieściła się na grzbiecie wierzchowca, poprawiając suknię koloru butelkowego szkła tak, by wdzięcznie spływała po boku klaczy.

- Dziękuję - powiedziała po chwili do kawalera, a w jej oczach pojawił się błysk niezadowolenia.

De la Sept-Nuit skłonił się głęboko.

- To dla mnie przyjemność. Jeśli tak drobna przysługa zasługuje według ciebie na podziękowanie, to z chęcią podejmę się większych czynów oczekując współmiernie do zasług większej nagrody.

Madelaine nie odpowiedziała od razu zajęta uspokajaniem klaczy, która po zbyt mocnym ściśnięciu cugli zaczęła nerwowo tańczyć pod nią.

- Proszę, kawalerze, żadnych więcej osobliwych komplementów. Zaczynam czuć się nieswojo.

De la Sept-Nuit skłonił się raz jeszcze i oddalił do swojego gniadego wałacha. W jednej chwili wskoczył na siodło i podjechał do grupki przyjaciół. Gdy tylko się zbliżył, Chateaurouse zawołał do niego:

- I jak idzie z La Montalia?

- Więcej cierni, niż róż - rzucił kawaler, poganiając gniadosza do galopu.

- Sam myślę spróbować - powiedział Chateaurouse przyglądając się Madelaine doprowadzającej klacz do śnieżnobiałej andaluzyjki, dosiadanej przez baronową de Haute-Misou.

- Strata czasu. Tym razem Saint Sebastien jest w błędzie - de la Sept-Nuit zniżył przy tym głos i porozumiewawczo uniósł brwi.

Wokół nich lasy skrzyły się złotem i rudością jesieni. Liście szybowwały w



powietrzu i szeleściły na drodze, migając jak motyle przy każdym powiewie wiatru. Był piękny, pogodny dzień; słońce cętkowało im twarze topazowym blaskiem, gdy jechali pod drzewami.

- To była przykra sprawa - mówiła baronowa do Madelaine, która słuchała z udaną uwagą. - Suknia była oczywiście do niczego i pozostało mi tylko oddać ją służącej.

- Zaiste, niemiła historia - Madelaine przybrała na twarzy wyraz powagi i skłoniła klacz do miarowego kłusu.

- Lecz co na to poradzić? Jeśli kucharze muszą dodawać tyle wina do sosów, to nie mamy innego wyjścia, jak pogodzić się z plamami. Przysnać trzeba, że sosy decydują o posiłku, lecz to skandal, by dla dobrej oprawy wołowiny trzeba było niszczyć piękny atłas.

- Może by tak zakładać do obiadu specjalną suknię... - zasugerowała Madelaine zanim zastanowiła się nad tym, co mówi.

- Specjalna suknia do jedzenia? Do jedzenia? - baronowa niemal zapiszczała.

- Czemu nie? - powiedziała niewinnie Madelaine rozwijając temat.

- Można mieć specjalną suknię na okazję posiłków. Można wydać rzymskie przyjęcie, na które wszyscy przyszliby ubrani w togi i spoczęli na leżankach. Tak właśnie, jak pamiętam, robili Rzymianie - powiedziała, marszcząc trochę czoło, a potem pomachała do znajomej postaci. - Saint-Germain! Czy Rzymianie biesiadowali na leżąco?

- O co chodzi? - zawołał Saint-Germain. - Co z Rzymianami?

- Przycwałował na swym podpalanym ogierze, a gdy zrównał się z nimi, skłonił się lekko i raz jeszcze spytał: - O co chodzi z Rzymianami?

- Och, sugerowałam właśnie baronowej, że mogłaby wydać przyjęcie w rzymskim stylu, na którym goście byliby w togach i spoczywali na leżankach. Lecz nie mogę sobie przypomnieć na pewno, czy to Grecy czy Rzymianie tak czynili.

- W każdym razie byli to cudzoziemcy - powiedziała baronowa z

potępieniem w głosie.

- Nie powiedziałbym - zaprotestował Saint-Germain. - Wielki pradziad obecnego króla w ten właśnie między innymi sposób próbował przywrócić Francji chwałę wielkiego Rzymu.

- Ludwik XIV był monarchą przynoszącym chlubę Francji - oznajmiła baronowa, patrząc podejrzliwie na Saint-Germaina.

- Bez wątpienia - zgodził się ten uprzejmie. Rzucił przy tym rozbawione spojrzenie Madelaine. - Czy pani również podziwia dawnego króla? Lecz to baronowa odpowiedziała na pytanie.

- Są z pewnością w życiu tego człowieka i takie chwile, nad którymi musimy wyrazić ubolewanie, lecz mądrze jest pamiętać, iż jego drugie, małżeństwo przywróciło dworowi świetność.

- A występki i diabolizm, którymi tak pani pogardzasz, zniknęły całkowicie za rządów króla? - spytał spokojnie i uprzejmie Saint-Germain.

- Jakże szczęśliwie dla Francji.

Baronowa nie odpowiedziała. Nie był to przypadek, że została z tyłu, za nimi. Przez chwilę Madelaine i Saint-Germain jechali w ciszy. W okolicy młodzi ludzie ujeżdżali konie w zaimprovizowanym wyścigu, starsi podążali za nimi na stateczniejszych zwierzętach. Długie snopy promieni słonecznych przebijały się przez korony drzew, znacząc drogę smugami światła i cienia.

- Podoba mi się twój koń - powiedziała po chwili Madelaine. - Nie sądzę, bym widziała kiedykolwiek podobnego. Saint-Germain poklepał kark wierzchowca.

- Dostałem go w Persji. Niewiele takich widuje się w Europie. Niektórzy, o ile wiem, nazywają je końmi berberyjskimi - raz jeszcze poklepał szeroki kark zwierzęcia.

Madelaine przytaknęła.

- Chyba po raz pierwszy zdarza mi się widzieć cię ubranego inaczej, niż na czarno, Saint-Germain. Co to za skóry nosisz?

- Z łososia. Tłoczenia przedstawiają opowieść o świętym Hubercie i jeleniu - przesunął palcami po ciemno-bordowej skórze, na którą spływał muślinowy szalik. - Trochę to staromodne, mankiety są zbyt wąskie jak na dzisiejsze gusta, lecz zrobione to zostało specjalnie dla mnie już dość dawno Na Węgrzech. Nie jestem skłonny rozstać się z tym - uniósł lekko brwi. - Co cię martwi, moja droga? Nie wezwałaś mnie chyba do swego boku, by dyskutować o Rzymianach czy o koniach? Czy baronowa zanudziła Ci? - Och nie - powiedziała pogodnie Madelaine.

- Zatem może nie jesteś zadowolona z awansów de la Sept-Nuit? - Dowiedziawszy to ujrzał, jak drgnęła i wiedział już, że trafił w sedno.

- Moja ciotka powtarza mi, że nie mogę oczekiwać wiele po małżeństwie i że mądrzej będzie podejść do tego praktycznie. Rozumiem, że de la Sept-Nuit jest bogaty i rozgląda się za żoną. Jego matka dała na dodatek mojej ciotce do zrozumienia, że jej syn liczy, iż dopuszczę go do łask.

- Och, nie - zaśmiał się Saint-Germain. - A ty nie chcesz stać się dla niego źródłem łask?

- Może dla ciebie, hrabio, jest to śmieszne, lecz dla mnie to wszystko jest po prostu poniżające - potrząsnęła pogardliwie głową i odwróciła ją, by nie zobaczyć łez, które nagle pojawiły się w jej oczach. - Czuję się jak niewolnica, którą należy zlicytować za jak najwyższą stawkę.

- Madelaine - powiedział cicho hrabia, gdy dziewczyna znów na niego spojrzała, skłaniając klacz z powrotem do wolniejszego kłusa. - Twoja ciotka chce dobrze dla ciebie. To wszystko, co potrafi dla ciebie zrobić.

Madelaine zgodziła się.

- Wyjaśniła mi już, czego powinna oczekiwać od świata kobieta. Lecz, Saint-Germain, ja chcę więcej!

- Wiem - uśmiechnął się smutno na ten wybuch. Spojrzała na niego wyzywająco.

- Słyszałam, że byłeś w wielu miejscach, że niejedno widziałeś i robiłeś... Też chciałabym odwiedzić wiele miejsc i robić w życiu coś więcej... - w jej

oczach pojawiło się dziwne światło.

- Takie życie jest bardzo samotne, Madelaine. Jej twarz okryła się rumieńcem.

- Czy sądzisz, że ożeniona z de la Sept-Nuit nie byłabym samotna? Myślisz, że gdybym wyszła za któregokolwiek z nich - wyciągnęła rękę ku zgiełkliwej grupce młodych mężczyzn, galopujących opodal - moje życie byłoby czymś innym, niż osamotnieniem? W twoim życiu jest przynajmniej miejsce na ciekawość...

- Tak - przytaknął Saint-Germain. - Przypuszczam, że moje życie jest w pewien sposób interesujące.

- Właśnie - powiedziała zmieniając temat na spokojniejszy. - Ostatniej nocy opowiadałeś o używaniu pary do napędu statków. Lecz nie byłeś przy tym taki, jak Beauvrai, który pragnie wszystkiego, co może skupić na nim uwagę towarzystwa, chociaż nie ma zielonego pojęcia o maszynach. Mogę powiedzieć, że gdy opisywałeś te maszyny, to myślałeś o nich. Mówiąc, że skoro woda porusza koło młyńskie, to można zrobić i tak, by ono poruszało wodę, jeśli źródło mocy umieszczone będzie we młynie; czyniłeś to obrazowo. I pomysł użycia wody, by krążyła w tych rurach... Wszyscy wkoło mówili, że to niemożliwe, a ja wyobraziłam sobie wszystko z łatwością.

Saint-Germain uśmiechnął się, ukazując kształtne, białe zęby.

- To dlatego, że nie spędziłem większości życia na dowiadywaniu się, ile to rzeczy jest niemożliwych.

- Właśnie, hrabio - uśmiech opuścił jej twarz. - A ja uczę się szybko.

- Spokojnie, spokojnie, Madelaine - podjechał trochę bliżej, tak że strzemiona ich koni niemal się stykały. - Aż tak jesteś nieszczęśliwa, moja droga?

- Tak... nie... nie wiem - nie spojrzała na niego, bojąc się, że znajdzie w jego oczach zbyt wiele litości, a wtedy może się przed nim zdradzić. - Wiem, że oczekuje się po mnie małżeństwa. Z czasem ugnę się przed tym żądaniem, znudzona, i sama zechcę to zrobić - spojrzała przez ramię na

grupę starszych jeźdźców. - Widzisz, hrabio, te kobiety? Nawet te młode. Wszystkie one są już stare - gwałtownie odwróciła spojrzenie. - Z czasem będę taka, jak one i nawet o tobie będę myśleć z cynicznym rozbawieniem.

- Madelaine.

- Nie mów do mnie tak uprzejmie. Nie mogę tego znieść. Dajesz mi nadzieję, a tu nie ma nadziei - spięła klacz ostrogami i zakołysała się na jej grzbiecie, gdy wierzchowiec skoczył naprzód.

Saint-Germain pojechał za nią, dość blisko, by udzielić pomocy, gdyby klacz poniosła, lecz na tyle daleko, by nie narzucać jej swego towarzystwa.

Wyjątek z listu lekarza Andre Schoenbruna do hrabiego de Saint-Germaina; datowane 12 października 1743:

*(...) Lekarz pragnie zawiadomić hrabiego, iż cała zdolność ruchu, jaka została zachowana w kolanach, wynika z szybkiej i fachowej opieki udzielonej służącemu imieniem Hercule. Kolana zostaną uleczone, lecz zapewne nie będzie on już mógł chodzić. Lekarz jest zadowolony, że hrabia nie kazał bandażować kolan, gdyż to właśnie uratowało ich zdolność ruchu. Służący, który towarzyszył pacjentowi, poinformował lekarza, iż polecenie nie bandażowania kolan pochodziło od hrabiego i lekarz to pochwała.*

*Co do pytania hrabiego o rodzaj pracy, to o ile nie będzie obciążał zbytnio swoich nóg, nie ma przeszkód, by opuścić łóżko, gdy tylko poczuje się dość silny. Gorączka spada, a zatem już niedługo służący Hercule powinien móc wykonywać lekkie ćwiczenia rąk i dłoni. Lekarz przyjmuje do wiadomości, iż hrabia jest w posiadaniu syropu z maku i zaleca stosowanie tego środka wobec pacjenta, gdyby ból był zbyt dokuczliwy. Lecz lekarz ostrzega hrabiego, by nie podawał środka zbyt często, i prosi go, by pamiętał o wynikach obserwacji, które lekarz przeprowadził, a z których wynika, iż zbyt długie używanie owego lekarstwa może spowodować uzależnienie od niego, co nie jest pożądane.*

*Lekarz pozwoli sobie skontaktować się z hrabią za dziesięć dni, by zbadać*

*służącego Hercule i sprawdzić, czy nie rozwinęła się infekcja, i by upewnić się, czy powrót do zdrowia postępuje normalnie. Jeśli lekarz stwierdzi, że może przynieść to pożytek, upuści wówczas krwi służącemu Hercule.*

*Gdyby miał być znowu pomocny hrabiemu, lekarz zapewnia, że będzie zaszczycony móc służyć jego gospodarstwu o każdej porze.*

*Pozostaję do pańskiej dyspozycji,*

*Andre Schoenbrun, lekarz, Le Rue de Ecoule-Romain*

## . 6 .

Lucienne Cressie ogarnęła zmęczonymi, szklistymi oczami swój przyciemniony pokój. Wyglądał obco, a przecież spędzała w nim każdą noc od czasu zawarcia małżeństwa z Achillem. Od ciężkich draperii wokół łóżka, po wysokie, pozłacane kufry pod przeciwległą ścianą, wszystko wydawało się jej równie nieznanne, jak egzotyczne apartamenty jakiegoś chińskiego imperatora. Jeszcze niedawno mąż był tu razem z nią. Nie pamiętała, ile czasu upłynęło od jego wyjścia, gdyż wino, które jej dał, musiało być zaprawione narkotykiem. Poruszała się z trudnością, zbierało jej się na wymioty.

Jak tonący szuka rękami oparcia, tak ona zacisnęła kurczowo dłonie na prześcieradłach. Zastanawiała się, co też mogło się z nią stać. Każdego dnia mówiła sobie, że jest w stanie w dalszym ciągu odgrywać parodię małżeństwa, lecz w nocy, gdy zostawała sam na sam ze snami, które pochłaniały ją całkowicie, czuła, jak kruszeje jej wytrwałość. W takich chwilach nawet modlitwa nie pomagała i to właśnie, bardziej niż cokolwiek, napawało ją lękiem.

Jej oczy wypełniły się łzami, gdy pomyślała o tych nielicznych chwilach, które poświęcał jej Achille, o jego pogardzie dla cierpienia, obojętności na wszelkie błagania. Prosiła go tej nocy, by pozwolił jej wstąpić do klasztoru. Gotowa była nawet wynieść się do Nowego Świata, by nigdy już go nie niepokoić. Roześmiał się, mówiąc, że gdyby chciała poświęcić się religii, to on jest w stanie zadbać, by nadarzyła się po temu sposobność. Zamknął ją znów w pokoju, tak jak poprzedniego dnia.

Przez jakiś czas grała na nowej wiolonczeli, lecz niewielką znajdowała pociechę w muzyce, a myśli rozpraszały się w miarę, jak narkotyk opanowywał umysł.

Leżała na łóżku i czuła, że topnieje w niej wola buntu. Achille planował coś na ten wieczór, tego była pewna. Zeszłego wieczoru słyszała, jak on i jego przyjaciele rozmawiali w bibliotece na dole. Potem rozległy się odgłosy jakby kłótni, a następnie dochodzić ją zaczęły krzyki i różne uwagi, z których wywnioskowała, że mężczyźni oddawali się temu, co Achille nazywał obrządkami ateńskimi. Trwało to niemal do rana. Zamknęła oczy i spróbowała zebrać myśli do modlitwy.

Poczuła nadchodzący zawrót głowy. Otworzyła oczy w próżnej nadziei, że majaki znikną. Głowa bolała ją coraz bardziej, w uszach dzwoniło.

Pokój wydawał się być jeszcze mroczniejszy. Pomyślała, że może zasnęła lub nie przebudziła się jeszcze. Nie mogąc skupić spojrzenia na frędzlach baldachimu w nogach łóżka, odwróciła twarz ku ścianie. Miała wrażenie, że grube fałdy kotar poruszają się. Chciała uciec, lecz odkryła, że nie może. Oczy miała rozpalone, rozjarzone i głodne.

To znów był sen i tym razem też czuła, że wstępuje weń z niegodną radością w sercu. Wspomniała winę namiętności, lecz poddała się jej, poddała się jego ciepłym, nachalnym ustom zbliżającym się do jej warg, szyi. Czyjeś ręce pieściły ją muśnięciami tak lekkimi, jak dotyk babiego lata, pełnymi przy tym ognia. Czuła jego ciężar obok siebie i przyjęła go, tłumiąc łkanie i przyciągając ku sobie.

W jakimś odległym zakątku umysłu kołatało się pytanie, czy to Achille i przysłał go do niej, czy był to jego okrutny żart? Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak pozbawiony wyobraźni Achille mógłby zesłać taki sen. Czuła, że jest jej gorąco i zimno jednocześnie, spróbowała przytulić go f bliżej do siebie. Jego dotyk był delikatny, wprawny, wyzwał w niej więcej, niż sądziła.

Przez jeden krótki moment czuła ból, lecz zaraz po nim nadeszło ekstatyczne omdlenie - płynęła niematerialna niczym muzyka, gorące drżenia wiolonczeli między jej nogami nie dawały się porównać do tego słodkiego, rozmigotanego snu, który rozpalał rozkoszą jej wnętrzości. Sen



unosił ją jak wiatr, jak ptak na swoich skrzydłach. Poczuła, że jej serce otwiera się, niby kwiat rozkwita, a ona sama pogrąża w głęboki, spokojny sen. Nie wyczuwała już przy sobie ciężaru, a łomot jej serca cichł z wolna wraz z oddechem coraz głębszym i spokojniejszym. W pokoju było zimno. Obudziła się zziębnięta, naga obok skotłowanej pościeli. Efekt działania narkotyku minął. Czuła się odrętwiała i wyczerpana. Nękało ją również poczucie winy. Wiedziała, że takie sny są grzechem równie wielkim, jak podobne postępowanie. Cudzołóstwo, które popełniła jedynie w swoim śnie, w oczach kościoła czyniło ją niewierną żoną. Jej spowiednik powiedział, że nie ma wyjątków, bowiem cudzołóstwo to pożądanie, a pożądanie to jeden z siedmiu grzechów śmiertelnych. Przeżegnała się, czując hipokryzję tego osobliwego postępowania, i naciągnęła na siebie nakrycie zasłaniając również twarz, którą okrył rumieniec wstydu.

Modlitwa jej nie wychodziła. Na próżno usiłowała skupić myśli na rzeczach niebiańskich. Za każdym razem wracały one do błogości snu i czystej zmysłowości, którą przyniósł, zmysłowości, której nie potrafiły rozpędzić ni przyćmić surowe przykłady z życia świętych i męczenników. Wciąż doznawała tego osobliwego rozdwojenia, gdy drzwi nagle otwarły się i, ku jej zdumieniu, wszedł jej mąż.

- Dzień dobry, madame. Ufam, że ci nie przeszkadzam? - jego rozbiegane oczy dojrzały jej oszołomienie, lecz Achille uznał to za skutek działania narkotyku.

- Achille? - spytała, czując, jak narasta w niej chłód zupełnie innego rodzaju. Zebrała wokół siebie pościel. Wiedziała, że jej widok budzi w nim wstręt.

- Chodź, madame - podszedł do łóżka. - Mamy gości na dole. Byłoby z twej strony zaniedbaniem obowiązków gospodyni, gdybyś nie pokazała się, by ich powitać - wyciągnął do niej rękę. Była w tym geście nieugiętość. Rozumiała, że to jeszcze jeden z jego okrutnych żartów, że naprawdę chodziło mu o coś zupełnie innego. - No chodź, madame - powtórzył.

Spojrzała na niego z dezaprobatą.

- Nie jestem ubrana, Achille. Czy szukasz sposobności, by zadrwić ze swej żony? - miała żarliwą nadzieję, że tyle tylko planował. - Czy nie możesz zostawić mnie w spokoju?

- To są twoi goście, madame. Są w twoim domu. Byłoby nieuprzejmością dołączyć do nich, skoro natarczywie dopytują się o ciebie - sięgnął po szlafrok i rzucił jej. - Tyle wystarczy, żono. Załóż to i chodź ze mną.

Nawet gdy zaczęła wypełniać jego polecenie, jakiś zmysł kazał jej być ostrożną. Wiedziała, że coś było tu straszliwie wręcz nie w porządku i że Achille wcale nie był skłonny chronić jej przed zagrożeniem. Oczekiwało ją przynajmniej poniżenie i nie śmiała nawet zgadywać, co jeszcze.

- Nie zwlekaj - rozkazał z twarzą, na której malowała się brzydota jego duszy. - Właściwa godzina już prawie minęła.

- Nie - powiedziała, cofając się przed nim. Nie wiedziała o jaką godzinę mu chodzi, lecz rozumiała, że czai się w tym niebezpieczeństwo. - Idź stąd, Achille. Nie czuję się dobrze. Przepróż, proszę cię, swoich gości w moim imieniu.

- To są nasi goście - powiedział z ledwo skrywaną irytacją. - Musisz zejść. Szczególnie, że Saint Sebastien bardzo chce cię poznać - wskazał na szlafrok. - Załóż to, madame. Nie będę już dłużej na ciebie czekał.

- Nie! - potrząsnęła głową.

Achille zacisnął pięści i ruszył ku niej z wysiłkiem.

- Jesteś moją żoną! Zrobisz jak każę!

Lucienne Cressie poznała już strach, lecz takie przerażenie, jakie ogarnęło ją teraz, zawładnęło nią po raz pierwszy. Zaczęła rzucać poduszkami, lecz on podchodził coraz bliżej, nic sobie nie robiąc z tego protestu. Zdesperowana chwyciła flakon perfum stojący na stoliku obok łóżka i cisnęła nim w jego stronę. Trafiony w głowę Achille zachwiał się, przeklinając bezgłośnie.

Oszołomiony rzucił się na żonę.

La Cressie bez zastanowienia odwróciła się i błyskawicznie otworzyła okno, które miała za plecami. Była na pierwszym piętrze, w dole zaś rozpościerał się ogród. Zanim Achille zdążył ją złapać, skoczyła, wystawiając nagie ciało na chłód nocy.

Upadła na zroszoną trawę. Jej umysł rozjaśnił się: rozumiała, że przedtem nie w pełni kontrolowała swe poczynania. Z budynku tymczasem dochodziły ją liczne, podniesione głosy. Poza wywichnięciem barku nie odniosła większych obrażeń. Gdy próbowała się poruszyć, jej ciało przeszył przenikliwy ból. W tej samej chwili pojawiła się zupełnie oderwana myśl, że z takim ramieniem nie będzie mogła grać na wiolonczeli. Powinna poszukać pomocy i opieki.

Tymczasem głosy zbliżały się, w mroku zamigotała latarnia. La Cressie przeklinała niepowodzenie - swoje nieudane spotkanie ze śmiercią. Wiedziała, że to nie przystoi, że powinna dziękować Bogu za szczęśliwy upadek, gdyż oszczędził ją, by mogła czynić pokutę za grzechy, zarówno za żądze cielesne, jak i próbę samobójstwa. Całym sercem pragnęła jednak umrzeć teraz, gdy odgłosy kroków stawały się coraz głośniejsze.

- Mamy ją - powiedział ktoś, kogo nie znała. Spojrzała w górę. Nad nią stał wysoki, szczupły mężczyzna, około sześćdziesiątki, ubrany zgodnie z ostatnią modą. Powieki ciężko opadały mu na oczy, co nadawało jego twarzy gadzi wygląd, a uśmiech, który trwał na ustach, bardziej przyprawiał lęk, niżli jego gniew.

Za nim nadszedł następny starszy mężczyzna. Po ubraniu poznała barona Beauvrai.

- Cholera, ty to masz szczęście, Clotaire - powiedział nowo przybyły.

- Ofiara jest zatem twoja.

Clotaire de Saint Sebastien zachichotał krótko. Lucienne zeszywniała z przerażenia.

- Sądzę, że się nada. Musimy jednak mieć pewność, że wciąż jest dziewicą. Niech Achille i jego przyjaciel zanoszą ją za chwilę do biblioteki - ukląkł przy

Lucienne i mimo jej protestów wepchnął rękę między jej nogi.

- Nie, nie, nie... - szeptała, zaciskając uda.

- Madame... - powiedział zimno Saint Sebastien. - Nie próbuj utrudniać. Ostrzegam cię po raz pierwszy i ostatni, iż nie będę tego tolerował.

Lucienne usiłowała jeszcze argumentować i szamotać się, ale baron tylko westchnął i silniej pchnął rękę, dotykając jej boleśnie w najczulszym miejscu. Poczwała zawrót głowy, ściskając znów, tym razem mimowolnie, nogi. Przyćmione rwanie barku ożyło wraz z nowym ogniskiem cierpienia.

Saint Sebastien wstał.

- W porządku, jest nietknięta. Ilu z Kręgu ją weźmie? - nawet, jeśli widział tłące się w oczach Lucienne Cressie przerażenie, to nie zwrócił na nie uwagi.

- Miły kawałek ciała - Beauvrai spojrział łakomie na leżącą. - To wstyd, by marnowało się dla kogoś takiego, jak Achille, powinniśmy się cieszyć, że on woli mężczyzn.

- Nie! Nie! Nie! - krzyczała Lucienne, rzucając się.

Teraz przyłączyli się do nich następni, a wśród nich Achille Cressie. Lucienne dojrzała czerwoną pręgę, która wykwitowała na jego czole i pomyślała z niejaką satysfakcją, iż ciężki flakon perfum jednak go zranił.

- Do biblioteki! Natychmiast! Mamy mniej niż godzinę na dokończenie ceremonii. Następna okazja nadarzy się dopiero za trzy miesiące, gdy zbierze się w nas dość Mocy na Mszę Miłosną - rzekł Saint Sebastien, po czym dużymi krokami ruszył ku przeszklonym drzwiom prowadzącym do wnętrza domu.

Achille, wespół z kompanami, z radością wypełnił polecenie. Schwycił Lucienne za nogi, podczas gdy Vandonne ujął ofiarę za ramiona, ignorując jęk wywołany powtórny urażeniem barku. Gdy ją podnieśli, zemdlą ponownie.

Ocknęła się, leżąc na stole. Powoli uniosła ciężkie powieki. Nad jej głową zawieszony był krucyfiks. Przez chwilę pomyślała, że cały lęk spowodowany był gorączką i oto wreszcie przywieziono ją do lekarza. Wokół niej stały

zakapturzone postacie. Już miała otworzyć usta, by podziękować tym miłosiernym braciom za ratunek, gdy spostrzegła, iż nadal jest naga. Jej wzrok ponownie spoczął na krzyżu... Uważniej przyjrzała się wizerunkowi Chrystusa...

To bluźnierstwo! Ze zgrozą odwróciła głowę, wiedząc już, że wszystko dzieje się naprawdę.

- Wspaniale, wspaniale - rzucił Saint Sebastien, przysuwając się do niej.

- Jest przytomna. To lepiej, to cudownie - zwrócił się do otaczających go mężczyzn. - Możecie jej używać do woli, lecz pamiętajcie: dziewictwo należy do mnie.

- Czy będzie nam uległa? - spytał Vandonne głosem drżącym z podniecenia. - Będzie... - zapewnił Saint Sebastien. Lucienne zupełnie straciła nadzieję. - Jeśli byłoby inaczej, powiadomcie mnie. Potrafię temu zaradzić - Skinął na zakapturzone postacie. - Lepiej ją zwiążcie. Sznury są na ołtarzu. I połóżcie gdzieś pod ręką piekielny członek. Będzie mi potrzebny o trzeciej... Upewnijcie się, czy jest wystarczająco gorący.

- Gdy ty zrobisz swoje, to kto posmakuje jej następny? - spytał jeden z mężczyzn, głosem chropawym i zdradzającym niezbyt wyszukane maniery.

Lucienne nie знаła go.

- O to musisz spytać naszego gospodarza. Jest jej mężem i ma prawo nią dysponować. Jeśli on nie zechce jej dla siebie... - to ostatnie zostało wypowiedziane z niemiłym uśmiechem na twarzy.

Achille w odpowiedzi wyszczerzył zęby. Gdy odezwał się, w jego głosie brzmiało autentyczne rozbawienie:

- Le Grace jest tak niecierpliwy, a my, wywodzący się z arystokracji rzadko mamy sposobność zrobić coś dla co pospolitszych obywateli.

- Achille! - krzyknęła Lucienne starając się w tym okrzyku wyrazić wszystko, co kiedyś czuła do męża.

- Ucisz ją, Le Grace - nakazał Achille.

Poczuła, jak grubo ciosana dłoń zamyka się na jej ustach. Z nieopisanym

przerażeniem patrzyła, jak wiążą jej nogi i ręce. Tuż nad sobą usłyszała znów znienawidzony głos Saint Sebastiena:

- Władco Ciemności, dla ciebie to, Mroczny Panie... Z pierwszym dotknięciem jego narzucającego się ciała krzyknęła i szarpnęła w więzach. Gdzie podział się ten sen o delikatnych dłoniach, rozkosznych pocałunkach niczym tchnienie życia? Zawzięte oczy wpatrywały się prosto w jej twarz w trakcie gwałtu. Zacisnęła wargi chcąc odebrać katom chociaż tę satysfakcję i zdławić krzyk w gardle.

Jednak wydarli z niej wszelkie odgłosy, używając jej na rozmaite sposoby. W chwili, gdy Saint Sebastien użył na niej diabelskiego członka, była już tylko na wpół przytomna, tak że potworne to wtargnięcie rozgrzanego żelaza wydobyło z niej jedynie ciche westchnienie. Zapadała w nieświadomość. Niektórzy z Kręgu przyglądali się temu z wypiekami na twarzach, Achille Cressie nie było między nimi. Nie interesowało go ani trochę, co się dzieje z jego żoną.

Tekst sporządzonego po łacinie listu służącego Rogera do jego pana, hrabiego Saint-Germaina; niedatowane: Do mego pana:

*Jak pan mi to przykazał, kontynuowałem obserwację Saint Sebastiena. Zgodnie z Pana oczekiwaniami rzeczywiście zbiera wkoło siebie nowy Krąg. Spotkali się już w domu Achille'a Cressie, który oddał im swoją żonę. Żyła, gdy odchodziłem stamtąd o świcie, lecz obawiam się iż mogła postradać zmysły po tym, jak ją potraktowali. Saint Sebastien zdeflorował ją, a t użyli jej inni, gwałcąc w diabelski sposób. Pragnął pan wiedzieć, kogo, spośród osób twó? Krąg, rozpoznałem. Oto oni: de Vandonne, Chateaurouse, Jueneport, de la Sept-Nuit, Le GJB Jeśli pragnie pan tego, będę nadal śledził Saint Sebastiena. On jest podła kreaturą, mój panie. Błagam cię, byś go zgładził.*

*Pozwoliłem sobie wezwać księdza do La Cressie, lecz służba odmówiła mu wejścia. Zapeu panu uda się tam, gdzie mnie spotkała porażka. Przez specjalnego posłańca.*

Własnoręcznie,  
Roger

## . 7 .

Hotel Transylwania lśnił z daleka niczym ustawione boską ręką pudło z klejnotami. Wszystkie przejścia rozjaśnione były pięknymi świecami, a każdy kandelabr płonął tak jasno, że zdawał się być żywą istotą. Wielka S la została przebudowana zgodnie z panującą modą, a dla tych, którzy 1 bili przechadzać się, dodano galerię. Jednego tylko brakowało, by sukces rezydencji był pełen - luster. Odkąd wybudowano Wersal, przyjęło się, by w każdym znamienitszym budynku ściany były zawieszane lustrami. Tymczasem w Hotelu Transylwania zastąpione zostały gigantycznymi malowidłami zajmującymi całe ściany. Dwa z nich były alegoriami przedstawiającymi bohaterskie czyny Zeusa, inne - posępny obraz śmierci Sokratesa - to autentyczny Velazquez. Całość wywoływała zachwyt i podziw świetnej publiczności.

W północnym skrzydle gigantycznego, dwupiętrowego budynku umieszczono salony gry. Były bogato urządzone, lecz bogactwo było niczym wobec fortun, które pod kryształowymi świecznikami zmieniały właścicieli.

Wreszcie nadszedł czas święta dla Hotelu Transylwania. Po jednej stronie wielkiej sali balowej ustawiono kilkanaście kadzi z wyrośniętymi drzewami pomarańczowymi. Wnękę dla muzyków wypełniono kwiatami. Wszyscy komentowali tę ekstrawagancję i po cichu zazdrościli bogactwa, które symbolizowały te tak łatwo więdnące kwiaty, osiągające o tej porze roku zawrotne ceny.

Pomiędzy tłoczącymi się gośćmi przemykali lokaje i kelnerzy w łososiowych liberiach, usługując szybko i dyskretnie. Każdy spośród zatrudnionych w rezydencji wykazać mógł się jak najbardziej nienagannymi manierami i mówił wykwinnym francuskim. Wszyscy stali goście traktowani byli z największym szacunkiem. Wino podawano w najlepszych



kryształach, koniaki były najprzedniejsze. Ustawiona w trzech zbytkownych bufetach porcelana oraz srebrny serwis służyć mogły za wzór kunsztownej sztuki włoskiego rzemiosła. Wyrafinowane jedzenie napływało nieustannie z przepastnej kuchni na tyłach rezydencji, gdzie krzątała się cała armia mistrzów kucharskich i podkuchennych. Kontessa d'Argenlac odwróciła się z uśmiechem do swego towarzysza.

- Ach, markizie, jeśli pośród całego tego splendoru zauważyłeś właśnie moją bratanicę, to musi być ona z tego w największym stopniu szczęśliwa. Zapewniani cię uroczyście, że nigdy dotąd nie widziałam niczego, co z tym można by porównać. Wszystko jest tu w najlepszym gatunku, urządzone ze smakiem i bez szczędzenia grosza.

Markiz Chateaurouse skłonił się lekko.

- Lecz jest to zwykły przepych, krzykliwa elegancja. Jak mam skupić uwagę na czymś takim, gdy obok mnie jest żywa kobieta tak piękna, jak mademoiselle de Montalia, która nieodparcie przyciąga moje spojrzenie? Przy niej wszystko inne musi zblednąć.

- Oczywiście - powiedziała ciotka Madelaine, przymykając lekko oczy.

Uważała tego młodego szlachcica za dobrą partię dla Madelaine, lecz wypowiadał się on trochę zbyt wylewnie. Wydawało się jej, że więcej w tym mistrzowskiej gry, niż impulsów serca. Wiedziała, iż często mężczyźni o wysokiej pozycji szukają żon, które byłyby dobrymi gospodyniami, z których dumni by być mogli jako z ozdób ich szlachectwa. Tak przecież było z nią i z jej mężem. Wiedziała, jak puste są takie związki.

- Dumna będę, mogąc ci ją przedstawić, markizie - powiedziała machinalnie, przeciskając się przez ciżbę ku bufetowi, gdzie jej bratanica stała przy wazie z ponczem i rozmawiała żywo z hrabią de Saint-Germainem.

- Moja droga - zwróciła się Claudia do bratanicy. - Oto markiz Chateaurouse, który przyszedł tu specjalnie po to, by cię poznać. Podziwiał cię dotąd z daleka, ale teraz pragnąłby poznać cię bliżej.

Markiz skłonił się głęboko, wykonując stosowny gest dłonią, ukazując przy okazji wystawny strój i zgrabną sylwetkę. Rzucił Saint-Germainowi miazdzące spojrzenie i zwrócił się do Madelaine, całując podaną mu dłoń.

- Tęskniłem za tą chwilą, odkąd po raz pierwszy ujrzałem panią na przejeździe do Bois-Vert. Kilkanaście dni zabrało mi zbieranie się na odwagę, by zbliżyć się do ciebie, pani.

Zazwyczaj tekst ten wywoływał rumieniec na twarzach dziewczyn, które poznawał, Madelaine jednak powiedziała tylko:

- Jeśli potrzebujesz panie odwagi, by zwrócić się do mnie, to niech niebiosa mają w opiece Francję, gdyby trzeba było stanąć do walki w jej obronie.

Chateaurouse zapomniał języka w gębie. Kontessa poczuła się zmieszana, tak manierami markiza, jak i nieuprzejmością Madelaine. Kłopotliwą ciszę przerwał dopiero Saint-Germain.

- Obawiam się, że nie docenił pan tych fortyfikacji, markizie - powiedział z uśmiechem.

Lecz markiz Chateaurouse odzyskał już kontenans.

- Nie ma pani pojęcia - rzekł do Madelaine, ignorując uwagę Saint-Germaina - jak osobliwym jest znaleźć dziewczynę, która mówi, co myśli. Proszę, nie powstrzymuj swego języka z litości nade mną. Taka naturalna rozmowa to coś naprawdę czarującego. Saint-Germain odstąpił i dyskretnie skinął w kierunku kontessy.

- Dlaczego go przedstawiłaś? - spytał półgłosem, gdy stanęła obok niego.

- Prosił mnie o to - odpowiedziała równie cicho. - Pochodzi ze świetnej rodziny i nie słyszałam niczego, co by go dyskredytowało.

- Lecz teraz słyszałaś już jak się wypowiada, zatem można powiedzieć, że sam się kompromituje. Chyba nie oczekuje, że Madelaine uwierzy w te bzdury, które on jej plecie?

Kontessa potrząsnęła głową.

- Czy jest coś, co powinnam wiedzieć? Wydajesz się być zaniepokojony,

Saint-Germain. Czy wiesz cokolwiek, co świadczyłoby przeciwko niemu? - Była wyraźnie zaniepokojona, gdyż już dawno zorientowała się, jak dobrze poinformowany jest Saint-Germain o wszystkim, co dzieje się w Paryżu. Hrabia nie odpowiedział wprost, lecz stał, wpatrując się w przeciwległą ścianę z lekkim jakby roztargnieniem.

- Rozumiem, że pragniesz, by omijała Krąg Beauvrai - powiedział w końcu.

- Za wszelką cenę.

Saint-Germain przytaknął.

- Dobrze zatem. Powiem ci tyle, że Chateaurouse był widziany z Saint Sebastienem. Nie wiem na pewno, czy jest trwale związany z tym towarzystwem, lecz pewnym jest, że nie czyni żadnych wysiłków, by go unikać. Może chciałabyś, bym powiedział coś o tym także i Madelaine? To czarująca dziewczyna i szkoda by było, gdyby nadużyto jej zaufania.

Kontessa rozejrzała się po zatłoczonym salonie i teraz dopiero zauważyła obecność de les Radeux i Beauvrai.

- Proszę cię, hrabio, ostrzeż ją. Lęki mego brata mogą być bezpodstawne, lecz przyznaję, że Saint Sebastien napełnia i mnie niepokojem. Nie mogę zapomnieć o tym, że od czterech dni nie dopuszcza się do Lucienne żadnych gości, i że Achille spędza sporo czasu z Saint Sebastienem.

- Biedna Claudia - mruknął Saint-Germain, całując współczująco dłoń kontessy. Odwrócił się, by napełnić jej pucharek ponczem. Wzięła czarękę i upiła mały łyk. Potem zapytała z zakłopotaniem:

- Nie wiem, jak ty to zaplanujesz, lecz byłabym wdzięczna, gdybyś porozmawiał z Madelaine na osobności. Może mieć pytania, na które tutaj nie dałoby się odpowiedzieć - wskazała na rozświetlony salon. - Lecz na osobności...

W odległym krańcu sali zespół muzykantów zakończył właśnie koncertino i szmer oklasków przeszedł po tłumie. Muzycy wstali, skłonili się i zaczęli przygotowywać się do kolejnego utworu.

- Oczywiście. Znajdę tutaj jakiś mały pokój. Czy życzysz sobie nam towarzyszyć? - spojrzał na nią swoimi zniewalającymi oczami. Poczowała, że dociera tym spojrzeniem do dna jej duszy.

Kontessa znalazła się w rozterce. Wiedziała, że jako opiekunka bratanicy powinna towarzyszyć jej wszędzie, lecz czuła również, że Saint-Germain jest mężczyzną honorowym, którego szalony wiek minął już dawno, oraz dyskretnym. Nie wiązał się z jego osobą żaden skandal. Spojrzała na niego raz jeszcze i podjęła decyzję: o wiele mniej uwagi wzbudzi zniknięcie samej Madelaine.

- To mądrze z twojej strony - powiedział Saint-Germain. Kontessa zdziwiła się, nie pamiętała bowiem, by cokolwiek ze swych myśli wypowiedziała głośno. - Za chwilę wyjdę z Madelaine. Gdybyś teraz przeszła do jadalni, to jej odejście stąd nie zwróci uwagi, a gdyby nawet, to pomyślą, że zabieram ją do ciebie.

Przytaknęła, zbita nieco z tropu i zdezorientowana. Spojrzała niespokojnie w kierunku Madelaine, która wciąż jeszcze rozmawiała z Chateausem.

- Mój Boże - powiedziała, patrząc na swą bratanicę i pięknego markiza.

- Nie martw się - pocieszył ją Saint-Germain. - Jesteś dla niej jak matka i nie ma nic dziwnego w twoim niepokoju. Obiecuję ci, że Saint Sebastien jej nie zagraża i zrobię co tylko w mojej mocy, by było tak zawsze.

Kontessa odwróciła się do niego gwałtownie.

- Jesteś dla nas tak miły, hrabio. Wiem, że to zabrzmie nieuprzejmie, ale czasem sama się dziwię, czemu to wszystko robisz.

- Nie obawiaj się, nie chodzi mi o to, by samemu zdobyć cześć Madelaine

- roześmiał się Saint-Germain. - Powiedzmy, że Saint Sebastien i jego kompania są mi tak samo potrzebni do życia, jak i tobie.

Kontessa wiedziała, że winna zadowolić się tą odpowiedzią, chociaż wcale nie była ona satysfakcjonująca. Po cichu ucieszyła się, iż Saint-Germain też nie lubi Saint Sebastiena. Cień niepewności, który przemknął przez jej

myśli, rozproszył się. O wiele już spokojniejsza, zgodnie ze zwyczajem, przeprosiła hrabiego i skierowała się do jadalni.

W chwilę później Saint-Germain zaoferował swe ramię Madelaine.

- Tysiącrotne przeprosiny, Chateaurouse, lecz kontessa złożyła na me barki słodki obowiązek odprowadzenia bratanicy do jadalni, by towarzyszyła jej w kolacji.

- Jeśli zechce pan uczynić mnie swym zastępcą, Saint-Germain, wówczas nie będzie pan musiał kłopotać się takimi obowiązkami, a ja zaznam przyjemności przebywania w promiennym towarzystwie mademoiselle jeszcze przynajmniej przez parę chwil. - Chateaurouse nie był bynajmniej zmieszany.

- Nie będzie to wcale bardziej kłopotliwe dla mnie, niż byłoby dla ciebie - stwierdził Saint-Germain, nadstawiając Madelaine zgięte ramię. - Tańczyłeś z nią i byłeś przy jej boku przez pół godziny, Chateaurouse. Masz przy tym nade mną tę przewagę, że ja nie tańczę. Nie bądź zatem zazdrosny o te kilka minut, które zajmie przeprowadzenie tej oto damy stąd, do jadalni.

- Toż to cała noc upłynie, nim ona wróci - powiedział srogo markiz, jakby oskarżając Saint-Germaina o jakieś perfidne zamiary. Hrabia nie zwrócił na to uwagi.

- Chodź, dziecko. Twoja ciotka czeka - uśmiechnął się złośliwie do Chateaurouse.

- Będzie pan musiał znaleźć sobie jakieś inne zajęcie pod moją nieobecność. Ta batalia skończyła się zupełnym niepowodzeniem - dodała Madelaine.

Orkiestra przechodziła właśnie mocnym akordem do składanki wariacji na temat popularnych arii Haendla, toteż Saint-Germain nie usłyszał ostatniej uwagi. Ścisnął tylko mocniej jej rękę, by milczała, nim nie wyjdą z salonu.

Gdy przeszli przez podwójne drzwi prowadzące na korytarz, Madelaine zdobyła się na komentarz:

- Wdzięczna jestem za ratunek, który przyszedł w stosownej chwili. Saint-Germain spojrzał zdziwiony.

- Nudził cię? - zapytał.

- Gorzej - powiedziała, nie protestując i nie pytając, dokąd właściwie Saint-Germain ją prowadzi. -To bardzo miło słyszeć, że jest się atrakcyjną, lecz ja wiem, że nie jestem najpiękniejszą kobietą tego wieczoru. Madame de Chardonay i diuszessa Quainord są o wiele bardziej urodziwe ode mnie.

- ciągnęła, zapalając się do rozmowy - nie cieszy mnie, gdy ktoś przemawia do mnie w sposób, jakbym dopiero co opuściła mury szkoły...

- Bo i opuściłaś je całkiem niedawno - wtrącił z pewnym rozbawieniem Saint-Germain, otwierając drzwi do małego, nie dla wszystkich dostępnego pokoju. Madelaine udała, że nie słyszy.

- ...i rozumiała tylko jedno słowo na pięć - nagle zdała sobie sprawę, że to nie jadalnia i rozejrzała się zdumiona.

Pokój nie był duży, lecz umeblowano go niezwykle gustownie. Po bokach kominka stały dwie sofy, a pod rzeźbionym obramowaniem z marmuru tlił się ogień. Tuż nad stołem wisiał na ścianie jeszcze jeden Velazquez w połączanej ramie, na blacie zaś leżało kilka oprawnych w marokin książek, teleskop i astrolabium. Naprzeciw kominka piękna draperia z chińskiego brokatu zasłaniała wejście do alkowy z wąskim, klasztornym twardym łóżem, które nie miało w sobie nic z bogactwa i przepychu.

Saint-Germain podprowadził Madelaine do bliższej z dwóch sof, a sam przeszedł przez pokój do stołu.

- Usiądź, proszę - powiedział łagodnie, wskazując na obity perskim adamaszkiem mebel. - Chciałbym z tobą o czymś porozmawiać.

Madelaine omiotła pomieszczenie spojrzeniem. Mimo wszystko długo wpajane jej uprzedzenie do mężczyzn wzięło górę nad zaufaniem, które wobec niego żywiła.

- Gdzie jesteśmy? - spytała, próbując nie okazać po sobie niepokoju.

- W jednym z prywatnych pokoi - Saint-Germain bawił się teleskopem,

nie patrząc na nią.

- A moja ciocia...?

- ...jest na kolacji, jak ci mówiłem. Dołączymy do niej nieco później. Jej głos był stanowczy, gdy sprawdzając go, powiedziała:

- A gdybym chciała przyłączyć się do niej teraz?

- Wtedy, oczywiście, natychmiast bym cię odprowadził - hrabia podniósł teleskop i przesunął palcami po pięknej tubie z brązu. - Wspaniały instrument. A jednak Galileusz został zmuszony do odwołania swych świadectw. Szkoda.

Madelaine rzuciła okiem na drzwi i ujrzała, że nie są zamknięte. W zamku tkwił klucz, a jedna z klamek skierowana była w dół. Jej ciekawość została rozbudzona, a poczucie bezpieczeństwa zaspokojone. Rozsiadła się zatem wygodniej. Wiedziała, że gdyby znaleziono ich razem, byłaby to dla niej straszliwa kompromitacja, lecz coś mówiło jej, że do niczego takiego nie dojdzie.

- Mężczyzna opowiadający o Galileuszu nie wydaje się mieć wiele wspólnego z adoratorem.

- Nie - Saint-Germain odstawił teleskop. - To, co mam ci do powiedzenia, nie ma nic wspólnego z uwielbieniem kogokolwiek. W twoim interesie leży wysłuchanie mnie.

Madelaine z wprawą ułożyła wokoło swe suknie z tafty.

- Dobrze, hrabio. Wysłucham - uśmiechnęła się mimowolnie, widząc błysk aprobaty w jego oczach.

Na chwilę zapadła cisza. Saint-Germain tymczasem oparł się o stół i wcisnął dłonie głęboko w kieszenie surduta o szerokich połach.

- Co wiesz o Szatanie? - spytał ją rzeczowo.

- Szatan jest wrogiem Boga i człowieka, upadłym aniołem, który dąży boskości równej Stwórcy... - zawahała się. - Został ustanowiony na Ziemi, aby dręczyć nas pokusami i podstępami.

Saint-Germain ze zniechęceniem pokręcił głową.

- Nie chodzi mi o wyuczone odpowiedzi, które wpoily w ciebie siostrzyczki. Proszę. Co wiesz o potędze zwanej Szatanem?

- Już powiedziałam - patrzyła na niego zmieszana.

- A zatem musimy zacząć od początku - powiedział z westchnieniem. Podniósł głowę, potem znów ją opuścił, nie wiedząc, jak rozpocząć wykład.

- Istnieje jedynie Moc. To ona przepływa przez nas jak rzeka, dając nam życie, lecz mogąc nas też zgładzić. Czy powodzi nam się wspaniale, czy toniemy pośród powodzi, to jest zawsze ta sama rzeka. Tak jest właśnie z Mocą. Gdy wynosi nas ku dobroci i szlachetności, skłania nas do życzliwości i sięgania po wyższe cele, wówczas nazywamy ją Bogiem. Lecz gdy wykorzystywana jest dla sprawiania bólu, cierpienia i poniżania innych, wówczas nosi miano Szatana. Moc jest obojgiem. Naszym jest wybór między jednym a drugim.

- To herezja... - zaczęła bez przekonania.

- Nie. To prawda - Saint-Germain przyglądał się widząc, jak wpojone przez siostry nawyki myślenia zmagają się z jej zdrowym rozsądkiem. W końcu nabrał pewności, że oszczędzone mu będą pospieszne osądy.

- Uwierz mi zatem, przynajmniej dla dobra rozmowy. Są bowiem tacy, którzy wzywają Moc pod postacią Szatana i wykorzystują ją dla pomnażania smutku tego świata.

- I spędzą wieczność cierpiąc w piekle - powiedziała natychmiast Madelaine z niejaką satysfakcją.

- Nic nie wiesz o wieczności - powiedział ostro, lecz łagodny wyraz jego oczu ujął uszczypliwości słowom. - Są tacy w Paryżu - zmienił ton - którzy zbierają się, by przyzywać Moc pod postacią Szatana. Obchodzą zwykle dwa święta w roku - jedno w wigilię Wszystkich Świętych, drugie w zimowe przesilenie. Pierwsze, to proste złożenie ofiary, a tę już sobie wybrali. Lecz na to drugie ich Reguła pożąda ofiarowania dziewicy, i to zarówno ciałem, jak i krwią.

Madelaine wiele by dała, by znaleźć jakieś żartobliwe słowo mogące



rozproszyć mroczną atmosferę ostrzeżeń, lecz jedyne, co była w stanie zrobić, to patrzeć na niego rozszerzonymi oczami, z sercem pełnym niepokoju.

- Twoja ciotka powiedziała mi, że twój ojciec był kiedyś związany z kręgiem Saint Sebastiena. To właśnie Saint Sebastien pragnie złożyć ofiarę, a pomagają mu w tym Beauvrai i inni. Miała miejsce już jedna pomniejsza ceremonia - przynajmniej oni odebrali ją jako pomniejszą - a on urósł przez to w siłę. Nie chcę cię straszyć, Madelaine, lecz nie wolno ci mieć nic wspólnego z kimkolwiek z Kręgu Saint Sebastiena. A to obejmuje i młodego Chateaurouse.

- Chateaurouse? To tylko głupi dandys - powiedziała z naciskiem. - Tak tylko ci się zdaje, moja droga. Ale twoja dusza zawsze podpowie ci co innego.

Wpatrywała się w niego nic nie rozumiejąc.

- Twoja dusza jest jak jasny i lśniący miecz, który zawsze przedrze się przez kłamstwo i sięgnie prawdy. Nie poddawaj tego w wątpliwość, Madelaine.

- Wiem, co moja dusza podpowiada mi teraz - wyszeptała, lecz Saint-Germain zdał się tego nie słyszeć.

- Powiedz mi - bezwiednie wpatrywał się w płomienie - co czujesz, gdy rozmawiasz z Chateaurousem, gdy on do ciebie przemawia?

Wzdrygnęła się.

- To, co czuje zapewne kwiat, gdy pełza po nim wielki robak.

- Właśnie - westchnął.

- Lecz - zaprotestowała, wstrząśnięta własnymi słowami. - On jest niczym. Niczego nie zrobił...

- Nie lekceważ żadnego z nich, dziecko. Bo inaczej to może doprowadzić cię do upadku. Madelaine przyglądała się uważnie swoim dłoniom.

- A ty? Czemu miałbyś troszczyć się o to, co stanie się ze mną? Dlaczego mnie ostrzegasz? Odwrócił się do niej, nie odważając się jednak spojrzeć w

jej piękną twarz i oczy, w których pojawiło się zrozumienie.

- To nieważne.

- Jeśli mi nie powiesz, dojdę do wniosku, że chodzi tu o mnie samą. Nagle jego oczy, teraz pełne uczucia, napotkały jej spojrzenie. Postąpił o krok.

- Twoje życie jest takie pogodne i tak przerażająco krótkie, że nie sądzę, bym mógł znieść skrócenie go o choćby jedną godzinę... Wstała, jej policzki okryły się bladością.

- Saint-Germain!

Zaśmiał się cicho i oparł z powrotem o stół, krzywiąc usta w autoironicznym uśmiechu.

- Nie, nie musisz się mnie bać. Nie znajduję radości we wzbudzaniu lęku groźbą napaści. Od ponad pięciuset lat nie narzuciłem się kobiecie, a i wtedy miało to miejsce w innym sensie, niż myślisz.

W pokoju zapadła martwa cisza. Trójramienne świeczniki migotały, zalewając pomieszczenie bursztynowym blaskiem dwudziestu jeden świec.

- Pięćset lat? - Madelaine próbowała wypowiedzieć to kpiącym tonem, lecz drwina uwięzła jej w gardle. - To ile masz lat?...

- Nie pamiętam - powiedział, ponownie się od niej odwracając.

- Byłem już stary, gdy Cezar zasiadał w Rzymie, słuchałem nauk Arystotelesa, a Akhenaten słał podobieństwo posągu, który zamówiłem w Amarna, dla jego ukochanej Nefretiti. Nikt nie znalazł jeszcze ruin tego miasta, lecz ja chodziłem jego ulicami, gdy było jeszcze młode.

- I nigdy nie umarłeś? - czuła, jak ręce grabieją jej, gdy wypowiadała te słowa.

- Kiedyś zapewne mi się to zdarzyło. Dawno temu. Nie pamięta Z pewnością widziałem jednak dość śmierci, by wiedzieć, jak kruche i cen jest życie.

Madelaine poczuła, jak łzy napływają jej do oczu. W jego słowach było tył samotności i bólu. Serce ścisnęło się jej z żalu nad tym niesamowitym mężczyzną.

- Och, nie lituj się nade mną! Zaznałem nie tylko bliskości śmierci. Zdarzało się zapewne i tak, że popadałem w szaleństwo, a wówczas kąpałem się we krwi. Był czas, że potrzebowałem okrucieństw wojny. Pamiętam rzymski cyrk i wstrząsa mną na te wspomnienia. Całkiem niedawno, gdy wróciłem na jakiś czas do ojczyzny, upajałem się odbieraniem życia innym ukrywając się pod maską patrioty - znów na nią spojrzał. - Widzisz więc że szacunek, który żywię dla ciebie i twego krótkiego życia, został drogo okupiony.

- Czy aż tak jesteś nieszczęśliwy, Saint-Germain? - wyszeptała, lecz on ciągnął dalej.

- Piję eliksir życia i dzięki temu nie umieram. Nie mogę umrzeć - dotknął dłonią koronkowej kryzy wokół szyi i przesunął palcami po tkwiącym tam rubinie.

- I przeżywszy tyle stuleci wciąż jeszcze znajdujesz dla mnie choć cień zainteresowania? - w jej głosie brzmiało szczere zdziwienie. Czują bowiem, iż lęk zniknął bez śladu.

- Oczywiście - słysząc to łagodnie wypowiedziane stwierdzenie, spojrzała na niego, dostrzegając w pięknej twarzy hrabiego coś, co czasem dawało się zauważyć w markowej porcelanie czy delikatnym papierze- rodzaj półprzezroczystości, która mówiła więcej o jego wieku, niż mogłyby powiedzieć zmarszczki. - Gdy byłem młody - rzekł - uważano mnie za wysokiego. Teraz mój wzrost jest mniej niż przeciętny. Za czterysta czy pięćset lat będę po prostu karłem.

Podszedł do niej, a gdy dzieliła ich tylko długość wyprostowanego ramienia, sięgnął i dotknął dłońmi jej twarzy.

- Saint-Germain - wyszeptała i uniosła ręce, by objąć jego dłonie.

- Nie kuś mnie, Madelaine. Nie wiesz, czego pragnę... - odstąpił od niej opanowany. - Chodź, zaprowadzę cię do ciotki. - Jego maniery były znowu nienaganne, pilnował dystansu między nimi. - Pamiętaj, co powiedziałem ci o Saint Sebastienie. Bądź ostrożna. Będę cię strzegł, lecz twój własny

rozsądek będzie dla ciebie najlepszą ochroną. I nie bądź zbyt dumna, by poprosić o pomoc.

Znów ujęła jego dłoń.

- Ten eliksir życia - powiedziała, wpatrując się w jego oczy. - Jak go zdobywasz?

Pozostał na dystans, lecz podziwiał jej odwagę. Tak niewiele by trzeba, gdyby chciał ją teraz zdobyć.. Pomyślał jednak o ewentualnych konsekwencjach i postarał się stłumić tę tęsknotę.

- Spijam go - powiedział szorstko. - Spytaj Lucienne Cressie.

- Tak myślałam -przypadła. - Czy to ty jesteś sprawcą jej choroby?

-Nie - jego głos był stłumiony, lecz pełen uczucia. Uwolnił swą dłoń. - Wezwała mnie, nie mając nikogo innego. Gdyby ten ktoś był, nawet bym się do niej nie zbliżył.

- Czy ona wie, że ty ty?

-On miewa sny, moja droga - zaśmiał się Saint-Germain. - Piękne, słodki sny, w których rozkwita na chwilę. Potem przychodzi ranek i wszystko znów wraca do normy.

Siostry mówiły mi o nocnych zmorach, o diabelskich stworach, które pozbawione są życia, lecz nie są też martwe, a które piją krew chrześcijan, unosząc w swych nieczystych objęciach ich dusze. Lecz ty mówisz, że La Cressie jest wtedy szczęśliwa?

Przeklinał siebie za czułość, jaką okazał Madelaine.

- Pozornie - powiedział sucho. Wstydlivy, nieco chytry uśmiezek przebiegł po jego twarzy.

- Saint-Germain, jedno z ogniw mego łańcuszka jest pęknięte - powiedziała, dotykając naszyjnika. - Mam ranę na szyi. Krwawię.

Jego oczy mimowolnie powędrowały ku jej szyi. Dostrzegł małą plamkę krwi.

- Nie proponujesz mi owcy czy konia? - chciał, by te słowa zabrzmiały nonszalancko, lecz bardziej przypominały wymówkę.

- Dopiero, gdybyś chciał więcej, niż sama posiadam. Raz jeszcze się roześmiał, lecz tym razem radośnie.

- Nie potrzeba mi więcej, niż mieści się w kieliszku do wina - przerwał, patrząc jej w twarz. - Lecz niesie to ze sobą pewne ryzyko - dodał szybko.

- Jakże? - uśmiechnęła się; radosne iskierki jarzyły się w jej fiołkowych oczach.

- Jeśli wypiję zbyt dużo... - podszedł do niej i dotknął jej ramion. Jego głos był bardzo cichy. - Jeśli wpiję się zbyt głęboko lub będę robił to zbyt często, staniesz się taka jak ja. Po swej śmierci, naturalnie. Będziesz uważana za istotę nieczystą i bezbożną, będziesz zwierzyną tropioną przez różnych szaleńców i cały świat będzie tobą gardzić.

- Tobą nikt nie pogardza - zauważyła.

- Bo nauczyłem się żyć.

- Lecz raz z pewnością możesz upić bez szkody - nalegała. Jej twarz rozjaśniona była radosnym pragnieniem. - Saint-Germain, proszę...

- Wciąż jeszcze mogę cię odprowadzić do ciotki.

- Nie, hrabio - podeszła do drzwi i zagroziła drogę. - Nie rozumiem, jak kobieta może cenić honor wyżej niż miłość, trzymając się na dodatek tego honoru w sposób zupełnie pozbawiony konsekwencji. Wiem już coś o tym. Skoro muszę żyć jak ciotka, to niech poznam - przynajmniej teraz - co znaczy, być kochaną.

Tym razem uśmiech, który rozjaśnił jego twarz był zupełnie inny. Madelaine czuła jak serce biło jej coraz mocniej, gdy podchodził do niej. Wprawne ręce rozpięły zamek jej naszyjnika, pozwolił mu upaść na podłogę.

- Cóż, zdecydowałaś się?

Dłonie Saint-Germaina ogrzewały ją teraz prostymi, rozkosznymi pieściami. Pewnie i łagodnie odszukały słodki ciężar jej piersi, unosząc je i zmagając się z gorsetem. Saint-Germain czuł, jak wzbierają w jego dłoniach. Wziął ją w objęcia, całując powieki, usta, a potem, z przyprawiającą niemal o zawrót głowy rozkoszą, przyssał się do jej szyi.

Madelaine wydała przyciszony okrzyk triumfu i mocniej objęła go ramionami, poddając się bez reszty jego pocałunkom.

Wyjątek z listu kontessy d'Argenlac do jej męża, hrabiego d'Argenlac; datowane 14 października 1743:

*(...) I tak więc, mój drogi mężu, ufam, że będziesz towarzyszył mi w tych przygotowaniach, o których wspomniałam. Listopad będzie ponury i wszyscy z radością powitają pomysł przyjęcia, które planuję.*

*Zdaję sobie sprawę z tego, jak drogie są ci twoje cieplarnie, lecz liczę bardzo na dowód twego dla mnie uczucia, którym byłyby świeże owoce dla gości. Szczególnie twoje morele są zazwyczaj bardzo chwalone i podziwiane.*

*Wynajęłam królewski zespół tancerek, a Saint-Germain obiecał skomponować nowe utwory wokalne dla Madelaine. Powiedział, że skoro La Cressie ciągle jeszcze przebywa w łóżku, to rozważy możliwość osobistego akompaniowania Madelaine na fortepianie lub gitarze. Madelaine jest oczywiście zachwycona, a ja wiem, że będzie to występ, który wzbudzi duże zainteresowanie.*

*Twój nagły wyjazd bardzo mnie zdziwił, a jego powody zasmuciły mnie. To przykre, że popadłeś w takie kłopoty finansowe. Gdybyś powiedział mi o tym wcześniej, wówczas mogłabym coś zaradzić. Zagwarantowałam częściowo spłatę twego długu wobec Jueneporta, co trochę ułatwi ci rozwiązanie tego problemu, przynajmniej w tej chwili. Pozwól, że raz jeszcze wezwę cię do porzucenia hazardu, który tak fatalnie odbija się na twoim dobrym imieniu i interesach. Twój zarządca powiedział mi, iż skończyła się już możliwość obciążania hipotecznego twoich dóbr. Do czasu naszej wczorajszej rozmowy nie znałam stanu twojej hipoteki. Proszę, ujawnij przede mną wszystkie twoje długi, a ja naradzę się z moim bratem i moim zarządcą, jak załatwić ich spłatę lub odroczenie. W każdym innym przypadku będę pełna obaw, iż może zagrozić ci proces sądowy i znaczny wyrok.*

*Wypatruję twego powrotu, drogi mężu, i czekam, kiedy znów będę miała okazję ujrzeć cię. Pozostaję tymczasem twoją posłuszną i kochającą cię żoną*

*Claudia de Montalia Kontessa d'Argenlac*

## . 8 .

- Ty przekłety idioto - powiedział cicho Saint Sebastien przydając się pogardliwie Jacquesowi Eugene Chateaurouse. - Wiedziałeś, że ona nie lubi pustych komplementów i słodkich słówek.

- Jak miałem to zgadnąć? Nie ma jeszcze dwudziestu lat; wyrosła na wsi, nauczyły ją siostry zakonne. Moje maniery powinny ją olśnić. Wiesz, że dotąd to skutkowało - Chateaurouse podniósł jedną z leżących na biurku książek i zaczął ją niezgrabnie wertować. - Odłóż to - rozkazał Saint Sebastien i poczekał, aż Chateaurouse wykona polecenie. - Nie chcę słyszeć żadnych usprawiedliwień. Nie jestem przygotowany na myśl o porażce, szczególnie w tym przypadku. Czy rozumiesz, że musimy mieć tę dziewczynę do czasu zimowego przesilenia? Chateaurouse był coraz bledszy.

- Mówiłeś mi, i wierzę ci, lecz to było o wiele trudniejsze, niż sądziłem.

Nie jest taka, jak oczekiwałem.

- Prosiłem cię, byś się nie usprawiedliwiał. Jeśli będziesz dalej tak postępował, to mnie zirytujesz.

Saint Sebastien wstał i ruszył przez bibliotekę, zamiatając podłogę szlafrokiem ze szkarłatnej tkaniny. Staął na chwilę, kontemplując półkę z pracami greckich filozofów i rzymskich poetów.

- Spróbuję raz jeszcze, jeśli sobie życzysz. Podejdę do niej inaczej - powiedział żywo Chateaurouse, zbliżając się do Saint Sebastiena.

- Nie kazałem ci podchodzić do mnie - przypomniał mu uprzejmie Saint Sebastien. - Musisz nauczyć się, że jedną z reguł, które obowiązują w Kręgu, jest Reguła Posłuszeństwa. Jeśli nie umiesz tego pojąć, to zostaniesz wykluczony w sposób opisany w kontrakcie, który podpisywałeś przyłączając się do nas.

Chateaurouse oblał się szkarłatem.



- Ja... nie wiem... co chcesz przez to powiedzieć - wyjąkał.

- Co za nieudolne kłamstwo, panie Jacques Eugene - stwierdził Saint Sebastien. - Niemniej, przypomnę ci. Jeśli złamiesz Regułę Posłuszeństwa, zostaniesz przeklęty przez Krąg i wygnany z naszych szeregów. Abyś nie mógł nam szkodzić słowem, zostanie ci ucięty język. Abyś nie mógł wystawić przeciw nam świadectwa, zostaną ci odrąbane ręce. Abyś nie mógł nas rozpoznać, zostaną ci wyłupione oczy, potem przez jedną noc pozostaniesz jeszcze na łasce miłosierdzia Kręgu, po czym pozostaniesz nagi na drodze za miastem, gdzie umrzesz lub żyć będziesz dalej, jak los da - podczas tej recytacji Saint Sebastien stał spokojnie z dłońmi złożonymi pod brodą zupełnie jak do modlitwy. - Ufam, że przypomnisz sobie teraz, na czym polegają twe zobowiązania?

Chateaurouse spróbował przywołać na twarz przymilny uśmiech. - Nie mówiłem tego poważnie. Jestem tylko sfrustrowany. Nie chciałem zawieść z tą dziewczyną. - Nagle przyszedł mu do głowy jeszcze jeden pomysł i dorzucił w natchnieniu: - Byłem skrepowany, gdyż był tam też Saint-Germain.

- Ten pozer! - warknął Saint Sebastien, odwracając się nagle. - Ot czający się atmosferą tajemnicy, roszcący sobie prawo do nieśmiertelność - zapatrzył się w ogień, który płonął w palenisku i wypełniał biblioteki czerwoną poświatą. - Przeszkadza mi. Przeszkadza mi na swoją zgubę!

Chateaurouse przestraszył się nagle tego chudego, złego człowieka, który wpatrywał się w niego zimnymi, pełnymi potępienia oczami.

- Co z nim zrobimy? Czy chcesz, bym uwolnił cię od niego?

W oczach Saint Sebastiena pojawił się błysk czegoś, co zawierało przeogromny ładunek nienawiści, lecz błysk ten zniknął, zanim Chateaurouse nabrał pewności, że w ogóle go spostrzegł.

- Tak - powiedział Saint Sebastien, cedząc każde słowo. - Tak, wolno ci uwolnić mnie od niego. Chcę, by zniknął. Lecz nie chcę, by Krąg został w to w jakikolwiek sposób zamieszany. Rozumiesz? Możesz wymyślić jakiś

pretekst, by go wyzwać, możesz też wynająć zbirów, by go zamordowali, możesz go skompromitować, lecz w żadnym przypadku nie może pojawić się najlichsza nawet plotka, że ktokolwiek z Kręgu czy sam Krąg ma z tym coś wspólnego.

- Dobrze - Chateaurouse przełknął nerwowo ślinę.

Saint Sebastien obszedł pokój dookoła. Zagłębił się w myślach, ręce złożył z tyłu. Zatrzymał się przy wysokim oknie, które wychodziło na bujnie rozrośnięty ogród. Ten zwykle poruszający widok był dzisiaj zeszpecony przez pierwszy październikowy deszcz; posępne, nisko zwieszające się chmury okryły swym ołowianym całunem cały Paryż.

Mimo panującej na zewnątrz szarugi, Saint Sebastien uśmiechnął się lekko. Odwrócił się i stanął twarzą w twarz z Chateaurouse.

- Hrabia d'Argenlac uwielbia hazard, jak wiem?

- Tak - odpowiedział zaintrygowany Chateaurouse.

- I siedzi po uszy w długach, tak?

- Istotnie. A jego posiadłości obciążone są hipoteką. Nie przyznaje się do tego, lecz jest całkowicie zależny finansowo od swojej żony. Saint Sebastien odetchnął z zadowoleniem.

- Dobrze. Wspaniale. Komu winien jest pieniądze?

- Wszystkim - powiedział Chateaurouse z pogardą. - Gdy chodzi o karty czy ruletkę, to gorszy jest niż pijak. Sam widziałem jak w godzinę potrafił przegrać dwadzieścia tysięcy ludwików.

- Znacząca suma. Nic dziwnego, że znalazł się w takich kłopotach. Czy nie wiesz, jak on odbiera to wszystko? Jaki jest jego stosunek do zależności od żony?

- Mierzi go ten związek. Czasem wydaje mi się - ciągnął Chateaurouse w przyпіlywie natchnienia - że doprowadza się do ruiny tylko po to, by i ją przywieść do nędzy.

- A zatem może chciałby pozbyć się części kłopotów w zamian za szansę dokonania zemsty na małżonce poprzez jej protegowaną - zastanowił się

Saint Sebastien, a jego uśmiech był coraz bardziej złowieszczy.

- Czy pragniesz, by La Montalia znalazła się wśród nas na złość jego żonie? - w pierwszej chwili Chateaurouse nie dowierzał, lecz gdy mówił te słowa ujrzał misterność całego planu. Przytaknął. - Sądzę, że może nam pomóc, jeśli podejść do niego właściwie.

Saint Sebastien opadł na niski, turecki taboret.

- Komu winien jest najwięcej?

Chateaurouse też by chętnie usiadł, lecz nie śmiał. Zadowolił się wsparciem ręki na obramowaniu kominka i skrzyżowaniem nóg. Ubrany był jak do konnej jazdy, poły jego długiego surduta, tak z przodu, jak i z tyłu, odwinęte były i przymocowane na wysokości bioder, co nie tylko ułatwiało samą jazdę, lecz odsłaniało podszewkę ze złotego i czarnego samodziału i gustowne, jeździeckie bryczesy. Muślinowy szalik zakończony był belgijskimi koronkami i prócz zdenerwowanego wyrazu twarzy, wszystko co nosił, godne było arystokraty najwyższej klasy.

Palce Saint Sebastiena stukały złowieszczo po poręczu stołka.

- Wiesz, czy będziesz musiał się dowiedzieć? Jeśli to drugie, to przed zmiernem masz dostarczyć mi pełną listę.

- Nie, nie, to nie tak - powiedział pospiesznie Chateaurouse. - Zaskoczyłeś mnie po prostu. Sądzę, że najwięcej d'Argenlac winien jest Jueneportowi. Jego żona uregulowała dziś kilka długów, nie sądzą, by wszystkie. Ta suma musi być większa, niż przyznaje się do tego d'Argenlac. - Zastanowił się przez chwilę. - Przypuszczam, że chodzi o posiadłość w Anjou. Nie jestem pewien, lecz chyba Jueneport ma jakiś weksel właśnie na ten majątek i jak na razie nic nie świadczy o tym, by d'Argenlac był w stanie go wykupić.

- A chciałby? - Saint Sebastien założył nogę na nogę, wyraz zadowolenia powrócił na dobre na jego oblicze.

- Och tak, jestem tego pewien - Chateaurouse ominął spojrzeniem zimne i okrutne oczy Saint Sebastiena. - To właśnie w tym majątku ma swoje cieplarnie. Sądzę, że gdyby musiał je oddać, chybaby go to zabiło.

- Dobrze - powiedział Saint Sebastien z rozmarzeniem w głosie.

- Jest jeszcze jedno. Drobiazg wobec sprawy Jueneporta, lecz też ma swoją wagę. De Vandonne posiada weksel na klejnoty. Nie wiem, jak wygląda to dokładnie, może zresztą de Vandonne tylko się przechwalał i nie powiedział mi całej prawdy, ale... Saint Sebastien wzruszył ramionami.

- To nie ma znaczenia. Najpierw zadziałamy przez Jueneporta, a gdyby to nie dało rezultatu, dopiero wtedy porozmawiamy z de Vandonne.

Rozległo się stukanie do drzwi. Saint Sebastien kazał wejść. W uchylonych drzwiach pojawił się Tite, służący Saint Sebastiena.

- O co chodzi, Tite?

- Przyszedł La Grace, mon baron. Pragnie z panem rozmawiać. Mówi, że to pilne. Saint Sebastien spojrzał na służącego, jakby go oceniał.

- Nie przywykłem, by ktoś taki, jak La Grace stawiał mi jakiegokolwiek żądania. Ufam, że powiedziałaś, iż go nie przyjmę?

- Nie, nie zrobiłem tego. Byłem pewien, że zechce pan z nim rozmawiać. - Tite wszedł do pokoju i czekał.

- A to niby czemu? - spytał Saint Sebastien odsuwając gestem Chateaurouse'a na bok.

Tite podszedł godnie do Saint Sebastiena i wyciągnął rękę. Gdy rozwarł pięść, oczom Saint Sebastiena ukazał się nie szlifowany, błękitny diament o rozmiarach kurzego jaja.

Baron wyprostował się nagle, a Chateaurouse zaklął.

- Mówi, że gildia czarowników uzyskała sekret produkcji diamentów. Darował im to ktoś, kto podaje się za księcia Rakoczego z Transylwanii.

- To jest prawdziwe? - spytał Chateaurouse patrząc z przestraszeniem na wielki kamień.

- La Grace twierdzi, że te kamienie wytwarza się w piecu alchemicznym, athanorze. Niemniej, jak widać, nawet jeśli ten kamień nie jest prawdziwy, człowiek ów dysponuje potężnym sekretem - Tite spojrzał na swego pana, lecz ten wpatrywał się właśnie w ogień i milczał. W końcu się odezwał:

- Wprowadź go do błękitnego salonu, Tite, i powiedz, że zaraz do niego przyjdę. Chcę wiedzieć jak najwięcej o tych kamieniach.

Tite skłonił się i wyszedł, a zanim zamknął drzwi, na jego twarzy pojawił się cyniczny grymas.

- No i...? - zapytał impulsywnie Chateaurouse, gdy zostali sami.

- Książę Rakoczy. Książę Rakoczy. Gdzie ja słyszałem to nazwisko?

- Saint Sebastien spojrział na zasznute deszczem okno. - Chyba znam to nazwisko...

- Co z klejnotami? - przerwał mu Chateaurouse. - Czy La Grace zdradzi nam sekret?

- Z pewnością - głos Saint Sebastiena brzmiał pewnie. - Tak czy inaczej, poznamy ten sekret. - Uniósł się z taboretu i podszedł do regałów.

- Chcę, byś poprowadził sprawę z Jueneportem i d'Argenlac. Ta dziewczyna jest moja. Została mi obiecana zanim jeszcze się narodziła i nie wypuszczę jej z rąk. Powierzam ci tę sprawę i przypominam, że nie zaakceptuję porażki. Usuń Saint-Germaina z naszej drogi i rozprosz obawy ciotki. Wtedy dziewczyna zostanie nam podana jak na tacy.

Chateaurouse skłonił się głęboko. Saint Sebastien był już prawie przy drzwiach, gdy odwrócił się jeszcze i powiedział cicho:

- Jeśli coś ci się nie uda, pożałujesz tego bardziej, niż jesteś w stanie sobie to wyobrazić, - po czym wyszedł, zostawiając Chateaurouse'a samego i zziębniętego, mimo, iż stał tuż przed kominkiem.

Tekst dokumentu napisanego po łacinie na arkuszu pergaminu, zamkniętego w szkatułce w bibliotece Saint Sebastiena; datowane 19 sierpnia 1722:

*W imię Asmodeusza, Beliala i Asztoretha, na Ślubowanie Kręgu i Przysięgę Krwi, na Regulę i na Znak.*

*Ja, Robert Marcel Yves Etienne Pascal, markiz de Montalia, obiecuję Kręgowi i*

jego przywódcy, baronowi Clotaire de Saint Sebastien, że przy narodzinach mego pierwszego dziecka naznaczę to dziecko do służby Kręgowi w sposób, jaki sobie tylko Krąg zażyczy.

Przyznaję, że obecnie jestem kawalerem, zaręczonym z Margaret Denize Angeliq̄ue Ragnac i zaświadczam, że każde dziecko zrodzone z tego związku zostanie przeze mnie uznane za moje i zostanie moim spadkobiercą, jeśli okaże się być płci męskiej.

Gdybym złamał ten kontrakt w jakikolwiek sposób, niech to co zyskałem, zostanie przeze mnie utracone, a wiem, iż ani morze, ani ląd, ani niebiosy nie będą dla mnie wystarczającym schronieniem przed gniewem i zemstą Kręgu i Potęgi Szatana, który panować będzie po wsze czasy. Podpisuję to świadomie i czynię ważnym od dnia dzisiejszego po kres mego życia i poza ów kres, lub do czasu, gdy moje pierwotne dziecko ukończy wiek lat dwudziestu jeden, bez oddania się na służbę Kręgu. Przysięgam to na umartwienie ciała i Ryty Krwi.

Robert Marcel Yves Etienne Pascal Markiz de Montalia

# CZĘŚĆ DRUGA

## MADELAINE ROXANNE BERTRANDE DE MONTALIA

Wyjątek z listu Ojczulka Ponteneufa do jego kuzyna, markiza de Montalia; datowane 16 października 1743:

*(...) Miałem to szczęście usłyszeć twą córkę, gdy śpiewała kilka utworów z gitarowym akompaniamentem Saint-Germaina. Ćwiczyli właśnie przed przyjęciem u twojej siostry, a Madelaine była tak miła, że zaprosiła mnie, bym posłuchał. Wyznaję, iż nie jestem specjalnym miłośnikiem gitary - brakuje jej subtelnych tonów lutni i nie ma niebiańskiego brzmienia harfy. Przyznaje jednak, że Saint-Germain grał pięknie, a muzyka, którą skomponował, w pełni ukazuje możliwości głosu Madelaine. Zapoznałem się z tekstami tych utworów i mogę przyznać, że zawarte w nich uczucia są w pełni do zaakceptowania tak dla mnie, jak i, przypuszczam, dla ciebie. Jest sporą zasługą Saint-Germaina, iż nie gustuje on w modnych obecnie dysonansach i ogólnej zgrzytliwości melodii. Wręcz przeciwnie, często wraca do starych wzorów, nawet do współbrzmień modalnych sprzed kilku stuleci.*

*Zdarza się od czasu do czasu, przez przypadek, że Madelaine styka się gdzieś z Beauvrai czy Saint Sebastienem, zawsze jednak na gruncie towarzyskim, i chociaż godne to jest pożałowania, uniknąć się tego, bez skandalu, niestety, nie da. Mogłoby nawet zaszkodzić, powstawać zaczęłyby bowiem plotki, które nie pozostałyby bez szkody dla szans Madelaine na korzystny związek. Pozwoliłem sobie ostrzec ją ogólnie przed Saint Sebastienem i Beauvrai, sugerując, iż ich pozycja społeczna doprowadziłaby do okrycia hańbą jej imienia, gdyby ją z nimi ujrzano. Nie sądzę, by mądrym było odśłaniać całą prawdę o sprawie - taka wiedza mogłaby łatwo uczynić skazę na jej niewinności, która to niewinność czyni ją tak szczerze podziwianą.*

*Twoje zapytania w liście z ósmego, a dotyczące religijnych praktyk Madelaine są naturalne. Mam zaszczyt zawiadomić cię, iż nie ma żadnych powodów do obaw o jej*



duszę. Jest dobra, czysta i miła. W niedziele i piątki bierze udział we mszy, co wtorek i sobotę przystępując do spowiedzi. Jej pobożność jest szczerą, a wiara prawdziwą, tak jak ty mnie o tym zapewniałeś.

Twoje zaniepokojenie postacią Saint-Germaina również okazało się być bezpodstawne. Zapytana o niego, Madelaine odpowiedziała, iż znajduje jego zainteresowanie pochlebającym oraz że dodaje jej to splendoru towarzyskiego, lecz związek z mężczyzną w jego wieku nie wchodzi w grę. By być dwakroć pewnym, rozmawiałem także z Saint-Germainem. Był szczodry w obsypywaniu Madelaine pochwałami, zachwalał jej głos i błyskotliwy umysł, lecz nie znalazłem w tym nic z typowej dla kochanka afektacji. W rzeczy samej, nie widziałem, by okazywał jej uwagę większą, niż innym damom, może oprócz kwestii muzykowania, co łatwo zrozumieć. Równie ugrzeczniony był dla Mme Cressie, zanim nie zapadła ona nie tak dawno na jakąś ciężką chorobę. Pewien bądź, mój drogi kuzynie, że twoja córka nie straciła głowy dla Saint-Germaina i wcale jej to nie grozi, podobnie jak nie grozi to jemu wobec Madelaine. Twoja córka obdarzona jest nieprzeciętnie lotnym umysłem i nie musisz obawiać się, iż zechce ofiarować swe serce niezgodnie z wolą rodziny. Gdy w naszych rozmowach starałem się wyłożyć jej na czym polegają ogólnie przyjęte zwyczaje, dała mi jasno do zrozumienia, iż świadoma jest swoich obowiązków i nie ma zamiaru się przed nimi uchylać. Jest rzeczą oczywistą, iż chciałbyś, by szanowała mężczyznę, który będzie jej mężem i by darzyła go uczuciem. Madelaine zapewniła mnie, że zdaje sobie z tego wszystkiego sprawę i na pewno odda swą rękę rozważnie i roztropnie.

Pozwól mi, mon cher Robert, raz jeszcze błagać cię byś pojednał się z Bogiem i Kościołem, albowiem dni ludzkie są policzone, a twoje życie pełne jest, jak dotąd, żalu. Błędy twe są już przeszłością, a twoja skrucha szczerą i gruntowną. Nie trać wiary w nieskończone miłosierdzie boskie i święte imię Matki Kościoła, miłszy jest bowiem Bogu ten, który zgrzeszy i czuje skruchę, kto zgubił swą drogę i wrócił na nią z powrotem z sercem pełnym nadziei, niżli ten, który bez żadnego błędu przepędza całe życie. Przystąp do spowiedzi, mój drogi kuzynie, i uczyni akt skruchy, tak, abyś znowu mógł przyjąć Komunię i znaleźć się między tymi, którzy smakowali Ciała i

*Krwi Chrystusa. Módl się do Dziewicy o wstawiennictwo. Powiedziałeś kiedyś, że twój grzech jest wielki, gdyż wyparłeś się Pana. Lecz Piotr zrobił to samo, a zaznaje chwały w niebie. Co Bóg przebaczył Piotrowi, to wybaczy i tobie. Daj mi swą obietnicę, że uczynisz to w końcu i przystąpisz do spowiedzi...*

*Możesz być pewien, że nieustannie strzegę twej córki i że bez wahania ukarzę ją, gdyby popełniła błąd lub gdyby poddała się pokusom. Zawsze ma moje egzorty, by ją prowadziły i żywoty świętych i męczenników, by dostarczały jej wzorów.*

*W imię Pana, którego wszyscy jesteśmy dziećmi i w oczach którego pozostajemy wszyscy braćmi, przesyłam ci moje błogosławieństwo i zapewnienie, iż zawsze wspominam o tobie w moich modlitwach. Zbawiciel bowiem, mon cousin, przychodzi do wszystkich. Pozostaję Twoim oddanym kuzynem.*

*L'Abbe Alfonse Reynard Ponteneuf Zakon Jezuitów*

# . 1 .

Gdy pióro zalało po raz trzeci, Madelaine odrzuciła je z obrzydzeniem.

- Co się stało, moja droga - spytała ją ciotka ze swego miejsca przy oknie. Były w największym z pokoi mieszkalnych, sporym salonie urządzonym nieco staromodnie, za to z sześcioma wielkimi oknami wychodzącymi na północ i na zachód. Zwykle czyniły one pokój jasnym i miłym, dziś jednak wlewała się przez nie melancholia rzadkiego i upartego jesiennego deszczu, któremu brakowało dostojności wielkiej ulewy.

Kontessa przesunęła bliżej okien swą ramę do haftu, tak by móc skorzystać w całości z mizernego światła pochmurnego dnia. Podniosła głowę, odruchowo pociągając włókno wełny.

- W czym kłopot, moja droga?

- To pióro! - Madelaine potrząsnęła gwałtownie głową. - Nigdy nie wypiszę tych wszystkich zaproszeń - popatrzyła na plik zapieczętowanych listów sporządzonych na pięknym, czerpanym papierze. - To dopiero pięćdziesiąte siódme, a razem jest ich ponad trzysta.

- Cóż - powiedziała kontessa kończąc ścieg - możesz wezwać Milana i przekazać mu to zadanie. To ty sama - zauważyła - zaoferowałaś mi swą pomoc w przygotowaniach do przyjęcia.

- Musiałam być chyba szalona - odsunęła się od stolika, przy którym pracowała. - Ach, ciociu, mniejsza z tym. Boli mnie głowa. To wizyta u generała wprowadziła mnie od rana w zły nastrój. Tak, jakby ktokolwiek dbał o austriacką sukcesję. Jakie to ma znaczenie, czy to Elektor Bawarii czy Fryderyk zasiada na tronie?

- Cóż - zaczęła jej wyjaśniać ciotka, nie przerywając sobie pracy nad gobelinem. - Widzisz, Madelaine, dopóki żył Fleury, mieliśmy wiele lat spokoju, czego generał nie cierpiał - przez chwilę zajęła się uważniej

przędzą, po czym mówiła dalej. - Teraz Fleury nie żyje, a kochanka króla lubuje się w wojnie - co jest z jej strony postępowaniem bardzo głupim, jak sądzę. Któregoś dnia będzie ją to kosztowało uczucie Jego Wysokości, wspomnisz moje słowa. Nauczyliśmy się wszyscy pogardzać Marią Teresą z Austrii, a teraz, gdy Anglicy ją popierają, oczywistym jest, że będzie musiało dojść do wojny.

- To głupie. Głupie, bez sensu i rozrzutne! - Madelaine podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. W nikłym świetle wyglądała pięknie: ciemne włosy podkreślały biel i gładkość jej skóry. Ubrana była prosto, w malowaną taftę, okrywającą prostą spódnicę z dziurkowanego płótna; tiurniura była bardzo skromna, nawet jak na domowy, ranny strój. Jej cienką kibić otaczała szeroka szarfa z różanego atłasu, zaś ramiona okrywał frędzlasty hiszpański szal, mający chronić od panującego w rezydencji chłodu. Szal związany był poniżej piersi. We włosy wpleciona była wstążka tego samego co szarfa koloru, która utrzymywała je w prostej, naturalnej fryzurze, przez co swobodne sploty spływały kaskadą na ramiona.

- Król pragnie, by świat wiedział, iż jest on królem samodzielnie sprawującym władzę, tak jak jego wielki dziad. To rzeczywiście głupie, w jego otoczeniu są naprawdę zdolni ludzie, którzy lubują się w rządzeniu i znają się na tym. On tymczasem nie znajduje żadnego upodobania w sztuce władzy. Boże mój - dodała, przerywając wątek - nie chciałam, by zabrzmiało to w sposób pozbawiony szacunku dla Jego Majestatu; jest on naturalnie świetnym monarchą. - Przez kilka minut, w ciszy, skupiła się na robótce. Potem zupełnie innym głosem powiedziała: - Nie martw się Madelaine. To przyjęcie będzie naszym sukcesem. Oszołomią cię komplementami i zainteresowaniem, jakie ci okażą. Bardzo możliwe, że cały następny dzień będziesz dochodzić do siebie i nie wyjdiesz nawet z pościeli.

- Och, ciociu, nie do tego zmierzam. Nie jestem w humorze. To ta pogoda. Obiecano poranną przejażdżkę, a tu ten deszcz... - odwróciła się nagle od okna i podeszła z powrotem do stołu.

- Ciężko jest siedzieć w domu, gdy chciałoby się pobyc na dworze- przyznała Claudia, oddzielając ostrożnie następne pasmo przędzy i przykładając je do płótna. - Jak irytujące - stwierdziła, zmieniając temat.

- Mogą sobie mówić, co chcą, lecz te motki pochodzą z dwóch różnych farbowań. Cóż, podejrzewam, że będę musiała się tym zadowolić, pracując wyłącznie nad tłem do czasu, aż będę miała okazje porozmawiać z właścicielem farbiarni - westchnęła i wyciągnęła z koszyka długi zwitek jasnoblękitnej przędzy.

Madelaine, która pochłonięta była pracowitym przycinaniem nowego pióra, słyszała tylko połowę z tego wszystkiego. Spojrzała krytycznie na kałamarz z atramentem i dołała do niego trochę wody.

- To mogło być to - powiedziała w próżnię. - Atrament zrobił się strasznie gęsty.

Sterna zaadresowanych zaproszeń urosła jeszcze o kilka pakiecików, gdy drzwi otworzyły się i do salonu wkroczył niespiesznie hrabia d'Argenlac. Jego elegancki strój zdradzał, iż musiał przybyć niedawno i dopiero co zdjął płaszcz podróżny. Był mężczyzną postawnym jak na swoje trzydzieści dziewięć lat, lecz w towarzystwie swej żony zachowywał się jak nadąsany chłopiec.

- Gervaise - powiedziała kontessa wstając na powitanie. Ucałował jej dłoń bardziej dla zachowania formy, niż z uczuciem.

- Dzień dobry, Claudio. Jak widzę, masz się dobrze - odwrócił się do Madelaine. - Proszę, obie macie zajęcie. Mam nadzieję, że cieszysz się Paryżem, mademoiselle - jego ton zdradzał, iż niczego bardziej nie pragnie, jak tego, by Madelaine wyszła.

- Paryż znajduję rozkosznym, lecz ten deszcz mnie nie cieszy - złożyła mu ukłon, jak wymagały tego dobre maniery, i poczuła się lekko urażona, gdy odpowiedział jej ledwie skinieniem głowy.

- Gervaise, drogi mężu, nie wolno ci zachowywać się w ten sposób. To jest moja bratanica, która bardzo cię poważa, a ty traktujesz ją, jak powietrze -

mówiąc to uśmiechnęła się, a Madelaine zauważyła, jak hrabia zacisnął usta.

.. proszę wybaczyć mi moje godne ubolewania zachowanie - powiedział ukłonem, który odpowiedniejszy byłby dla diuszessy.

- Hrabio - kontessa zdobyła się na zgubną szczerść - to nie Madelaine cię irytuje, ale ja. Wolałabym, żebyśmy porozmawiali na osobności. Jeśli chcesz wyładować swą złość, to zrób to na mnie, gdy będziemy sami, mój drogi. Mieszanie mojej bratanicy do naszych żalonych kłótni może tylko pogorszyć sprawę. Madelaine była już przy drzwiach.

- Wybacz mi, ciociu. Widzę, że ty i twój mąż macie wiele do omówienia, zostawię was zatem samych. Gdy będziesz mnie potrzebowała, wystarczy wysłać do biblioteki. Kontessa uśmiechnęła się do niej z widocznym zaniepokojeniem.

- Dobrze. Niestety, ale masz rację, moja droga. Muszę przez chwilę porozmawiać z mężem. Wiem, że lubisz czytać. Nie będę zatem przepraszać cię za ten rodzaj odosobnienia.

Gdy tylko suknia Madelaine zaszeleściła po drugiej stronie drzwi, kontessa zamknęła je dokładnie i z zamierającym sercem odwróciła się, by stanąć twarzą w twarz z mężem.

- Moje gratulacje, madame - powiedział hrabia z twarzą oblaną rumieńcem. - Nawet powitać mnie nie możesz bez okrywania mnie hańbą. Claudia niechętnie podeszła ku niemu.

- To nie ja znieważyłam Madelaine. Lecz mniejsza z tym. To nie o nią ci chodzi. - Mimo wszystko wyciągnęła do niego ręce. - Ach, Gervaise, dlaczego mi nie wierzysz? Dlaczego już dawno nie powiedziałeś mi, co się z tobą dzieje?

- Żebyś mogła żałować mnie głośno? Nie, dziękuję, Claudio. Więcej jest we mnie dumy, niż sądzisz - wybrał sobie jedno ze starych krzesel stojących przy kominku i opadł na nie ciężko.

- Jasne, że masz swą dumę - kontessa była lekko wyprowadzona z równowagi. - I zaiste, musi być przykrym dla ciebie, który nigdy nie

studiował ekonomii, robić to teraz pod przymusem. Lecz musisz w końcu zrozumieć, że jesteś w bardzo poważnych kłopotach.

- Już nie - uniósł rękę. - To, jak zarządzam moimi sprawami, nie ma nic wspólnego z twoimi. Zbliżyła się do niego znowu i opadła przy nim na kolana, spoglądając w górę zasmuconymi oczami.

- Lecz niepokoję się, Gervaise. Jeśli nie zdołasz spłacić swoich długów, co może się zdarzyć skoro twoja fortuna jest wyczerpana, król zarządzi, by na ten cel przekazany został mój majątek.

Hrabia przytaknął gwałtownie.

- Teraz już wiemy. Teraz wiemy. Twój cenny majątek przepadnie. Nie znaczyło to wszystko nic dla ciebie, jak długo twoja fortuna była niezagrożona - odepchnął jej rękę.

- To nie tak - powiedziała cicho, czując bliskość łez. - Gervaise, proszę. Nie możesz nas zrujnować. Pomyśl tylko, co to oznacza. To nie tylko twoje dobra i ten dom możemy stracić...

- Podobałoby ci się, gdybyśmy stracili dobra, co? Zawsze chciałaś, bym popadł w ruinę. W ten sposób zatrzymasz mnie w domu na każde twoje skiniecie, do usług na każde zawołanie; nędzny wypierdek salonowy. Żadnych łez, madame, jeśli można prosić.

- Dobrze - powiedziała Claudia podnosząc się. - Oto jesteś w domu od mniej niż godziny - bo nie upłynęła jeszcze godzina, prawda? - i już się kłócimy, i to o tak bezsensowne sprawy - ścisnęła dłonie, by opanować ich drżenie. - Czy wiesz, co to znaczy, być biednym, Gervaise? - dodała po chwili. - Czy możesz mi powiedzieć, jak będziemy wtedy żyli? Co się z nami stanie? Nie?

- Robisz się melodramatyczna, Claudio - warknął, lecz bez przekonania.

- Wiosną widziałam Lorraine Bressin - powiedziała pozornie bez związku. - Obejrzałam jej mieszkanie. Nie dość było złego, że Bressin doprowadził ich do bankructwa. Nim się zabił, upewnił się jeszcze, że jego rodzina w żaden sposób nie pomoże Lorraine. Obie jesteśmy w tym samym wieku, a ona

wygląda teraz na pięćdziesiątkę. Jej włosy są siwe, nosi gorsze suknie niż moje pokojowe. Jej dwie córki - pamiętasz je? Nie mają wychowania ani wykształcenia, nie mają niczego, prócz urody i wygadania, zostały zabrane przez sutenerów. Córki wicehrabiego de Bressin są zwykłymi kurwami, Gervaise - dokończyła ze stłumionym łkaniem.

- Cóż, o to martwić się nie musisz, madame. Nie mamy córek, ani synów, jeśli już o to chodzi, by mogły zostać sprzedane do burdelu. Tak więc, jeśli przepuścimy nasze fortuny, nie skrzywdzimy tym nikogo, prócz siebie samych - ruszył do drzwi. - Powstrzymaj swe łzy, to ponad moje siły Claudio. Już dość źle się stało, że usiłowałaś mnie ratować. Mieć cię łkającą, to więcej, niż mogę znieść - otworzył drzwi i stał przez chwilę w progu, obserwując kontesę. - Przypuszczam, że powinienem ci podziękować za spłacenie moich długów. Lecz jeszcze bardziej będę wdzięczny, jeśli w przyszłości pozwolisz, bym sam zajmował się moimi sprawami.

- Jak sobie życzysz, Gervaise - powiedziała napiętym głosem. Stała wyprostowana i odwzajemniała mu spojrzenie.

- Wychodzę. Nie spodziewaj się, że zasiądę dziś z tobą do obiadu - jej widok dostarczał mu satysfakcji. Claudia zakryła twarz dłońmi i zapłakała. - Miłego dnia, madame.

Zaraz po zamknięciu drzwi, Gervaise ruszył przez sień ku pomieszczeniom przy stajni. Rozmowa z żoną dostarczyła mu sporo satysfakcji, miał jednak pewne wątpliwości. W rzeczy samej, nie wiedział, jak ma ratować żalosne resztki swego majątku. Otrzymał ostatnio kilka nad wyraz niepokojących listów od swego zarządcy, lecz nie odważył się przyznać do tego. Nie odważył się też przyznać żonie racji, iż słusznie postąpiła spłacając z jego długów tyle, ile była w stanie. Zaklął i zatrzymał się, gdy lokaj zawołał za nim.

- Co jest, Scirrano? - rzucił niecierpliwie, gdy lokaj się zbliżył. Scirrano skłonił się i powiedział:

- Jest osoba, która pragnie się z panem zobaczyć, panie. Gervaise



pomyślał przez chwilę ze strachem, że może to mieć związek z długami. Zarządca przestrzegał go o takiej możliwości.

- Jak ma na imię? - powiedział to głośniejszym głosem niż zamierzał, ujawniając zdenerwowanie. Popatrzył nad ramieniem Scirrano. - Gdzie on jest? - znów słowa były za głośne. Wykrzywił twarz patrząc ku drzwiom biblioteki, które, jak nagle zdał sobie z tego sprawę, były uchylone. Otworzył je i wszedł cicho do środka.

Madelaine siedziała przy biurku opodal kominka, świecznik stojący tuż obok rzucał migotliwy blask na trzymaną przez nią starą, w skórę oprawną książkę. Wsparła się na łokciu, z dłonią przyciśniętą do szyi i pocierała odruchowo skórę. W jej fiołkowych oczach błędził tajemniczy uśmiech.

- Mademoiselle - powiedział ostro Gervaise.

Madelaine poderwała raptownie głowę i nieco zmieszana uniosła się, by złożyć ukłon swemu gospodarzowi.

- O co chodzi, sir? - spytała, widząc błysk desperacji w jego oczach.

- Nic, nic - rozejrzał się po bibliotece, jakby nigdy przedtem jej nie widział. Potem spojrzał na Madelaine. - Co czytasz? Madelaine podniosła książkę wyżej.

- Poezje łacińskie. Proszę, pozwól, że ci przeczytam - przekręciła książkę tak, by jej własny cień nie padał na kartkę.

*Di magnifacite ut vere promittere possit*

*Atque id sincere dicta et ex animo*

*Ut liceat nobis tota perducere vita*

*Aeternum hoc santus foedus amicitiae.*

- Czy to nie piękne? Obiecywać miłość i przyjaźń na wieczność?

Gervaise nie był zupełnie przygotowany na taki obrót wypadków i nie wiedział, jak wybrnąć. Jego wykształcenie było dość powierzchowne i jakiegokolwiek łaciński tekst wzbudzał w nim panikę. Teraz zaś szczególnie -

widok bratanicy żony, stojącej w jego bibliotece i cytującej mu coś po łacinie był powyżej jego możliwości.

- Bardzo piękne - powiedział, odwracając się do drzwi, gotów do natychmiastowego przeproszenia Madelaine i do ucieczki.

Lecz właśnie pojawił się Scirrano prowadzący innego lokaja odzianego w ciemnoniebieską liberię z czerwonymi koronkami.

- Mam dla pana wiadomość, sir. Przeznaczoną wyłącznie dla pana.

- Tak, tak, oczywiście - Gervaise zgodził się skwapliwie zadowolony, że może uciec od Madelaine. - Nie będę przeszkadzał ci w lekturze, mademoiselle. Jak długo tu jesteś, biblioteka jest twoja, jeśli tego pragniesz.

- Gdy znalazł się w drzwiach przyjrzał się obcemu lokajowi.

- Mój pan przesyła panu pozdrowienia - powiedział lokaj, a Madelaine, która słuchała jednym uchem, miała wrażenie, że w dalszej części rozmowy padło imię Jueneporta, lecz pewna nie była, wróciła zatem spokojnie do Catallusa, myśląc, iż Urszulanki, które ją wychowały, byłyby wstrząśnięte, gdyby wiedziały, do jak doczesnych celów używa się łaciny. Powoli czytała:

- Da mi basia mille, deinde centum, dein mille altara, dein secunda centum, deinde usque altera mille, deinde centum... - Całować tysiąc razy i sto, aż pocałunki staną się niepoliczalne... - Zamknęła oczy, przypominając sobie dotknięcie ust Saint-Germaina i jego pocałunki.

Kilka minut później wytrącił ją z zadumy odgłos dzwonka, którym Gervaise d'Argenlac dawał znać służbie, iż oczekuje na powóz. Stwierdziła że biblioteka jestdość zimna i poczuła się winna opuszczenia ciotki na dłużej' niż zamierzała.

Z westchnieniem zamknęła tom Catallusa i opuściła pokój.

Tekst napisanego po angielsku listu alchemika Beverly Sattina do księcia Rakoczego; datowane 17 października 1743:

*Do jego Wysokości, Franza Josefa Rakoczego, Księcia Transylwanii.*

*B. Sattin przesyła szczere pozdrowienia.*

*Jajo i Gniazdo Czarnego Feniksa zaginęły. Błękitne Niebo został pobity i bliski jest śmierci. Oulen zniknął z wiadomym skarbem. Szukaliśmy, lecz nie ma po nim ani śladu.*

*Błagam Waszą Wysokość, by użyczyła swej pomocy i zechciała asystować Gildii w tej niedoli. O ile to możliwe, przyjdź panie do nas tam, gdzie przedtem się spotkaliśmy, w porze, która będzie dla pana dogodną.*

*Pański, etc., w pośpiechu,*

*B. Sattin*

## . 2 .

No? - spytał bezceremonialnie Saint-Germain wchodząc do Zajazdu pod Czerwonym Wilkiem. Słabe promienie zachodzącego słońca Oświecały szkarłatem przez wieloletni brud zalepiający okna, co czyniło ją jeszcze mroczniejszą i bardziej ponurą, niż ostatnio. Podłoga zarzucona była resztkami Jedzenia i pokryta plamami po kwaśno śmierdzącym Beverly Sattin był jedyną osobą oczekującą w szynku. Uniósł się natychmiast na widok Saint-Germaina.

- Wasza Wysokość -. skłonił się głęboko - musi mi wybaczyć tak niestosowne wezwanie... - zaczął po angielsku. Saint-Germain odpowiedział mu w tym samym języku.

- Mniejsza o drobiazgi - ściągnął czarny płaszcz odsłaniając swój zwykły jedwabny czarny strój - Nie mam czasu, a chcę ci zadać kilka istotnych pytań. Przyszedłem jak tylko dostałem twą wiadomość, Sattin.

Uczynisz mi uprzejmość będąc możliwie treściwym i skrupulatnym w wypowiedziach.

Sattin odczuł chwilowy przyływ niepokoju. Patrzył na hrabiego jak student poproszony o wyrecytowanie nieznanego mu utworu.

- Le Grace uciekł - powiedział w końcu. .

- Wiem. Kazałem wam trzymać go pod strażą - w głosie Saint-Germaina pojawiła się szorstkość. - Dlaczego ten rozkaz me został wypełniony? - Przez łata poznał, ile może zdziałać stanowczość tam, gdzie zawodzą logiczne argumenty. Wyczuwał roztrzęsienie Sattina, uderzył zatem dosadniej w samo sedno;

- Nie należę do ludzi cierpliwych.

Sattin był już wyraźnie przestraszony, oprzytomniał jednak dość, aby zebrać się w sobie i powiedzieć:

- On był pod strażą, w pokoju na poddaszu, na drugim piętrze, me zabezpieczyliśmy okna. Wydawało nam się, że jest zbyt wysoko, jak na bezpieczny skok. Nie sądziliśmy, że będzie próbował tamtędy uciekać.

- I wygląda na to, że się myliliście.

Sattin bezradnie rozłożył ręce.

- Myliliśmy się. Wiem, że to żadne usprawiedliwienie, panie, lecz byliśmy pewni, że jest dobrze strzeżony Przez pierwszą noc pilnował go Domingo y Roxas, następnego dnia obowiązek ten przypadł Cielblue. Po równo zmienialiśmy się na warcie, sprawdzając, czy Le Grace ma co jeść i zapewniając mu nieco ruchu. pokój był bardzo mały, Wasza Wysokość. A kiedy poprosił o więcej koców, dostał je. W tym pokoju zawsze jest zimno a pogoda się zmieniała. Podarł te koce, zrobił z nich linę i spuścił się po niej przez okno na ulice. Nie wiedzieliśmy, że Le Grace uciekł, dopóki Oulen nie przyniósł rano dla niego śniadania...

- I nie uznaliście za stosowne mnie zawiadomić -Saint-Germain zastukał palcami w oparcie jednego z topornych krzeseł.

- Sądziłem, że tak będzie lepiej. Musiał opuścić Paryż. Nie było sensu go szukać. W tej chwili może być nawet w drodze do Ameryki...

- Nie opuścił Paryżu. Mów dalej - wwiercał się oczami w twarz Sattina. Czarownik wystraszył się nie na żarty.

- My... zawiadomiliśmy parę innych osób w mieście, że Le Grace uciekł i nie jest mile widziany, i że poszukiwany jest przez stróżów porządku. Wystarczy powiedzieć, że złamał naszą regułę, a wszyscy będą go omijać jak jadovitą żmiję.

Saint-Germain skinął głową.

- A po tym, gdy ostrzeżliście innych czarowników, to co się stało?

- Nic. O ile wiem, Le Grace zniknął-zająknął się. - Lecz mówi pan, że nie opuścił Paryża?

- Tak, wciąż tu jest. Jeden z moich służących go widział-rozejrzał się po szynku. - Czy to tutaj studiujecie alchemię?

- Nie - Sattin szybko potrząsnął głową. - Mamy laboratorium w jednym z przyległych budynków. Właśnie teraz są tam Domingo y Roxas i jego pomocnica. Pracują nad Zielonym Lwem.

A zatem są to alchemicy współczesnej szkoły, pomyślał Saint-Germain, skoro są wśród nich kobiety przeprowadzające te procedury, które uważa się za żeńskie. Mężczyźni pracują nad resztą, a przy procesach hermafrodyicznych wskazana jest współpraca.

- Kiedy będziemy mogli im przeszkodzić? - spytał hrabia, uśmiechając się kwaśno.

- Po zachodzie słońca. Wtedy dalsza praca straci sens - powiedział odruchowo Sattin, chociaż po chwili wydało mu się dziwne, że tak znakomity człowiek, jak książę Rakoczy tego nie wie.

- Widzisz - powiedział Saint-Germain widząc konsternację czarownika. - Moje studia odbyłem według innych szkół. W perskiej, mahometańskiej kobiety nie są dopuszczane. W Chinach niektóre prace wolno przeprowadzać tylko kastratom. Nie powinieneś dziwić się mojemu pytaniu.

Wyraz twarzy Sattina przypominał oblicze dominikanina, który właśnie spotkał się z herezją.

- Nie jest możliwym czynić Wielkie Dzieło w jakikolwiek inny sposób.

- Oczywiście - zgodził się Saint-Germain znudzony tą kwestią. - Powiedz mi, jak doszło do utraty athanora i tygła?

- Nie wiem - Sattin odwrócił się i zapatrzył w czarną czeluść paleniska. - Cielblue majaczył tylko i niczego nam nie powiedział. Oulen jakby się w powietrzu rozpułynał. Nikt go nie widział. Nikt - odwrócił się gwałtownie do Saint-Germaina. - Musisz mi uwierzyć, Wasza Wysokość. Nie sądziliśmy, że to się może zdarzyć. Athanor był rozgrzany, trwał w nim proces.

- Niezły wyczyn - hrabia rozważał przez chwilę możliwości. - Cóż, Sattin, albo jeden z braci twojej Gildii współpracuje ze złodziejami, albo ktoś poznał wasz sekret. Tak czy inaczej, Gildia jest w poważnym niebezpieczeństwie. Może zostać zdemaskowana. Gdybym był tobą, nie pozostawałbym dłużej w

tej okolicy. Jeśli nie dosięgnie was ręka prawa, zrobi to ten, który zabrał athanora - spojrzał w okno, które było już zupełnie ciemne. Oberża pogrążona była w półmroku rozpraszonym jedynie przez dwa wątle płomyki łojowych świec. - Chodźmy do laboratorium. Jest już dość ciemno, by Domingo y Roxas nie polował dziś więcej na Zielonego Lwa. Sattin wstał niechętnie.

- Proszę za mną - powiedział, czując zmęczenie spowodowane osłabnięciem w nim ducha.

Saint-Germain naciągnął płaszcz i, zapinając go, musnął palcami przypięty na szyi klejnot.

- Zastanawiam się - powiedział do Sattina - czy Le Grace ma coś wspólnego z tą kradzieżą.

- To niemożliwe.

- Niemożliwe? - Saint-Germain uniósł brwi. - Nie mów niemożliwe, Sattin. To prowadzi do ślepoty. - Stał w drzwiach czekając na Sattina, w którego oczach pojawił się dziwny wyraz. - O co chodzi?

Sattin zawahał się, potem zaryzykował.

- Czytałem kiedyś o pewnym człowieku, który prawie sto lat temu odwiedził Helvecjusza...

- Tak? - Saint-Germain był jakby rozbawiony.

- ...dał mu kawałek kamienia filozoficznego.

- Jakie to szczęście dla Helvecjusza. To wielkie...

- W swej książce Helvecjusz opisuje tego mężczyznę. Był średniego wzrostu, z ciemnymi oczami i takimiż włosami, o drobnych rękach i stopach. Obcy ten mówił nienagannym duńskim, z tym, że miał lekki akcent, możliwe, iż północny. Rzadko podnosił głos, miał wspaniałą prezencję i otaczała go dziwna aura.

Saint-Germain spytał enigmatycznie.

- Dlaczego mi to mówisz, Sattin?

- Nie zdawałem sobie do tej chwili sprawy - powiedział Sattin niemal z

rozmarzeniem w głosie - jak wielkie jest podobieństwo między tamtym mężczyzną a panem, hrabio.

- Ile lat mógł mieć gość Helvecjusza? Czy ten wspaniały człowiek zadał sobie trud, by o tym wspomnieć?

- Mógł mieć około czterdziestu dwu lat - Sattin był zakłopotany.

- A na ile byś mnie ocenił?

- Nie więcej niż czterdzieści pięć.

Saint-Germain otworzył szerokim, nagłym gestem drzwi.

- Oto odpowiedź, Sattin. Nie marnujmy więcej czasu.

Lecz czarownik nadal patrzył na hrabiego z ledwo skrywanym zaniepokojeniem, gdy prowadził go ciemną uliczką do domu obok Zajazdu pod Czerwonym Wilkiem. Wokół nich noc pełna była odgłosów typowych dla kończącego się dnia. Tu i ówdzie zza zamkniętych drzwi dobiegały fragmenty rozmów, czasem głośnych, czasem złowrogich. Ponad ogólnym fetorem tej dzielnicy niósł się odór taniej stawy przyrządzanej na tłuszczu. W cieniach przemykały koty starannie omijające obu przechodniów.

- Tutaj, panie - wskazał z szacunkiem Sattin, pchnięciem otwierając skrzydło drzwi do domu, który był z pewnością najbardziej zaniedbanym na tej i przyległych ulicach. - Nie mamy tu wiele, lecz wypełniamy naszą powinność najlepiej, jak potrafimy.

Saint-Germain widział laboratoria alchemików w Khem, który dał nazwę tej nauce, a teraz znany był jako Egipt; widział laboratoria w wielu krajach, towarzyszył rozwojowi alchemii na przestrzeni stuleci. Wiedział, że wewnątrz będzie gorące i pełne zapachów. Nie zawiódł się.

- Książę Rakoczy - powiedział Domingo y Roxas spoglądając w otwarte drzwi. - Straciłem już niemal nadzieję, że zechce pan przyjść. Le Grace okrył nas hańbą.

- To nie ma znaczenia. Wiem, gdzie jest Le Grace i zrobię co tylko w mojej skromnej mocy, by dowiedzieć się czegoś o losach i miejscu ukrycia athanora - zwrócił się ku starszej kobiecie o srogich, pełnych poświęcenia



rysach i skłonił się jej z szacunkiem. - Madame? - zaryzykował.

Odpowiedziała na gest hrabiego, potwierdzając w ten sposób jego domysły, i wytarła dłonie w poplamiony fartuch, który okrywał prostą, wełnianą suknię.

- Dobry wieczór Wasza Wysokość - powiedziała wspaniałym, niskim głosem. Domingo y Roxas posłał jej szybkie spojrzenie, kłaniając się również.

- Madame Iphigénie Ancelot Lairrez - przedstawił. - Jest moją pomocnicą. Posiada rozległą wiedzę i spore doświadczenie. Przybyła do nas z Gildii w Marsylii.

- Jestem oczarowany - powiedział Saint-Germain czując sympatię do przenikliwych oczu kobiety i jej nienachalnej pewności siebie. Z bólem stwierdził, iż przypomina mu Oliwię, która zmarła prawdziwą śmiercią ponad sto lat temu. - Pani i Domingo y Roxas tropiliście dziś Zielonego Lwa. Z jakim skutkiem?

- Doszliśmy go, lecz nie zniósł on Słońca - powiedział Domingo, żałując zwierza każdym słowem.

- Moje gratulacje - Saint-Germain wszedł dalej do pokoju i rozejrzał się po retortach, miskach, buteleczkach, słojach, dmuchawach miechów, tyglach i wszystkim tym, co było niezbędne do uprawiania sztuki alchemicznej. W końcu pomieszczenia stała ceglana konstrukcja przypominająca ul. - Widzę, że macie jeszcze jednego athanora.

- Ten jest stary - wyjaśnił pospiesznie Sattin. - Tamten musieliśmy przebudować, by pasowały do niego platynowe narzędzia, które nam poleciłeś, panie.

- Oczywiście.

Przyglądał się małemu piecowi. Mogło być gorzej. Model był przestarzały tylko o jakieś sto lat. Widział już starsze, nadal będące w użyciu.

- Ten, kto wziął athanora wiedział, który piec powinien zabrać i gdzie go można znaleźć.

- Masz rację, książę - przyznał Sattin i dodał szybko. - To jednak nie mógł być Le Grace. On nie wiedział o wszystkim.

- Jesteś pewien? - Saint-Germain spojrzał na milczącą trójkę alchemików.  
- Zakładam, że od was niczego się nie dowiedział, ale czy możemy to samo powiedzieć o pozostałych z Gildii? - zawiesił głos książę.

- Gdzie jest Oulen? Mówiłeś, Sattin, że Cielblue nie był w stanie wam niczego przekazać, nie pamiętał nawet kto go pobił. Co może się stać, jeśli to ktoś z Braterstwa? Domingo y Roxas spojrzał ostro na Saint-Germaina.

- Wasza Wysokość, pan jasno sugeruje, że zostaliśmy zdradzeni. Wzrok Saint-Germaina spoczął przez chwilę na małym Hiszpanie.

- Uciekłeś Inkwizycji, Ambrosias. Wiesz zatem, ile znaczy zaufanie.

- Doprawdy, trudno się z tym pogodzić - szepnęła Mme Lairrez, zdejmując fartuch. - Będziemy musieli wynieść się stąd - dodała.

- To jedyne wyjście, madame - zgodził się Saint-Germain.

- Nie mamy dokąd pójść - wtrącił po angielsku Beverly Sattin.

- Zniknięcie Le Grace wystawia nas na ciosy nie tylko policji... Domingo y Roxas nie rozumiał słów Sattina, lecz myślał podobnie.

- Nie mamy się do kogo zwrócić, książę. Jesteśmy na łasce władz, przynajmniej dopóki nie znajdziemy bezpiecznego lokum.

- Musimy zatem opuścić Paryż, i to jak najszybciej - powiedziała ze zdecydowaniem w głosie Mme Lairrez.

Szacunek jaki żywił wobec niej Saint-Germain w tej chwili stał się jeszcze większy. Bezdyskusyjnie była najbardziej praktycznie nastawionym do życia członkiem Gildii. Posiadała przenikliwy umysł, który, w godny ubolewania sposób, nie był mocną stroną czarowników. Spojrzała na księcia zmęczonymi oczami i ze szczerym przerażeniem powiedziała:

- Nie mamy przyjaciół, do których moglibyśmy się zwrócić, panie...

- Jeśli Le Grace jest nadal w Paryżu... jak pan mówi... - Sattin zająknął się, przygryzając dolną wargę. Cała trójka spojrzała z nadzieją na księcia.

- Jest pewne bezpieczne miejsce, dokąd moglibyście się udać - rzekł po

chwili Saint Germain.

Nie cierpiał demaskować się w ten sposób. Zdawał sobie jednak sprawę, że rozbicie Gildii może doprowadzić przedstawicieli prawa do jego osoby. Co gorsza, o wiele szybciej mógłby to uczynić Saint Sebastien. Krąg potrafił bowiem działać szybciej od policji.

- Co masz na myśli, książę? - spytał Sattin, zaniepokojony przedłużającą się ciszą. Uważnie przyglądał się twarzy Saint-Germaina.

- Udacie się do piwnic Hotelu Transylwania.

Tekst listu Mile Madelaine de Montalia do jej ojca, markiza de Montalia; datowane 19 października 1743:

*Do mego nad wyraz szlachetnego i kochanego ojca, markiza de Montalia: Trudno mi uwierzyć, że już tak długo jestem poza domem, a jednak, mój umiłowany ojcze, zawsze pojawiaasz się w moich myślach i modlitwach. Nie ma niczego w Paryżu, co można by porównać z pięknem naszych stron rodzinnych. Często budzę się o świcie stęskniona widoku naszego parku... Nawet w Bois-Vert nie ma niczego, co by się z nim równało. Ciągle zdaję sobie sprawę, będąc tam, że wielkie miasto jest nie dalej, niż o godzinę drogi.*

*Jak moja ciocia z pewnością cię poinformowała, trzeciego listopada wydajemy przyjęcie, przygotowaniami do którego jesteśmy mocno zaprzątnięci. Nic nie byłoby w stanie przewyższyć uprzejmości i troski, którą okazuje mi Twoja siostra. Jej gorące serce i szczerze zainteresowanie sprawiają, iż kocham ją za to równie mocno, jak dzięki więzom krwi. Nie jestem przy tym jedyną osobą, która ją tak ocenia. Każdego dnia widzę potwierdzenie jej wartości we względach, którymi jest przez wszystkich darzona. Powiedziałaś mi, że istniały w tobie obiekcje wstrzymujące cię przed wysłaniem mnie do niej, lecz powody te mogły przeważyć. Prawdą jest, że żyje wielkim światem i że obraca się w rozległym towarzystwie, lecz nie ujęło jej to cnót ani nie osłabiło harmonii umysłu. Jest wspaniałą kobietą i winienesz być jej wdzięczny za pragnienie towarzyszenia mi tutaj, gdyż widziałam wielu ludzi, którzy*

bezwstydnie nadużywali podobnego zaufania.

L'Abbe Ponteneuf uczynił mi ten zaszczyt, iż odwiedził nas w czasie prób, które w zeszłym tygodniu przeprowadzaliśmy z Saint-Germainem. To zacny człowiek, pełen dobrych rad i w pełni świadom pułapek tego świata. Jest prawdą, że od czasu do czasu nadmiernie pragnie chronić mnie przed niebezpieczeństwami życia towarzyskiego, a ja, chociaż próbuję jak mogę, nie jestem w stanie go przekonać, by ilekroć coś go niepokoi, powiedział mi to wprost, bym mogła bardziej mieć się na baczności przed tymi niebezpieczeństwami.

Niewiele ostatnio, poza próbą, widziałam Saint-Germaina. Dał mi kilka książek - paru rzymskich filozofów, których lektura z pewnością wzbogaci umysł, jak i żywoty świętych, mogących dostarczać wzorów postaw wymaganych od nas w życiu. Jego wiedza jest rozległa i głęboka. Pewna jestem, że znalazłbyś jego towarzystwo odświeżającym wobec ponurej paplaniny, która tak często ma miejsce w dobrym towarzystwie.

Jutro wieczorem udajemy się do Hotelu Transylvania na koncert i zimną kolację. Będą też gry (hazard, rzecz jasna, odbywa się w oddzielnej części rezydencji i łatwo można go zignorować).

Myślę często, kochany ojcze, o krytyce, której nie szczędziłeś, mówiąc o fałszywości dworskiego życia, a mój pobyt tutaj tylko dostarcza mi dowodów świadczących o słuszności Twoich słów. Większość tych ludzi to umysły płytkie, powierzchowne, nie zauważające świata poza sobą, nie pragnące wybić się ponad otoczenie, nie dążące, by wyrosnąć i ujrzeć różnorodność ludzi, którzy ich otaczają. De la Sept-Nuit na przykład, który, jak mówi ciocia, mógłby się o mnie oświadczyć, nie jest, jak sądzę, złym człowiekiem, lecz jest bezmyślny i konsekwentnie okrutny. Nie zwraca uwagi na nikogo poza sobą samym, gdyż nigdy nie został nauczony dostrzegać cudze uczucia. Wygląda na to, że jego pobyt w Paryżu tylko pogarsza sprawę. Ma fortunę, jakieś tam wykształcenie, miłą twarz i nienaganny styl, lecz mógłby minąć głodujące dziecko nie zauważając nawet jego żalosego płaczu i wycieńczenia. Nic dziwnego, że odsunąłeś się od tych ludzi.

Lecz zastanów się i nad tym: a skoro ukryłeś się w Prowansji, to co oni mogą

wiedzieć o Tobie prócz tego, że jesteś samotnikiem z głową w chmurach?

Przesyłam Ci zaproszenie na nasze listopadowe przyjęcie i błagam cię, byś przyjechał. Byłabym zachwycona mogąc mieć Cię przy boku, tak, byś sam mógł ujrzeć, jak mi się wiedzie w rozległym oceanie tutejszego towarzystwa.

Przez cały czas, gdy tu jestem, widziałam różne rzeczy, o istnieniu których nie miałam przedtem pojęcia. Rozmyślenia nad naukami siostr doprowadziły mnie do nowego pojęcia wiary które przedtem było przede mną ukryte. Nie żyjemy tylko wśród życia i śmierci, ojczy. Jest jeszcze współczucie, które trwalsze jest niż przemijająca chwila życia, i ono właśnie czyni naszą śmiertelność znośną.

Jeśli moja matka wróciła już z dóbr jej brata, to mam nadzieję, że złożysz jej ode mnie wyrazy szacunku i pozdrowienia. Dla ciebie mam szacunek, oddanie i pełne dobrej woli posłuszeństwo wobec poleceń twoich, jak i uczucie miłości. Z tym to pozostaje, zapewniając iż jestem

Twą oddaną ci córką

Madelaine Roxanne Bertrande de Montalia

## . 3 .

Lokaj ubrany w ciemnoniebieską, czerwienią wykańczaną liberię skłonił się i otworzył drzwi do salonu.

- Hrabia d'Argenlac, baron Saint Sebastien - zapowiedział. Saint Sebastien spojrział znad lektury i skinął kurtuazyjnie głową witając Gervaise d'Argenlac, który niepewnie wszedł do pokoju.

- Baron Saint Sebastien? - upewnił się. - Chciał się pan ze mną widzieć?

- Tak, d'Argenlac, chciałem - podniósł się z fotela i zmierzył gościa wzrokiem spod ciężkich powiek. - Jestem, jak pan zapewne wie, gościem Jueneporta.

Na wzmiankę o Jueneportcie Gervaise niemal skulił się ze strachu, a Saint Sebastien poczuł zimny przyptyw wewnętrznej satysfakcji. Najwyraźniej spotkanie sprzed dwóch dni mocno przestraszyło d'Argenlaca.

- Nie musi się pan niepokoić, hrabio - powiedział łagodnie Saint Sebastien, odkładając książkę na stolik z palisandru. W salonie były trzy takie stoliki, a jego wysoki sufit ozdobiony był freskami przedstawiającymi z niepokojącym realizmem scenę porwania Sabineek. W przeciwległym końcu płonął ogień w kominku, bo chociaż deszcz już ustał, w powietrzu unosiła się zapowiedź pierwszego jesiennego przymrozka, który odbierał ciepło sączącym się przez wysokie okna promieniom słońca.

- Nie niepokoję się, baronie - skłamał Gervaise. Wciąż jeszcze ścisnął w rękę swój trójgraniasty kapelusz i trzcinkę: niezbyt wiedział, co ma z nimi zrobić. - Wyznaję - powiedział odwracając się od pogardliwego spojrzenia Saint Sebastiena - że nie potrafię zgadnąć, dlaczego chciał się pan ze mną zobaczyć.

- Może to pan nazwać kaprysem, hrabio. Zapewne chciałby pan usiąść - wskazał na krzesło i poczekał, aż Gervaise spocznie, kapelusz kładąc na

kolanach.

Saint Sebastien przespacerował się do okna pozwalając gościowi czekać.

- Wydaje mi się... wydaje mi się to dziwne, baronie - powiedział w końcu Gervaise, nienaturalnie wysokim głosem. - Jeden z twoich lokai, baronie, przynosi mi wiadomość, która ma dotyczyć Jueneporta.

- Naprawdę? - odwrócił się i z radością ujrzał, iż Gervaise trzęsie się jak uczeń przy tablicy. - Chciałem, żeby się pan zdziwił.

- A to czemu? Jaką pan może mieć do mnie sprawę? - pożałował, że nie był zapobiegliwy i nie zabrał swego wizytowego surduta ze szkarłatnego atłasu obszytego różem i złotem. Miał na sobie zwykłe, błękitne ubranie podróżne z dobrej angielskiej wełny. Czuł się jak wieśniak, szczególnie wobec zbytkownej szaty, którą nosił w domu Saint Sebastien. Różne nieprzyjemne myśli przebiegały mu przez głowę. - Nie jestem chyba panu winien pieniędzy, baronie?

Gospodarz wypuścił oddech w długim westchnieniu zadowolenia.

- Jeśli o to chodzi, to faktem jest, że nie przegrał pan do mnie pieniędzy, d'Argenlac. Może jednak pana zdziwić wiadomość, iż w rzeczy samej, jest mi pan winien pieniądze. Vandonne odczuwał potrzebę znalezienia pilnie gotówki i zechciał sprzedać mi kilka pańskich odręcznych weksli - podszedł do jednego ze stolików, otworzył szufladę i wyjął z niej plik papierów. Przejrzał je ostentacyjnie. - Mój drogi hrabio, czy zawsze zakłada pan tak wysokie sumy? Sądziłbym, że pańska pozycja nie upoważnia pana do takiej rozrzutności. Gervaise poczuł, jak rumieniec wstępuje mu na twarz.

- Myli się pan, baronie. Ja nie gram by przegrać.

- Naprawdę? - głos Saint Sebastiena rozbrzmiewał uprzejmym niedowierzaniem. - Tego bym nie powiedział - odłożył papiery.

- Zatem? - spytał Gervaise po chwili ciszy.

- Och, zastanawiałem się tylko, czy będzie pan w stanie podać mi termin, kiedy je pan ode mnie wykupi.

Milczenie wydłużało się, a gdy wreszcie Gervaise odezwał się, słowa

przychodziły mu z wyraźną trudnością.

- Ja nie mam... tak wielkiej sumy... przy sobie... chwilowo niezbyt... - ścisnął w palcach swój szalik. - Mój zarządca... będę musiał z nim o tym porozmawiać... on się zajmuje takimi sprawami. To może zająć kilka dni.

- Nie sądzę, by kiedykolwiek mógł pan to spłacić - powiedział Saint Sebastien z sympatią w głosie. - Mam niejakie wrażenie, że wszystkie pana majątki są ciężko obłożone hipoteką. Może się mylę, lecz tak przynajmniej twierdził Jueneport - mówił, bawiąc się misterną tabakierką, nie otwierając jej, nie oferując poczęstunku swemu przygnębiionemu gościowi.

- Hipoteki są - przyznał w końcu Gervaise. - Sądzę jednak, że zdołam zebrać wystarczające fundusze, by wykupić te weksle - wskazał papiery leżące na stole.

- To znaczy, chce pan powiedzieć, że może zmusić pan swą żonę, by wyłożyła pieniądze - rzekł Saint Sebastien z wyraźnym niesmakiem.

Wyraz smutku i odrazy, który odmalował się na twarzy Gervaise'a, powiedział Saint Sebastienowi więcej, niż domyślał się dotąd.

- Tak, to chciałem powiedzieć. To ona je spłaca. Nie ma powodu do obrazy.

Saint Sebastien bez pośpiechu obszedł pokój wokoło. Z nieodgadnioną twarzą spojrzął na Gervaise'a.

- Widzę, że nie lubi pan używać pieniędzy żony - powiedział, zatrzymawszy się przy palenisku. Gervaise wzruszył ramionami.

- Gdyby to było możliwe - ciągnął Saint Sebastien, patrząc w ogień - gdyby istniał jakiś sposób spłacenia pańskich zobowiązań, bez uciekania się do pomocy pańskiej żony, to czy byłby pan skłonny z niego skorzystać?

- Nie ma takiego sposobu - smutek tych słów przywołał uśmiech na twarz Saint Sebastiena, lecz Gervaise tego nie zauważył.

- Niech mi pan powie. Bratanica pańskiej żony, dziewczyna będąca córką markiza de Montalia...

- To dziecko o impertynenckim charakterze - powiedział oschle Gervaise.



- To całkiem możliwe. Ród de Montalia znany był zawsze z impertynencji lecz, jak wiem, pańska żona wydaje przyjęcie na jej cześć?

- Tak. Trzeciego listopada - Gervaise był nieco zdziwiony. - Czy miałby pan ochotę przyjść?

- Ja? Skądże? - wpatrzył się w niego oczami niemal pozbawionymi wyrazu. - Rozmyślałem tylko, czy mógłby mi pan uczynić drobną przysługę związaną z tą dziewczyną...

- Madelaine - odpowiedział Gervaise, mocno zdumiony.

- Tak, Madelaine. Pierwsze i jedyne dziecko Roberta.

- Czego pan chce od niej? - trwoga zakiełkowała w duszy Gervaise'a, lecz jego świadomość ją zignorowała. Nie czuł szczególnej słabości do Madelaine. Tak naprawdę to uważał ją za zbyt bystrą i opanowaną, by mogły z tego płynąć jakieś korzyści.

- Chcę tylko, by jej ojciec wywiązał się ze zobowiązania, które dotyczy jego córki.

Gervaise'emu nie podobało się to wszystko, a najbardziej twarz Saint Sebastiena, jego gadzi sposób patrzenia na ludzi i nieustanna nuta szyderstwa w głosie. Pochylił się mówiąc:

- Markiz de Montalia został również zaproszony na przyjęcie. Może pan wyegzekwować swoje pretensje bezpośrednio do niego.

- Naprawdę? - Saint Sebastien cmoknął, nie przerywając podziwiania widoku za oknem. - Robert przyjeżdża do Paryża. Kto by pomyślał. Po tylu latach.

- Nie rozumiem pana.

- To pana nie dotyczy - Saint Sebastien wrócił do kominka. - To bardzo stara sprawa, hrabio, i osobista - postukał ręką w obudowę kominka. - Jest zatem o wiele mniej czasu, niż sądziłem. Musimy załatwić to inaczej - odwrócił się do Gervaise'a. - Czy chce się pan wywiązać ze swoich długów?

- To niemożliwe, baronie - Gervaise rozłożył bezradnie ręce. - Nie ma po temu żadnych środków.

- Przypuśćmy, że będzie to możliwe - szybko skorzystał z okazji Saint Sebastien. - A jeśli ja panu to umożliwię? Czy spełniłby pan w zamian jedną drobną prośbę?

Gervaise poczuł nagle, jak ogarnia go uczucie trwogi; ręce miał wilgotne i lodowato zimne. Stwierdził, iż nie jest w stanie spoglądać Saint Sebastienowi w oczy.

- Jaką prośbę?

- Pomniejszą, hrabio. Całkiem drobną - uspokoił go. - Ma pan mały majątek niedaleko od Paryża. Nazywa się to Sans Desespoir, prawda? Jeśli zechce pan wyświadczyć mi tę przysługę, pańska rozpacz nie potrwa długo, o ile zacznie się pan rozsądnie odnosić do gier hazardowych, rzecz jasna - popatrzył na d'Argenlaca cynicznie.

- Co mam zrobić? Co mi pan proponuje? - Zapragnął, by potrzeba, w której się znalazł, była mniej paląca. Czuł, że gdyby miał więcej czasu i swobody działania, wówczas wytargowałby od Saint Sebastiena niejedno.

- Sans Desespoir otoczone jest wielkim parkiem, a tereny łowieckie dzieli jak wiem, z dwoma sąsiednimi majątkami? - zapytał w odpowiedzi Saint Sebastien.

- Tak. Na północy jest majątek diuka de Ruisseau-Royal, a na wschodzie barona du Chaisseurdor. Nasze rodziny polują razem od sześciuset lat - wyciągnął przed siebie ręce i z przerażeniem ujrzał, jak się trzęsą. Wcisnął je do kieszeni. - Ja sam nie poluję. Nie gustuję w tym sporcie.

- Lecz la Montalia tak. Słyszałem, że jest zapaloną amazonką przepadającą za długimi galopadami, których tutaj jej brakuje. Z przyjemnością spędziłaby, jak sędzę, kilka dni na wsi. Zorganizuje pan kompanię, hrabio. Bardzo ścisłą i jak najatrakcyjniejszą. Może pan pozwolić, by kontessa sama ułożyła listę gości, o ile znajdzie się na niej Sept-Nuit. Wyraził ostatnio wielki zachwyt dla tej dziewczyny i chcę dać mu szansę lepszego jej poznania.

- Rozumiem - powiedział żywo Gervaise, zastanawiając się z rozpaczą, czy

nie będzie tu trzeba zrobić czegoś, co znów mogłoby go wpędzić w kłopoty.

- Oczywiście, będzie i polowanie. Bez pogoni, gdyż nie chcemy przecież, by dziewczyna była zbyt wymęczona przed jej triumfem. Trochę biegów po południu, miły wieczór daleki od pretensjonalności, a wszystko w scenerii tak różnej od miejskiego gwaru. Czyli to, w czym znajduje największą przyjemność. A i twoja żona się zgodzi. Bądź tego pewien.

Gervaise pomyślał, że to już koniec żądań. Stwierdził, iż pomysł faktycznie powinien spodobać się Claudii. Mimo tego dręczące wątpliwości nie chciały go opuścić.

- A co pan będzie z tego miał, baronie? Dlaczego miałby pan płacić mi za mą gościnność wobec tej młodej damy?

- Ach, to już moja sprawa. Niech pan tylko baczy, by Sept-Nuit rzeczywiście tam był i aby razem wyprawili się na polowanie. To całkiem mnie usatysfakcjonuje.

Gervaise'emu przyszła do głowy jeszcze jedna nieprzyjemna myśl.

- Nie chcę, by dziewczyna została skompromitowana pod moim dachem. Jeśli de la Sept-Nuit chce ją uwieść, to lepiej niech spróbuje tego w Paryżu. Saint Sebastien zdobył się na przebiegły uśmiech.

- Nie, to nie tego chce od niej de la Sept-Nuit. Mogę panu obiecać, że jej nie uwiedzie - w uśmiechu, który rzucił Gervaise'emu nie było nic, co by rozwiewało wątpliwości. - Niech pan tylko pozwoli polować im razem, hrabio, a zostanie pan hojnie wynagrodzony.

- Co się za tym kryje, baronie? - Wiedział, że musi zadać to pytanie i podniósł się, gdy je tylko wypowiedział.

- Wyjaśniłem już. De la Sept-Nuit pragnie poznać ją lepiej, a ja obiecałem mu, że pomogę doprowadzić do małżeństwa - Saint Sebastien poszperał w kieszeni. - Proszę hrabio, oto dowód mojej dobrej woli.

- Co to jest - Gervaise cofnął się spoglądając podejrzliwie na zamkniętą dłoń Saint Sebastiena.

- Częściowa zapłata. Proszę, niech pan to weźmie. Sądzę, że będzie to dla

pana użyteczne.

Gervaise postąpił niepewnie kilka kroków i wyciągnął dłoń, oczekując, że zaraz spadnie na nią coś obrzydliwego.

- Proszę. Przekona się pan, że Guillem z Holandii pięknie to oszlifuje - rzucił surowy diament prosto na dłoń Gervaise'a i uśmiechnął się lekko widząc zadowolenie na jego twarzy. - Jest prawdziwy, hrabio. Sądzę, że przyniesie panu sporą sumę.

Ręka Gervaise'a zamknęła się kurczowo wokół kamienia.

- Nie rozumiem - wymamrotał.

- Będą jeszcze cztery takie, przynajmniej takie, po wyprawie do Sans Desespoir. Wówczas też oddam panu weksle. - Saint Sebastien przeszedł powoli do drzwi i zadzwonił po lokaja. - Życzę panu przyjemnego pobytu na wsi, hrabio. I szczęśliwej realizacji naszej umowy.

- Naturalnie, niezawodnie - mruknął Gervaise bliski gadania od rzeczy. Schwycił płaszcz, trzcinkę i kapelusz. Ulga przyprawiła go o nagłe roztargnienie. Skinął lokajowi i kłaniając się jeszcze kilkakrotnie baronowi, skierował się do wyjścia.

Gdy zniknął, Saint Sebastien zadzwonił po Le Grace.

Minęło trochę czasu, nim czarownik przybył. Wchodząc do salonu przeprosił za poplamiony fartuch.

- Mniejsza o to - mruknął Saint Sebastien. - Powiedz mi, ile takich kamieni jesteś w stanie zrobić w ciągu najbliższych dziesięciu dni? Le Grace potarł podbródek.

- Nie wiem. Obecnie otrzymuję jeden do dwóch dziennie. Dopóki węgiel utrzymywany jest w stanie płynnym, a narzędzia zachowują odporność na opary azotu, to powinno się to udawać jeszcze przez parę tygodni. Potem - nie mogę ręczyć. Musimy odszukać Rakoczego. On jeden zna dokładnie ten sekret.

- Rakoczy! Zawsze ten Rakoczy! - Saint Sebastien przemierzył pokój dużymi krokami. Domowa szata z pikowanego jedwabiu rozpościerała się za

nim jak kilwater. - Muszę znaleźć tego Rakoczego. Jeśli zna sekret diamentów, to może znać i inne. Pragnę tej wiedzy, Le Grace. Chcę, żebyś znalazł dla mnie tego człowieka.

Le Grace zbladł.

- Nie mogę, baronie. Zostałem wyrzucony z Gildii i ryzykowałbym życiem, gdybym...

- Zaryzykujesz życiem, jeśli winien będziesz mojemu niezadowoleniu, Le Grace. Pamiętaj o tym. Pamiętaj też, że mogę wynagrodzić cię hojniej, niż ktokolwiek z Gildii - spojrzal na czarownika. - Jesteś dla mnie użyteczny tak długo, jak długo produkujesz diamenty. Potem... o ile nie będziesz miał czegoś nowego, by mi zaproponować... - wzruszył ramionami i podszedł do kominka.

- Nie ośmielę się pokazać w mieście - argumentował Le Grace.

- Nie ośmielisz się mi przeciwstawić - poprawił go Saint Sebastien. Ujął zdobiony pogrzebacz, który stał obok kominka i rozgarnął drwa. Iskry sypnęły na wypolerowaną na gładź podłogę. Uśmiechnął się. - Pamiętasz la Cressie, Le Grace? Ty miałeś ją pierwszy, zaraz po mnie. Pamiętasz, jak wyglądała. Pamiętasz, jak skręcała się z bólu? A to był tylko gwałt, Le Grace.

Nie było tortur, nie było Mszy Krwi. Pomyśl o tym, gdy będziesz chciał mi się przeciwstawić.

Le Grace poczuł, jak zasycha mu w gardle. Ledwo zdołał wydobyć głos.

- Spróbuję, baronie.

Saint Sebastien nie obejrzał się na niego.

- Dobrze.

- Wyruszę tej nocy.

Le Grace był już prawie za drzwiami, gdy dobiegł go jeszcze głos Saint Sebastiena:

- Nie myśl przypadkiem o ucieczce, Le Grace. Jeśli spróbujesz zbiec, znajdę cię i sprowadzę. I nie będę miał wtedy dla ciebie litości.

- Nie przyszło mi to nawet do głowy, baronie - czarownik skłonił się, lecz

baron na ukłon nie odpowiedział.

- Nie okłamuj mnie też, Le Grace. Odszukaj dla mnie tego Rakoczego, a zostaniesz wynagrodzony. Oszukaj mnie, a będziesz ukarany - rozgrzebywał ze złością drwa.

Le Grace otworzył usta, lecz nic nie powiedział. Chciało mu się krzyżeć. Wiele by dał, by znaleźć się z powrotem w pokoju na stryszku w Zajeździe pod Czerwonym Wilkiem, razem z Oulenem, żywym, pod drzwiami. Zrozumiał, że nie powinien był go zabijać. Niedobrze również, że pobił Cielblue, co tylko pogorszyło sprawę. Opanował się dość, by powiedzieć:

- Znajdę Rakoczego.

Zaraz potem wyszedł z salonu.

Saint Sebastien zachichotał, usłyszawszy jak drzwi zamykają się za uciekającym przez sień przerażonym Le Grace. Stał oparty o obramowanie kominka i uśmiechał się do kształtów i postaci, które ukazywały się w ogniu.

Wyjątek z listu markiza de Montalia do jego siostry, Claudii, kontessy d'Argenlac; datowane 24 października 1743:

*(...) Zdumiony byłem szybkością, z jaką poczta przyniosła mi list Madelaine. Tylko pięć dni, moja kochana sestro. Mów co chcesz o fatalnej polityce zagranicznej Ludwika, lecz jego polityka wewnętrzna jest rozsądna. Byłem uradowany, mając wiadomość od mojej córki tak szybko i z tak gorącymi pozdrowieniami. Moje serce pełne jest wdzięczności do ciebie i jej spowiednika, opata Ponteneufa, który również niedawno do mnie napisał. Twierdził, iż córka moja wyżej ceni wartości cnót trwałych, niż przyjemności chwili, co napętniło mnie nową siłą, zupełnie jakby nieznośny ciężar zdjęty został z moich barków. Zawsze wiedziałem, iż jest ona prawym dzieckiem, a jej ostatni list to potwierdza.*

*Pisała by spytać, czy przybędę na jej przyjęcie, dodając przy tym usilne błagania od ciebie. Jeśli obie najukochańsze kobiety mego życia stają tak twardo przeciwko mnie, to jak mogę się nie zgodzić? Mówicie, że widok Paryża robi mi dobrze, że będę*

mógł odnowić przyjaźnie z lat mej młodości. Niektóre z nich, moja droga, najlepiej jest oczywiście zapomnieć, lecz pozostałe, przyznaję, pociągają moje serce i skłaniają do obecności. Chociaż to niemądre - nie mogę odmówić płynącej z serca pobudce. Wyjadę pojutrze i przybędę do Paryża pierwszego lub drugiego listopada.

Ufam, że mogę liczyć na kilkudniową gościnę u ciebie i hrabiego. Piszę również do opata Ponteneufa, by mieć pewność, iż uda nam się spędzić razem kilka godzin, gdyż tęsknię za pożytkami płynącymi z jego nauk i szczerzej żarliwości. Prawie przekonał mnie, iż jest nadzieja jeszcze na spokój dla mnie; spokój, który tak dawno temu został mi odebrany w tym mieście. Moja żona pozostaje wciąż w dobrach swego brata i nie przyłączy się do mnie. Otrzymałem rano wiadomość od niej i wysłałem jednego z parobków z notatką przedstawiając ogólnie moje zamiary i informując, gdzie będzie mogła mnie znaleźć ona lub jej list. Jej brat, jak może słyszałaś, ożenił się powtórnie. Jego żona jest w trakcie pierwszego porodu. Margaret, która jest mu bardzo oddana, pospieszyła by zaopiekować się jego dziećmi z pierwszego małżeństwa. Bratankowie i bratanice kochają ją tak bardzo, iż nie mam serca odciągać jej od tego miłego obowiązku przyjęcia następnego Ragnaca na świat. Ona i ja, jak wiesz, żyjemy każde swoim życiem, i nie widzę powodu, który by mnie uprawniał do rozkazywania jej. Będąc mężem mam wprowadzić ten przywilej, lecz biorąc pod uwagę jej oddanie bratu, to byłoby wtrącanie się w związek, z którego nie powinna zrezygnować; gdyby mi się coś stało to u niego znalazłaby najwłaściwszą opiekę i schronienie.

Twój niepokój o Lucienne Cressie naprawdę mnie zatrwożył. Z pewnością jej mąż nie może być winien tak, jak to sugerujesz. Zdaję sobie sprawę, iż jeśli w rzeczy samej uległ cielesnej rozpuście, którą opisujesz, to byłoby dla niej bardzo trudnym podporządkować się jego życzeniom. Lecz ani jej, ani tobie, moja droga siostrze, nie jest pisane żądać naruszenia praw męża do kształtowania charakteru żony. To prawda, że może jej być ciężko. Lecz jest jej, jako żony, przywilejem i obowiązkiem dbać o potrzeby więzi małżeńskiej. Kościół i prawo popierają ten punkt widzenia i wszędzie wokół widzimy tego przykłady. Wzory świętych uczą nas cnoty posłuszeństwa w błogosławionym małżeństwie i każda kobieta winna dziękować, iż pewne rządy jej małżonka chronią ją przed próżnością i załamaniem. Jeśli Lucienne

*Cressie pozbawiona jest owoców związku i radości macierzyństwa, to z pewnością jest na lepszej drodze do dostąpienia łaski, gdyż wolna jest od splugawienia ciała. Nie pozwól, by twój niepokój i niezadowolenie doprowadziły cię do wtrącenia się w jej życie. Zamiast tego poradź jej by przyjęła rolę, którą wyznaczyły jej Niebiosy i uległa dla przyjemności męża. Jej powolność i przykład mogą z powodzeniem odwieść hrabiego od występku i skierować go z powrotem na drogę cnoty, prowadzącą do zachowań przystojnych mężowi.*

*(...) Przyszło mi na myśl, że strój modny w salonach musiał zmienić się bardzo od czasu, gdy byłem w stolicy. Mam nadzieję, że hrabia, lub ktoś inny, powie mi, co mam robić i jak się ubrać, by nie urazić mojej córki ani ciebie. Wątpię, by było dość czasu, aby zamówić wszystko, co trzeba, lecz przesyłam wraz z tym listem kartkę, na której wypisałem moje wymiary, zdjęte ze mnie latem przez krawca, co powinno wystarczyć do uszycia przynajmniej spodenek i surduta dla mnie. Proszę cię, moja kochana siostrze, byś niezależnie od obecnej mody na kolorowe ubrania, nie ulegała temu moim kosztem. Jestem skromnym człowiekiem i surdut z brunatnego jedwabiu oraz brązowe aksamitne mankiety zupełnie mi wystarczą. Żadnych liliowych czy brzoskwiniowych tkanin - proszę, to byłoby wbrew mojej naturze. Jeżeli brunatny jedwab nie jest akurat dostępny, wówczas zdaję się na ciebie. Błagam cię jednak, zachowaj umiar. Sądzę, że posiadam odpowiednie koszule z kremowego jedwabiu i pasujące do nich koronki. Dziękuję ci z góry za tę pomoc. Myśl o przyjęciu wypełnia zapewne w całości wasz czas, lecz ufam, iż ty lub hrabia zanieście moje wymiary krawcowi i złożycie zamówienie.*

*Dziękuję tą drogą raz jeszcze, z całego serca, za waszą gościnność wobec mojej córki i zainteresowanie, jakie jej okazujesz, jak również, twoje uczucie, którego wynikiem jest owo zaproszenie. Czekam niecierpliwie, by ujrzeć was obie i nacieszyć się blaskiem Paryża. Z honorem pozostaję,*

*Twoim oddanym ci bratem*

*Robert Marcel Yves Etienne Pascal, Markiz de Montalia*



## . 4 .

Niezgrabnie wsparty na kulach Hercule dokładał starań, by wyszczotkować nogi najstarszego konia zaprzęgowego ze stajni Saint-Germaina. Klął pod nosem, lecz nie przerywał pracy. Nie chciał wyładowywać swego gniewu na zwierzęciu.

- On i tak wie - powiedział nagle niski, dobrze modulowany głos kogoś, kto stał schowany w cieniu.

Hercule podniósł głowę tak szybko, że stracił równowagę, i upadłby, gdyby nie ręce Saint-Germaina, który podparł go z boku.

- Niech cię diabli wezmą!

- Jeśli koniecznie chcesz - powiedział Saint-Germain nie chowając urazy. Odsunął się i czekał.

- Ja... ja przepraszam. Nie powinienem odzywać się do pana w ten sposób - powiedział Hercule, nie śmiać spojrzeć w ciemne oczy swego mocodawcy.

- Lecz rany sprawiają ci ból - dokończył za niego Saint-Germain, okazując zrozumienie. - Nie musisz przepraszać.

- To pan jest tu władcą - mówiąc to, Hercule przypomniał sobie arogancki uśmiech na twarzy Saint Sebastiena, gdy ten okładał go laską. Samo wspomnienie wystarczyło, by ponownie odczuć ból.

- Boisz się? Mnie? - to ostatnie pytanie było tak ciche, że Hercule nie był nawet pewien, czy je słyszał.

- Nie sędzę - odpowiedział, marszcząc brwi. Z trudem wyszedł z boksu.

- On będzie potrzebował opieki weterynarza.

- Zadbam o to - Saint-Germain spojrzał na kozioł. - Brakuje ci tego?

- Powożenia? - spytał Hercule z żalem. - Tak. Brakuje mi tego, jak brakowałoby mi własnych zębów.

- Coś zapewne da się zrobić - zaryzykował Saint-Germain głosem

naturalnym, prawie beznamiętnym.

- Nic nie da się zrobić - uniósł się Hercule. - Okaleczył mnie. Równie dobrze mógłby przejechać po mnie karetą. Lecz to - ciągnął nieprzejednany - byłoby zbyt łatwe. To by za szybko zakończyło sprawę i baron Clotaire de Saint Sebastien nie byłby zadowolony. On i jego stary Vidame. Dobry jest, gdy trzeba czegoś od Kościoła.

- Hercule... - wtrącił Saint-Germain, lecz stangret nie dał się udobruchać.

- To potwór! Czego się dotknie, zaraz to nikczemnieje, wypełnia się cierpieniem, a jego sięgnąć nikt nie może. Saint-Germain położył dłoń na ramieniu Hercule.

- Przypuśćmy, przyjacielu, przypuśćmy, że byłby sposób. Założmy, że oddam ci we władanie środki wystarczające, by popsuć szyki Saint Sebastiena. Czy zrobiłbyś to?

- Stanać mu na drodze? - spytał Hercule tracąc oddech. - Jak? Saint-Germain nie odpowiedział wprost.

- Gdybyś miał asystę, czy mógłbyś powozić karetą?

- Nawet bez asysty, bylebym tyłka wspiął się na kozioł. Panie, nie potrzebuję nóg do powożenia, potrzebuję tylko rąk i ramion, a te mam zdrowe. Jestem jednak jak ten robak - nie mogę wspiąć się na górę. - Jego bezużyteczne nogi podrygiwały w takt gestykulacji, potwierdzając ciężkie położenie. - Próbowałem wielokrotnie, lecz załamują się i... jaki z nich pożytek?

- Będziesz miał pomoc - powiedział spokojnie Saint-Germain. - Będziesz miał konie, by nimi powozić, a gdy to się stanie, nie wolno ci będzie zawieść. Jeśli to zrobisz, nic nie stanie między tobą, a całą rozjuszoną sforą, która podąża za Saint Sebastienem.

- Co pan powiada? - spytał Hercule. Przeszył go zimny dreszcz strachu wywołanego tymi słowami.

- Jest ktoś, kogo Saint Sebastien prześladowuje. Myśli, że ma już tę kobietę w swej mocy, ponieważ jej mąż jest jedną z kreatur posłusznych jego woli.

Myli się... - to ostatnie słowo wypowiedziane było cicho, lecz nieustępliwie. Hercule uwierzył niemal, iż Saint-Germain naprawdę dysponuje środkami wystarczającymi, by przeciwstawić się baronowi.

- Cóż zatem? - spróbował iść, lecz kule pozwoliły mu na zrobienie tylko kilku chwiejnych kroków.

- Chcę, byś obserwował dla mnie parę osób - powiedział Saint-Germain, tym razem nie oferując stangretowi asysty. - Obmyśliłem to tak, by nie narażać cię. Będziesz widziany, na to nie ma rady, lecz cię nie rozpoznają.

- Z moimi nogami... - zaczął Hercule.

- Twoje nogi zostaną zasłonięte. Daję ci słowo, że nikt ich nie zauważy - jego oczy lśniły w zaciemnionej stajni niczym węgle. Hercule wsparł się na przegrodach boksów.

- Jestem stangretem. Nic więcej nie potrafię - ostrzegł.

- Ale udawać w przebraniu kogoś innego chyba potrafisz? - Saint-Germain przyglądał się uważnie kalece czekając, aż ten wyjawi co go gnębi.

- A jeśli zostaną zdemaskowany? - Gardził strachem, który usłyszał we własnym głosie. Saint-Germain pokręcił głową.

- Tak się nie stanie. Gdybyś nawet został rozpoznany, to nic z tego nie wyniknie.

- Hrabio... - zaczął Hercule, lecz umilkł.

- O co chodzi? Powiedz mi to teraz, Hercule. Chcę byś miał jasność.

- Hrabio... - strach zdusił słowa w gardle. - A co będzie, jeśli on będzie sobie rościł do mnie prawo? Jeśli będzie się domagał mego... mego powrotu. Byłem jego stangretem...

Saint-Germain uśmiechnął się chłodno.

- Niech spróbuje. Niczego nie osiągnie. Spytaj Rogera, jeśli mi nie wierzysz.

- Twój sługa powie, co ty każesz panie - stwierdził Hercule, niezdolny do ukrycia narastającego przerażenia.

- Jeśli tak sądzisz, to nie znasz Rogera. Powie ci prawdę - Saint-Germain

podszedł bliżej do Hercule. - Pragniesz zemsty za to, co zrobił ci Saint Sebastien? Dłonie Hercule zacisnęły się na drzewcach kuł.

- Jak mi Bóg miły.

- Ale się wahasz - spytał łagodnie hrabia. - Dlaczego?

- Ja... - Hercule nie mógł znieść badawczego spojrzenia Saint-Germaina. - Boję się. Jeśli zawiodę... boję się tego, co Saint Sebastien może zrobić i mnie, i panu.

- Żadnemu z nas niczego nie zrobi - powiedział Saint-Germain z niewzruszoną pewnością. - Może próbować, lecz nie będzie w stanie skrzywdzić ani ciebie, ani mnie.

- Mówi pan to tak pewnie - stwierdził Hercule z powątpiewaniem.

- Jestem przekonany - powiedział hrabia mając nadzieję, iż tak jest w istocie. Wskazał na czerwony blask zachodzącego słońca przesączający się przez brudne szyby. - Chodź. Kolacja już czeka.

Chociaż głodny, Hercule ociągał się. .

- Co pan chce, bym zrobił?

- Masz zjeść kolację - powiedział hrabia z cieniem uśmiechu.

- Mam na myśli Saint Sebastiena. - Hercule doszedł już w pełni do siebie i był w stanie odwzajemnić spojrzenie Saint-Germaina.

Ten skinął głową: stłumione światło błysnęło na rubinie przypiętym do koronek na szyi.

- Będziesz potrzebny, by wywieźć kogoś poza Paryż, w nocy. Szybko i sprawnie. Tyle jest już pewne. Mogą też być i inne zadania.

- I to obróci się przeciwko Saint Sebastienowi? - spytał Hercule, czując, że wraca mu stanowczość.

- Tak.

- Zrobię to - zgodził się pospiesznie.

- I zgodzisz się śledzić dla mnie?

- Tak, również! - Hercule kuśtykał ku hrabiemu, kołysząc zwieszającym się między kulami ciałem. - Jak długo mam jeszcze siłę w ramionach, tak

długo będę panu służył.

- Do obserwacji będziesz potrzebował tylko oczu - przypomniał mu Saint-Germain. - I rozumu. Hercule wyprzedził hrabiego i zatrzymał się przed nim.

- A co z resztą? Czego jeszcze pan oczekuje?

- O tym później - Saint-Germain potrząsnął głową i spojrzał na Hercule'a, po czym przeniósł wzrok za okno. - Może nadejść czas, że będę potrzebował twego wsparcia przeciwko Saint Sebastienowi i jego diabelskim zwolennikom - przerwał, widząc trwogę malującą się znów na twarzy Hercule'a. - Bo oni są diabelscy.

- Tak... - wykrztusił stangret.

- Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie - rzekł Saint-Germain.

- Niemniej, przygotuj się na najgorsze. Żadne kłopoty nie mogą nam przeszkodzić.

- Będę musiał sprawdzić pańskie powozy - powiedział Hercule, przechodząc obok hrabiego i kierując się ku drzwiom do kuchni. Jego kule głucho stukały na kamiennej posadzce w miejscach, gdzie nie okrywała jej słoma.

- Wystarczy, że poprosisz o pomoc - hrabia obserwował stangreta, uważając, by znów nie urazić jego dumy. - Porozmawiaj z Rogerem.

- Najpierw dogładnę koni i powozów - Hercule miał już zamknąć drzwi, gdy odwrócił się jeszcze i spojrzał na Saint-Germaina. - Niech mi pan pozwoli uderzyć Saint Sebastiena. Raz. Tylko raz, a będę pańskim na zawsze, hrabio. - Potem odwrócił się i odszedł wąskim przejściem, zostawiając Saint-Germaina samego w mrocznej stajni.

Treść notatki, którą Lucienne Cressie podała przez służącą, przechwyconej przez jej męża, Achille'a Cressie:

*Moja droga Claudio!*

*Proponowałaś mi kiedyś gościnę w swym domu, bym skorzystała z niej, jeśli kiedyś będę czuła, że muszę opuścić to miejsce. Byłam niewdzięczna odmawiając. Dlatego najuniżej proszę cię o wybaczenie i błagam, byś nie pozostała głucha na moje usilne prośby. Jeśli możesz znaleźć dla mnie w swym sercu wybaczenie dla mego prostactwa, to przyślij mi dyskretnie słowo przez moją służącą. Mój mąż odmawia mi przyjmowania kogokolwiek, jak również prowadzenia korespondencji.*

*Jestem przerażona, Claudio. Widziałam takie rzeczy, iż więcej dowiedziałam się o cierpieniu i rozpacz, niż potrafię to wyrazić. Nie jestem w stanie opisać ran, które pozostawiło to na mej duszy.*

*Proszę, nie odmawiaj mi. Moje życie i zbawienie są w twoich rękach. Na miłość Boga i naszego Zbawiciela, pomóż mi*

*Lucienne*

## . 5 .

- Saint-Germain, pan nie uważa - powiedział Jueneport podnosząc na chwilę oczy znad swoich kart. - Czy zakłada się pan o tego robra?

- Co? - spytał Saint-Germain nieco roztargnionym głosem. - Ach, gra Nie, sądzę, że tego ułożenia nie będę grał - rzucił karty na stół walorami do góry, pokazując, iż miał coś, co z pewnością było wygrywającym zestawem.

Pozostałych pięciu mężczyzn popatrzyło na niego ze zdziwieniem, a Jueneport zauważył:

- Pańskie myśli muszą wędrować dość daleko, skoro opuszcza pan grę z kartami takimi, jak te i pięcioma tysiącami ludwików na stole. Saint-Germain uśmiechnął się słodko i nieszczerze.

- Właśnie dlatego odchodzę. Gdzie miejsce na ryzyko, skoro trzymam takie karty? - odsunął się od stołu i wyprostował z wolna. - Bawcie się dalej, panowie. Idę znaleźć pociechę w sali, gdzie dają kolację.

- Lecz pan nigdy nie je - zakpił Jueneport i spojrzał po innych, szukaj potwierdzenia. Rozległo się kilka ironicznych, porozumiewawczych parsknięć.

- To święta prawda, Jueneport, ale dotyczy tylko jedzenia wraz z innymi, publicznie. Można tam jednak trochę porozmawiać i spotkać dowcipnych ludzi. A nuż spotkam parę dobrze wychowanych osób z towarzystwa, które nie są zniewolone ani piciem, ani hazardem - powiedział z nonszalancjo wywołując nowy wybuch śmiechu. Nikt nie zauważył śmiertelnego zmęczenia, które osiadło na dnie jego oczu. Skłonił się, wykonał odpowiedni gest, wypchniętą chusteczką, przypomniał Jueneportowi, że jego passa już się skończyła i z ostatnim ciętym dowcipem oddalił się spacerkiem ku Wielkiej Sali Hotelu Transylwania.

- Dobry wieczór, Hercule - powiedział do majordomusa, gdy znalazł się w

drzwiach północnego skrzydła.

- Dobry wieczór, hrabio - twarz Hercule nie zmieniła wyrazu ni o jotę.

- Kto już jest, Hercule? - zatrzymał się; wcielenie elegancji w nieskazitelnie czarnych atłasach. Srebrne obszyta brokatowych mankietów i kamizelki. wspaniale współgrały z koronkami, rzucając ciepły blask, który za spraw rubinu na szyi przypominał blask podświetlonego kielicha ze starym winem.

- Wszyscy, hrabio. - Uważał, by nawet drgnieniem mięśnia twarzy nie zdradzić swego mocodawcy. - Kontesę d'Argenlac znajdzie pan na sali balowej. O ile, oczywiście, nie poszła na kolację.

- Rozumiem - wzrok Saint-Germaina przemknął po ścianach i spoczęła, na wspaniałym Velazquezie, który wisiał akurat na wprost niego. - Czy sądzisz, że właściciel rezydencji byłby skłonny rozstać się z tym obrazem?

- Wątpię, hrabio - odpowiedział Hercule z wystudiowaną uprzejmością.

- Dobrze bym zapłacił - ciągnął Saint-Germain, pamiętając swoją roi

- Cóż, proszę cię byś przekazał swemu panu, ktokolwiek nim jest, że darzę Velazqueza szczególnymi względami.

De la Sept-Nuit, który przechodził akurat mimo, wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Znowu propozycja kupna malowidła, hrabio? Saint-Germain uniósł oczy udając zdumienie.

- Och, nie zauważyłem cię, Donatien. Tak, próbuję raz jeszcze, i znowu daremnie.

- Jeśli twoje zainteresowanie nie wygaśnie, postawimy wszyscy na ciebie - odwrócił się ku swojemu towarzyszowi szukając potwierdzenia, lecz baron Beauvrai nie zaszczycił tej rozmowy uwagą.

Beauvrai był zdumiewająco wystrojony tego wieczora; przyćmiewał nawet własne uprzednie dokonania. Nosił wyszukaną perukę posypaną delikatnym, błękitnym pudrem. Z tyłu głowy zabezpieczała ją wielka



atłasowa kokarda spięta złotymi gwiazdami. Jego surdut i spodnie uszyte były z jedwabiu w rozwodnionym, bladożółtym kolorze, zaś ufarbowane na bordowo szerokie wyłogi i mankiety z pewnością nie zostały ubarwione z pożytkiem dla stroju. Słomianego koloru kamizelka w odcieniu peau de soie, wyszywana była turkusowym oplątem, co bez wątpienia miało harmonizować z turkusowymi jedwabnymi pończochami i złotymi butami. Zestaw uzupełniała bladobłękitna koronka na szyi i nadgarstkach oraz zapach fiołkowych perfum, którymi oblał się od stóp do głów.

Saint-Germain kontemplował Beauvrai w ciszy, w końcu dał krótkim westchnieniem wyraz swemu wzruszeniu.

- Jak zwykle Beauvrai, odbiera mi pan zdolność mowy. Beauvrai rzucił mu krótkie, pogardliwe spojrzenie.

- Wolę wyglądać jak mężczyzna, a nie jak ksiądz - powiedział tonem, który w zamiarze miał zmiażdżyć Saint-Germaina. - Z tego, co słyszałem, to nie masz pan więcej pretensji do męskości, niż do swych tytułów.

Saint-Germain skłonił lekko głowę i uśmiechnął się rozbrajająco.

- Jeśli być mężczyzną, to znaczy gorliwie naśladować ciebie, mon baron, to nie podejmę się rywalizacji z twoją osobą - zawsze bowiem byłbym mniej efektowny od ciebie. - Miał się już odwrócić i odejść od kipiącego gniewem Beauvrai, gdy jego uwagę przykuła przypadkowa uwaga rzucona przez de la Sept-Nuit. Zatrzymał się.

- Gdy będziesz u Chaisseurдора, to czy znajdziesz wolny wieczór, by przyłączyć się do nas w Sans Desespoir? - de la Sept-Nuit próbował odciągnąć uwagę wuja od osoby Saint-Germaina.

- Co? Chaisseurdor? Och, tak, tak. Sądzę, że będę mógł. Spędzę tam cały tydzień, a Chaisseurdorowi nie powinno zrobić to różnicy, gdy opuszczę go na jedną noc - Beauvrai ostentacyjnie zignorował Saint-Germaina.

- Weź go ze sobą - zasugerował de la Sept-Nuit, gotów odprowadzić wuja do salonów gry.

- Rzecz w tym, że on nie lubi d'Argenlaca. Pokłócili się dziesięć lat temu o

rezerwy łowieckie i dotąd sprawa nie została załagodzona. Przekleńci głupcy. Nie martw się, Donatien, znajdę czas, by złożyć wizytę w Sans Desespoir. Chcę zobaczyć, jak będziesz sobie radził z la Montalią.

- Nie martw się, sprawię się dobrze - poklepał wuja po ramieniu, wymieniając z nim jednocześnie porozumiewawcze mrugnięcie, po czym odeszli w kierunku północnego skrzydła.

Saint-Germain stał nieruchomo w Wielkiej Sali przez całe dwie minuty. Wzrok miał nieobecny, jakby jedna myśl goniła drugą. Ruszył ku Velazquezowi, przystając co chwilę, by powitać spóźnionych. Patrząc w górę, na wspaniałe oblicza starożytnych, Saint-Germain poczuł ukłucie samotności. Pamiętał, jak wpatrywał się w to dzieło, gdy farby były jeszcze wilgotne i lśniły tłusto. Artysta spytał go wówczas, czyjego zdaniem postać Sokratesa zawiera w sobie wystarczająco mroku przeznaczenia i zagłady. Tak jak i wtedy, Saint-Germain pomyślał, iż obdarty, szczery i mający zamiłowanie do dysput Sokrates nigdy nie rozpoznałby siebie w tej srogiej postaci, zrodzonej z wyobraźni Velazqueza. Przypomniał sobie, jak powstrzymał się kiedyś od powiedzenia tego wielkiemu malarzowi.

Wolnym krokiem przemierzył jadalnię. Zaniepokojenie wywołane słowami, które Beauvrai wypowiedział do de la Sept-Nuit nie zmalowało, gdy rozważył ich znaczenie ponownie. Wspomniał zaproszenie, które kontessa d'Argenlac wystosowała wobec niego, a które dotyczyło właśnie Sans Desespoir. Odrzucił je, nie chcąc wystawiać się na pokusę bliskości Madelaine.

Wyobraźnia ponownie nasunęła mu jej postać. Saint-Germain usilnie próbował myśleć o czymś innym. Nie mógł pozwolić sobie na pożądanie tej dziewczyny, na troskę o nią, szybko bowiem doprowadziłoby to do zdemaskowania obojga. Przez jedną szaloną chwilę wyobraził sobie, jak ostry drewniany kołek wbijany jest w ciało Madelaine.

- Hrabio - usłyszał nagle za plecami. Odwrócił się, wracając do rzeczywistości. Ujrzał Claudię d'Argenlac w asyście diuka de la Mer-

Herbeux. Wyglądała cudownie, ubrana we wspaniałą toaletę w odcieniu zielonego atłasu, wyszywanego w powoje, i halkę z austriackiego jedwabiu z harmonizującymi belgijskimi koronkami w formie kokard, w gustownym kolorze angielskich róż.

Saint-Germain skłonił się głęboko.

- Zachwycony jestem widząc panią - powiedział. - Nie będę pytał o samopoczucie, gdyż pełen blasku majestat pani, mówi sam za siebie.

Kontessa roześmiała się, a oczy rozjarzyły się jej prawie tak samo jasno, jak lśnił jej szmaragdowy naszyjnik.

- Dziękuję, mój drogi hrabio. Mąż zorganizował nam na jutro wyjazd na wieś. Posiedzimy tam kilka dni, a tutaj przygotują przyjęcie za nas. Gdybyś widywał nas częściej w ciągu ostatnich dni, wiedziałbyś o tym.

- Otrzymałem twoje zaproszenie - przypomniał jej i zwrócił się do diuka: - Miło mi widzieć pana znów w Paryżu, sir. Ufam, iż przedsięwzięcie, które ryzykował pan w Londynie zakończyło się sukcesem?

- Po części, hrabio - przyznał de la Mer-Herbeux. - Anglicy szcycą się swoim rozsądkiem, ale w kwestii Austrii zdają się postępować osobliwie irracjonalnie.

- Musi im pan wybaczyć, de la Mer-Herbeux - uśmiechnął się Saint-Germain - że czasem ich pragnienia sprzeczne są z interesami Francji. Kontessa uniosła rękę.

- Panowie, proszę, nie rozmawiajcie o polityce. O niczym innym nie słyszałam przez ostatnią godzinę i nie zniosę ani chwili dłużej - uśmiechnęła się do Saint-Germaina. - Hrabio, wiem, że zechce mnie pan poprzeć. Czy zaprowadzi mnie pan na kolację i opowie o czymś, co nie ma żadnego związku z polityką?

Saint-Germain uniósł pytająco brwi i spojrzał na diuka.

- Czy wolno mi przyjąć ten zaszczyt? De la Mer-Herbeux uwolnił rękę kontessy.

- Proszę bardzo, Saint-Germain. Jeśli nie wolno mi mówić o polityce to

obawiam się, że me będę w stanie zabawić kontessy - skłonił się hrabiemu ucałował dłoń kontessy i odszedł niespiesznie na poszukiwanie towarzystwa bardziej życzliwego jego zainteresowaniom.

- Już myślałam, że spędzę cały wieczór słuchając go - wyszeptała kontessa z widoczną ulgą. - Wiem, że wyświadczył Francji wielką przysługę wizytą w Anglii i że kroi jest obecnie pod wrażeniem jego dyplomatycznych talentów. Ponadto jest wysoko cenionym mężem stanu, ale przysięgam, umierałam z nudów.

- Uczynię co tylko w mojej mocy, by temu zaradzić - powiedział Saint-Germain i poprowadził ją w kierunku jadalni.

- Hrabio - kontessa odzyskała już humor. - Chciałam przekazać ci nowiny kilku ostatnich dni, lecz nie można cię było nigdzie znaleźć.

- Byłem w godny ubolewania sposób zajęty, moja droga - Saint-Germain zachował pozorną obojętność. - To nie tak, bym chciał pozostać z dala od was.

Kontessa znów się uśmiechnęła.

- Madelaine powiedziała, że pewnie zmęczyłeś się nami i że na dobre porzuciłeś nasze towarzystwo, lecz ja skłonna byłam sądzić, że jesteś właśnie zajęty.

Saint-Germain poczuł przyływ sympatii do Madelaine, tak bezbronnej wobec mego, i zapragnął przez chwilę, by była nieco mniej wartą miłowania.

- Jeśli na twoim przyjęciu ma być muzyka, jak kiedyś mówiłaś, Claudio to muszę mieć trochę czasu na jej napisanie - powiedział swobodnie - Gdy tylko wszystkie utwory zostaną zakończone, możesz być pewna, że ujrzysz mnie i będziesz czuła tego widoku przesyty.

- To nigdy mi nie grozi, hrabio - odwróciła się ku niemu, gdy wprowadzał ją do jadalni. - Tak naprawdę to sama byłam niepokieszona, że me będziesz mógł przyłączyć się do nas w Sans Desespoir.

- Cóż, nie ma na to rady - prowadził ją między ciasno ustawionymi

stolikami, prosto ku jednemu z nich, bardziej oddalonemu od innych Przytrzymał jej krzesło, gdy sprawnymi ruchami układała na nim swa szeroką tiurniurę. - Powiedz mi, czym mogę ci służyć. A gdy wrócę będę chciał wysłuchać twoich dobrych wieści.

- Wybierz, co chcesz, mój drogi. Byle nie był to ryż a l'Espagne Dwukrotnie jadłam go już w tym tygodniu na przyjęciach. Madelaine stwierdziła, że jeśli podadzą go gdzieś po raz trzeci, to zaczniesz grać na kastanietach.

- Dobrze zatem, żadnego ryżu a l'Espagne - skierował się do bufetu, lecz zatrzymał się jeszcze, nie mogąc powstrzymać od zadania pytania: - Czy Madelaine przyłączy się do nas? Jeśli tak, to muszę znaleźć jeszcze jakieś krzesło.

- Może zjawić się później. Gdy ostatnio ją widziałam, tańczyła z markizem La Colonne-Pur. Z pewnością jest nią oczarowany.

- Nie dziwię się - mruknął Saint-Germain i ruszył wreszcie.

Spędził przy bufecie więcej czasu niż zwykle, zbierając myśli, co w zgiełku nie było łatwe. Nie udało mu się ich ukryć przed niebezpiecznie przenikliwym umysłem Claudii. Gdy wrócił w końcu do stolika, przyniósł jej pieczoną kaczkę w sosie pomarańczowym, sałatkę ze szpinaku i pokrojonej w kawałki włoskiej dyni, nieco krewetek przyrządzonych na ostro z curry i kielich łagodnie słodkiego białego wina. Postawił to wszystko przed nią i usadowił się na krześle naprzeciwko.

- Teraz - powiedział, opędzając się gestami od podziękowań kontessy - powiedz cóż to są za wiadomości, które tak pilnie chciałaś mi przekazać? Jesteś wyraźnie rozpromieniona, twoje szczęście lśni niczym świecznik w ciemnym pokoju. Jesteś niemal inną kobietą, moja droga - zażartował.

Kontessa d'Argenlac upiła trochę wina, posyłając Saint-Germainowi szeroki uśmiech.

- Ucieszysz się hrabio. - Odstawiła kielich i przez kilka chwil wpatrywała się w talerz, aż w końcu powiedziała: - Jak zapewne się domyślałeś, stosunki

między moim mężem a mną były ostatnio napięte...

- Tak, zdawałem sobie z tego sprawę - powiedział spokojnie. Westchnęła i potrząsnęła głową.

- Bałam się bardzo, że doprowadzi nas do ruiny. Prawie mu się to udało. Jego zarządca był ostatnio bardzo zaniepokojony, zalecał nawet różne drastyczne i nieprzyjemne kroki. Ja... byłam zmuszona... miałam sposobność uregulować najpilniejsze zobowiązania Gervaise'a, co powinno ulżyć naszej doli na jakiś czas...

Saint-Germain milczał, zastanawiając się, jak znaczna część jej majątku została spieniężona, by ratować z kłopotów tego głupca.

- Gdy już pewna byłam, że znajdziemy się i tak w beznadziejnej sytuacji, Gervaise mnie zdumiał. Okazało się, iż istniał pewien sekretny zapis, o którym nie było żadnej wzmianki w zasadniczym testamencie jego ojca.

- Sekretny spadek? - niedowierzanie przebijało w głosie Saint-Germaina. - Powiedz, co jest tym sekretnym spadkiem? Kontessa podniosła głowę i spojrzała na hrabiego.

- Naprawdę, jest to odpowiedź na moje modlitwy. Jego ojciec, jak się zdaje, wszedł niegdyś w posiadanie wielkiego, nieoszlifowanego diamentu, który Gervaise dał obrobić i teraz kamień został oceniony, jak mówi, na więcej niż sześćdziesiąt tysięcy ludwików - splotła dłonie i raz jeszcze radość zjawiała się w jej oczach.

- Nieoszlifowany diament?... - powiedział wolno Saint-Germain.

- Tak. Przyniósł go parę dni temu. To zaskakujące, jak zwyczajnie wyglądają te kamienie przed oszlifowaniem, prawda? - skupiła uwagę na kolacji, zaczynając od sałatki.

- Jego ojciec zostawił mu nieoszlifowany diament, który Gervaise zdecydował się wreszcie sprzedać? - Nie oczekiwał odpowiedzi. Jego oczy zwrócone były w stronę okna, a jedna dłoń bawiła się rubinem na koronkach okalających szyję.

Claudia również spojrzała w okno i nagle wstrzymała oddech.

- Jakie to dziwne. Stąd, gdzie siedzę, nie widzę twojego odbicia, a powinnam.

Saint-Germain błyskawicznie odwrócił wzrok i raz jeszcze spojrzął w ciemne od nocy okna, w których odbijały się kolorowe wyobrażenia gości. Uświadomił sobie swoją lekkomyślność wynikłą z troski o Madelaine, która dokładnie zaprzątnęła jego myśli. Przesunął nieco krzesło.

- Kwestia kąta odbicia. Gdybyś siedziała tu, gdzie ja, też byś znikła, moja droga - usiłował ratować sytuację.

- Naprawdę? Przestraszyłeś mnie - przyznała, lecz jej śmiech brzmiał sztucznie.

Saint-Germain wstał, podszedł do okna i odwiązał ozdobny sznur, który przytrzymywał atlasowe zasłony. Ciężki materiał spłynął w dół, odgradzając ich od nocy i postaci na szkle.

- Nie musimy rozpraszać swej uwagi śledzeniem odbić - ponownie usiadł.  
- Musisz powiedzieć mi więcej o tym szczęściu, które tak nagle spadło na twego męża. Wnioskuje, że nikt o tym dotąd nie wiedział?

- W żadnym calu. Oto dlaczego czuję aż taką ulgę.

- No proszę, co za przypadek - zamyślił się Saint-Germain. - Bardzo się cieszę, to dla was zbawienne.

- Tak. Teraz mogę być spokojna. Czuję, jakby jakiś ciężar został zdjęty z moich ramion. I znów dobrze układa się między mną a moim mężem, zupełnie znośnie...

- To oczywiste, Claudio. Przyjmij moje gratulacje - w jego głosie nie pojawiła się nuta radości. Kontessa zdawała się tego nie zauważać.

- Dziękuję ci, Saint-Germain. Miło z twojej strony, że mnie wysłuchałeś, pocieszając i służąc mądrością. Muszę wyznać - szepnęła - że gdy po raz pierwszy mąż zaproponował mi ten pobyt na wsi, byłam przerażona, że to już koniec i Gervaise ucieka przed wierzycielami. Wprawdzie - ciągnęła - nie jestem zadowolona, że de la Sept-Nuit też ma w tym uczestniczyć, lecz przez cały czas będą z innymi, a zatem nie powinien stanowić

niebezpieczeństwa. Cóż, nie odpowiada mi to, lecz nie chcę przeciwstawiać się życzeniom mego męża, szczególnie teraz, gdy coś nowego rodzi się między nami.

Saint-Germain przytaknął, zauważając cień niepewności, który pojawił się przez ułamek chwili na jej twarzy.

- Claudio, jeśli coś jeszcze cię gnębi i nie daje ci do końca spokoju, to możesz policzyć mnie między twych przyjaciół i zaufać mej dyskrecji? Szybko zwróciła ku niemu głowę.

- Och - nagle zdała sobie sprawę, iż zauważył jej zaniepokojenie. - To nic, hrabio. Naprawdę nic. Jesteś tak wielkoduszny. Zawsze wiedziałam, że jesteś szczodrobliwy, nawet wtedy, gdy dopiero co przyjechałeś do Paryża i wielu było wobec ciebie nastawionych podejrzliwie...-uniosła dłoń do ust. - Mój Boże, me chciałam, żeby to tak zabrzmiało...

- Wiem, co o mnie mówiono, Claudio. Dobrze wiem - uśmiechnął się ze szczerym rozbawieniem. - Wszyscy zastanawiają się, kim mogę być, czy też kim nie jestem. Ja znam odpowiedź i sprawia mi sporą przyjemność obserwowanie was, którzy zgadujecie - uniosł jej dłoń i przysunął do swoich warg. - Mniejsza z tym, Claudio - powiedział, widząc zapowiedź łez w jej oczach i pojmując, iż Claudia jest o wiele bliżej hysterii, niż sądził na początku.

- To tylko... - przerwała na chwilę próbując się uspokoić. - To straszne tak mówić, hrabio, lecz od początku obawiałam się, że jestem okłamywana, i że tak naprawdę cała historia wygląda inaczej. Dopóki nie pokazał mi kamienia, nie wierzyłam mu - była speszona tym wyznaniem.

- To zrozumiałe - zaznaczył sucho, lecz ona nie przerwała.

- ...i to nawet teraz. Nic na to nie poradzę. Boję się, że to tylko sen i że obudzę się, by znaleźć przed drzwiami przedstawicieli władzy królewskiej. Przyniosła dłonią oczy - I Jak mnie teraz oceniasz?

- Nie zaszło nic, co by cię dyskredytowało, madame -jego wymuszające szacunek ciemne oczy wpatrywały się w nią. Gdy była już w pełni świadoma



tego badawczego spojrzenia, powiedział: - Nie ma się czego bać, moja droga. Przeszłaś ciężkie chwile, lecz niebawem wrócisz do siebie. Jeśli pojawi się inne niebezpieczeństwo, z powodzeniem stawisz mu czoła, gdyż jesteś bardzo dzielna. Pamiętaj o tym.

Jej oczy zwilgotniały.

- Ja... nie wiem... co powiedzieć... Jestem przemęczona. Każdy drobiazg wytrąca mnie z równowagi - popatrzyła na talerz. - Muszę skończyć kolację.

Saint-Germain zmarszczył brwi, zdając sobie sprawę, że bezpieczeństwo Madelaine zawisło na cienkiej nitce i zależy od wytrzymałości nerwów jej ciotki.

Claudia wzięła energicznie widelec, szczebiocząc coś o jedzeniu, mówiąc, że kaczka jest wyborna, i że nie jadła jeszcze tak wspaniałego sosu pomarańczowego. Pomiędzy kęsami chwaliła aż do przesady wspaniałe jedzenie, które serwowano w Hotelu Transylwania. Nie potrafiła wrócić do tego, co napełniało ją niepokojem.

Saint-Germain położył temu kres następnym pytaniem:

- Słyszałem, że wysłałaś służącą do rezydencji Cressie, by dowiedzieć się o madame. Co o niej wiesz?

Beztraski potok słów Claudii urwał się nagle. Odłożyła widelec.

- Biedaczka. Nie udało mi się z nią zobaczyć. Achille zabronił jej przyjmować kogokolwiek.

- O tym wiem - powiedział hrabia z pewną szorstkością. - Sam tam posyłałem, i to parę razy, lecz nie zostałem dopuszczony - pomyślał o dwóch nieudanych próbach przyjścia do niej podczas snu. Zawsze jednak była z nią służąca i Lucienne Cressie nie miała szansy, by spać sama.

- Obawiam się o nią. Napisałam do brata, pytając go o radę. Wiem, że w zasadzie nie należy mieszać się w sprawy rodzinne i wchodzić między męża i żonę, lecz w tym przypadku nie mogę pozostać spokojna - na jej policzkach znowu pojawił się rumieniec, powrócił duch pełnej temperamentu kobiety.

- Gdyby dało się udowodnić, że znęcano się nad nią, wówczas można by wystąpić z wnioskiem o przeprowadzenie separacji - Saint-Germain wypowiedział głośno myśli kontessy.

- Nie wiem - powiedziała powoli. - Jej rodzice nie żyją, a jedyna siostra jest w zakonie. Ma trzy ciotki, lecz nie jestem pewna, czy ich mężowie chcieliby się angażować w sprawę... - spojrzała na Saint-Germaina z maską żalu na pięknej twarzy. - Och, mój drogi, czuję się taka bezradna - łzy spłynęły jej po policzkach.

- Spokojnie, kochana - Saint-Germain położył jej uspokajająco rękę na ramieniu.

- Nie zwracaj uwagi - uniosła nagle rękę, jakby chciała osłonić się przed ciosem. Potem, nagle, jej twarz rozjaśniła się, a obronny w zamyśle gest zmienił się w gest powitalny.

- Madelaine! - zawołała, kiwając na bratanicę, która dała się zauważyć u wejścia do jadalni, wsparta na ramieniu barona de la Toubedigue.

Madelaine rozejrzała się po sali słysząc swe imię i powiedziała coś do swego towarzysza.

Elegancki młody człowiek w fiołkoworóżowych atłasach uległ jej życzeniom i poprowadził ją między stolikami z miną kogoś, kto toruje drogę dla jednego ze sławniejszych rzymskich imperatorów.

- Ciociu - odezwała się Madelaine, gdy była już dość blisko, by w ogólnym gwarze zostać usłyszana. - Miałam nadzieję, że cię tu znajdę. Te wszystkie tańce mocno mnie wygłodziły, a baron de la Toubedigue zdecydowany jest jeszcze do tego wszystkiego zdjąć mi buty ze stóp.

Saint-Germain uniósł się na powitanie.

- Dobry wieczór, mademoiselle - powiedział, nie pozwalając swoim oczom zbyt długo spoczywać na jej twarzy.

- Dobry wieczór, hrabio - uśmiechnęła się blado. - Powinnam zapewne podziękować ci za krzesło. Tak rzadko ostatnio cię widuję, że będę chyba musiała przejść z tobą na stosunki oficjalne.

Saint-Germain puścił to mimo uszu.

- Czy pozwoli pani, mademoiselle, że przyniosę jej coś do zjedzenia? Niewątpliwie pragnie pani porozmawiać z ciotką...

Tutaj wtrącił się de la Toubedigue, wciąż bardzo chętny do usług:

- Nie, proszę wybaczyć, hrabio, lecz dla mnie będzie zaszczytem służyć mademoiselle. Pan miał przyjemność obsłużyć już jej ciotkę, musi zatem odstąpić mi przywilej usłużenia jej bratanicy - skłonił się i odszedł, zanim Saint-Germain zdołał się sprzeciwić.

- Co to za szczeniak? - spytał, gdy młodzieniec oddalił się od stolika.

- To mój admirator - stwierdziła oschle Madelaine.

- Ależ Madelaine - ciotka potrząsnęła głową.

- Nie, nie - Saint-Germain uśmiechnął się smutno.- Zasłużyłem sobie na taką surowość, mademoiselle. Przyznaję, że obawiam się kpin związanych i moim wiekiem, podczas, gdy pożądana jesteś przez tylu młodszych i łatwiejszych do zaakceptowania gentelmanów - rzucił Madelaine wymowne spojrzenie i zauważył, jak w jej oczach zapalają się ognie odpowiedzi.

- Nie jesteś może tak młody, jak zalotnicy Madelaine - zauważyła Claudia - lecz masz dwudziestokrotnie więcej obejścia od nich.

- Przynajmniej tyle - zachichotał Saint-Germain. Raz jeszcze spojrzął na Madelaine. - Jestem zrozpaczony, lecz pewne nadzwyczaj pilne sprawy nie pozwalają mi przyłączyć się do was w wycieczce do Sans Desespoir. Muszę wyjechać na kilka dni z Paryża - odstąpił od stołu i kłaniał się już obu kobietom na pożegnanie, gdy Madelaine go zatrzymała.

- Och, Saint-Germain. Miałam nadzieję że jedziesz z nami. A co z naszymi muzycznymi popołudniami?

- Zapewniam cię, że pracuję nad paroma utworami na wasze przyjęcie - rozejrzał się po sali. - Proszę, oto wraca twój wierny baron, mademoiselle. Muszę was opuścić, lecz on z pewnością was zabawi. Madelaine spojrzała na niego błagalnie.

- Miałam nadzieję zobaczyć się z tobą.

Zamiast odpowiedzi rzucił jej enigmatyczny uśmiech i dał się wreszcie wzruszyć. W końcu powiedział jednak cicho.

- Zapewne jeszcze mnie ujrzysz.

Treść dwóch identycznych listów hrabiego de Saint-Germain do jego służącego Rogera i jego majordomusa Hercule, zapieczętowanych osobno, napisanych równocześnie jeden lewą, drugi prawą ręką; datowane 25 października 1743:

*Mój drogi Rogerze/Hercule:*

*Okazało się, iż muszę wyjechać z Paryża na trzy, może cztery dni. Jest sprawa o sporym ładunku dyskrekcji i muszę przez to zachować jej istotę w najgłębszej tajemnicy. W tym celu podróżować będę sam, konno i bez eskorty.*

*Gdyby moja nieobecność wzbudziła komentarze, powiedz że są po temu, by zaistniała, powody, lecz nie wolno ci ich wyjawiać z obawy, iż mogłoby to wywołać niepożądane reperkusje w najwyższych sferach.*

*Jeśli nie wrócę do Paryża w ciągu pięciu dni, a ty me dostaniesz wieści ode mnie, lub też wiadomość przyjdzie bez odcisku mego sygnetu, upoważniam cię do wszczęcia poszukiwań w sposób znany Rogerowi. Możecie wtedy wykorzystać Sattina. Domingo y Roxas też może pomóc, lecz w żadnym przypadku nie proście o wsparcie nikogo więcej. Policję, jak i duchowieństwo, należy wykluczyć.*

*Moja Ostatnia Wola i instrukcje na temat pogrzebu znajdują się na zwykłym miejscu. Możecie otworzyć je, gdyby moja nieobecność przeciągnęła się powyżej dwudziestu jeden dni.*

*Zobowiązuję was do wypełnienia moich poleceń, jeśli spokój duszy wam miły -  
Saint-Germain (jego pieczęć: Eklipsa)*

## . 6 .

Nawet wypełnione chmurami niebo nie było w stanie popsuć radości popołudniowego polowania. Park i otaczające Sans Desespoir rezerwy pełne były bogactw jesieni. Liście okrywały ziemię, szeleszcząc pod końskimi kopytami, gdy Gervaise prowadził swoich gości w pogoni za jelonkiem- tak naprawdę, to mało komu zależało na doprowadzeniu pościgu do końca Madelaine wysforowała się o trzy skoki przed resztą towarzystwa. Kostium do konnej jazdy łopotał wokół niej burgundzkim aksamitem, a oczy lśniły radością. Dosiadała wielkiego, kościstego angielskiego rumaka przyuczonego specjalnie do polowań, który niezmordowanie pożerał przestrzeń wciąż z tą samą szybkością. Ustawiła go w długim galopie na następną przeszkodę, czując lekkość w sercu. Uwolniła się od dokuczliwej samotności, którą czuła odkąd trzy dni temu opuściła Paryż. Wmawiała sobie, że to miasta jej brakuje, a nie Saint-Germaina.

Pozostali wzięli przeszkodę za nią, wszyscy, oprócz kuzyna Gervaise kawalera Sommenault, którego koń znarowił się i posłał jeźdźca ponad łbem prosto w stos bukowych liści, gdzie kawaler wylądował bez tchu, lecz cały.

- Oho! - krzyknął de la Sept-Nuit, gdy zrównał swego hanowerskiego gniadosza z wierzchowcem Madelaine. - Przyćmiewasz nas pani. Jaki styl! Jaka odwaga!

Jego dłonie pewnie chwyciły cugle.

- Bardzo proszę, kawalerze, nie zabieraj mi miejsca. Ścieżka jest bardzo wąska.

- Zajeżdżam ci drogę? To ja przyłapałem cię, pani, na tym przed chwilą - pokazał jej uśmiech na tyle wolny od złośliwości, na ile leżało to w jego możliwościach. - Jesteś pierwszorzędną amazonką, pani.

- Te komplementy powinien pan prawić memu ojcu, to on mnie uczył -

nie lubiła de la Sept-Nuit i z przykrością znosiła jego towarzystwo. Chciała się od mego uwolnić, lecz wiedziała, że o ile nie zleci on z konia przy którymś skoku, to nie da się od niego uciec.

De la Sept-Nuit uśmiechnął się szerzej.

- Nie trzeba być tak skromną, mademoiselle. Jest pani jak najbardziej godna pochwały. - Wstrzymał nieco konia, widząc, że drzewa rosą coraz gęściej i pozwolił jej wysforować się naprzód.

Madelaine zgrzytała zębami. Przez te trzy dni, gdyś cierpieć musiała towarzystwo de la Sept-Nuit, doszła do wniosku, że nie chce mieć nic wspólnego z jego staranną uprzejmością i zachłanną twarzą. Sama myśl o schlebającej poniekąd ofercie małżeństwa, którą przekazał jej ciotce przyprawiała ją o dreszcze.

Obok nich przegalopował Gervaise; jego wielki kasztanowy ogier niemal otarł się o nich<sup>^</sup> rzucając łbem w reakcji na ryzykowne tempo, które narzucił mu jeździec. Hrabia d'Argenlac był dość lekkomyślny i tylko wielkie doświadczenie ratowało go przed zabiciem się. Wrzeszczał coś bez związku do de la Sept-Nuit machał energicznie rękami, w końcu zniknął gdzieś przed nimi.

Daleko, poza drzewami, jelonek przeskoczył przez płot i sforsowawszy strumień, ruszył w dobra diuka de Ruisseau-Royal, mając szansę ujść pogoni w rozciągającej się na północy gęstej puszczy.

- Da nam lekcję - roześmiał się de la Sept-Nuit, podnosząc głos. - Czy pani wierzchowiec da radę tej przeszkodzie? Niech pani uważa, bo inaczej źle się to dla pani skończy.

- Mam nadzieję, że sobie poradzi - powiedziała Madelaine przez zaciśnięte zęby. Była zadowolona, że nie upierała się przy swej hiszpańskiej klaczy, która po takim biegu byłaby już zbyt zmęczona, by brać kolejne przeszkody.

Byli już poza linią drzew i przez szeroką łąkę zmierzali w kierunku płotu wyznaczającego granice dóbr Gervaise. Sam właściciel opuścił już swój

majątek i właśnie ostrożnie przeprowiał się przez strumień po drugiej stronie, kierując konia pewnie ku brzegowi.

Madelaine poczuła jak jej wierzchowiec nabiera szybkości i zacieśniła uchwyt nogi na łąku damskiego siodła. Koń odbił się, a Madelaine oparła o kark zwierzęcia. W najwyższym punkcie lotu przegięła się do tyłu, muskając niemal głową zad konia. Zaraz, gdy tylko wierzchowiec dotknął kopytami gruntu, wyprostowała się, skróciła cugle i pogoniła ku strumieniowi.

Hanowerczyk de la Sept-Nuit był tuż za nią, a młodzieniec krzyczał coś do Madelaine, wyrażając zapewne swój entuzjazm. Jego koń w tej chwili niemal potknął się i de la Sept-Nuit musiał ratować wierzchowca przed opadnięciem na kolana.

Gervaise zniknął już zupełnie z pola widzenia, przepadając gdzieś w lesie, a reszta polujących wraz z nim. Wiał rzeński wiatr, szeleszcząc liśćmi i przeganiając po niebie ciężkie chmury.

Madelaine rozejrzała się wokoło. Zakiełkował w niej lęk, iż może zostać ujrzana sam na sam z de la Sept-Nuit. Jej koń był już w strumieniu, a ona pewnie wyznaczała mu kurs do drugiego brzegu. Chciała pogonić wierzchowca w głąb puszczy, by zwiększyć odległość między sobą a tym młodym szlachcicem, który był wciąż o mniej niż dwie długości ramienia obok niej. Od ogrodzenia dobiegł ją ciężki łomot: jeszcze dwóch jeźdźców dołączyło do kompanii. Madelaine poczuła, jak strach ściska jej gardło.

Pokonawszy strumień skierowała się wreszcie ku puszczy, wiedząc, że Donatien de la Sept-Nuit bawi się teraz pościgiem, igrając z nią. Przez chwilę rozważała, czy nie rzucić mu wyzwania i nie zażądać, by otwarcie wyjawiał swoje zamiary, lecz porzuciła pomysł równie szybko, jak na niego wpadła. Nie pragnęła narażać się aż tak bardzo, gdyż byłoby rzeczą prostą dla de la Sept-Nuit skompromitować ją, a potem, nie miałyby już wyboru... Musiałyby wyjść za niego.

Drzewa były już całkiem blisko. Wraziła ostrogę w bok konia i z satysfakcją zauważyła, że oddała się od hanowerczyka. W lesie szansę

wzrosną, pomyślała. Schyliła głowę w przewidywaniu licznych wielkich konarów, które czyhają niemożliwe do dostrzeżenia w gasnącym świetle dnia.

Pod drzewami było zimno. Musiała zwolnić do cwału, grunt był nierówny, a szybkie tempo zbyt męczyło wierzchowca. Zacisnęła dłonie na cuglach.

Wiedziała, że Gervaise jest gdzieś przed nią i miała nadzieję, że mąż jej ciotki nie odmówi ewentualnej pomocy.

Pospieszne spojrzenie przez ramię upewniło ją, że wystarczająco wysforowała się przed de la Sept-Nuit. Słyszała ciężki tętent jego konia, lecz dość daleko, by zakiełkowała w niej nadzieja, iż leśna ścieżka da jej szansę uniknięcia. Rozejrzała się wokoło gotowa na każde niebezpieczeństwo, które mógł przedstawiać sobą las.

Szlak zagłębiał się w gęstwinię, a ścieżka coraz mniej wyraźnie odcinała się od poszycia. Wielkie sosny i stare dęby, które przeważały w polu widzenia, skrywały ziemię w półmroku. Ścieżka wiła się pomiędzy nimi coraz ostrzejszymi zakolami.

Przed nią szlak się rozwidłał. Jedna odnoga prowadziła w górę zbocza oddalając się od oznaczonej ścieżki, która była trochę szersza, jasno oświetlona i wolna od kamieni. Ślady poruszonej ziemi świadczyły, iż zupełnie niedawno przejechało nią kilku jeźdźców.

Madelaine nie wahała się. Szarpnęła mocno cuglami i skierowała konia pod górę. Wielki angielski wierzchowiec zachwiał się, a potem pognął przed siebie. Krople potu lśniły na jego karku, gdy przeskakiwał nad rozrzuconymi kamieniami.

Na szczycie wzniesienia, za zasłoną drzew oddzielającą ją i wierzchowca od głównego szlaku, Madelaine ściągnęła cugle nakazując umęczonemu zwierzęciu stać nieruchomo. W ciszy mąconej jedynie ich ciężkimi oddechami nasłuchiwała odgłosów przejazdu de la Sept-Nuit. Gdy minął ich, była już niemal zdecydowana, by ruszyć za nim, lecz przypomniała sobie ślady podków na dolnej ścieżce. Nie była pewna, ile ich było.



Zmęczona, pełna niepokoju, z dala od Sans Desespoir, Madelaine rozważyła swoją sytuację. Wiedziała, że może wrócić na ścieżkę w dole i podążyć tam, gdzie powinni być Gervaise i de la Sept-Nuit, lecz coś mówiło jej, że nie powinna tego robić. Po chwili ześliznęła się z siodła i przełożywszy cugle nad głową konia poprowadziła go dalej ścieżyną, zastanawiając się, dokąd ona wiedzie. Wiedziała, że nie będzie mogła tak szybko dosiąść wierzchowca, którego marmurkowa szara derka pociemniała od potu i który nadal oddychał z wysiłkiem.

Była to trudna wędrówka: długi tren jej kostiumu ciągle o coś zaczepiał, koń stał się narowisty. Zaczęła zastanawiać się, czy znajdzie drogę do jakiegoś miejsca, w którym bezpiecznie mogłaby spędzić noc. Wiatr wzmógł się i drzewa zawodziły pod jego uderzeniami, szepcząc i chłoszcząc się gałęziami, niczym biczownicy czyniący pokutę. Na niebie widoczne były groźne, coraz ciemniejsze chmury.

Uszła z ćwierć mili, gdy usłyszała odgłos kopyt. Przystanęła i przyłożyła dłoń do nozdrzy konia, chcąc powstrzymać go od rżenia. Jeszcze przed chwilą wydałoby się to jej nadmiarem ostrożności, lecz teraz dreszcz przebiegł jej po plecach, a serce mocniej zabiło.

Nasłuchując uważnie nabrała pewności, że galopuje cztery lub pięć koni. Razem z trzema ofiarami wypadków, tyle właśnie jeźdźców wyruszyło z nią na polowanie. Nie mogli więc być to ci, którzy jechali za nią.

Powodowana impulsem ściągnęła konia ze ścieżki, w gąszcz, z dala od szlaku. Stanęli tam nieruchomo, w nikłym świetle. Ściółka z opadłych liści sprawiła, że kopyta nie zostawiły widocznych śladów, które mogłyby doprowadzić przybyszów do jej kryjówki.

Odgłosy pogoni narastały. Po chwili w polu widzenia pojawiło się sześciu jeźdźców na parujących koniach, ze spoconymi twarzami. Madelaine poczuła, jak ogarnia ją zimno. Jeźdźcem, który prowadził całą grupę, był baron Clotaire de Saint Sebastien, zaś tuż obok jechał Beauvrai.

Oczy Madelaine rozszerzyły się, twarz zbladła. Przycisnęła dłoń do szyi,

pragnąc opanować dygotanie ciała, Saint Sebastien! Kolana ugięły się pod nią, poczuła, że osuwa się na bark konia. Wiedziała, że musi wydostać się stąd. Nie może zostać pojmana przez tych zdecydowanych na wszystko mężczyzn.

Odjechali i tylko parskania niespokojnych koni przypominały o wielkim niebezpieczeństwie, w którym się znalazła. Zmusiła się do jasnego myślenia, starając się stłumić strach, który obezwładniał jej umysł. Odgłosy kopyt były coraz słabsze, a gdy wreszcie ucichły, poczuła jak wraca jej odwaga.

Zahaczyła cugle o gałąź, po czym uniosła aksamitną suknię i zaczęła rozwiązywać cztery halki. Jedną po drugiej ściągnęła do kostek i wyszła z nich. Leżały na ziemi niczym stos pomiętego płótna. Teraz było jej chłodniej, lecz miała większą swobodę ruchów. Schyliwszy się raz jeszcze, wyciągnęła mały nożyk tkwiący dotychczas w pochewce na cholewie buta. Ojciec dał go jej na wypadek, gdyby w nagłej potrzebie, na przykład przy upadku, musiała odciąć strzemiona. Teraz użyła go do pocięcia halek na długie pasy, które rozkładała wokół siebie.

Była to ciężka praca i zmęczenie dało znać o sobie zanim jeszcze zadanie zostało wykonane. W końcu dość było płóciennych łachmanów, by owinąć każde z kopyt konia niezdatnym łapciem. Pewna była, że Saint Sebastien nie ustanie tak łatwo w poszukiwaniach. Nie chciała, by przypadkowy hałas ściągnął ich ponownie.

Było już prawie ciemno, gdy skończyła obwijanie i obwiązywanie kopyt. Czuła wyraźnie chłód nadciągającej nocy, przez którą miała się przedzierać. Już miała wskoczyć na siodło, gdy uprzytomniła sobie, że przecież poszukujący jej mężczyźni wypatrują postaci jadącej konno w damskim siodle. Ściągnęła je więc z grzbietu zwierzęcia i wepchnęła pod grube gałęzie nisko rozrastającej się sosny. Potem, z głębokim westchnieniem, rozcięła aksamitną spódnicę, z przodu i z tyłu, a luźne brzegi obwiązała wokół kostek, sporządzając tym samym zadziwiająco funkcjonalne bryczesy.

Gdy była gotowa, odwiązała cugle i chwytając dłonią grzywę, wskoczyła niezgrabnie na grzbiet wierzchowca. Parę następnych chwil zabrało jej przystosowanie się do jazdy na oklep i okrakiem. Wreszcie usadowiła się wygodnie, gotowa by ruszyć.

Kilkanaście minut później ponownie usłyszała odgłosy pogoni. Powściągnęła konia i nasłuchiwała uważnie, starając się ustalić kierunek, z którego dochodził tętent. Następny podmuch wiatru przyniósł to samo, lecz już wyraźniej. Stwierdziła, że myśliwi rozstawili się i tyralierą przeczesują las.

Wtuliła głowę w ramiona by stłumić łkanie. Poczwała jak rozpacz narasta w niej, niczym jakaś egzotyczna choroba. Ucieczka zdawała się być daremną, a wszystkie dotychczasowe wysiłki bezsensowne. Jednak wizja okrutnego uśmiechu Saint Sebastiena zmuszała ją do działania. Ostrożnie pogoniła wierzchowca.

Wkrótce zapadła głęboka noc, która jeszcze bardziej spowolniła tempo jej marszu. Gdy po raz kolejny omal nie zsunęła się wraz z koniem ze zbocza, gotowa była płakać ze złości. Tylko nie milknący odgłos poszukiwań dodawał jej jeszcze sił. Na rękach i twarzy pojawiły się zadrapania, włosy miała rozwichrzone: zgubiła gdzieś kapelusz. W dodatku jedna z rękawic rozdarła się i Madelaine czuła, jak podmuchy wiatru mrożą jej dłoń. Nad głową korony drzew zmagaly się z wichurą.

Nagle, z lewej strony szlaku, dostrzegła nieznaczące poruszenie. Koń parsknął, wyczuwając zagrożenie. Doszedł ją odgłos łamiących się konarów. Madelaine sięgnęła po nóż, gotowa bronić się...

Wytężając wzrok, dostrzegła pomiędzy pniami drzew sylwetkę jakiegoś zwierzęcia, które powoli zbliżało się do niej. Z trudem opanowała wodze, odzyskując kontrolę nad koniem. Po chwili nie miała już wątpliwości - wilk. Odruchowo rozejrzała się wokół, spodziewając się znaleźć całą sforę. Odetchnęła, nie dostrzegając złowrogich, czarnych postaci. Serce biło jej głośno, tłumiąc szum wiatru w uszach.

Tymczasem odgłosy galopady były coraz bliższe. Rozpoznała znajome głosy ludzi Saint Sebastiena, nawołujących się w ciemnościach. Ich niesione wiatrem słowa miały w sobie coś z szaleństwa i nienawiści.

Wilk natomiast, skamłając, zniknął co jakiś czas w ciemnościach, by za chwilę pojawić się w nowym miejscu, zawsze jednak na tyle daleko, aby nie spłoszyć sparaliżowanego strachem konia.

Madelaine zastanowiło dziwne zachowanie zwierzęcia. Nagle wstrząsnął ją dziwny dźwięk wydobywający się z gardła bestii, niepodobny jednak do znanego ujadania psów. Było to pełne osamotnienia wycie, w którym pobrzmiwało echo wiecznego opuszczenia, zrodzone w martwocie skalnych turni. Coś poruszyło jej serce, gdy słuchała tego dzikiego, pełnego bólu zewu. Przez krótką szaloną chwilę odczuła bliżej nieokreślone pokrewieństwo.

Pościg był coraz bliżej. Madelaine z trudem stłumiła narastającą panikę. Z niepokojem wypatrywała chwili, gdy wilk będzie na tyle daleko, by mogła przeprowadzić konia. Z dwojga złego zdecydowana była stawić czoła szarej bestii, godząc się z nagłą, czystą śmiercią.

Zwierzę tymczasem dreptało przed nią, zawodząc coraz głośniejszymi, znikając w gęstwinie, jak się wydawało, po to tylko, by pojawić się ponownie w zasięgu wzroku Madelaine.

Nagle przypomniała sobie, co powiedział jej Saint-Germain w ów pamiętny wieczór w Hotelu Transylwania. Słowa brzmiały w jej myślach tak wyraźnie, jakby szeptał jej w tej właśnie chwili: "Twoja dusza... zawsze, Madelaine".

Zerknęła przez ramię w stronę, skąd dochodziły gromkie nawoływania, po czym spięła konia, kierując go tam, dokąd prowadził ją rozmyty mrokiem kształt wilka.

Wydawało jej się, że jechała blisko pół nocy, ciągle przez gęsty las, gdy ujrzała przed sobą zarysy jakiejś budowli. Zwolniła i ostrożnie zbliżyła się do zabudowań, starając się nie czynić większego hałasu. Kilka kropel rosy,

strząśniętych z drzew, rozprysło się na jej twarzy. Okrążyła budynek, stwierdzając, iż jest to stary, masywnej konstrukcji kościół.

Z ulgą zsunęła się z konia, rozprostowując obolałe ciało. Rozejrzawszy się wokoło, pchnęła masywne drzwi prowadzące do wnętrza. Schwyciła konia za uzdę i wprowadziła go do mrocznej kruchty. Szczątki szmat wokół kopyt stłumiły nieco kroki zwierzęcia po kamiennej posadzce. Madelaine przywiązała jeden z cugli do zatyczki drzwi i weszła do kościoła. W zatechłym powietrzu unosił się zapach kadzidła, świadczący o czyjejś obecności. Ruszyła nawą, klękając odruchowo przed krucyfiksem i odmawiając krótką, dziękczynną modlitwę.

Odwróciła się i zamarła w bezruchu.

- Madelaine - powiedział niskim, ciepłym głosem i wyciągnął ku niej rękę. Ubrany był w strój podobny do wojskowego munduru, z luźnymi nieco bryczesami i obszerną tuniką koloru czarnego z plamami ciemnej zieleni. Nosił wysokie, kawaleryjskie buty i futrzaną czapę. Uśmiech jego czarnych oczu przepełnił jej serce radością.

- Saint-Germain! - zawołała, podbiegając doń, by paść mu w ramiona i przycisnąć twarz do szyi.

- Cicho, cicho - wyszeptał, przyciskając ją mocno. - Nie trzeba się bać, Madelaine, moja kochana. Tu jesteś bezpieczna. Saint Sebastien nie wejdzie na poświęconą ziemię.

Te słowa zaskoczyły ją.

- To nie może być poświęcona ziemia jeśli ty tu jesteś - powiedziała gwałtownie. - Siostry mówiły...

- Siostry nie wiedzą wszystkiego - uśmiechnął się do niej gorzko.

- Cały mój rodzaj może stąpać po poświęconej ziemi. Większość z nas została w niej pochowana - poczuł, jak dziewczyna sztywnieje w jego ramionach. - Proszę, powiedziałem to i już wpadasz w przerażenie - uwolnił się z jej ramion i podszedł do ołtarza. - Nie byłoby bezpiecznym palić tu zbyt wiele światła, bo chociaż okna są małe, to ktoś mógłby nas odkryć -

wyciągnął z zanadru krzesiwo i stal. - Na chórze jest kilka lamp oliwnych - powiedział dla wyjaśnienia, krzesząc iskrę.

Po chwili nikły, łagodny blask zalał chór i Madelaine zobaczyła go wyraźniej. Wydawało jej się, że od czasu, gdy widziała go ostatnio zeszczupłał na twarzy. Poruszał się jak ktoś, kto przebiegł długą drogę.

Za ołtarzem ukazało się teraz kilka fresków w antycznym stylu, ukazujących Chrystusa frasobliwego, który - otoczony przez grono świętych i męczenników ubranych w dworskie stroje z jedenastego stulecia - rozkłada ręce, by ukazać ślady po gwoździach. Druga strona malowidła przedstawiała zapewne świętego Hieronima; ścisnął on w jednej dłoni ostro zakończone pióro i oprawną w skórę książkę w drugiej.

- Nie zauważyłam tego wcześniej - wyszeptała Madelaine zbliżając się do fresku. - Piękne, prawda?

- Bardzo - Saint-Germain wbił w nią swe spojrzenie. Odwróciła się do niego.

- Jak to się stało, że tu jesteś?

- Powiedziałem ci, że będę cię ochraniał - podszedł do niej i przesunął palcami po zadrapaniach na jej twarzy i ramionach. - Tak bardzo potrzebujesz ochrony...

Spłoniła się.

- Dość dobrze radziłam sobie w lesie. Uciekłam i przybyłam tutaj - popatrzyła na niego badawczo. - Wilk? Pokiwał smutno głową.

- Nie mogłem zostawić cię dla Saint Sebastiena. Wiem, że jesteś dzielna, zaradna, lecz bałem się o ciebie.

Wzięła jego dłonie w swoje i mocno ścisnęła.

- Jestem ci wdzięczna, Saint-Germain. Nie chcę w ogóle myśleć, co by się stało, gdyby...

- I czujesz się bezpieczna ze mną teraz, gdy wiesz na pewno, kim jestem?

- spojrział na jej twarz i poczuł, jak słabnie stanowczość jego postanowienia. Odsunął się od niej gwałtownie.

- Saint-Germain! - krzyknęła cicho, lecz błagalnie. - Saint-Germain, nie rób tego! Nie. Nie. Słuchaj - brzmienie głosu sprawiło, że jego wzrok znów spoczął na jej twarzy. - Po co mnie ratowałeś, jeśli teraz mnie opuszczasz?

- Wiesz, że to, czego pragnę dla ciebie nie będzie drogą do zbawienia - powiedział z lekką ironią.

Znów wyciągnęła ku niemu ramiona.

- To nie tak, Saint-Germain. Chodzisz po święconej ziemi. Nie jesteś zatem przeklęty.

- Z pewnością, przynajmniej na zwykły sposób - zgodził się spokojnie. Przyglądała się w mdłym świetle jego twarzy, dostrzegając cień cierpienia. Łagodnie przesunęła palcami po szczęce i zaciśniętych wargach.

- Komunia to dzielenie się ciałem i krwią Chrystusa, tak?

- To wiesz lepiej ode mnie - powiedział, próbując odegnać pokusę jej gorącego ciała.

- Jeżeli krew jest sakramentem, zatem to, co zrobiliśmy, jest nim również - była coraz bliżej, a jej oczy wyrażały jedno tylko pragnienie.

- O Boże - powiedział cicho w głębokiej rozterce. - Pragniesz, lecz nie wiesz, co może cię czekać. Czy nie dostrzegasz, że właśnie to pragnienie czyni cię dla mnie niebezpieczną? - wziął ją w ramiona i potrząsnął łagodnie.

- Madelaine, ja płonę dla ciebie, lecz nie mogę, nie mogę...

- Zimno tu, Saint-Germain. Jeśli nie będzie cię przy mnie, umrę, i będzie to śmierć trwająca aż po trąby Sądu Ostatecznego. Nie chcesz przecież, by tak się stało.

- Nie - powiedział, obejmując ją.

- Możesz obejmować mnie i nie pragniesz kochać?

Umilkł. Szum padającego na zewnątrz deszczu był coraz głośniejszy.

- Zależy mi na tobie. Sądzę, że od dawna za tobą tęskniłem.

- A zatem nie odmawiaj mi - wyszeptała z pragnieniem w głosie. - Dotknij...

Nie zwlekał ze spełnieniem tego życzenia. Uniósł ją i ułożył na starej stalli chóru.

Święci i męczennicy ze skupieniem przypatrywali się, jak wielbił ją wargami i dłońmi.

Wyjątek z listu opata Ponteneufa do Madelaine de Montalia w dobrach męża jej ciotki, Sans Desespoir; datowane 28 października 1743:

*(...) Bardzo mi było miło dowiedzieć się o wizycie twego dostojnego ojca i oczekuję niecierpliwie na kilka szczęśliwych godzin jego towarzystwa. Pewien jestem, że ty z chęcią przyjmiesz jego troskliwe uwagi, gdyż mądra to córka, miłująca wiedzę i łaskawość, które cechować muszą każdego uczuciem darzącego potomstwo ojca.*

*Twój krótki pobyt na wsi jest z pewnością rozkoszą dla ciebie. Bez wątpienia spędzasz wiele czasu na miłych spacerach i przejazdach po okolicy. Chociaż sam nie znam Sans Desespoir, wiem, że krajobrazy są tam godne podziwu. Musisz z pewnością być wdzięczna markizowi d'Argenlac za tę sposobność odświeżenia sił przed przyjęciem. Nie każda młoda kobieta ma tyle szczęścia, by krewni chcieli troszczyć się o nią w taki aż sposób.*

*(...) Twój ojciec obarczył mnie szczęśliwym zadaniem wyjaśnienia ci obowiązków żony, odkąd jest nadzieja, że ta radosna zmiana stanu nie jest rzeczą odległą. Pozwól skłonić cię do refleksji nad słowami Pisma i cnotami właściwymi matce naszego Pana, Niepokalanej Dziewicy, która zawsze pragnie wesprzeć nas w dziele zbawienia, przez wzgląd na syna. Pomyśl o czystości Świętej Matki, o jej oddaniu, o jej bezinteresowności, o jej pokorze, szczodrości, miłosierdziu i łagodnej uległości wobec woli Świętego Ducha. Są to jakości, które muszą być celem każdej żony, chociaż żadna nie może liczyć na osiągnięcie doskonałości. Będzie zaszczytem dla ciebie służyć twemu mężowi we wszystkim, z radością przyjmując jego słowo jako twoje prawo, i ulegać jego żądaniom, dzięki którym możesz być owocna i błogosławiona dziećmi. Naucz się myśleć tylko o jego potrzebach i pożytkach, a tym samym odnajdziesz prawdziwe szczęście.*



Wiesz już dość o świecie, by zdawać sobie sprawę z tego, iż są żony ustawicznie sprzeciwiające się swym mężom, które ignorują wezwanie małżeństwa i tarzają się w zmysłowości i żądach ciała. Jakiż straszny jest ich los! Stają się przedmiotem pogardy ze strony ich rodzin, szyderstw ze strony dzieci, a gdy w końcu umierają - same, bez przyjaciół, bez wspomagającej obecności dzieci - wtedy same widzą swoje grzechy i wiedzą, iż właśnie zaczynają zaznawać gorzkiego losu dla nich zgotowanego.

Gdy twój ojciec będzie w Paryżu, mam nadzieję, że będziemy mogli porozmawiać o tym dłużej, tak byś w pełni była świadoma radości kobiety w jej małżeńskich obowiązkach. Nie jest rzeczą właściwą, by mężczyzna, a co dopiero duchowny, mówił więcej na ten temat, lecz twój ojciec, jak i twoja ciotka zechcą opisać ci powinności małżeńskiego łoża jak i jego przywileje. Więcej nie jestem w stanie ci powiedzieć, oprócz zapewnienia, iż mężczyzna, który znajdzie uznanie w oczach twojej rodziny, najlepszym będzie, by poinstruować cię w kwestiach dla niego samego najbardziej stosownych.

Wrócisz wkrótce, jak wiem, i zaczniesz ostatnie przygotowania do przyjęcia. Mówi się, że będziesz śpiewać w operze skomponowanej na tę okazję przez hrabiego Saint-Germain. Wielki to zaszczyt dla ciebie, córko, jeden z tych, których, jak mniemam, jesteś w pełni świadoma. Jeśli mężczyzna tak światowy znajduje przyjemność w robieniu ci takiego prezentu, nakłada to na ciebie spory dług wdzięczności. Podziękujesz mu za to, jak wiem, unізonością i wdziękiem, które cię uszlachetniają.

Zobowiązuje cię do pozdrowienia twej ciotki i jej męża, i zapewnienia ich, że zawsze się za nich modle, tak jak i za ciebie, moja droga córko.

Z miłością, którą Chrystus nakazał nam żywić do siebie nawzajem i z błogosławieństwami z mej ręki i ręki twego ojca, pozostaje,

Twoim pełnym uszanowania kuzynem l'Abbe A. R. Ponteneuf, Zakon Jezuitów

## . 7 .

Ambrosias Maria Domingo y Roxas trzymał uprząż w górze, tak, by Hercule mógł dobrze się jej przyjrzeć w wątłym świetle wpadającym do piwnicy.

- Proszę. To według specjalnego projektu księcia Rakoczego: róg i drewno, odrobina stali i kutego brązu na klamry. Pasy są ze skóry i tak się zapinają - pokazał, przymierzając jedną z szelek wzdłuż ramienia.

Część Hotelu Transylwania, w której czarownicy zainstalowali laboratorium alchemiczne, położona była w najniższej kondygnacji piwnic, prawie dokładnie pod północnym skrzydłem, gdzie mieściły się salony gier. Spiżarnia powyżej tłumiła dokładnie jakiegokolwiek hałasy czy zapachy, nie pozwalając, by działalność Gildii przeszkadzała eleganckim tłumom.

Hercule rozejrzał się niespokojnie wokoło. Nie lubił tych dziwnych mężczyzn i ponurej kobiety w średnim wieku, która z nimi pracowała. A dziwny przyrząd, który pokazywał mu Domingo y Roxas przypominał raczej narzędzie tortur.

- Co to jest?

- Szelki - odpowiedział Beverly Sattin ze swego miejsca przy athanorze.

- Dla twoich nóg - wskazał na kule, na których wspierał się stangret.

- Jego wysokość dał nam projekt, ponieważ chce, byś znów mógł chodzić.

Hercule ruszył niezgrabnie, przeklinając swe kalectwo. Nagle stwierdził, że bliski jest płaczu. Przyłożył jedną rękę do oczu i omal nie upadł, straciwszy równowagę.

Szorstki wyraz twarzy kobiety nieco się rozluźnił.

- Nienawidzisz swego kalectwa, prawda? - spytała Iphigenia Lairrez niskim, melodyjnym głosem.

Ogarnęło go zgorzknienie. Nic nie odpowiedział. W końcu zdał sobie

sprawę z wymowy wpatrzonych weń oczu czarowników i wymamrotał:

- Tak. Właśnie.

- Eh, bien. Dlaczego zatem nie przymierzysz tych szelek? Książę powiedział, że pragnieniem jego jest, byś mógł mieć użytek ze swych nóg i zapewnił nas, że ten właśnie sposób da najlepsze wyniki.

Hercule nic nie wiedział o księciu, o którym to oni mówili z takim szacunkiem. Pamiętał jednak, że jego pan, hrabia Saint-Germain, miał dobre mniemanie o owych dziwnych ludziach pracujących w jego piwnicy. Zawahał się.

- Ale ja nie mogę chodzić. Wysyłano już po chirurga. Był dwa razy. Powiedział, że to niemożliwe. Rozumiecie? - stanął pewniej na kulach i zakołysał jedną nogą. - Ugina się. Co znaczy tyle, że jeśli złożę na niej swój ciężar, to upadnę - Hercule odrzucił nagle kulę, wstrząśnięty obrzydzeniem wobec samego siebie. Wsparł się ciężko na pobliskim dębowym stole. Czarownicy patrzyli na niego ze zdumieniem. Mme Lairrez położyła dłonie na biodrach.

- To było głupie. Jeśli jesteś bezradny, to powinienes mieć dość rozumu, by zrobić użytek z tego, co jest ci ofiarowywane. W tym również i z tych szelek - schyliła się, by podnieść kulę, ale mu jej nie oddała. Sattin zajął się piecem, mrużąc coś po angielsku.

- No dobrze - powiedział Hercule, patrząc wyzywająco. Pomimo czterech świeczników, w pomieszczeniu panował deprymujący mrok, a dziwny nastrój potęgował smród dochodzący z pieca.

Kobieta podeszła bliżej. Jej litościwe oczy zadawały kłam surowości twarzy.

- Mam twoją kulę, jeśli to jej potrzebujesz. Jeżeli nie, pozwól mi pomóc ci założyć chociaż jedną z tych szelek. Mamy wobec księcia Rakoczego pewne zobowiązania. Możesz pomóc nam je spłacić, przynajmniej w części. - Gdy to powiedziała, skinęła na Dimingo y Roxasa. - Krzesło, Ambrosias. Ten biedny człowiek zaraz upadnie.

Hercule nienawidził jej w tej chwili za przenikliwość. Spojrzał na wszystkich, sadowiąc się ostrożnie na starym krześle bez oparcia. Gdy usiadł na tyle pewnie, na ile było to możliwe, Domingo y Roxas skinął przytakująco, wziął jedną z szelek i ukląkł u jego stóp.

- Muszę zdjąć ci but, senior. Zrobię to ostrożnie, tak by cię nie urazić - chwycił obcas buta Hercule. - Zapewne będzie lepiej, gdy przytrzymasz się poręczy krzesła. Nie wiem, czy uda mi się to tak dobrze, jak bym chciał. Obszerny but stangreta został zsunięty z jego stopy, a Hercule przyznał w duchu, że Hiszpan rzeczywiście ma delikatne ręce.

- Teraz, jak się domyślasz - mówił Domingo odkładając but - muszę rozwiązać sznurówki twoich bryczesów. Tak, a teraz uniosę nieco twoją stopę. Teraz zaś widzisz, jak ta część przylega do podbicia. Podobne do podeszwy, prawda?

Hercule niechętnie, ale przyznał, że kawałek upręży przyciśnięty właśnie do jego stopy, w rzeczy samej podobny był do podeszwy.

- A to, widzisz? - ustawił z obu stron dwa pręty wykonane z rogu i drewna. - To są usztywnienia szelek. Jego Wysokość mówi, że działać to będzie tak, jak kolano. Stał powyżej, brząz u dołu. Widzisz tu i tu te języki ze sprasowanych blaszek? - wskazał na małe wybrzuszenia, które nasunął z przodu na kolano, spinając szelki. - To powstrzyma cię przed zbyt dużym przegięciem stawu do tyłu. Będzie się zginać tylko do przodu, jak przedtem.

Tytułem próby Hercule pomacał ochraniacze.

- Czy to jest dość mocne?

- Sam miałem tę wątpliwość - Domingo y Roxas zmarszczył brwi - ale zobacz - podniósł drugą uprząż, wyprostował mechaniczny staw, a potem spróbował przegiąć go w niewłaściwą stronę. Gdy puścił, był zdyszany, a urządzenie pozostało nietknięte. - Też się dziwię.

Hercule patrzył na tę demonstrację z rosnącym zdumieniem. Próbował przekonać sam siebie już parokrotnie, iż powinien pogodzić się z życiem kaleki. Teraz wyczuwał szansę, obietnicę, której nigdy nie spodziewał się

otrzymać. Przełknął ślinę, która z trudem przeszła przez ściśnięte gardło.

- Pasek przebiega tak - Domingo y Roxas przypasował rzemień do uda majordomusa i zaciągnął sprzączki. - Skóra jest spleciona, nie będzie się skracać w rytm kroków, no i o podwójnej grubości dla zwiększenia wytrzymałości, na wszelki wypadek - wstał. - Proszę, możesz to wypróbować.

Hercule spojrział na nich. Wpatrywali się w niego wyczekująco. Oblizął wargi.

- Nie wiem...

Mme Lairrez podeszła bliżej i podała mu rękę.

- Bądź poważny, dobry człowieku.

Hercule niechętnie przyjął ofiarowywaną mu dłoń.

- Dziękuję, madame - powiedział stanowczo i wstał, używając jednej kuli, by trzymać się prosto. Żakołysał się, potem stanął pewniej, drugą dłoń wspierając na ramieniu Mme Lairrez.

- Dalej - powiedziała tyleż surowo, co zachęcająco.

Hercule zaczął przenosić swój ciężar na nogę, w każdej chwili oczekując upadku na podłogę. Stał niemal prosto, i chociaż jego noga trzęsła się, to nie wyginała. Sekundy stały się minutami i powoli, bardzo powoli, Hercule wypuścił powietrze.

- Bóg i Diabeł! - krzyknął.

Dla innych było to jak sygnał. Sattin wydał cichy okrzyk radości i klasnął w rękę, Domingo y Roxas przeżegnał się, gdy łzy popłynęły mu z oczu. Mme Lairrez usunęła wsparcie i stanęła trochę dalej, uśmiechając się.

- Książę miał rację - powiedział Sattin sam do siebie.

- Musimy poznać tę tajemnicę - stwierdził cicho Domingo y Roxas.

- To wielki sekret.

- Czas dowiedzieć się - Mme Lairrez była bardziej ostrożna - czy będzie mógł chodzić. - Przyjrzała się Hercule oceniająco.

Twarz stangreta przybrała wyraz, który byłby komiczny, gdyby nie

cierpienie malujące się w jego przejętych oczach.

- Już stoję... - powiedział.

- To nie to samo - dała mu drugą kulę. - Będziesz musiał spróbować.

Wypełniło go wzburzenie. Usiłował odepchnąć kulę.

- Nie bądź głupi - ofuknęła go. - Nie chodziłeś odkąd zostałeś poturbowany. Nawet jeśli szelki działają i będziesz w stanie chodzić, to nie używałeś nóg od wielu dni. Jesteś słaby. Nie jesteś przyzwyczajony do uprzęży. Upadek nie pomógłby ci w niczym.

Tym razem, gdy podała mu kulę, przyjął ją i z rezygnacją wsunął pod ramię.

- A teraz - powiedziała Mme Lairrez - idź ku mnie.

Hercule ścisnął kulę i uczynił pierwszy, niepewny krok, pozwalając uprzęży przejść na siebie cały ciężar zanim znów wsparł się na kuli. Następny krok był niezdecydowanym szurnięciem nogą, które krępowało go raczej, niż uraziło. Spróbował raz jeszcze, z większym już zaufaniem. Uprząż trzymała.

Przystanął.

- Dajcie mi drugi komplet szelek - polecił.

- Oczywiście - odpowiedziała Mme Lairrez i raz jeszcze przysunęła krzesło.

Dopasowanie drugiej poszło łatwo, a gdy Mme Lairrez regulowała uprząż, Sattin zwrócił się do Dominga:

- Może książkę Rakoczy zna remedium dla Cielblue. Domingo y Roxas pomyślał o ich bracie z Gildii, który leżał w pokoju na strychu.

- Nie - stwierdził ze smutkiem. - Róg, drewno, stal i brąz nie są w stanie odtworzyć umysłu, mój przyjacielu.

- Masz rację - przytaknął Sattin. - Ja też nie sądzę, by było to możliwe.

- Uniósł nieco głos. - Majordomusie, jesteś gotów?

Hercule przyglądał się czynnościom przy dopasowywaniu uprzęży. Mme Lairrez robiła to z wielką troską.

- Zaraz.

Potem zrobił trzy niezgrabne kółka wokół piwnicy. Zaufanie do wynalazku miał coraz większe, przyzwyczajał się też do upręży. Nagle otwały się drewniane drzwi.

Wszyscy zamarli w bezruchu, spoglądając z lękiem, kto wyłoni się z wiązki światła padającej z góry, ze spiżarni. Pojawiła się postać w długim płaszczu podróżnym, opadającym grubymi aksamitnymi fałdami.

- Dobry wieczór - powiedział Saint-Germain, zamykając drzwi.

- Wasza Wysokość, nie oczekiwaliśmy... - pierwszy odezwał się Sattin.

- Ani ja - uciął krótko Saint-Germain. Hercule już kierował się ku swemu panu.

- Hrabio - powiedział z uśmiechem - księżę tych czarowników zrobił to dla mnie. - Zdawał sobie sprawę, iż było poważnym naruszeniem reguł zwracać się do swego pana w ten sposób i z góry zasmucił się, oczekując ostrej reprimendy. Nie usłyszał jej jednak.

- Miło jest mi widzieć cię, Hercule. Sądzę, że niedługo już zostaniesz moim stangretem - chociaż mówił to szczerze, w jego uśmiechu dało się odczytać niejaką troskę.

- Zrobiliśmy uprząż dokładnie według pańskich wskazówek - powiedział Sattin po angielsku. - Róg i drewno związane w przeciwieństwie - zupełnie nowatorski pomysł. Saint-Germain wzruszył ramionami.

- Niezbyt nowatorski. Scytowie używali zrobionych w ten sposób łuków już tysiąc lat temu. Adaptowanie tej techniki do potrzeb Hercule było prostą sprawą. - Odłożył kapelusz do konnej jazdy i ściągnął z ramion płaszcz, odsłaniając ubiór podróżny: surdut z ciemnobrązowej wełny, z węgierskim futrem obramowującym mankiety i kołnierz, batystową koszulę i nieskazitelnie biały krawat, wysokie buty z białym, wywróconym tuż pod kolanem mankietem. Ciemne, nie upudrowane włosy związane były na karku prostą, czarną kokardą. Oprócz rubinowej szpilki do krawata, innych klejnotów nie miał. Ściągnął z małych dłoni czarne, florentyńskie rękawice.

Wyglądało, że zupełnie doszedł do siebie po podróży.

- Nie było mnie przez trzy dni, Sattin - powiedział po angielsku.

- Jestem mile zaskoczony tym, czego dokonaliście. To przynosi wam chlubę i możecie być pewni, że wyrażę wam wdzięczność w jakiś konkretny sposób.

- Dziękuję, panie - skłonił się Sattin. Po krótkim wahaniu dodał:

- Zastanawiam się, panie, czy jeśli nie zdecydowałeś się jeszcze jak wyrazisz swe uznanie, to może mógłbym być tak śmiały, by zasugerować ci coś.

- Mów zatem - Saint-Germain uniósł pytająco brwi.

- Athanor, panie. By robić klejnoty, musimy mieć nowszy, bardziej wytrzymały i odporny na wyższą temperaturę. Wprawdzie - dodał szybko - ten jest całkiem dobry, lecz nie jest optymalny do zadania.

- Wiem. Dobrze, Sattin. Wezmę to pod uwagę - odwrócił się do szczupłego Anglika i zwrócił się po hiszpańsku do Dominga.

- To jest wspaniale wykonane i ukazuje precyzję myśli. Ile z tego jest twoim dziełem, przyjacielu?

- Ja... My... Moja pomocnica i ja... Wypełniliśmy twoje polecenie, panie - jękał się zmieszany tą poufałością Hiszpan. - Nie zaniedbaliśmy modlitw przy każdym etapie pracy, obliczyliśmy wpływy niebios, by dzieło rozwijało się pomyślnie.

- Wybornie - stwierdził Saint-Germain. - Ty i madame Lairrez, i Sattin. Kto jeszcze?

Domingo y Roxas skłonił się nisko.

- Jesteśmy wszyscy na twoje usługi, książę Rakoczy.

- Rozumiem. A Cielblue?

- Bez zmian. Był chirurg i powiedział, że nic nie może zrobić - rozłożył ręce w geście frustracji i rozpacz. - Co zresztą może wiedzieć chirurg? Ma noże, by ciąć ciało, a gdy pacjent umiera, wówczas przedstawia mnogość dowodów, że to nie on przywiódł go do śmierci.



- Szkoda - powiedział Saint-Germain po francusku, z lekkim piemonckim akcentem. - Chciałbym, żeby obejrzeni go jeszcze inni lekarze, jeśli takie jest wasze pragnienie. Lecz wątpię, by byli w stanie mu pomóc.

- I ja tak myślę - przytaknęła Mme Lairrez. - To nie ciało doznało uszczerbku, lecz umysł - opuściła wzrok.

- Widzę, że rozumiemy się dość dobrze, madame - w głosie Saint-Germaina pojawiło się ponure rozbawienie.

Hercule, który stał z boku z coraz większym zdziwieniem malującym się na obliczu, przeszkodził im w końcu.

- To pan jest księciem Rakoczym, o którym oni nie przestają mówić?! Saint-Germain nie wyglądał na poruszonego zdemaskowaniem.

- Tak, między innymi. Pochodzę z bardzo starej linii.

- Ja... ja nie chciałem... - Hercule zająknął się, przerażony własną śmiałością.

- Nie używam tego tytułu powszechnie - Saint-Germain był uprzedzająco grzeczny - lecz w pewnych kręgach moja reputacja jest związana właśnie z nim.

- O nic nie pytam, rzecz jasna - zbity z tropu Hercule odwrócił wzrok od czarnych oczu swego pana.

- Rzecz jasna, że pytasz. I zasługujesz na odpowiedź. Jestem potomkiem pradawnej linii pewnego karpackiego domu. Przez lata moi przodkowie nosili wiele tytułów i w ciągu wieków łączyli się z różnymi innymi rodami - uśmiechnął się smutno do wspomnień. - Sądzę, że jednym z nas był pewien papież wywodzący się z Orsinich. Było też w moim rodzie kilku cesarzy. Ale to wszystko działo się dawno temu - przelotnie i z bólem wspomniał Florencję Medyceuszy.

Obydwaj czarownicy byli wyraźnie pod wrażeniem słów Saint-Germaina, lecz Mme Lairrez nie poddała się nastrojowi.

- Sławna linia to coś, z czego można być dumnym - przyznała niechętnie.  
- Szacunek jednak nie przechodzi z ojca na syna.

- Szczera prawda - przyznał hrabia. - Czy ma pani jakieś uwagi do mnie? Potrząsnęła głową, ignorując sykliwe napomnienia kompanów.

- Nie, panie, nie mam - odwróciła się gwałtownie od ciemnych, badawczych oczu.

Hrabia skłonił się usatysfakcjonowany.

- Dobrze zatem. Nie chcę, byście sądzili, że nie wytrzymam próby. Chodź ze mną - skinął na Hercule. - Mam ci nieco do powiedzenia. A co do was

- zwrócił się do czarowników. - Nowy athanor znajdzie się w waszych rękach przed końcem tygodnia. Macie moje słowo. Ufam, że to wystarczający kwit zastawny, madame Lairrez? - skłoniwszy się z ironicznym uśmiechem skierował się do wyjścia. Hercule pociągnął jego śladem. Czarownicy milczeli, aż do chwili, gdy zostali sami.

- A teraz, Hercule - powiedział Saint-Germain, gdy wspinali się do spiżarni. - Mam dla ciebie zadanie. Dopóki będziesz dochodził do wprawy w używaniu nóg, pozostaniesz moim majordomusem.

- Tak panie. Co mam robić? - spytał lekko zdyszany Hercule.

- Chcę, byś obserwował wszystkich, którzy tu przychodzą. Szczególnie tych z otoczenia Saint Sebastiena lub Beauvrai. Gdybyś cokolwiek podejrzał, daj mi znać. Uważaj tylko, by cię nie spostrzeżono.

- Saint Sebastien? - wyszeptał Hercule, wstrzymując wspinaczkę i spoglądając na stojącego dwa stopnie nad nim Saint-Germaina.

- Tak - hrabia dostrzegł rumieńce na twarzy stangreta. - Będziesz udawał, że go nie znasz, Hercule. Będziesz moim majordomusem, a co niby mój majordomus może mieć wspólnego z Saint Sebastienem?

- On mnie okaleczył! - krzyknął Hercule.

- Z tymi szelkami nie będziesz wyglądał na kalekę, Hercule - powiedział łagodnie. - Polegam na tobie. Zachowaj milczenie ze wszystkim, co wiesz na mój temat, a przez to jeszcze lepiej odpłacisz się Saint Sebastienowi - doszedł do szczytu schodów i popatrzył w dół.

- Dla zemsty na Saint Sebastienie wsparłbym samego diabła.

- Naprawdę? - zaśmiał się Saint-Germain, potrząsając głową. Potem zupełnie innym głosem powiedział: - Powiedz Rogerowi, by przygotował mój powóz na tę noc. Będę potrzebował go o północy. Powiedz mu też, że ma to związek z wiolonczelistką, którą znam, a która jest w wielkiej potrzebie. Obiecałem jej pomóc, gdyż grożące jej niebezpieczeństwo jest coraz większe.

Hercule zrównał się ze swoim panem.

- Zrobię to.

Saint-Germain spojrzał na płaszcz, który miał przewieszony przez ramię.

- Muszę przebrać się w coś bardziej stosownego. Powiedz Rogerowi, by szukał mnie w moim pokoju. I jeszcze jedno, Hercule.

- Tak, panie.

- Jeśli cenisz swe życie i dbasz o swoją duszę, to zachowaj milczenie. Hercule stanął zdezorientowany.

- Jeśli nie darzysz przesadnym szacunkiem wartości twej duszy - uśmiechnął się chłodno Saint-Germain - to milcz ze względu na dług, jaki zaciągnąłeś wobec mnie, gdyż moje życie również jest tutaj stawką - odwrócił się i miarowym krokiem ruszył przez sieni.

Tekst listu lekarza Andre Schoenbruna do hrabiego de Saint-Germaina; datowane 30 października 1743:

Andre Schoenbrun, lekarz z le Rue de Ecoule-Romain, przesyła hrabiemu de Saint-Germain swe pozdrowienia i swój żal, iż mężczyzna imieniem Cielblue nie przyszedł do zdrowia po pobiciu, którego doznał. Zapytuje, czy hrabia zdaje sobie sprawę z tego, że to nie brak wprawy ze strony lekarza, lecz zbyt poważne obrażenia nie pozwalają na powrót do zdrowia.

W drugiej sprawie, którą hrabia był uprzejmy poruszyć ostatniej nocy: lekarz pragnie zapewnić hrabiemu, że będzie mu towarzyszył w owej ryzykownej wyprawie, o której hrabia wspomniał, i prosi o przyjęcie do wiadomości, iż lekarz spotka się z hrabią o drugiej przy bramie rezydencji Cressie.

Zgodnie z umową, lekarz Schoenbrun zgadza się pojechać później dostarczonym przez hrabiego powozem i towarzyszyć kobiecie, którą hrabia przyprowadzi do zbadania, aż do Zgromadzenia Miłosierdzia i Sprawiedliwości Zbawiciela w Bretanii, gdzie kobieta ta zostanie oddana pod opiekę jej siostry, Fabbesse Dominique de la Tristesse de les Agnes.

Hrabia dał lekarzowi do zrozumienia, że z zadaniem tym wiążą się pewne niebezpieczeństwa i z tego powodu lekarz chętnie akceptuje złożoną mu przez hrabiego propozycję dodania powozowi uzbrojonej eskorty. Zgodnie z instrukcjami hrabiego, lekarz nie będzie szukał noclegu, lecz pojedzie przez całą noc. Lekarz obiecuje również, iż przedsięwzięcie odpowiednie kroki i zaopatrzy się w szpadę i pistolet, i wyraża uznanie hrabiemu za ostrzeżenie na czas.

Ponieważ hrabia sugerował, iż kobieta, która ma być konwojowana może być w pewnym stopniu obłąkana, lekarz zabierze ze sobą środki uspokajające, by użyć ich w razie potrzeby, gdyż może to być, jak czuje, z pożytkiem dla kobiety.

Tak zatem, aż do spotkania o godzinie drugiej jutro, trzydziestego pierwszego października przy bramie rezydencji Cressie, mam zaszczyt pozostać Pańskim na rozkazy, Andre Schoenbrun, lekarz.

Zbliżała się czwarta nad ranem, gdy hrabia Saint-Germain wszedł z wolna do małego salonu gry w północnym skrzydle Hotelu Transylvania. Diuk de Valloncache podniósł zmęczone oczy znad robra pikiety, którą rozgrywał z baronem Beauvrai.

- Tak późno, hrabio? Straciłem już nadzieję, iż pana ujrzę. Saint-Germain skłonił się z uśmiechem.

- Przykro mi, ale sprawa, którą musiałem się zająć wcześniej, zatrzymała mnie trochę. Mam nadzieję, iż nie obrócić tego przeciwko mnie. Teraz jestem całkowicie na usługi panów.

- Obawiam się, że będę zmuszony zaprotestować przeciwko tak niefrasobliwemu potraktowaniu naszego spotkania. Nie mogę sobie

pozwolić na to, by wszem i wobec było wiadome, iż jest ktoś lepszy ode mnie w ruletce - zachichotał de Valloncache.

- Nawet jeśli tak - odezwał się Beauvrai - to nie byłby to ten szalbierz. Gra, de Valloncache - zamachał kremowymi koronkami u mankietów i wygładził przód ciemnozielonego surduta, rozpinając jeszcze dwa rubinowe guziki kryjące się pod rdzawą podszewką. Do kompletu miał tej nocy pantalon z różanego jedwabiu i kamizelkę w cytrynowo-pomarańczowe pasy, łagodnie płowe pończochy i buty w kolorze tureckiego błękitu.

- Co zrobić, hrabio? - de Valloncache wzruszył ramionami. - Beauvrai jest honorowy i obawiam się, że nasza gra musi poczekać.

- Możemy ją odłożyć - uśmiechnął się Saint-Germain. - Mogę też zostać i usłużyć panom później.

Markiz Chenu-Tourelle, który to słyszał, zwrócił się do swego kompana, diuka de la Mer-Herbeux:

- Ciekawe co zatrzymało Saint-Germaina na tak długo? - mrugnął porozumiewawczo.

Jeśli nawet Saint-Germain wyczuł tkwiący w tych słowach podtekst, to nie dał tego po sobie poznać.

- Odwiedzałem muzyka, który wyjeżdża wkrótce na długo z Paryża. Chciałem złożyć wyrazy szacunku i jak to bywa, zabrało mi to więcej czasu, niż sądziłem.

- Muzycy! - zaszydził Beauvrai. - Od kiedy to ludzie z naszej sfery odwiedzają szarpidrutów i brzdękaczy?

- On jest kompozytorem, Beauvrai - zwrócił pojednawczo uwagę de Valloncache.

Beauvrai nie dał się zbyć.

- Szacunek muzykom! - ciągnął. - Mówię wam, że ten człowiek jest szarlatanem. - Wskazał, nie zaszczycając Saint-Germaina spojrzeniem.

- Beauvrai jest dzisiaj w paskudnym nastroju - powiedział diuk tytułem usprawiedliwienia. - Wygrywam, jak widzisz, hrabio. On nie może tego

znieść.

Nieczuły na impertynencje ze strony Beauvrai, Saint-Germain skłonił się lekko.

- Jeśli nie koliduje to z pańskimi planami, de Valloncache, będę grał na razie w hokę, póki nie będzie pan gotów obrócić swoich zdolności przeciwko mnie - odwrócił się, przygotowany by odejść ku przeciwległemu narożnikowi sali, gdzie grano w pospolitą hokę, lecz zatrzymały go słowa markiza Chenu-Tourelle, które chociaż wypowiedziane cicho, dotarły do większości obecnych.

- Wydaje mi się, że to diablo wygodne dla hrabiego, iż przybył tak późno i nie musi ryzykować więcej, niż warte są diamenty na jego kamizelce. Diablo wygodnie.

Saint-Germain nie odwracając się w kierunku szydery, powiedział:

- Jeśli są tacy, którzy pragną ze mną zagrać, to jestem do dyspozycji. W co gramy?

Markiz Chenu-Tourelle zawahał się.

- Gramy w pikietę, po dziesięć ludwików za punkt.

- A czemu nie dwadzieścia? To by się opłacało. - Saint-Germain porzucił miejsce na środku sali i podszedł do stolika, przy którym Chenu-Tourelle siedział z przyjaciółmi: diukiem de la Mer-Herbeux i Baltasardem Aubertem, diukiem d'Isleuroge. Przy sąsiednim stoliku diuk Vandonne oderwał się od kart, w które grał z kawalerem de la Sept-Nuit.

- Który z panów? - spytał Saint-Germain, gdy zajął już miejsce. - Kto dostąpi honoru obdarzenia mnie ze skóry?

- Ja! - powiedział szybko Chenu-Tourelle, piorunując Vandonne wzrokiem.

- Będę zachwycony - uśmiechnął się hrabia.

- Nie, Chenu-Tourelle - wypalił poniewczasie D'Isleuroge. - Zgłaszam pretensje do następnej gry. Proszę pozwolić rozegrać mi tego robra.

- A zatem? - Saint-Germain uniósł brwi. - Jaka decyzja?

Tslerouge zwrócił wystraszone oczy na Chenu-Tourelle.

- Grał pan cały wieczór - przypomniał markizowi. - Ja nie miałem okazji grać wiele, nom du nom, lecz jestem znudzony. Niech mi pan pozwoli rozegrać pierwszego robra. Jeśli przegram, to pan podejmie rękawicę.

Chenu-Tourelle odsunął się. Przebiegły uśmiezek na rozpustnej twarzy kontrastował ostro, wręcz zastanawiające, z jego dziewczęcym niemal strojem: bladobłękitnym atłasowym surdudem, kamizelką ze srebrnego brokatu, trykotowymi pantalonami i nieskazitelnie białymi, lecz zwiędniętymi już nieco koronkami. Przesunął po stole stos złotych ludwików i skinął na Vandonne.

- Proponuję postawić na d'Isleuroge, na jakich pan chce warunkach. Czy przyjmuje pan zakład?

W pokoju rozległ się szmer poruszenia. Paru graczy skierowało się ku ich stolikowi, a wśród nich pewien szczupły i bojaźliwy angielski earl, nieodparcie przypominający któregoś ze swoich rasowych koni. Można powiedzieć, że podobieństwo było wprost niepokojące. Wszyscy ci ludzie żądni byli ryzyka i nie odczuwali zwykle zaspokojenia, dopóki posiadali cokolwiek, co mogliby przegrać.

D'Isleuroge rozdał i zajął się swoimi kartami, rozważając zrzutki i mając nadzieję zebrać siły, o ile w ogóle to się uda, podobne tym, z jakimi Saint-Germain zasiadał do gry.

W porównaniu ze swym przeciwnikiem Saint-Germain zaniedbywał grę. "Zrzucał" ze sporą obojętnością, a gdy d'Isleuroge zwlekał, wpatrzony w swoje karty, zaczął się nawet niecierpliwić.

- Co za kpina - powiedział cicho Vandonne. - Popatrz na Saint-Germaina. Nie zwraca wcale uwagi. Dwieście ludwików, że d'Isleuroge wygra tę partię i robra.

- Stoi - powiedział szybko de Valloncache, który przerwał własną grę. Kolejnych trzech mężczyzn podeszło do stołu, wyczuwając w tej partii pikietę rzadko spotykane emocje.

- Ja stawiam na Saint-Germaina - powiedział nagle jakiś głos zza pleców zebranych.

Hrabia nie odwrócił się.

- Idź do domu, Gervaise. Kontessa ucieszy się z twojego powrotu - rzucił, nie odrywając wzroku od talii.

Oszołomiony winem Gervaise, oblał się purpurą.

- Chcę tylko udzielić ci wsparcia - powiedział nadęsanym głosem.

- Naprawdę? - Saint-Germain wykonał kolejną zrzutkę i oparł się wygodnie. D'Isleuroge w skupieniu analizował przebieg gry.

- Proszę, nie będziesz miał asa, jeśli wyrzuciłeś króla! - powiedział, z triumfem rzucając karty.

- Jest mi niezmiernie przykro, ale muszę pana rozczarować - rzekł Saint-Germain, ujawniając asa. Spojrzał na mężczyzn wokół: wiedział, że przyciągnął ich uwagę. - Mam nadzieję, że ktoś z panów będzie liczył?

Śmiech, który wywołało to pytanie, nie był miły dla d'Isleuroge. Wiercił się niecierpliwie, podczas gdy Saint-Germain tasował karty.

Tym razem gra potoczyła się wolniej, chociaż Saint-Germain był tak samo bezceremonialny. D'Isleuroge wiedział już, że nie wygra łatwo, jak sugerował mu Vandonne. Ów starszy mężczyzna w czerni nie wydawał się być zainteresowany grą, lecz d'Isleuroge wiedział, że to tylko maska.

- Stawiam tysiąc ludwików, że Saint-Germain odniesie zwycięstwo więcej, niż stoma punktami - wykrzyknął Gervaise d'Argenlac. Brwi Saint-Germaina spotkały się nad nosem w wyrazie irytacji.

- Przebijam to, lecz jestem odmiennego zdania - powiedział od niechcienia siedzący przy d'Isleuroge Chenu-Tourelle. - I stawiam podwójnie, że mój faworyt odniesie zwycięstwo setką punktów.

Angielski earl ułożył tymczasem na stole stos gwinei.

- Sądzę, że d'Isleuroge przegra - powiedział straszną francuszczyzną.

- I stawiam to, na dowód.

- Moje trzy, hrabio - rzucił d'Isleuroge przez zaciśnięte zęby.



- Lecz moja pikietta, baronie.

Większość świec zdołała się stopić, nim skończył się trzeci rober.

Saint-Germain odsunął krzesło, ogarniając spojrzeniem pieniądze i świstki papieru piętrzące się na stole.

- Już prawie świt, d'Isleuroge.

Blask zniknął już dawno z twarzy barona. Był teraz wymizerowany, swoim zachowaniem się starał się ukryć kłopoty, w jakich się znalazł.

- Nie zdawałem sobie sprawy... Ile jestem panu winien, hrabio? - wyjąkał.

Saint-Germain uniósł brwi i spojrzał sardonicznie na Gervaise'a.

- Jaka jest stawka? Wiesz na pewno. Powiedz, proszę, baronowi. Gervaise zwilżył wargi, a potem roześmiał się.

- Jest pan winien Saint-Germainowi dziewiętnaście tysięcy, dwieście czterdzieści osiem ludwików.

D'Isleuroge zbladł, słysząc tę liczbę.

- Ja... potrzebuję czasu, hrabio. Nie wiedziałem... Saint-Germain zbył to gestem.

- Rozumiem, baronie. Ma pan tyle czasu, ile będzie trzeba. Poczekam - wstał, nie zdradzając oznak zmęczenia. - Chodź, de Valloncache, zechciej towarzyszyć mi do twego powozu.

- Oczywiście - Vandonne odezwał się dość głośno, by przebić się przez gwar głosów. - Rozumiemy, dlaczego Saint-Germain tak bardzo pragnie nas opuścić.

Rozległy się szmery. Wielu przegrało spore sumy w ciągu minionych trzech godzin gry. De Valloncache, który liczył swe wygrane z zakładów, spojrzał przez stół.

- Naucz się przegrywać, Vandonne. Zaraz będę do twojej dyspozycji, hrabio - zwrócił się do Saint-Germaina. Pomnożyłeś moją wygraną tej nocy. Chciałbym teraz uregulować rachunki z Chenu-Tournelle i Broadwaterem.

Angielski earl wręczał już de Valloncache dwa ruloniki gwinei.

- Cóż, moim było szczęście tej nocy, lecz byłem zbyt ostrożny. Miał pan

rację, diuku, ryzykując wszystko. To lekcja dla mnie.

- Dla mnie również - wymamrotał ponuro D'Isleuroge i odwrócił się, by usłyszeć co Vandonne szepcze mu do ucha.

- Czterdzieści dwa tysiące ludwików! - krzyknął Gervaise, oszołomiony sukcesem, gdy tylko precisnął się do Saint-Germaina. - Czterdzieści dwa tysiące ludwików! Teraz Claudia przekona się, że nie zawsze przegrywam!

Saint-Germain był niewzruszony.

- Nie, nie zawsze przegrywasz - powiedział cicho. - Ale nie postępuj głupio z wygraną, Gervaise.

Hrabia d'Argenlac zbył to ostrzeżenie machnięciem ręki.

- Wiem, że szczęście jest przy mnie, hrabio. Jeśli idzie mi dobrze, to pomyśl o przyjęciu na Wszystkich Świętych w Maison Libellule. Co będzie wówczas? Gdy szczęście mnie nie opuści, będę milionerem - uśmiechnął się z rozmarzeniem.

Zaniepokojony Saint-Germain położył drobną dłoń na ramieniu Gervaise'a i popatrzył przenikliwie prosto w jego oczy.

- D'Argenlac - powiedział głosem niskim i melodyjnym. - Nie graj. Nie sądz, że wygrasz w Maison Libellule. Nie poświęcaj tego, co zdobyłeś.

Gervaise roześmiał się lekko.

- Och, wiem, że nie będzie cię na tym przyjęciu. Claudia powiedziała mi, że będziesz u nas na próbie opery. Lecz są jeszcze inne gry, hrabio. Nie musisz się mną martwić - oszedł powoli, bardziej pijany sukcesem niż winem.

Saint-Germain wciąż jeszcze spoglądał za nim, gdy usłyszał kolejną kwestię Vandonne.

- Widziałem, jak grał. Prawie nie patrzył w karty. A jednak wygrał.

- W jego głosie pojawiła się uszczypliwość.

- Przestań, Vandonne! D'Isleuroge przegrał w uczciwej grze. Koniec już.

- Uczciwej grze? - powtórzył d'Isleuroge, a na jego zapadnięte policzki wstąpił rumieniec.

Nagle w pokoju zapadła cisza. Oczy wszystkich zwróciły się na Saint-Germaina.

Przez kilka chwil hrabia stał niewzruszony. Potem powoli podszedł do d'Isleuroge.

- Proszę powiedzieć mi to wprost, baronie. Uważa pan, że pana oszukałem? - spytał spokojnie. D'Isleuroge ciężko przełknął ślinę.

- Tak.

- Rozumiem - Saint-Germain przymrużył oczy.

- Nie bądź głupszy, niż cię Bóg stworzył, Baltasard - rzucił oschle de Valloncache.

Baron Beauvrai zaniósł się szyderczym śmiechem.

- A to oszust i tchórz! Nie chciał spotkać się ze mną, gdy zarządzałem satysfakcji - strzepnął koronkową chusteczką po brokacie surduta. - Prostack!

W umyśle d'Isleuroge zakołatała myśl, że być może ten elegancki cudzoziemiec jest nie tylko świetnym graczem, lecz i szermierzem.

- Cóż, hrabio - nadrabiał teraz zuchowatością. - Czy przyjmuje pan moje wyzwanie?

Ciemne oczy nie ujawniały myśli ich właściciela. Saint-Germain lustrował uważnie barona.

- Nie jest moim zwyczajem przyjmować wyzwanie od ludzi na tyle młodych, by mogli być moimi synami - powiedział powoli.

- Podlec, tchórz! - wyśmiewał się Vandonne.

- To nie z panem mam się bić - uciął Saint-Germain. - Baron d'Isleuroge nabył prawo, by mówić o mnie takie rzeczy, lecz nie pan, mon duć. - Znów zwrócił się do D'Isleuroge: - Dobrze, przyjmuję pańskie wyzwanie, baronie.

Baron skłonił się sztywno. Chłód ogarniał go coraz szerzej.

- Proszę umówić sekundantów, by mogli spotkać się z moimi. Saint-Germain podniósł rękę.

- Nie, nie, d'Isleuroge. To ja mam prawo wyboru czasu i miejsca.

Wybieram ten pokój i tę chwilę.

Cisza, jaka niedawno zawisła w powietrzu, zgęstniała, a Vandonne spojrzał zdziwiony.

- Z pewnością, ma pan tutaj przyjaciół, którzy wystąpią jako sekundanci.

Ja zaś ufam, że mogę liczyć na de Valloncache - usłyszawszy swe imię diuk przytaknął - a jeśli nalegasz pan na zachowanie formy, to wierzę, że jeden z pozostałych dżentelmenów zechce towarzyszyć baronowi.

- Jeden tak - powiedział drętwo D'Isleuroge. Rozejrzał się wokoło i omijając spojrzeniem Vandonne, spytał: - De la Sept-Nuit, czy będziesz moim sekundantem?

- Dobrze, Baltasardzie, przyjmuję ten zaszczyt - de la Sept-Nuit podniósł się powoli, nie kryjąc swej pogardy dla barona.

D'Isleuroge, który już żałował decyzji, cierpiał widząc tę pogardę, to potępienie przebijające w każdym ruchu i każdym słowie de la Sept-Nuit.

- Broń? - spytał głosem, którego sam nie poznawał.

- Szpady - Saint-Germain ściągał już swój czarny surdut i podwijał koronki koszuli. - Jeśli panowie poproszą majordomusa, to pewien jestem, że zaraz wyposaży was we floretty odpowiednie do pojedynków. - Odpiął paradną szpadę. - Jest bezużyteczna - odłożył ją na bok.

De la Sept-Nuit wyszedł szybko z pokoju, a w ślad za nim ruszył diuk de Valloncache.

D'Isleuroge dopiero teraz zdjął surdut i ściągnął piękny koronkowy żabot, ciskając go na bok. Jego oczy, ilekroć spoglądał na Vandonne, wypełniały się mieszaniną gniewu i przerażenia.

- Panowie - powiedział z opanowaniem Saint-Germain. - Czy paru z was nie zechciałoby odsunąć na bok stołów. Potrzeba będzie trochę przestrzeni...

Nawet Beauvrai przyłączył się do tej pracy, popychając pokryty materiałem stół, przy którym siedział, aż pod samą ścianę. Szczęśliwy przeniósł również krzesło, siadł na nim i filisterska sytasfakcja zagościła

łakomie na jego twarzy.

Saint-Germain miał już zdjąć buty, gdy zerknął na ćmiący na niebie za oknem srebrny poblask świtu. Wstrzymał się, ponownie pochylił i rozpiął obuwie. D'Isleuroge zdobył się na kpinę:

- Wypatruje świtu - rzucił do Vandonne. - Ciekawe czy wie, że nie zadowolili mnie nic poza jego śmiercią.

- Załatwisz go, Baltasard, a my cię nagrodzimy - skrzywił się Vandonne. Uścisnął dłoń barona, trzymając ją nieco dłużej, niż było to w zwyczaju.

- Jesteście gotowi? - spytał de la Sept-Nuit wchodząc do pokoju wraz z de Valloncache:

Saint-Germain wyprostował się.

- Czy mogę zaproponować, by drzwi zostały zamknięte na klucz? Lepiej, żeby nikt nam nie przeszkadzał - spojrzał raz jeszcze po sali, a potem zwrócił się do swego sekundanta. - De Valloncache, myślę, że dobrze będzie, jeśli te świece zostaną zgaszone. I tak prawie się już wypaliły. I gdyby ktoś z was mógł jeszcze wzniecić na nowo ogień w kominku...

Nie wydawało się właściwym, by francuski szlachcic zajmował się czymś takim, lecz Chenu-Tourelle szybko skierował się do paleniska, na którym tliły się trzy szczapy. Z leżącego obok stosu wybrał nowe i wsunął ostrożnie w przygasający ogień. Kora zajęła się z trzaskiem.

- Jakie są pańskie warunki, d'Isleuroge? - rzucił nagle de Valloncache.

- Do śmierci!

De Valloncache skłonił się i przeszedł przez pokój do Saint-Germaina.

- Warunki...

- Słyszałem - Saint-Germain sprawdzał ułożenie szpady w dłoni. - Pod jednym dodatkowym.

- Jakim? - spytał zaczepnie d'Ilerouge.

- Takim, że jeśli ja wygram i oszczędzę pana, wówczas ujawni pan przede mną, kto wpakował cię w to wszystko, baronie - napotkał wstrząśnięte spojrzenie d'Islerouge. - Czy mam na to pańskie słowo?

D'Islerouge rozejrzał się wkoło, tym razem rozbieganymi oczami.

- Tak, tak, dobrze. Ma pan moje słowo - odwrócił się plecami do Saint-Germaina.

- Czy masz dla mnie jakieś instrukcje? - spytał de Valloncache, przygotowując się do spotkania z de la Sept-Nuit na środku pokoju.

- Mój człowiek, Roger, wie co robić. W razie czego, porozmawiaj z nim - ukląkł i uczynił znak krzyża. - Ze wszelkich grzechów w moim życiu niech będę uwolniony.

Na drugim końcu pokoju d'Islerouge wybuchnął szyderczym śmiechem. De Valloncache i de la Sept-Nuit zamienili kilka słów.

- Panowie, na pozycje. Saint-Germain, jeśli się pan zgodzi na wschodzie, d'Islerouge, od zachodu - paradną szpadą wskazywał pozycje. - Dobrze, panowie. Nie wycofujecie się?

- Nie - rzucił ostro d'Islerouge.

- Saint-Germain?

- Nie.

- Eh bien - de Valloncache skrzyżował swą paradną szpadę ze szpadą de la Sept-Nuit, podczas gdy przeciwnicy oddali sobie honory. Potem, wznosząc ostrza, odskoczyli. Sekundanci ledwie zdążyli uniknąć dzikiego ataku d'Islerouge.

Gdy baron skoczył naprzód, Saint-Germain przerzucił szpadę z prawej do lewej ręki, odwrócił się i zmusił d'Islerouge, by odsłonił swój prawy bok. Widząc niebezpieczeństwo, baron opuścił niezręcznie ostrze, mierząc w udo Saint-Germaina.

W tym momencie nadgarstek Saint-Germaina wykonał mały ruch i ostrze d'Islerouge ześliznęło się, nie czyniąc szkody. Hrabia ponownie odwrócił się z tym samym wyreżyserowanym wdziękiem, jaki można spotkać u torreadorów. Dłonie miał pewne, był skupiony, na jego ustach błędził lekki uśmiech.

D'Islerouge natarł znowu, czyniąc to już rozważniej. Ostrożnie

manewrował szpadą, nieprzywykły do walki z leworęcznym przeciwnikiem. Zrobił fintę w tercji i został odparowany. Niewiele brakowało, by został skarcony szybką odpowiedzią Saint-Germaina. Odstąpił, oddychając trochę szybciej i przygotowując się w myślach do długiej walki.

Saint-Germain zdawał się wcale nie naciskać na przeciwnika, który w widoczny sposób tracił teren. Nie miał ani wprawy starszego mężczyzny, ani też siły jego nadgarstka. Hrabia szermował na włoski sposób, z lekkością i wdziękiem, które w innych okolicznościach mogłyby zniechęcić d'Islerouge do walki. Próbował jak mógł, lecz nie był w stanie przebić się przez obronę Saint-Germaina. To, kiedy hrabia złamie jego opór, wymęczony uprzednio, było tylko kwestią czasu.

Z rozpaczą wypatrywał szansy i znalazł ją. Wykonał niezgrabną fintę, udając potknięcie. Saint-Germain cofnął się energicznie, szpada wypadła mu z rąk, podczas gdy d'Islerouge wrócił do poprzedniej pozycji. W tej samej chwili sięgnął po krzesło i rzucił je przez pokój.

Trafił Saint-Germaina w golenie, co wyrwało okrzyk protestu u widzów.

- Nie! - nakazał Saint-Germain, a jego głos miał absolutne pierwszeństwo. Podniósł ostrze i zbliżył się do d'Islerouge. Jego biała kamizelka majaczyła w bladym świetle.

D'Islerouge pozbierał się, przygotowany na odparcie ataku. Zazgrzytały klingi i baron znów został odrzucony. Pocił się teraz obficie: wiedział, że śmierdzi strachem. Saint-Germain był wciąż pewny w ruchach i nie było widać na jego twarzy zmęczenia, jakby wszystko to nie było dlań żadnym wysiłkiem.

Zbliżyli się ponownie. Tym razem Saint-Germain rozpoczął atak wykazując niesamowite opanowanie sztuki szermierczej. Przyparł barona do kominka, zanim umyślnie nie odstąpił, pozwalając d'Islerouge zaczerpnąć oddechu.

Gdy młody człowiek przyszedł nieco do siebie, Saint-Germain zagadnął:

- Skłonny jestem rozważyć sprawę, która nas poróżniła.

- Nie... nie... do śmierci - baron uniósł broń i ujrzał jak szpic chwieje się niczym trawa na wietrze. Saint-Germain westchnął.

- Jak pan sobie życzy. Engarde.

Najwidoczniej zabawa przestała go cieszyć, gdyż przypuścił teraz bezlitosny atak na gardę d'Islerouge. Zdecydowany był kończyć.

Rozwiązanie przyszło nagle. Ostrze Saint-Germaina prześliznęło się znów przez obronę barona, lecz zamiast przebić mu ramię lub skierować się w samo serce, Saint-Germain przesunął je pod ramieniem d'Islerouge.

Przestraszony i wyczerpany baron spróbował jeszcze podążyć za tym ruchem, lecz zdołał przeciąć jedynie materiał białej kamizelki Saint-Germaina, po czym potknął się i upadł na podłogę.

Gdy spojrzał w górę, Saint-Germain stał tuż nad nim, trzymając ostrze szpady o kilka cali od jego gardła.

- Czuję się usatysfakcjonowany, d'Islerouge. A pan? Gniew odebrał mu zdolność mowy. Patrzył tylko lękliwie na swego zwycięzcę.

- Nie chcę pana zabić - powiedział spokojnym tonem Saint-Germain. D'Islerouge splunął.

- Dobrze - słowo wypowiedziane było tak cicho, że Saint-Germain nie był pewny, czy to właśnie usłyszał. D'Islerouge wywinął się spod czubka szpady.

- Jestem usatysfakcjonowany - zadeklarował z twarzą zeszpeconą piętnem porażki.

- Jakie są pańskie warunki, d'Isleuroge? - rzucił nagle de Valloncache.

- Do śmierci!

De Valloncache skłonił się i przeszedł przez pokój do Saint-Germaina.

- Warunki...

- Słyszałem - Saint-Germain sprawdzał ułożenie szpady w dłoni. - Pod jednym dodatkowym.

- Jakim? - spytał zaczepnie D'Isleuroge.

- Takim, że jeśli ja wygram i oszczędzę pana, wówczas ujawni pan przede mną, kto wpakował cię w to wszystko, baronie - napotkał wstrząśnięte



spojrzenie d'Isleuroge. - Czy mam na to pańskie słowo?

D'Isleuroge rozejrzał się wkoło, tym razem rozbieganymi oczami.

- Tak, tak, dobrze. Ma pan moje słowo - odwrócił się plecami do Saint-Germaina.

- Czy masz dla mnie jakieś instrukcje? - spytał de Valloncache, przygotowując się do spotkania z de la Sept-Nuit na środku pokoju.

- Mój człowiek, Roger, wie co robić. W razie czego, porozmawiaj z nim - ukląkł i uczynił znak krzyża. - Ze wszelkich grzechów w moim życiu niech będę uwolniony.

Na drugim końcu pokoju D'Isleuroge wybuchnął szyderczym śmiechem. De Valloncache i de la Sept-Nuit zamienili kilka słów.

- Panowie, na pozycje. Saint-Germain, jeśli się pan zgodzi na wschodzie, D'Isleuroge, od zachodu - paradną szpadą wskazywał pozycje. - Dobrze, panowie. Nie wycofujecie się?

- Nie - rzucił ostro D'Isleuroge.

- Saint-Germain?

- Nie.

- Eh bien - de Valloncache skrzyżował swą paradną szpadę ze szpadą de la Sept-Nuit, podczas gdy przeciwnicy oddali sobie honory. Potem, wznosząc ostrza, odskoczyli. Sekundanci ledwie zdążyli uniknąć dzikiego ataku D'Isleuroge.

Gdy baron skoczył naprzód, Saint-Germain przerzucił szpadę z prawej do lewej ręki, odwrócił się i zmusił D'Isleuroge, by odsłonił swój prawy bok. Widząc niebezpieczeństwo, baron opuścił niezręcznie ostrze, mierząc w udo Saint-Germaina.

W tym momencie nadgarstek Saint-Germaina wykonał mały ruch i ostrze D'Isleuroge ześliznęło się, nie czyniąc szkody. Hrabia ponownie odwrócił się z tym samym wyreżyserowanym wdziękiem, jaki można spotkać u torreadorów. Dłonie miał pewne, był skupiony, na jego ustach błędził lekki uśmiech.

D'Isleuroge natarł znowu, czyniąc to już rozważniej. Ostrożnie manewrował szpadą, nieprzywykły do walki z leworęcznym przeciwnikiem. Zrobił fintę w tercji i został odparowany. Niewiele brakowało, by został skarcony szybką odpowiedzią Saint-Germaina. Odstąpił, oddychając trochę szybciej i przygotowując się w myślach do długiej walki.

Saint-Germain zdawał się wcale nie naciskać na przeciwnika, który w widoczny sposób tracił teren. Nie miał ani wprawy starszego mężczyzny, ani też siły jego nadgarstka. Hrabia szermował na włoski sposób, z lekkością i wdziękiem, które w innych okolicznościach mogłyby zniechęcić D'Isleuroge do walki. Próbował jak mógł, lecz nie był w stanie przebić się przez obronę Saint-Germaina. To, kiedy hrabia złamie jego opór, wymęczony uprzednio, było tylko kwestią czasu.

Z rozpaczą wypatrywał szansy i znalazł ją. Wykonał niezgrabną fintę, udając potknięcie. Saint-Germain cofnął się energicznie, szpada wypadła mu z rąk, podczas gdy D'Isleuroge wrócił do poprzedniej pozycji. W tej samej chwili sięgnął po krzesło i rzucił je przez pokój.

Trafił Saint-Germaina w golenie, co wyrwało okrzyk protestu u widzów.

- Nie! - nakazał Saint-Germain, a jego głos miał absolutne pierwszeństwo. Podniósł ostrze i zbliżył się do D'Isleuroge. Jego biała kamizelka majaczyła w bladym świetle.

D'Isleuroge pozbierał się, przygotowany na odparcie ataku. Zazgrzytały klingi i baron znów został odrzucony. Pocił się teraz obficie: wiedział, że śmierdzi strachem. Saint-Germain był wciąż pewny w ruchach i nie było widać na jego twarzy zmęczenia, jakby wszystko to nie było dlań żadnym wysiłkiem.

Zbliżyli się ponownie. Tym razem Saint-Germain rozpoczął atak wykazując niesamowite opanowanie sztuki szermierczej. Przyparł barona do kominka, zanim umyślnie nie odstąpił, pozwalając D'Isleuroge zaczerpnąć oddechu.

Gdy młody człowiek przyszedł nieco do siebie, Saint-Germain zagadnął:

- Skłonny jestem rozważyć sprawę, która nas poróżniła.

- Nie... nie... do śmierci - baron uniósł broń i ujrzał jak szpic chwieje się niczym trawa na wietrze. Saint-Germain westchnął.

- Jak pan sobie życzy. En garde.

Najwidoczniej zabawa przestała go cieszyć, gdyż przypuścił teraz bezlitosny atak na gardę D'Isleuroge. Zdecydowany był kończyć.

Rozwiązanie przyszło nagle. Ostrze Saint-Germaina prześliznęło się znów przez obronę barona, lecz zamiast przebić mu ramię lub skierować się w samo serce, Saint-Germain przesunął je pod ramieniem D'Isleuroge.

Przestraszony i wyczerpany baron spróbował jeszcze podążyć za tym ruchem, lecz zdołał przeciąć jedynie materiał białej kamizelki Saint-Germaina, po czym potknął się i upadł na podłogę.

Gdy spojrział w górę, Saint-Germain stał tuż nad nim, trzymając ostrze szpady o kilka cali od jego gardła.

- Czuję się usatysfakcjonowany, D'Isleuroge. A pan? Gniew odebrał mu zdolność mowy. Patrzył tylko lękliwie na swego zwycięzcę.

- Nie chcę pana zabić - powiedział spokojnym tonem Saint-Germain. D'Isleuroge splunął.

- Dobrze - słowo wypowiedziane było tak cicho, że Saint-Germain nie był pewny, czy to właśnie usłyszał. D'Isleuroge wywinął się spod czubka szpady.

- Jestem usatysfakcjonowany - zadeklarował z twarzą zeszeconą piętnem porażki.

Saint-Germain odstąpił i zaoferował pokonanemu dłoń, lecz baron zignorował go. Hrabia odwrócił się do sekundantów.

- Zostawiani was, panowie, celem dopilnowania, by mój warunek został spełniony. Oczekuję na tę wiadomość przed zachodem słońca. Powstrzymywane napięcie uwolniło się teraz w erupcji stów. Saint-Germain przeszedł powoli przez gwarny pokój. Czuł się naprawdę wyczerpany.

- Za stary już jestem na takie rzeczy - powiedział cicho do de Valloncache.

- Akurat - uśmiechnął się diuk. - To była najpiękniejsza walka, jaką

kiedykolwiek widziałem. Powiedz mi, czy zawsze szermujesz leworęcznie?

- Nie zawsze - Saint-Germain opadł ciężko na krzesło i odruchowo zerknął w okno. Niebo było bladoliliowe, z długimi, złotymi przebłyskami świtu.

De Valloncache oddalił się na chwilę. Wrócił trzymając surdut Saint-Germaina. Podał go, mamrocząc coś do siebie.

- Że co? - Saint-Germain wyrwał się z zamyślenia.

- Twoja kamizelka jest zniszczona, hrabio. Cięcie biegnie wzdłuż żeber... i sięga nawet koszuli. Masz wielkie szczęście, mógł cię dostać. Dopiero teraz Saint-Germain przejechał palcami po rozdarciu.

- Wstrząsające - stwierdził sucho.

- Co cię opętało, by założyć białą kamizelkę, Saint-Germain? Zawsze nosiłeś się na czarno...

Hrabia uśmiechnął się i narzucił surdut na ramiona.

- Chciałem w ten sposób wyrazić czystość moich intencji, diuku - odłożył floret i ruszył ku drzwiom, gdzie kilku mężczyzn czekało na niego z gratulacjami.

Wyjątek z listu kontessy d'Argenlac do madame Lucienne Cressie; datowane 31 października 1743; zwrócony nie otwarty kontessie 11 stycznia 1744:

*(...) Moja droga Lucienne, nie wiesz jak bardzo brakuje nam wszystkim ciebie i twojej wspaniałej muzyki. Ostatniego wieczoru Madelaine stwierdziła, iż stęskniła się i pragnie cię usłyszeć na naszym przyjęciu, które jest już za cztery dni. Stąd biorą się tak jej, jak i moje błagania (...)*

*(...) Nie wiemy, jak bardzo jesteś chora. Przykro mi to mówić, ale Achille nic nam nie wspomina i chociaż próbuję jak mogę, nie udaje mi się wydobyć zeń nic, prócz potwierdzenia, że naprawdę nie czujesz się dobrze. Jeśli pragniesz, no i pozwolą ci na to, to mogłabym wysłać mojego lekarza, by czuwał nad tobą. Zwyczaj nakazuje wprowadzić, by kontakty z lekarzem odbywały się za przyzwoleniem męża, lecz sądzę,*

*iz w twoim przypadku cala ta sprawa wykracza poza kompetencje Achille.*

*Jest szczerą prawdą, że Baltasard Aubert, baron D'Isleuroge, jest zaręczony z Olympe de les Radeux. Jej brat jest wściekły, lecz Beauvrai, który nalegał bardzo na ten związek już od początku, wyraża wszędzie, rzecz jasna, swe zachwycenie. Pamiętam, jak sześć miesięcy temu zapowiadałaś, że tak właśnie będzie. Jesteś bystrym obserwatorem... Zastanawiam się, jak znosisz brak gości w czasie rekonwalescencji. Obiecuję ci wszystkie plotki, które szybko przywrócą cię życiu i pomogą wrócić do zdrowia.*

*Saint-Germain powiedział nam, że nie będzie komponował niczego na wiolonczelę, dopóki nie będziesz znów mogła grać. Teraz to ty chyba musisz litować się nad nami. Być pozbawionym zarówno twojej obecności, jak i muzyki Saint-Germaina, to gorsze od wszystkiego. Napisał za to krótką operę, specjalnie na nasze przyjęcie, które, jestem pewna, musiałoby cię zachwycić. Dziś wieczorem przyprowadza swoich muzyków na próbę i już się na to cieszę. Wydobrzej szybko, tak byś mogła wysłuchać jego dzieła. Wiem, że ci się spodoba.*

*(...) Gdy myślę o tobie zamkniętej w domu, przyprawia mnie to niemal o ból głowy. Ten straszny człowiek - wybaczysz, że określam tak twego męża, lecz obie wiemy, że potrzebuje cię nie bardziej, niż mysz teriera - nie pozwala nam rozmawiać o tobie, a gdy pytamy go, nie mówi nic prócz zwykłych komunałów.*

*Musisz napisać do wuja lub siostry. Nie możesz zostać pod jednym dachem z kimś takim. Serce mi się ściska, gdy pomyślę o twojej opresji. Jeśli jest cokolwiek, co mogę dla ciebie zrobić, jakikolwiek twój przyjaciel, do którego mogę zwrócić się w twoim imieniu, daj mi znać. Musi być ktoś skłonny pomóc ci w uwolnieniu się od tego niegodziwca Achille.*

*Przyjedź do mnie i zamieszkaj tu, moja kochana, jeśli tego pragniesz, a nigdy już nie wrócisz do rezydencji Cressie. Proponuję ci moją gościnę na tak długo, jak długo będziesz jej potrzebować. Jeśli nie zechcesz pozostać w Paryżu, lub obawiasz się represji, wówczas ubłagam mojego brata. Nakazywał mi nie wtrącać się, lecz zmieni zdanie, gdy dowie się o twojej sytuacji i paru towarzyszących jej okolicznościach. Musi zrozumieć, że twoje ślubowanie nie ma nic wspólnego z małżeństwem.*

*Przekonamy go razem, jeśli tego chcesz i dasz mi prawo po temu, bym się do niego zwróciła.*

*Wysyłam to przez posłańca, który ma nakazane zobaczyć, czy to pismo zostanie przyjęte przez służbę. Będzie czekał przez godzinę na twoją odpowiedź. Jeśli możesz, znajdź jakiś sposób przekazania mu jakiegokolwiek wieści, która będzie mi przyniesiona bez zwłoki. Zanim nie ujrzę cię osobiście, moja kochana, pamiętaj, iż jestem zawsze*

*Najbardziej oddaną ci i szczerą przyjaciółką, Claudia de Mon talia Kontessa d'Argenlac*

# CZĘŚĆ TRZECIA

BARON CLOTAIRE ODON  
JULES YALINCE PIEUX  
DE SAINT SEBASTIEN

Wyjątek z listu barona Clotaire de Saint Sebastiena do kawalera de la Sept-Nuit. Jeden z serii datowanej 1 listopada 1743:

*(...) Czemu miała służyć ta parodia, którą Vandonne zainscenizował wczorajszego ranka w Hotelu Transylwania? Powinieneś mieć dość rozumu by wiedzieć, że takie rzeczy nie służą naszej sprawie. A morderstwo d'Isleuroge'a było przeprowadzone niezdarnie. Nikt nie uwierzy, by ten pozer Saint-Germain mógł zabić d'Islerouge'a zaraz po pojedynku, którego był wyłącznym triumfATOREM, a którego świadkami było paru najznakomitszych z naszej szlachty. Pomyślą raczej, że mord miał powstrzymać go przed przekazaniem informacji, do ujawnienia której zobowiązany był honorem. Tak więc w rzeczy samej nic nie umniejsza waszej winy i nie usprawiedliwia głupoty, którą okazaliście.*

*(...) Niestety, nadeszła informacja, że Lucienne Cressie zniknęła! Achille nie umie przedstawić przekonującego wyjaśnienia tego zdarzenia; nawet rozmowa, którą wraz z Titem przeprowadziliśmy z nim na osobności, niczego nie zmieniła. Gdyby zdarzyło się, że będziesz chciał go odwiedzić, znajdziesz go w łóżku, a sińce, którymi jest pokryty może ostudzą wasze gorące głowy. Rozważcie to dogłębnie, nim władujecie się w kolejną kabałę.*

*Ofiara uczyniona ze służącej la Cressie, na miejsce jej pani, była zaledwie namiastką. Nieustannie zawadzicie w wypełnianiu swych zobowiązań wobec Kręgu. Mój drogi Donatien, jeśli masz z nami zostać, będziesz musiał o wiele lepiej sprawić się w przyszłości. To, co czyni cię mężczyzną, jest prawie tak samo do przyjęcia w trakcie ofiary, jak krew i dziewictwo młodej kobiety. Proszę cię, byś o tym pamiętał. Bowiem jeśli zawiedziesz i nie dostarczysz Madelaine de Montalia Kręgowi na czas*



zimowego przesilenia, wówczas sam zajmiesz jej miejsce na ołtarzu. Obiecuję ci to - zostaniesz pozbawiony męskości, de la Sept-Nuit, a twoje ciało zostanie wykorzystane tak, jak Krąg uzna to za stosowne. Bez wątpienia pamiętasz, co spotkało Lucienne Cressie? Wiele z tego, na inne sposoby, spotka ciebie. A gdy Krąg skończy już z tobą, sam obedrę cię ze skóry. Pomyśl o swojej skórze zwisającej w strzępach z twoich rąk i stóp, kawalerze, i nie pokpij znów sprawy.

Myślę, że złudną jest nadzieja, byśmy mieli Gervaise'a d'Argenlac na nasze rozkazy. Słyszałem, że wygrał tej nocy wielką sumę, której nawet przy cechującej go skłonności do przegrywania, nie zdoła przepuścić w krótkim czasie. Był nam przydatny, gdy ruina zaglądała mu w oczy, lecz teraz może stać się niebezpieczny. Może mieć się przed nami na baczności, co oznacza, że będziemy musieli postępować ostrożnie. Jeśli Chenu-Tourelle ma przyłączyć się do Kręgu, musi uprzednio uregulować sprawę d'Argenlaca. Ryzykujemy odkrycie, gdyby ktoś zbyt dokładnie zaczął przyglądać się sprawom d'Argenlaca. Musi ponownie zostać wpędzony w kłopoty, i to zanim jego żona całkiem go sobie zjedna. Trzeba, by uwierzył, iż jego żona działa mu na szkodę i chce doprowadzić do kompletnego uzależnienia i ujarznienia jego upodobań. Tylko w ten sposób możemy liczyć na pomoc w zdobyciu Madelaine.

Lecz pamiętaj też, że to na tobie polegamy, i to ty masz dostarczyć mi Madelaine nie później, niż do dziesiątego dnia tego miesiąca. Ona jest moja, obiecana mi jeszcze przed narodzeniem. Nie ustąpię! Potrzebować będę czterdziestu dni, by uczynić ją gotową do ofiary i posłuszną. Muszę mieć ten czas, inaczej jej śmierć będzie daremna. Nie będę tolerował żadnych przeszkód. Ona musi znaleźć się na naszym ołtarzu, by oddać dziewictwo i życie naszej Potędze. Każdy z nas musi użyć jej na naszą modłę tak, by jej krew zdołała nas wyzwolić. Pomniejsze pohańbienia są dla mnie wstrętne. Musi zostać unicestwioną, zniszczoną tak ciałem, jak i duszą, i to kompletnie.

Ty, Jueneport i Chateaurouse jesteście zobowiązani do dostarczenia mi tej kobiety w ciągu dziesięciu dni. Nie przyjmę żadnych usprawiedliwień, jeśli zawiedziecie. Żaden powód nie będzie wystarczającym. Nie będzie we Francji miejsca, które skryło

by was przede mną, ni konia dość szybkiego, by uniósł was poza zasięg mojej zemsty.

Jeszcze jedno. Krąg czeka w najbliższym czasie też inne, pomniejsze zadanie. Rozkazałem, by paru członków Kręgu wysłodziło tajemniczego księcia Rakoczego, który, jak mówi Le Grace, wciąż jest w Paryżu. Może to być trudne do przeprowadzenia, gdyż jest to człowiek o wielkiej potędze i zapewne nie będzie chętny, by podzielić się z nami wiedzą i umiejętnościami. Gdybyśmy mieli go w swoich rękach do czasu zimowego rytuału, wówczas moglibyśmy urosnąć jeszcze bardziej w siłę. Będzie można zmusić go, by ujawnił nam sekret produkcji diamentów i wszelkie inne tajemnice, które może posiadać, a może nawet sekret Kamienia Filozoficznego, jeśli go posiada. Jego śmierć, zadana mu umiejętnie, może przelać na nas jego potęgę, a zatem warta jest pożądaną. Jednoczesna ofiara Rakoczego i la Montalia, pierwszego umysłem, drugiej ciałem, posłuży wielce każdemu z nas. Uważaj zatem, Donatien. Masz w Kręgu wiele do zyskania: bogactwo, potęgę, łatwe zaspokajanie wszystkich pragnień. Lecz o wiele więcej możesz stracić, a twoje życie nie jest wcale najwyższą ze stawek. Proszę cię, byś zawsze był tego świadom, tak by zainspirowało cię to do sumiennego wypełnienia wszystkich obowiązków. W tym i we wszystkim innym mam zaszczyt zawsze pozostawać na twe usługi

Baron Clotaire de Saint Sebastien

# . 1 .

Hrabia d'Argenlac i jego małżonka jechali obok siebie wijącą się wśród pagórków ścieżką, przewidzianą właśnie do konnych spacerów. Gervaise perorował zawzięcie, wyjaśniając po raz piąty, jak wygrał poprzedniego dnia aż tyle pieniędzy.

- A pojedynek... - dodał z nowym entuzjazmem. - Postawiłem dziesięć tysięcy ludwików na Saint-Germaina, w proporcji trzy do jednego. Rano wysłałem już Jueneportowi czek pokrywający moje najpilniejsze zobowiązania. A zostało mi jeszcze dwadzieścia tysięcy, co podwoję w przyszłym tygodniu.

Kontessa zdawała się nie słuchać. Wyglądała bardzo młodo i delikatnie w jasnobłękitnym kostiumie, z wojskową kokardą na modnym kapeluszu.

- Ciesz się tą wygraną, Gervaise - powiedziała błagalnie. - Możemy opuścić Paryż i zamieszkać w twoim majątku w Anyou. Zawsze mówiłeś, że tam czujesz się najlepiej.

- Ale ja kocham Paryż, Claudio - zaprotestował z nutką złośliwości.

- Oczywiście. Lecz ja nie lubię niepokoju i ciągłego zwątpienia, domysłania się i zastanawiania, czy nasza rezydencja nie zostanie nam zabrana, a moje dobra zajęte na poczet twoich hazardowych długów. Wolę już żyć z dala od świata, ale bez niepokoju, który tutaj będę musiała znosić jeszcze wiele lat.

- Mówiłem ci już - wyjaśniał cierpliwie Gervaise. - Moje szczęście się odmieniło. Teraz już wszystko będzie inaczej, zobaczysz.

- Och, Gervaise - westchnęła, czując się bezradną.

- Do tego dążysz - oskarżył ją. - Wątpisz we mnie, nie masz wiary. Nic dziwnego, że nie mogę wygrać. Potępiasz mnie i łżysz. W twoich oczach nie potrafię zrobić niczego wartościowego.

- To nie tak - powiedziała, wiedząc, że on i tak nie wysłucha. Spojrzała do tyłu na dwoje jeźdźców jadących za nimi. - Madelaine, jeśli masz ochotę pogalopować, to ten prosty odcinek drogi przed nami do tego się nadaje. Dobra widoczność. Pojedziesz z nią, Saint-Germain?

- Pojedziesz, powiedz, że tak - Madelaine spojrzała na swego towarzysza i nie czekając odpowiedzi, zawołała: - Lepiej odsuńcie się na skraj drogi! - Rzuciła jeszcze jedno prowokujące spojrzenie hrabiemu i wypuściła swą andaluzyjską klacz do długiego galopu.

Saint-Germain dał jej mniej niż minutę forów, po czym pogonił swego okopconego ogiera. Prześcignął kontessę pozdrawiając ją machnięciem dłoni.

Po jednej stronie ścieżki rósł zasadzony pod linijkę las. Prawie nagie drzewa rzucały niesamowite cienie. Po drugiej stronie, między starannie uregulowanymi brzegami, płynęła niegłęboka rzeczka, śpiesząca by połączyć swe zrzędzające fale z wodami Sekwany. Cały ten olbrzymi park był dobrze utrzymany i ciągle pielęgnowany dla uciechy szlachty. Surowa natura nie ingerowała prostacko w wysmakowaną wrażliwość.

Dzień był chłodny, z rodzaju tych, które każdym cieniem zapowiadają zimę i jej martwość. Szeregi chmur wspinały się pod samo niebo, barwiąc się jasnoszare niczym niesamowicie odległe kamienne sklepienie. Kilka mil dalej unosiła się prosto cienka linia dymu, zawieszona w pustce między niebem a ziemią. Ostre powietrze pachniało zapachem ogniska i grzybów.

Ścieżka między wzgórzami była dobrze utrzymana i jeździec nie musiał obawiać się o wierzchowca czy wypatrywać zdradliwych nor susłów, ni korzeni podkopujących się pod drogę. Był to szlak idealny wprost na taki właśnie dzień i na ostatnią szaloną gonitwę, zanim zima nie odbierze radości konnych przejazdów.

Ze śmiechem, z rozwianym płowym kostiumem i twarzą okrytą rumieńcem, Madelaine gnała bez opamiętania. Nie dosiadała konia od tamtego straszego wieczoru. Obawiała się już, że wspomnienie to może

rzucić cień na przyjemność konnej jazdy. Lecz tak się nie stało. Czuła, że mogłaby tak jechać wiecznie.

Berberys Saint-Germaina zbliżył się do niej, łomocząc głucho kopytami. Nie obejrzała się, słysząc, jak ją nawołuje.

- Trzymaj się prawej strony!

Posłusznie skierowała klacz na prawo, robiąc mu miejsce obok siebie. Jechali tak przez parę minut, z pełną szybkością, rozkoszując się pędem i uderzeniami chłodnego powietrza.

Gdy pokonali już pewien dystans, ujrzeli przed sobą most zawieszony ponad rzeczką.

- Zatrzymaj się na moście! - zawołał Saint-Germain. - Poczekamy tu na nich!

Madelaine już miała zaprotestować, lecz czuła, że jej wierzchowiec zaczyna słabnąć. Z żalem powściągnęła klacz, przechodząc z galopu do cwału, potem do kłusa, w końcu do stępa, pozwalając dłoniom rozluźnić uchwyt na .cuglach. Byli już bliżej mostu.

Saint-Germain zeskoczył z siodła i prowadził berberysa, by koń mógł trochę ochłonać. Zdawali się być tu całkiem sami...

- Czy i ja mam zsiąść? - spytała Madelaine.

- Jeśli chcesz.

- Chcę być z tobą.

W jego oczach pojawił się dziwny uśmiech.

- Jesteś ze mną, moja droga. I to bardziej, niż sądzisz - otrząsnął się z zamyślenia. - Pomogę ci.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - wyciągnęła się w siodle, by lepiej go słyszeć.

- Że jesteś ze mną? Posmakowałem twojej krwi. Miałaś rację porównując to z komunią. To jest właśnie tak, gdy chodzi o miłość.

Na usta cisnął się jej szereg pytań. Odruchowo rzuciła pierwsze, które przyszło jej do głowy.

- Saint-Germain, czy jesteś katolikiem?

- Od czasu do czasu.

Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- Od czasu do czasu? - powtórzyła nie rozumiejąc. Poprawiła się w siodle.

- Cóż, w ogólnie przyjętym rozumieniu nie zostałem ochrzczony, chociaż w przeszłości wspierałem Kościół i czyniłem dlań zapisy, gdy takie postępowanie było mądre. Oczywiście nie przyjąłem komunii - ciągnął innym głosem, z lekkim uśmiezkiem błakającym się w kącikach warg - a w każdym razie nie w zwykły sposób.

Uderzyła go lekko końcami cugli.

- Nie o to mi chodziło. W kościele, Saint-Germain... Hrabia wzruszył ramionami.

- To nie tak, jak myślisz. Nie myl mnie z Kręgiem Saint Sebastiena - spojrzał z tajemniczą twarzą na leniwie płynącą rzekę. - To winą twoich prałatów jest, że pomiesza ci w głowie, myląc heretyckie i bluźniercze czczenie chrześcijańskiego diabła z działaniami tych spośród nas, którzy przeszli przez próg śmierci. Większość z tego, co się mówi, to zwykłe nonsensy. Nie zaprzeczam cudownej naturze życia Chrystusa. Z tego, co wiem, on też zmartwychwstał.

Madelaine starała się wyglądać na wstrząśniętą i prawie odchodzącą od zmysłów.

- Saint-Germain...

- Istnieje powszechne przekonanie, że ktoś, kto urodzi się w zimowe przesilenie, zostanie wampirem - ujrzał, jak wzdrygnęła się przy tym słowie, lecz kontynuował: - Jeśli tak jest, to z pewnością rzuca to nowe światło na istotę zmartwychwstania. A przez wzgląd na pamięć o Nim pita jest krew, prawda? - słowa były nonszalanckie, lecz ton wręcz przeciwnie. - Och, wiem, że mój rodzaj powinien bać się krzyża i kulić się ze strachu na wzmiankę o Bogu. Przynajmniej jeśli wierzyć ludowym bajaniom. Lecz wielu z nas leży w poświęconej ziemi, pod krzyżami, w kościołach i przed

ołtarzami. Chodzimy po tej ziemi. To nie święte znaki nas powstrzymują, Madelaine. Mogę trzymać w ręku krucyfiks i nie cierpieć bólu. Inaczej jest z tymi, którzy czczą szatana, potęgę dążącą do zła i niszczenia. To oni, a nie ja, są bezbronni wobec krzyża. To oni, nie ja, nie są w stanie dotknąć symboli potęgi jako Boga.

Madelaine pozwoliła swej klaczy wędrować z wolna w stronę mostu, a gdy andaluzyjka zastukała kopytami po kamiennej nawierzchni, zatrzymała ją.

- Zapomniałam o wodzie - odwróciła się do Saint-Germaina, który właśnie wszedł na most.

- Nie musisz się niepokoić. Jestem odporny - spojrzał na nią. Białe światło lśniło na starannie ułożonych kasztanowatych włosach. Kapelusz niósł złożony pod pachą. - Tak, ta pogłoska jest szczerą prawdą. Zazwyczaj nie możemy przejść przez płynącą wodę ani ponad nią. Lecz widzisz - dodał, zatrzymując się, by podnieść jedną nogę i dotknąć obcasa buta - dawno już temu nauczyłem się wypełniać podeszwy i obcasy moich butów ziemią ojczystą. Jak długo jestem dobrze obuty, tak długo nie muszę obawiać się ani światła słońca, ani płynącej wody.

- A ja myślałam - roześmiała się Madelaine - że twoje buty mają grubą podeszwę, bo jesteś próżny! Pewna byłam, że chcesz tym sposobem być wyższy!

Przestraszona jej śmiechem klacz gwałtownie potrząsnęła łbem. Madelaine opanowała ją, poklepując uspokajająco po karku.

- Madelaine, moja kochana, jesteś bezczelna - zaśmiał się.

- To nie ma znaczenia, jeśli naprawdę jestem twoją ukochaną. - Nagła zmiana tonu zmusiła go do podniesienia głowy i spojrzenia w jej oczy. w których rozpalila się namiętność. - Kiedy znów do mnie przyjdiesz? Kiedy, Saint-Germain? - poczekała na odpowiedź, a gdy ta nie nadeszła, poprosiła cichym głosem: - Musisz być ze mną, Saint-Germain. Nie mogłabym znieść twojej nieobecności. Powiedz, że przyjdiesz. Powiedz to.

Saint-Germain przyglądał się cugłom, które ścisnął w dłoni, jak gdyby widział je po raz pierwszy.

- Madelaine, ostrzegłem cię, co może się stać. To nie tylko krew, chociaż ona jest tego częścią, lecz sama bliskość. Gdybym znów posmakował cię tak wcześniej... - słowa zamarły.

- A zatem pozwól mi pić twoją. Proszę, Saint-Germain, jeśli mnie kochasz. Zrozpaczony zamknął oczy.

- Nie - powiedział cicho.

- Czemu? - Niecierpliwie uwolniła nogi z siodła i stanęła obok niego.

- To, co mi dajesz, to rozkosz. Nie zakazujesz przecież dzielić mi jej z tobą?

- Tak, tego ci właśnie zakazuję.

- Dlaczego? - stanęła na szczycie mostu blokując mu drogę.

- Dobrze - skapitulował. - Gdybyś miała kosztować moją krew, z całą pewnością stałabyś się wampirem. Byłabyś taka, jak ja - zwrócił spojrzenie na rzekę. Czuł lekki zawrót głowy, jak zawsze, gdy przekraczał wodę.

- To aż takie straszne? - podeszła bliżej i spojrzała mu w oczy. - Czy to naprawdę aż takie straszne?

- To oznacza samotność. - Ciężko było mu odwzajemnić spojrzenie. Wiedział, co znalazłby w jej oczach. Gdyby nie wewnętrzna determinacja Madelaine, wykazałby z pewnością więcej zdecydowania. Pragnął bowiem uniknąć zamieszania, jakie spowodowała w jego życiu ponad dwieście lat temu Demetrice. Dlatego do tej pory poprzestawał na pojawianiu się podczas snu, jak w przypadku Lucienne Cressie. Na więcej nie mógł sobie pozwolić. Madelaine jednak знаła prawdę, wiedziała kim jest i nie wzdragała się przed nim. Pragnęła jego objąć na jawie, chciała się z nim połączyć. On jednocześnie bał się jej utraty i pragnął ochronić ją przed konsekwencjami młodej namiętności.

Woda pluskała pod mostem, rozpryskując się o stare kamienie. Odbicie nieba zniekształcały drobne fale rozbiegające się po powierzchni. Poruszały



również odbiciem mostu, na którym widniały dwa konie i ciemnowłosa kobieta.

- Tyle tylko? Tylko samotność? - położyła dłoń na jego ramieniu. Uśmiechnęła się w duchu, gdy go nie cofnął. Przysuwała się coraz bliżej.

- To bardzo niebezpieczne. Jesteśmy znienawidzeni poprzez naszą nieśmiertelność i za... sposób odżywiania.

- A czy to, jak żyję teraz nie jest niebezpieczne? Czy nie było niebezpiecznie w Sans Desespoir? Dlaczego teraz, z tobą, czuję się pewniej? Czy moja śmiertelność chroni przed Saint Sebastienem? Saint-Germain! - Odwrócił się do niej powoli. - Czy nie wierzysz w moją miłość? Czy znaczy to dla ciebie aż tak niewiele, że odtrącasz mnie?

Zawahał się przez moment, potem objął Madelaine i przytulił do siebie. Poczuł, jak jego ciało zadrżało z emocji. Dał się ubłagać.

- Nie, nie w tym rzecz. To, co czuję, jest tylko dla ciebie. Nie masz mojej miłości na wyłączność, lecz za to w sposób jedyny w swoim rodzaju. Oparła czoło o jego podbródek.

- Cieszę się - powiedziała, nie mogąc opanować zadowolenia.

- Twoja ciotka i jej mąż zaraz tu będą - zauważył z żalem, zacieśniając uścisk.

- A więc to jeszcze nie czas?

- Nie - musnął dłonią jej twarz. - Przyjdę do ciebie, Madelaine. Wkrótce będziesz mnie miała. Przyjdę po uroczystości, którą przygotowujesz.

- Obiecuj! - Ujęła jego dłoń.

- Powiedziałem to już, moja droga - uniósł brwi w łagodnym zdziwieniu. - Moje słowo wystarczy.

Miała wrażenie, że zaraz wyprze się obietnicy, lecz coś w jego zachowaniu zaprzeczało przypuszczeniu. Uniosła jego dłoń do swoich warg i ucałowała kolejno każdy z drobnych palców. Potem szybko odstaąpiła i ustawiła konia, by wsiąść.

- Pomogę ci, daj stopę - stanął obok niej i poczekał, aż się przygotuje.

Potem wrzucił ją na siodło.

- Dziękuję - rzekła, wracając do bardziej oficjalnych stosunków.

- Spójrz - wskazał na dwoje jeźdźców, którzy wyjechali właśnie zza zakrętu. - Twoja ciotka i hrabia. Ani na chwilę za wcześnie - wskoczył na siodło bez uciekania się do pomocy strzemion.

- Już nas dostrzegli - Madelaine wymachiwała dłonią. Pozwoliła klaczy zejść z mostu. - Cieszę się, że mieliśmy ten czas dla siebie. To byłoby straszne pozostać w niepewności.

- Nie byłaś pewna? - zapytał. - Obawiam się, mademoiselle, że kpi pani ze mnie, skoro opowiada takie rzeczy.

- Nie byłam pewna siebie - powiedziała na granicy słyszalności.

- Obawiałam się tylko, że możesz mnie nie chcieć, zmęczyć się mną lub znudzić... Wiem, że jestem bardzo młoda... szczególnie dla ciebie. Złamałoby mi serce, gdybyś szukał tylko przygody. Lepiej już zniosłabym odmowę.

- Nie musisz się obawiać. Ostatni raz szukałem takiej przygody, gdy Heliogabal był cezarem. Straciłem umiłowanie do tego sportu jakieś tysiąc lat temu - zawrócił konia ku nadciągającym jeźdźcom, zmieniając przy tym i temat, i ton głosu. - Opera na twoje przyjęcie ma być niespodzianką, moja droga, i nie powiem ci ani słowa więcej.

- Madelaine? Saint-Germain! - kontessa d'Argenlac pomachała im szpicrutą. Oddali jej pozdrowienie.

- Czekam na sposobność, by spotkać się z twoim ojcem, Madelaine - powiedział Saint-Germain, gdy już się zrównali. - Jak wiem, ma przybyć dziś wieczorem.

Madelaine odczuła ulgę.

- Tak, oczekujemy go. Nie był w Paryżu od dnia moich urodzin. Będzie dla niego wielką przyjemnością odkryć go na nowo. Mam nadzieję, iż uda mi się nakłonić cię, byś oprowadził go po tych miejscach, gdzie mi nie wypada się pokazać.

- Ja mogę to zrobić - zaproponował szybko Gervaise, rzucając wymowne

spojrzenie żonie. - Przypuszczam, że zezwolisz mi na to, Claudio.

- Rób, jak uważasz, Gervaise. Jeśli chcesz być pomocny w zabawianiu mego brata, to mogę ci tylko podziękować. - Westchnęła i odwróciła się do Saint-Germaina. - Muszę wyrazić ci wdzięczność za dotrzymanie towarzystwa Madelaine, hrabio. Pewna jestem, że nasza rozmowa by cię znudziła. Taka sprzeczką o błażostkę! Można by pomyśleć, że nie mamy nic lepszego do roboty, niż obrażanie się nawzajem bez celu.

- Tak, błaża sprawa - potwierdził Gervaise z niejaką złośliwością.

- Lecz obecnie panuje już między nami idealna zgoda. Prawda, kochanie?

- Oczywiście - przytaknęła kontessa. Obrzuciła horyzont spojrzeniem.

- Ale spójrzcie - powiedziała jak najpogodniej - nie zdawałam sobie sprawy, jak jest późno. Jeśli mamy znaleźć się w domu przed przybyciem mego brata, to musimy już zawracać. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, droga bratanico. Nie chcę pozbawiać cię przyjemności. Madelaine napotkała jednoznaczne spojrzenie Saint-Germaina.

- Skądże, ujrzenie mego ojca jest dla mnie największą przyjemnością. Jeśli można, pozwól nam udać się już do rezydencji, hrabio - powiedziała przez ramię, lecz taktownie. - Byłabym szczęśliwa móc dłużej cieszyć się twym towarzystwem, lecz nie powinnam cię zatrzymywać. Znajdę cię na przyjęciu. I obiecuję nie interesować się próbami opery.

- Dziękuję, Madelaine - Saint-Germain skłonił się, z kapeluszem przy sercu. - To było czarujące popołudnie. Hrabio, hrabino, proszę przyjąć wyrazy mego szacunku - zawrócił ogiera i wjechał na most. - Do jutra zatem.

Na drugim brzegu rzeki odczekał chwilę, obserwując pilnie Madelaine, jej ciotkę i hrabiego jadących żywym kłusem do rezydencji.

Dopiero, gdy całkowicie zniknęli mu z oczu, przejechał z powrotem przez most i podążył za nimi.

Wyjątek z listu l'Abbesse Dominiąue de la Tristesse de les Agnes do nieznanego dobroczyńcy jej siostry; datowane 2 listopada 1743:

(...) Lekarz, który był na tyle dobry, by towarzyszyć mojej biednej Lucienne aż do klasztoru, opowiedział mi, że z pomocą boską i przy dobrej pielęgnacji może ona jeszcze zostać przywrócona zdrowym zmysłom, a po części i do zdrowia.

Nie mogę znaleźć dość słów, by podziękować panu w jej imieniu za dobroć. To, że kazał pan zabrać również jej wiolonczelę, by mogła znaleźć ukojenie w sztuce, ukazuje szlachetność pańskiej duszy. Jeśli ma pan powody lękać się Boga i Dnia Sądu, to może być pan pewien, że pańskie wysiłki podjęte dla dobra mojej siostry przemówią na pana korzyść. Nikt, dowiedziawszy się o jej cierpieniach, nie mógłby zrobić dla niej więcej, ni z większą troską o nią samą i jej dobre imię. To, że ocalił ją pan od skandalu dowodzi, jak wielką jest pańska o nią troska. Schoenbrun powiedział mi, że nie pragnie pan zostać rozpoznany, tak ze względu na dobro Lucienne, jak i pańską skromność. Bez wątplenia jest prawdą, że gdyby pańskie imię było znane komukolwiek z otoczenia jej męża, Lucienne zostałaby wystawiona na wyrok prawa, który mógłby zmusić ją do posłuszeństwa mężowi. Wiem, że jest obowiązkiem żony przyjmować rozkazy męża i ulegać im pokornie. Niemniej, z tego co słyszałam od Lucienne, jej mąż to cudzołożnik i to w sposób nienaturalny, gdyż powstrzymuje się przed kontaktami z płcią niewieścią. Bez wątplenia w oczach Boga nie jest to małżeństwo i nawet Najświętsza Dziewica nie żąda, by te, które nie są na służbie, umartwiały ciało, lecz pragnie, a nawet zachęca kobiety, by modliły się o błogosławieństwo dzieci i przekazywały owoce swych małżeństw Bogu w testamencie dla odpłacenia owego daru.

Niech pan będzie pewny, że będziemy strzegły tutaj mej siostry i czuwały nad jej bezpieczeństwem, aż będzie gotowa znów wyruszyć w świat. Jeśli postanowi nie wracać do Paryża, dołożymy wszelkich starań, by mogła żyć w sposób godny jej pozycji i stanu. Napisałam już do naszego kuzyna, którym jest kardynał Glaivefleuret. Mieszka on w Rzymie i jest człowiekiem o najlepszej reputacji. Pewna jestem, że zechce być opiekunem Lucienne i udzieli jej schronienia w swym domu, umożliwiając realizację jej talentów w jak najbardziej przychylniej atmosferze. Zapewne zgodzi się pan, że najlepiej będzie, jeśli nigdy już nie ujrzy ona Achille

*Cressie.*

*Cnotliwa Dziewica, która jest nam pomocą i źródłem orędownictwa przed Majestatem Boga, będzie myśleć o panu z miłością. Obejmie na pewno pana miłosierdziem za uratowanie mej siostry z paszczy piekieł. Zawsze będę o panu pamiętać w mych modlitwach i chociaż ja nie znam pańskiego imienia, Bóg wszystkim czyta w sercach i widzi pana jako ukochanego między dziećmi swemi.*

*Nie wolno mi przeciągać tego listu, gdyż pragnę wysłać go z lekarzem Schoenbrunem, który wraca do Paryża za godzinę. Obiecał mi ten dobry człowiek, że list trafi do pana. Pozwolę sobie informować pana od czasu do czasu o postępach w kuracji Lucienne, aby mógł pan być pewnym jej ocalenia.*

*Z dna mego serca, z błogosławieństwem i wdzięcznością całej duszy, na tym i na tamtym świecie, w pobożnej wdzięczności,*

*Pozostaję panu najbardziej oddana duchem,*

*Dominique de la Tristesse de les Agnes*

## . 2 .

Deszcz padał już od ponad dwóch godzin, gdy karetą wtoczyła się wreszcie przed boczne wejście rezydencji d'Argenlac. Konie parowały, a ozdobione herbem burty karety obryzgane były błotem.

Krzyk stangreta wywołał lokajów. W ciągu kilku chwil przyniesiono latarnie. Drzwi karety otworzyły się, opuszczono stopnie. Pierwszym, który wysiadł był starszy służący w zielonej liberii. W dłoni trzymał długą laskę, gotów wręczyć ją mężczyźnie, który właśnie pojawił się w drzwiach.

- Dziękuję, Eustachę - powiedział przybyły wysiadając z ciężkiego pojazdu. W świetle latarń rozpraszających mroki deszczowej nocy okazał się być mężczyzną, który przekroczył już, wiek średni, z nie upudrowanymi włosami koloru stali, noszącymi jeszcze gdzieś ślady dawnego, ciemnobrązowego koloru. Wzrostu był przeciętnego, może trochę ponad, i był przy tym zadziwiająco szczupły, z poznaczoną strapieniami twarzą kogoś, kto nieustannie żałował w pokorze za dawne grzechy. Ubrany był w dobrze skrojone, lecz wypłowiałe i niemodne rzeczy. Prosty perkal służył mu za szalik, nie miał koronek przy mankietach, buty na niskich obcasach służyć miały wyraźnie tylko chodzeniu w nich. Zerknął ku drzwiom rezydencji, odsłaniając bladoniebieskie oczy.

- Bądź tak dobry i powiedz kontessie, że przybył jej brat - zwrócił się do starszego lokaja, który skłonił się i zniknął we wnętrzu wydając polecenia, by bagaże markiza de Montalia zostały zabrane do jego pokoju.

Najwidoczniej przybycie powozu zostało zauważone przed zapowiedzią lokaja, gdyż już po chwili w drzwiach pojawiła się zdyszana Madelaine.

- Ojczy! Ojczy, witaj! - rzuciła mu się w ramiona. - Och, jak bardzo mi Ciebie brakowało!

Śmiejący się z radości markiz de Montalia oddał córce uścisk, po czym

odsunął ją na odległość ramienia.

- I ja stęskniłem się za tobą, Madelaine. Lecz niech spojrzę na ciebie, moje dziecko. Jaki szyk. Jaki strój. Nie poznałbym cię chyba.

- Nie mów tak - Madelaine wsunęła dłoń pod jego ramię. - Ty zawsze mnie poznasz, prawda?

- Oczywiście, że tak - uśmiechnął się smutno. - Nie chciałem cię martwić, moja kochana. Chciałem tylko powiedzieć, że ładnie wyglądasz. Wysłałem dziecko, a zastaję kobietę. Taki już los każdego rodzica.

Przekroczył próg domu, a z nim wsparta na jego ramieniu Madelaine.

- Siedzieliśmy właśnie przy kolacji i pewna jestem, że zechcesz się do nas przyłączyć. Szef kuchni cioci to prawdziwy mistrz. Zna sposób przyrządzania cielęciny, który wprawi cię w zdumienie. Sos zaprawiony grzybami, ziołami i winem, cielęcina nadziewana jest pasztetem z kurczących żołądków i bekonu. Będzie ci smakować.

- Nie powinienem chyba teraz siadać do kolacji, moje dziecko - uśmiechnął się markiz. - Podróżowałem cały dzień i obawiam się, że można to po mnie poznać.

- Nikomu nie będzie to przeszkadzać.

- Lecz mnie krępuje, dziecko. Musisz ustąpić przed moimi dziwactwami. Nie mogę usiąść do stołu w nieświeżym stroju. Popsułbym wszystkim apetyt - ucałował ją w oba policzki. - Dołączę do was za niecałą godzinę. Eustachę ma moje bagaże. Gdy tylko je wypakujemy, odświeżę się i przebiorę. Nie byłem w Paryżu od dwudziestu lat, ale wiem, co należy oddać gospodarzom. Madelaine uniosła twarz, na której malowała się desperacja.

- Wolałabym, żebyś dołączył do nas teraz, ojcze. Szczęśliwie w tej właśnie chwili pojawił się lokaj.

- Pozwoliłem sobie pokazać pańskiemu służącemu jego pokoje - skłonił się. - Jeśli pan sobie życzy, chętnie pana tam zaprowadzę.

- Za chwilę. Dziękuję za troskę - powiedział wręczając lokajowi ludwika.

- Ile ci to zajmie, ojcze? Nie zwlekaj, proszę.

- Ani chwili dłużej, niż będzie to konieczne. Powiedz mojej siostrze i jej szanownemu mężowi, że niedługo do was przyjdę. I proszę bardzo, nie czekajcie na mnie zjedzeniem, nie jestem zbyt głodny po tak długiej podróży. Wystarczy mi parę kawałków mięsa, trochę warzyw i omlet.

- Przypilnuję, by ciocia wydała polecenia samemu mistrzowi kuchni - uścisnęła go impulsywnie.

- Nie przystoi to w pełni młodym damom - powiedział tonem łagodnej wymówki. - Jako ojciec uradowany jestem, że wciąż okazujesz mi niezmiennie ten sam szacunek, ale musisz pamiętać, że takie gesty nie przysporzą ci tu szacunku i nie zostaną docenione. Zechciej być bardziej oficjalna wobec mnie, Madelaine - ujął jej dłoń i szarmancko ucałował.

- Będę za niespełna godzinę. Lokaj, który przyglądał się niewzruszenie, ożył teraz.

- Proszę za mną, sir.

- Dziękuję - nie zwlekając, markiz poszedł za nim przez sień, a potem schodami na piętro.

Madelaine patrzyła za nim, a wątpliwości narastały w niej fala za falą. Była zachwycona widokiem ojca i jak zwykle czuła, że go kocha. Jednak dystans, który odnajdywała w nim od dawna, dystans sprzyjający izolacji był coraz większy i gdyby go nie znała, przysięgłaby, iż był niezadowolony z jej widoku. Nie zdradził się ani słowem, lecz rezerwa dawała się odczuć silniej, niż kiedykolwiek dotąd.

Przeszła z wolna przez sień, z powrotem ku jadalni. Baranina w sosie nie przyciągała już tak bardzo. Na jej twarzy pojawił się cień zmarszczek zadumy. Przystanęła przy oknie, przesuwając palcami po szybie w ślad za zsuwającą się srebrną kroplą deszczu. Bardzo pragnęła, by był z nią teraz Saint-Germain... Nie minęła jeszcze godzina, jak wyszedł ze swymi muzykami, obiecując jej przelotne spotkanie następnego dnia. Pragnęła go teraz - nie mogła przed nikim innym rozładować swej tęsknoty. Pragnęła jego bezpiecznych objęć, spojrzenia jego oczu... Zorientowała się, że jej



pobyty poza jadalnią trwa już trochę za długo, porzuciła zatem czuwanie przy oknie i zdecydowanym krokiem poszła dokończyć kolację.

Jadalnia była w północnym skrzydle rezydencji, a jej przeszklone drzwi wychodziły na mały taras. Nocami, takimi jak ta, było to przytulne miejsce z lichtarzami, wielkim kominkiem i ciężkimi zasłonami, chroniącymi przed dokuczliwymi przeciągami.

Nad wykonanym z wiśniowego drewna stołem na dwadzieścia cztery osoby, wisiły trzy kryształowe świeczniki, rzucające widmowe cienie na pomalowane w białe i zielone pasy ściany. Kinkiety nie były zapalone. Przy jednym końcu stołu siedziała Claudia, przy drugim Gervaise. Trzy wielkie, stojące między nimi, patery nad wyraz utrudniały konwersację. W pokoju zatem panowała cisza, która trwała do chwili powrotu Madelaine, która zajęła miejsce po prawej ręce ciotki.

- Czy to Robert? - spytała kontessa.

- Tak. Poszedł do pokoju zmienić ubranie. Prosił, byśmy na niego nie czekali - utkwiała wzrok w talerzu.

- Co się stało, moja droga? - spytała ciotka, gdy cisza stała się przytłaczająca.

- Nic - Madelaine potrząsnęła głową. - Drobnostka. Wydaje się być taki... obcy...

- Cóż - Claudia ujęła srebrny widelec i nałożyła sobie parę ciepłarnianych gruszek gotowanych w brandy. - Nie wyciągałabym takich pochopnych wniosków, Madelaine. Jest z pewnością zmęczony długą podróżą, przeżywa powrót do Paryża po latach nieobecności. To może rozstroić. Pamiętaj, że wyjechał stąd w związku ze skandalem. Ta wizyta może nie być dlań łatwa - zadzwoniła leżącym obok jej talerza dzwonkiem. Po chwili w jadalni pojawili się dwaj lokaje. - Możecie to zabrać i podać od razu mięso.

- Tak jest, ma contesse - powiedział jeden z nich i zabrał się do pracy. Gervaise przywołał drugiego i wydał mu cichym głosem jakieś polecenie. Potem, przypomniawszy sobie o obowiązkach gospodarza, spytał:

- Madelaine, czy jest coś, na co twój ojciec miałby szczególną ochotę?

- Och, zapomniałam - Madelaine załapała się rumieńcem. - Prosił o trochę warzyw, omlet i parę kawałków mięsa. Nie przyjdzie tu od razu, tak więc nie muszą się spieszyć w kuchni - spojrzała na ciotkę z lekkim przerażeniem w oczach. - Nie chciałam wydawać poleceń w twoim domu.

Kontessa musnęła jej dłoń palcami.

- Nie gadaj bzdur, moja droga. Jeśli chcesz, to możesz. A gdy zamawiasz już coś dla swego ojca, to jestem z tego zadowolona.

- Dziękuję, ciociu - szepnęła Madelaine. - Nie wiem czemu, ale poczułam się nagle tak dziwnie.

- Pojutrze jest przyjęcie... - zaśmiała się pobłaźliwie ciotka. - Co prawda, nie sądziłam, że aż tak przykuje to twoją uwagę. Przyjęcie dla zaledwie trzystu gości...

- Trzystu? - Madelaine była wstrząśnięta.

- Tyle otrzymałam dotąd odpowiedzi. Będzie zapewne więcej, gdyż zawsze znajdują się tacy, którzy przychodzą na ostatnią chwilę, i nie wiem czemu, przyprowadzają bez zaproszenia połowę swoich przyjaciół. Możemy oczekiwać wielkiego tłumu. Dzięki Bogu, prawie wszystkie przygotowania są już ukończone - spojrzała na lokajów wracających z daniem mięsnym i trzecią butelką jabłkowego wina dla Gervaise'a. Poczowała ukłucie niepokoju. Wiedziała, że ciężkie picie jest zwykle wstępem do kolejnego ataku hazardu. Powstrzymała jednak komentarze.

- Popatrz, Gervaise. Zrazy z młodej wieprzowiny w sosie winnym z krabami. Pewnie zechcesz wziąć parę?

Gervaise rzucił jednym okiem na półmisek i przystawki i sapnął z obrzydzeniem.

- Nie, dziękuję. - Sięgnął niepewnie po butelkę i nalał sobie szcrodre.

- To nie jest ciemne mięso, Gervaise - Claudia nie ustępowała.

- Możesz spokojnie zjeść je w piątek. - Ścisnęła dłonie. Wiedziała, że wyśmienite przystawki będą smakować jej jak stare kamasze. Gervaise

został w widoczny sposób znów opanowany manią samodestrukcji.

- Nie zamartwiaj się mną madame, błagam - słowa wymawiał niewyraźnie, a ton głosu był nieprzyjemny.

- Przepraszam - powiedziała bardzo cicho, jak gdyby ze zduszonym gardłem. Przyłożyła dłoń do oczu. - Proszę, moja droga - zwróciła się do Madelaine - zaraz mi przejdzie. Nie przejmuj się. Ja... jestem chyba bardziej zmęczona, niż mi się wydawało, skoro coś takiego wytrąca mnie z równowagi. Spokojnie.

Efekt tych słów był dokładnie odwrotny.

- Dlaczego mi to mówisz, ciociu?

- Bo jestem głupia - machnęła rękami. - To nic. Proszę, weź trochę tej doskonałej wieprzowiny. Złamiemy Onfredowi serce, jeśli nie zjemy tego dania - wskazała w kierunku półmiska. - Zawsze jest taki przeczulony. Nie lubi, gdy jego potrawy wracają nietknięte do kuchni. Gervaise, jeśli nie chcemy jeść tego, co gotuje, to dlaczego płacimy mu tak wysoką pensję?

Gervaise nie trzymał się odpowiedzią. Nie sięgnął również po danie.

- Słyszałam, że Onfredo jest obiektem zazdrości wszystkich naszych przyjaciół - Madelaine pragnęła uspokoić ciotkę. - Czemu tak jest?

- nałożyła sobie ile mogła wieprzowiny, dorzuciła jeszcze groszek w serowym sosie i odprawiła lokaja.

- Jadasz u nas od ponad miesiąca i jeszcze pytasz? - Claudia uśmiechnęła się z wdzięcznością. - Onfredo jest wychowankiem najlepszych szkół na świecie. Jego stryj i ojciec są mistrzami kuchni rodzin królewskich. Onfredo przyjął pracę tutaj, ponieważ chce eksperymentować, chce, by większe towarzystwo oceniało jego dzieła. Jestem tym zachwycona, bo dzięki niemu nasz stół cieszy się reputacją niedostępną dla innych. Wspaniale jest też pomyśleć, że istnieje już kilka kulinarnych arcydzieł noszących nazwę a la Claudia - spojrzała przez stół i rozpacz odmalowała się na jej twarzy. Gervaise znów przechylił butelkę. Zdecydowała się jednak nie zwracać na to więcej uwagi i odwróciła się do Madelaine. - Jest jednak niesamowicie

wrażliwy i przy tym skłonny do uniesień. Jak wielu geniuszy. Lecz gdy coś przygotowuje...

- Słyszałam - Madelaine wpadła w ton ciotki - że raz, gdy nie mógł dostać świeżego kopru i dostatecznej ilości gatunków ryb do nowego dania, które wymyślił, to groził samobójstwem.

Claudia zachichotała i sięgnęła po kolejny kawałek wieprzowiny.

- To normalne. On zawsze grozi popełnieniem samobójstwa z byle powodu. Był w wielkiej desperacji, gdy przyszło do piątkowych obiadów. Dopiero nasz ojczulek zapewnił go, że tylko ciemne mięso nie może być podawane i nie dotyczy to młodej wieprzowiny czy baraniny. Ale i tak często wpada w zły humor - spojrzała raz jeszcze na męża, który z trzymanej za szyjkę butelki wysączał właśnie ostatnie krople.

Gervaise podniósł się chwiejnie i z dziwnym zadowoleniem na twarzy zlustrował stół.

- Madame - język mu się plątał - zostawię cię teraz nad talerzem. Pozdrów ode mnie swego świętoszkowatego brata i przekaż mu wszystkie twoje żale. Ja zostałem zaproszony do Hotelu de Ville. Razem z Jacquesem Chateaurouse idę zabawić się grą. Jestem zrozpaczony, że pozbawiam się w ten sposób twego towarzystwa - wykonał coś, jakby ukłon, i wytoczył się z pokoju. Kapiące z naczynia wino znaczyło jego drogę.

W jadalni zapadła cisza, która trwała jeszcze przez kilka minut po wyjściu hrabiego. W końcu Claudia zakryła twarz rękami i wybuchnęła płaczem, który powstrzymywała przez cały wieczór.

Madelaine odczekała jeszcze chwilę, potem wstała i zamknęła drzwi na klucz, by nie przeszkodził im nikt ze służby. Następnie ze skrzyni obok kominka wzięła jedną z płóciennych serwetek i umoczyła ją w wazie z ciętymi kwiatami, która stała na kominku.

Gdy była już pewna, że serwetka nasiąkała jak należy, wyciągnęła ją, wycisnęła i wróciła do ciotki.

- Ciociu Claudio - powiedziała niepewnie, lecz ciepło. - Jesteś zbyt

zdeenerwowana. Odejdź na chwilę od stołu, spróbuj się uspokoić. Mam wilgotny okład. Pozwól, bym położyła ci go na oczy. Nie będą czerwone i opuchnięte, gdy mój ojciec do nas dołączy.

Kontessa zgodziła się i pozwoliła Madelaine pomóc sobie wstać, dając się doprowadzić do jednego ze stojących przy kominku krzeseł. Uchwyciła kurczowo dłoń Madelaine. Jej ciałem nadal wstrząsało łkanie.

- Ciociu, proszę, nie płacz. Wiem, że masz przez niego wiele do zniesienia, ale nie powinnaś aż tak się przejmować. - Madelaine pochyliła się, by wytrzeć serwetką łzy z jej twarzy. - Spójrz jak fatalnie wpływa to na twoją urodę. Nie powinnaś płakać. - Ku zdziwieniu Madelaine, Claudia zaczerpnęła kilka głębokich oddechów i stłumiła żal. W końcu, gdy minął ten męczący stan, spojrzała na Madelaine, wzięła serwetkę w swoje ręce i wytarła starannie twarz. Nie malowała się nigdy przesadnie, lecz łzy i tak szkodziły jej wspaniałym oczom. Wiedziała o tym.

- Och, moja droga. Nie chciałam tak się zachować - odetchnęła głęboko, jak tylko na to pozwalał gorset. - Czasem zbyt przejmuję się tym, nad czym i tak nie mam kontroli. To miło z twojej strony, że mi pomogłaś. Pewna jestem, że nie muszę ci mówić, iż wcale nie pragnę, by Robert o tym słyszał.

- Możesz na mnie polegać, ciociu. Ojciec jest dobrym i prawym człowiekiem, ale sądzę, że niezbyt rozsądnym. - Z nieprzytomnym spojrzeniem odstępowała od kontessy.

- Co jest?

- Och, nic. Pragnęłabym, by Saint-Germain był tutaj. To ekspert od krępujących spraw. - Wzięła serwetkę i włożyła ją do jednej z nie używanych szklanek na stole. - Będziemy musiały poradzić sobie same - przerwała, pochylając głowę. - Wydaje mi się, że ojciec nadchodzi. Ktoś jest w sieni. Proszę, usiądź ciociu, wracajmy do posiłku. Nie trzeba mu mówić o tym, co się zdarzyło. Claudia już stała obok swego krzesła.

-Masz całkowitą rację, kochana. Otwórz drzwi Robertowi. Damy sobie

radę. Madelaine odciągnęła rygiel i otworzyła drzwi z uśmiechem, widząc, jak zbliża się markiz.

Był ubrany w fatalny, niemodny strój. Poły surduta były osobliwie wąskie, kieszenie naszyte zbyt wysoko, a od ponad dekady nikt nie zapinał już trzech górnych guzików. Lecz sam krój rzeczy, które nosił, był mistrzowski, a ciemnoszary kolor marszczonej mory nie pozostawiał nic do życzenia.

Wyciągnął rękę.

- Cóż to, moje dziecko, wyszłaś mnie powitać? - Ujął jej dłoń.

- Obie z cicią pragniemy cię widzieć - odsunęła się, by wpuścić go do jadalni.

Brat i siostra spojrzeli na siebie przez odległość mierzoną tak czasem, jak i przestrzenią. Claudia uśmiechnęła się nieśmiało, składając markizowi bardziej formalny, niż rodzinny ukłon. Robert odwzajemnił się.

- Ach, Robercie - szepnęła Claudia, biorąc go po przyjacielsku w objęcia. - To trwało tak długo.

Brat odwzajemnił uścisk, a potem odstąpił by się jej przyjrzeć.

- Tak. Lecz te lata obeszły się z tobą łagodnie, Claudio. Nie uwierzyłbym, że masz już trzydzieści siedem wiosen. Nie wyglądasz na więcej, niż trzydzieści.

Claudia z wdzięcznością przyjęła komplement i poprowadziła Roberta do stołu, na miejsce po swojej lewej stronie.

- Proszę, przyłącz się do nas. Zaraz dostaniesz, co sobie zażyczyłeś, lecz ta młoda wieprzowina również jest wyśmienita. Robert usiadł i spojrzał z zakłopotaniem.

- Gdzie twój mąż, Claudio? Miałem nadzieję odnowić znajomość z nim.

- Ach, Robercie, Gervaise to jedyne, co mi dokucza - zbyła sprawę.

- Umówił się na dziś wieczór, bez porozumienia ze mną i uważał, że nie może odwołać tego spotkania. Ufam, że wybaczysz mu. Mamy jeszcze tyle wieczorów przed sobą.

Robert skinął głową przyjmując wyjaśnienie bez dalszych pytań. Nie

widział swej siostry od wielu lat i nie potrafił odgadnąć, że urywany śmiech i aż nadto swobodne zachowanie skrywają wielki niepokój jej umysłu.

- Cóż, może zatem innego dnia. Zapomniałem jak żyje się w Paryżu. Nie musisz się obawiać, bym miał chować do niego urazę - uśmiechnął się do kobiet i pochlebiło mu, gdy ujrzał szybką wymianę spojrzeń między nimi. Sądził, że wynikają one z troski o niego.

Wyjątek z listu markiza Chenu-Tourelle do markiza de Montalia;  
datowane 2 listopada 1743:

*(...) Gdy ujrzałem pańską córkę na przyjęciu w Hotelu Transylwania, urzekła mnie ona w jednej chwili. Miałem przyjemność być jej partnerem przez kilka tańców, przekonując się przy tym, że jej zachowanie i słodycz są cechami jej charakteru, a nie dodatkami jedynie do pięknego oblicza. Jej rozum wzbudza we mnie głęboki szacunek, a dobroć jej wypełnia mnie podziwem.*

*Jako że nie słyszałem, by ktoś inny złożył ofertę, ośmielam się zwrócić bezpośrednio do pana, by w angielskim stylu panu przekazać, iż byłoby największym szczęściem mojego życia, gdyby zechciał pan zaakceptować mnie jako swego zięcia. Mój majątek i pozycja są równe jej, a poza tymi atrybutami ofiarowuję również moje oddanie i gwarancję, która w oczywisty sposób wiąże się z uczuciem.*

*Niemniej nie oczekuję pańskiej jedynie aprobaty. Zanim cokolwiek zostanie ustalone, pragnąłbym spotkać się sam na sam z pańską córką, by dowiedzieć się, czy zechce ona znaleźć dla mnie miejsce w swym sercu. Moje uczucie dla niej nie dopuszcza możliwości, bym starał się o nią, bez jej akceptacji. Jeśli ta nie będzie mi dana, wówczas porzucę wszelkie o nią starania, by mogła sama dysponować tak swym sercem, jak i ręką. W związku z tym proponuję, iż przybędę w czwarty dzień tego miesiąca, by odbyć prywatną rozmowę z Madelaine. Jeśli pozwoli pan, markizie, zabiorę ją na przejażdżkę moim powozem, wraz z opiekunką, jeśli takie będzie pana życzenie. Mam nadzieję, iż wolna od skrępowania oficjalnością tej okazji, która zdecydować może o naszych losach, otworzy przede mną swe serce, nawet jeśli*

uczyni to tylko po to, by zaprzeczyć moim pragnieniom.

(...) Pozwolę przedstawić się panu jutro, na przyjęciu, które zostanie wydane wieczorem w rezydencji d'Argenlac. Może pan zechcieć zadać mi jakieś pytania, może pan odmówić moim zalotom. Wiem, że cokolwiek pan uczyni, będzie to dyktowane pańską troską o córkę, a nie względami materialnymi. Takie przymioty muszą być zawsze szanowane i pokazywane jako przykład w świecie, w którym tak często widzimy synów i córki sprzedawanych w małżeństwo jak owce.

Jest moim gorącym pragnieniem, by zechciał pan spojrzeć na mą prośbę z przychylnością. Z pewnością dobro pańskiej córki będzie dla pana wartością najwyższą, jak to jest i dla mnie. Błagam usilnie, by zostawił mi pan miłosierną nadzieję, przynajmniej do czasu, gdy będę mógł sam z nią porozmawiać i odkryć, co leży w jej sercu.

Z pełnymi uszanowania pozdrowieniami i serdecznymi wyrazami szacunku, mam honor być

Pańskim oddanym i pełnym nadziei

Samson Guilbert Egidę Nicole Herriot Yves, Markiz Chenu-Tourelle



## . 3 .

Drzwi rezydencji d'Argenlac stały otworem, z obu stron oskrzydłone przez lokajów czekających, by odebrać płaszcze, kapelusze i inne części garderoby od gości, którzy z wybiciem dziewiątej zaczęli przybywać lśniąącym potokiem. Wszystkie pokoje na parterze płonęły światłami, każdy kandelabr szczyił się długimi, białymi świecami. W każdym kącie stały wysokie świeczniki dodające wnętrzą blasku, wszystkie ścienne kinkiety błyskały radośnie.

Madelaine stała przy swojej ciotce w szeregu witających. Jej piękna twarz poróżowiała z podniecenia. Była w imponującej toalecie z platynowej lustry, której blask współzawodniczył z powodzeniem z miriadem świec. Naszyte klejnoty ukazywały rozfalowane morze, na powierzchni którego igrały trytony i nimfy. Głęboki stanik również był bogato zdobiony, zaś obrębienie podkreślało piękno szafirów i turmalinów jej kolii. Z rękawów, które sięgały do łokci, spływały trzy rzędy błękitnych koronek. Halka była z usztywnionego atłasu, wyszywanego drobnymi perłami. Włosy miała upudrowane, lecz prosto zaczesane, tak, by obramowywały dwoma małymi lokami jej twarz.

Obok niej Claudia we wspaniałej lawendowej sukni z trenem. W centrum stanika, obramowując linię sukni, naszyte zostały trzy duże kokardy, co było nawiązaniem do mody sprzed dwustu lat. Halkę miała z dopasowanych kolorem i wzorem koronek, w upudrowane włosy wplotła koronkową wstążkę. Same włosy uczesano w oparciu o sztywną siatkę z końskiego włosia, co skutecznie wspomagało kreację. Jej jedyną biżuterią były bransolety z wpasowanymi w złoto diamentami.

Markiz de Montalia założył na ten wieczór strój z pięknego, brunatnego aksamitu, który sobie zamówił, zaś wyłogi i szerokie mankiety wykonano z

brązowego atlasu. Na tle siostry i córki wyglądał niezwykle statecznie, lecz radość malująca się na jego twarzy kompensowała powagę stroju.

Goście napływali niemal tak samo licznie i gwałtownie, jak krople deszczu, które nieustannie padały z nieba. Do dziesiątej pokoje były pełne gwaru, a Claudia czuła się naprawdę zadowolona. Madelaine zwracała się właśnie do niej z cichym słówkiem, gdy umilkła na widok eleganckiej postaci, która pojawiła się w drzwiach.

- Saint-Germain! - zawołała z radością.

Odkłonił się, składając pocałunek na dłoni Madelaine.

- No, moja droga, naprawdę, pani widok zapiera mi dech w piersiach.

- Pan wygląda wspaniale! - odwzajemniła się rozpromieniona. - Te czarne ekierki, biegnące przez cały przód surduta, są bardzo ujmujące.

- Jest moim największym pragnieniem zadowolić cię, pani - wymamrotał, uśmiechając się w odpowiedzi na jej zuchwalstwo.

- No i podwójnie splecione podwiązki. To będzie, jak sędzę, ostatni krzyk mody. Wszyscy oszaleją - powiedziała, przyglądając mu się krytycznie od czarnych włosów ułożonych w upudrowane fale, po brokatowe czarne buty. Był bez skazy. Czarny chiński jedwab, z którego uszyty był jego surdut, ukazywał feniksa ulatującego z czarnych popiołów. Prawie tak samo długa, równie czarna kamizelka wyszyta była ciemnoczerwonym wzorem, opisującym alegoryczne polowanie na jednoroźca. Z tym wszystkim zadziwiająco harmonizowały podwójnie splecione srebrne podwiązki, zaś spinka, która przytrzymywała je pod lewym kolanem, lśniła jak żywa. Szerokie mankiety były wywinięte aż do łokcia, na czarnym aksamicie wyróżniały się srebrem obrębione ozdobne dziurki do guzików. Biały wielki żabot z najlepszych belgijskich koronek uzupełniony był znajomym rubinem przypiętym na szyi.

Jego ciemne oczy spoczęły na Madelaine zaledwie przez sekundę, tak, by tylko ona mogła odczytać skrywaną w nich namiętność. Saint-Germain skłonił się markizowi de Montalia.

- Jestem Saint-Germain. Bez wątpienia mam zaszczyt rozmawiać z Robertem de Montalia?

- Jestem nim, sir - ojciec Madelaine znajdował upodobanie w surowości ubioru hrabiego, lecz zastanawiające wydały mu się jego maniery.

- Miło mi jest spotkać pana. Tyle słyszałem już o panu od kontessy i pańskiej córki. To zaszczyt dla mnie poznać kogoś, kto jest tak wielką estymą darzony przez własną rodzinę.

Markiz spojrział cokolwiek zdziwiony.

- Jest pan zaiste uprzejmy, lecz nie potrafię pojąć, co pan chce przez to powiedzieć.

Saint-Germain westchnął w duchu. Robert de Montalia nie był w zasadzie głupcem. Brakowało mu jednak polotu i dociekliwości, która cechowała umysł jego córki. Nawet sposób, w jaki przyjmował komplementy skazony był melancholią.

- Może zauważył pan, że zwykle człowiek, nawet jeśli szanowany jest przez wszystkich wokoło, spotyka się z niezbyt ciepłym przyjęciem ze strony tych, z którymi żyje najbardziej. Lecz jest już tak, że to najbliżsi wiedzą o nas najwięcej i gdy oni wychwalają nas i kochają, wówczas najpełniej możemy powiedzieć o naszej prawdziwej wartości.

Robert de Montalia skłonił się lekko i zdecydował, że w Saint-Germainie nie ma nic złego. W oczywisty sposób można rozpoznać, że hrabia jest w średnim wieku, z pewnością cudzoziemiec o kosmopolitycznych ciągotkach i skłonnością do pobłażania Madelaine w ramach niewinnej zabawy.

- Nawet oni mogą mylić się od czasu do czasu - powiedział głośno - lecz zgadzam się, że ci nam najbliżsi są zwykle naszymi najsurowszymi krytykami, jak i najbardziej lojalnymi poplecznikami.

- To zbliża się niebezpiecznie do dysputy filozoficznej, a tego na moim przyjęciu nie będę tolerowała - wtrąciła Madelaine ze śmiechem. - Muszę stać jeszcze przy drzwiach przez najbliższe pół godziny. Potem będziemy tańczyć. Będę musiała poprosić Gervaise'a, by poprowadził mnie w

pierwszym tańcu. A kiedy będzie opera? - spytała Saint-Germaina.

Robert miał już upomnieć ją za niestosowne zachowanie, lecz Saint-Germain nie zaprotestował.

- Rozpocniemy ją z wybiciem północy, mademoiselle. Nie będziemy hańbić niedzieli tak: zwykłym przedstawieniem.

- Nie wiem, jał. dam radę tyle wyczekać - jej oczy rozjarzyły się.

- Naprawdę nic mi nie powiesz o tym dziele?

- Wątpię, by hrabia Saint-Germain był zachwycony twoim zuchwalstwem, Madelaine - odezwał się w końcu Robert. - Nawet siostry od świętej Urszuli, które były jej nauczycielkami i które mało na nią narzekały, nie oduczyły jej okazywanej niekiedy arogancji i umiłowania do groteski - wyjaśnił hrabiemu, tytułem przeproszenia.

- Gdybym kiedyś miał być ojcem - powiedział Saint-Germain z uśmiechem, który dorównywał uśmiechowi Roberta - to pragnąłbym, aby moje dziecko miało taką właśnie odwagę w sobie i taki rozum, jakie posiada Madelaine.

Robert de Montalia był już całkowicie uspokojony. Stwierdził ostatecznie, że względy, którymi Saint-Germain darzy Madelaine wynikają z jego bezdzietności.

- To trzeba jej przyznać - stwierdził i zwrócił się ku Claudii, w chwili, gdy następna postać pojawiła się w drzwiach.

Markiz de Montalia spojrział w szarawe, gadzie oczy, które przez jedną krótką chwilę odwzajemniły się drwiąco.

- Proszę o wybaczenie tak późnego przybycia, lecz zaproszenie pani męża dotarło do mnie dopiero podczas wieczornego posiłku - skłonił się nad ręką Claudii. - Oczarowany jestem, madame, przysięgam. - Całym sobą wyrażał pogardę. Jego strojny, złocisty surdut wyśmiewał się z nich. Wyśmiewały się weneckie koronki, którymi wymachiwał składając ukłon przed ojcem Madelaine. - Ufam, że nawet tak stary znajomy jak ja, może skorzystać ze sposobności, by odnowić zapomnianą przyjaźń.

Clauda rzuciła udręczone spojrzenie swemu bratu, który zbladł jak płótno.

- Mon baron - zająknęła się, usiłując zrozumieć, co też mogło skłonić jej męża, by zaprosić na to przyjęcie największego wroga Roberta.

- Nie musi mnie pani przedstawiać - powiedział swobodnie. - Widziałem już mademoiselle przy innych okazjach, chociaż nie przypominam sobie, żebym był jej formalnie przedstawiony. Jednak moje dawne związki z jej ojcem sprawiają, że dawno już czułem łączącą mnie z nią specyficzną więź - ujął dłoń Madelaine. - Pewien jestem; że poznamy się lepiej, nim ten rok przeminie.

- Niestety, wielu jest ludzi w Paryżu, baronie. Nie wiem, czy będę miała czas.

Tym razem nieuprzejmość córki nie skłoniła Roberta do upomnienia Madelaine. Stał nieruchomy, jak obrócony w marmur, z przerażeniem płonącym w lodowych oczach.

- A..., Saint-Germain... - Saint Sebastien zauważył hrabiego. - Słyszałem o pańskich drobnych niepowodzeniach w Hotelu Transylwania. Zaiste, dziwny to powód do pojedynku, lecz obcokrajowcy zawsze są dziwni.

Twarz Madelaine zbladła.

- A teraz - ciągnął melodyjnie baron - ten miody człowiek nie żyje. Ciekawe, jak to się mogło stać. Nie potrafię sobie wyobrazić, w jaki to niby sposób mógłby pan skorzystać na jego śmierci, a jednak... musi mi pan wybaczyć te spekulacje - udał zakłopotanie. - Tysięczne przeprosiny, kontesso. To nie jest właściwy temat na taką okazję. Tak świąteczną okazję. Mój tok rozumowania wyprzedził moje maniery - skłonił się, jak mógł najgłębiej i raz jeszcze spojrzął na Saint-Germaina. - Musi mi pan wybaczyć, hrabio, lecz wyznaję, iż zdziwiony byłem, gdy Beauvrai opisał mi ten pojedynek. Do tamtej chwili miałem o panu opinię zgoła inną, sądziłem, że nie jest pan skory bronić swego honoru.

Saint-Germain skłonił głowę.

- Oto dowód, jak można zostać zwiedzionym pozorami, mon baron - mruknął niedbale.

- Tak - zgodził się Saint Sebastien, cedząc słowo. Przytknął chusteczkę do nosa, jakby chciał stłumić niezdrowy odór, oczy zwęziły się dając świadectwo myślom, które kłębiły się niepokojąco. Potem, gdy wejście było już zupełnie ciche, odwrócił się i niespiesznie odszedł do sali balowej.

Cisza zalegała jeszcze przez kilka chwil i stała się niemal nie do zniesienia dla Roberta de Montalia, który z bladą twarzą przypatrywał się swojej siostrze.

- Co to ma znaczyć, Claudio? Jak śmiałaś zapraszać Saint Sebastiena? Wiesz przecież, że tego zabroniłem.

- Ja go nie zapraszałam! - krzyknęła niemal. - Uwierz mi, Robercie. To Gervaise go zaprosił. To nie był mój pomysł, nie miałam zamiaru...

- On jest złem! Niewyobrażalnym, wcielonym złem. Na samą myśl, że dotyka mej córki... Claudio, on hańbi nas wszystkich. On może zrobić wszystko... - gniew opadał tak szybko, jak się pojawił. Przygarbił się, ręce mu drżały. - Miłosierna Matko, co ja zrobiłem?

- Ależ nie jest tak źle - Madelaine przypadła do boku ojca, łzy napłynęły jej do oczu. - Nie możesz temu straszemu człowiekowi pozwolić, by zepsuł moje przyjęcie - popatrzyła z rozpaczą na Saint-Germaina. - Czy pomoże nam pan, hrabio? To przykre, widzieć mego ojca tak nieszczęśliwym.

Gdy wzrok Saint-Germaina spoczął na jej twarzy, był w nich jakiś niemożliwy do odczytania wyraz.

- Dobrze, Madelaine, jak sobie życzysz. Czy zechce pan przejść się ze mną, sir? - zwrócił się do markiza. - Muszę sprawdzić dekoracje na scenie i stanowiska dla muzyków. A może zechce pan przy okazji wysłuchać paru utworów?

- Dziękuję panu, lecz nie - powiedział markiz z oficjalną sztywnością. Zamiast przyjąć tę oczywistą odmowę, Saint-Germain uśmiechnął się uprzejmie.

- Ależ, de Montalia, proszę ze mną. Kiedy to znów będzie pan miał okazję usłyszeć wielkiego Ombrasalice na próbach? Jest tylko paru kastratów, którzy potrafią się z nim równać.

Robert de Montalia przystanął niepewnie, jakby chciał zerwać się do lotu. Wziął nagle Madelaine w ramiona.

- Nie wiesz, co kiedyś zrobiłem. Nie powinienem pozwolić ci tu przyjeżdżać. Wiedziałem o niebezpieczeństwie. Czemu na to zezwoliłem? Wiedziałem... Czy rozumiesz to, dziecko? Wiedziałem, nawet gdy przypuszczałem, że go nie ma. I Saint Sebastien też wiedział, bo po cóż by innego przebywał w Paryżu? Czemu on tu jest, po co, jeśli nie po ciebie?

Na twarzy Madelaine malował się i lęk, i gniew. Wyśliznęła się z ramion ojca.

- To nie czas ani miejsce! - powiedziała ostro. - Jeśli naprawdę znalazłam się w jakimś niebezpieczeństwie, to błagam cię, byś nie informował o tym wszystkich.

Zanim de Montalia zdążył powiedzieć coś więcej, Saint-Germain dotknął jego ramienia.

- Markizie, pańska córka ma całkowitą rację. Z pewnością to, co masz jej do powiedzenia może poczekać, aż znajdziecie się na osobności. W międzyczasie, czy mogę zaproponować panu odwiedzenie muzyków? Może jeśli powie mi pan, czego się obawia, to razem będziemy w stanie znaleźć rozwiązanie.

Pozwolił się odciągnąć od drzwi.

- Jest pan dyletantem. Nic pan nie wie o tym, co może się stać z moją córką - powiedział po drodze.

- A zatem miejmy nadzieję, że mnie pan oświeci. - Poprowadził markiza korytarzem do biblioteki, gdzie oczekiwali muzycy. - Niech pan zapomni na ten jeden wieczór o kłopotach. Jeśli nie dla pańskiego dobra, to dla dobra pańskiej córki. - Otworzył szeroko drzwi i został powitany przez kakofonię dźwięków, która urwała się nierówno, gdy zamknął drzwi.

Wysoki mężczyzna o łagodnych rysach i we wspaniałym stroju stał przy kominku i usilnie próbował się skoncentrować.

- Saint-Germain - powiedział głosem słodkim, niemal dokładnie chłopięcym.

- Dobry wieczór, Aurelio. Czy mogę mieć ten zaszczyt i przedstawić ci markizie Aurelia Ombrasalice? To jest markiz de Montalia, ojciec kobiety, na cześć której odbędzie się ten występ.

Wśród muzyków rozległ się pomruk, a kobieta, której brzydota czyniła ją oszałamiająco atrakcyjną, wystąpiła przed innymi i dygnęła.

- To madame Inez Montoya, która zaśpiewa dziś partię Persefony. Ufam, że temat Persefony i Boga Podziemnego Świata nie wyda się panu niewłaściwy.

- To nic przerażającego, prawda? - wykonał nieokreślony gest dłonią.

- Lecz rzecz jest o uprowadzeniu, prawda? - spojrzał wilkiem na Saint-Germaina. Hrabia przyjął to z czarującym uśmiechem i odpowiedział:

- Poproszę Ombrasalice, by zaśpiewał dla pana teraz, a jeśli znajdzie pan w tym cokolwiek, co by pana urażało, od razu usuniemy to z tekstu - odwrócił się szybko. - Aurelio, czy robi pan to dla mnie? Wiem, że został pan zaangażowany, by śpiewać tylko na przedstawieniu, lecz poczytałbym to sobie za zaszczyt.

- Zaśpiewam jedną arię. Tyle, że cicho - zgodził się z wdziękiem Aurelio.

- Dziękuję, przyjacielu. Przyjmę z wdzięcznością ten zaszczyt - Saint-Germain skinął na markiza, by usiadł. Cały dziewięcioosobowy zespół zestrajał instrumenty. Hrabia nie sądził, by Robert de Montalia był w stanie odczytać zawarte w arii przesłanie przeznaczone w zasadzie wyłącznie dla Madelaine. Zestroiwszy instrumenty muzycy spojrzeli pytająco na hrabiego.

- Ta aria, mon marquis - wyjaśnił Saint-Germain - jest dwuczęściowa. Largo, potem pasaż na smyczki i następujące po nim andante espressivo. Proszę, panowie.

Po niedługim wprowadzeniu w d-moll, które smyczki poprowadziły w



opadających triadach, kończąc dwoma akordami granymi pizzicato, Aurelio odstąpił od kominka i zaśpiewał mocnym, wysokim głosem:

W moim królestwie cieni  
Przez sionce nietkniętym, cierpiałem,  
Czemu nie wiedząc, ni skąd.  
Śmiech twój szaleństwem zieleni  
Porwał mnie; z nim wyleciałem  
Pod niebiosą, i stąd  
Persefono, jam zgubiony już jest przez tę miłość,  
Lecz ile miłość ma musi znieść!

Smyczki przeszły do tonacji durowej, przyspieszając jednocześnie. Saint-Germain obserwował pilnie ojca Madelaine i stwierdził, iż przesłanie pozostało nieodkryte. Przytaknął sobie w myślach, gdy Ombrasalice zaczęła drugą część:

W ciemności płonąc za twym blaskiem  
Ten ogień płoszy moją noc.  
Lecz choć on we mnie dla cię plonie,  
To nigdy go nie ujrzy nikt,  
I wiatr, co w każdej świata stronie  
Przegania czas, mi nie zwiastuje. Nie przyjdzie nikt.

Smyczki przyćmiły tę arię tęsknym powtórzeniem drugiego tematu, a potem ześliznęły się na koniec do tonacji minorowej. Aurelio spoglądał krytycznie na markiza.

- Wolałbym nie usuwać tej arii, markizie - powiedział, gdy muzycy skończyli grać. - Bardzo mi się podoba.

- Jest dość nieszablonowa - stwierdził w końcu Robert de Montalia. - Nie

jestem zaznajomiony z tą harmonią.

- Oparta jest na greckich pieśniach i poezji - Saint-Germain pomyślał o tych czasach, gdy flectki dawały w Atenach koncerty. - Opowieść pochodzi z antyku, sądziłem zatem, że to rozwiązanie będzie najlepsze. Lecz jeśli znajduje pan ten utwór zakłócającym pański spokój... - resztę zostawił niedopowiedzianą, robiąc wszystko, co możliwe, by zignorować wyraz gniewu malujący się na twarzy Ombrasalice.

- Nie, nie, nie widzę tu niczego, co mogłoby zaniepokoić Madelaine. To jest całkiem zgodne z wymogami dobrego smaku, i muszę powiedzieć- dodał szczerze - że pańska sztuka jest najbardziej pochlebającym podarunkiem. Pewien jestem, że Madelaine będzie prawdziwie i głęboko ukontentowana. - Wstał, zbierając się do wyjścia.

- Proszę zaczekać chwilę, markizie - wstrzymał go Saint-Germain. Wydał kilka ostatnich instrukcji muzykom, po czym wyszedł za markizem, starannie zamykając drzwi.

- Teraz, mon marquis, lepiej będzie, gdy powiem panu, iż orientuję się po części w naturze pańskiego kłopotliwego związku z Saint Sebastienem- uniósł dłoń, by powstrzymać protest. - Cokolwiek może się zdarzyć, pragnę, by uwierzył pan w moją dobrą wolę i uznał, iż jestem na pańskie rozkazy i to o dowolnym czasie. Markiz de Montalia' nabrał rezerwy.

- Dziękuję za troskę, hrabio, lecz nie wyobrażam sobie, by mógł w mojej rodzinie zaistnieć jakikolwiek problem wymagający ingerencji osób z zewnątrz.

- Oczywiście. - Doszli już niemal do sali balowej. Saint-Germain zatrzymał się, by spróbować zyskać zaufanie markiza. Gdyby jednak wypadki potoczyły się inaczej, to może wezwać mnie pan o każdej porze. Byłbym szczerze zobowiązany, gdyby pan o tym pamiętał.

Robert de Montalia poczuł kielkujący dreszcz niepokoju. Gdy przypomniał sobie nienawiść, jaką sam darzył Saint Sebastiena, przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

- Czy i pan ma z baronem sprawę do rozwiązania? Saint-Germain otworzył drzwi do sali balowej.

- Tak. Dług, który chciałbym spłacić.

- Rozumiem - przytaknął Robert de Montalia. - Będę pamiętał o pańskiej propozycji - skłonił się raz jeszcze i odszedł, niknąc w okazałym tłumie. Saint-Germain nie miał okazji rozmawiać z nim aż do końca przyjęcia.

- Wielki sukces, kontesso - powiedział kilka godzin później kłaniając się ponad dłonią gospodyni. Pomimo zaawansowanej pory jego strój był wciąż w nienagannym porządku, a puder nie opuścił miejsca na włosach.

- Jeśli tak było naprawdę - Claudia uśmiechnęła się gorąco - to panu należy się część z tych pochwał. Persefona była triumfem.

- Dziękuję, kontesso, lecz obawiam się, że to raczej mało znaczące dzieło

- powiedział to tak naturalnie i szczerze, że trudno było to wziąć za kokieterię.

- Dostarczyło nam wspaniałej zabawy. Madelaine była zachwycona.

- Naprawdę? - uśmiechnął się tajemniczo. - A zatem już zostałem hojnie nagrodzony.

- Obawiam się, że teraz urośnie ona aż za bardzo w mniemaniu o sobie - stwierdził markiz de Montalia, który usłyszał rozmowę, wchodząc do głównej sali. - Lecz przyznaję, że utwór był rzadkiej urody i zdołał dostarczyć nam pan sporej przyjemności.

- Powiem to muzykom, markizie. To ich umiejętności dodały muzyce życia - skinął na lokaja. - Czarny aksamitny płaszcz z czerwonymi zapinkami pod szyją.

- Pamiętam, hrabio. - Już po chwili był z okryciem, gotów pomóc Saint-Germainowi przy ubieraniu się.

- Nie, dziękuję. Poniosę go. Deszcz przestał na razie padać - wziął płaszcz.

- Czy może mi pan powiedzieć, czy Saint Sebastien już wyszedł? - spytał markiza. - Zdaje mi się, że nie widziałem go między gośćmi na Persefonie?

- Nie wiem - markiz de Montalia popatrzył wokół niepewnie.

- Saint Sebastien był niełaskaw - powiedziała z kwaśną miną Claudia- by wyjść zaraz po uwerturze. Wymawiał się nudą. Ku zdziwieniu wszystkich, Saint-Germain roześmiał się.

- Cóż, jest przynajmniej uczciwym krytykiem. Proszę cię bardzo, powiedz Madelaine, że zobaczę się z nią w umówionym czasie. Jak widziałem, wciąż jeszcze okupuje wraz z najwytrwalszymi salę balową. - Odwrócił się do markiza. - Zaś co do sprawy, o której mówiliśmy wcześniej, to niech mi pan uwierzy, de Montalia, że nigdy w życiu nie byłem bardziej szczerzy.

Nie czekał na odpowiedź, lecz zwawo ruszył ku drzwiom. Po chwili zagłębił się w noc.

Niecałą godzinę później Madelaine otworzyła okno na drugim piętrze rezydencji w odpowiedzi na łagodne pukanie i nieśmiałe drapanie na melodię, którą słyszała podczas przyjęcia; melodię opery.

- Saint-Germain? - wyszeptała, gdy zobaczyła mężczyznę, który siedział uczepiony na wąskim parapecie okna. - Jak ty...? To niebezpiecznie wysoko... - powstrzymała pytania, odstupując, by zrobić mu miejsce.

- Jakkolwiek to zrobiłeś, wejdź teraz do środka.

Szeleszcząc strojem, Saint-Germain wszedł do wnętrza. Przedłożył funkcjonalność ponad wytworność, zakładając tym razem kamizelkę ciemną, niemal brunatną, burgundzkie pantaloney i pończochy, jak i koszulę z naturalnego muślinu. Puder został wyszczotkowany z jego włosów związanych teraz prosto burgundzką kokardą. Ściągnął z drobnych dłoni austriackie rękawiczki i odłożył je na bok.

- Chłodno na zewnątrz.

- Usiądź przy ogniu - wskazała mu krzesło. Potem opadła na podłogę, obok niego. Nocna koszula z indyjskiego jedwabiu przywarła ciasno do ciała. Nie oparła się o niego, lecz podciągnęła kolana i ułożyła na nich podbródek.

Siedzieli tak, aż Saint-Germain dotknął lekko jej ramienia.

- Co cię martwi, kochana? Nie odpowiedziała od razu.

- Pojedykowałaś się. Mogłeś zostać zabity.

- Zabity? - Saint-Germain powstrzymał śmiech. - By mnie zabić, Madelaine, trzeba połamać mi kręgosłup. Zabić mnie może miecz, kołek, może ta nowość, kule. Wszystko, co miażdży kręgosłup. Jeden mojej krwi zginął kiedyś w Rzymie, gdy budynek zważył się na niego. No i ogień. Mogę spłonąć, jak wszystko, co żyje. Lecz pojedynek? Ten impulsywny, pechowy młodzieniec nawet mi nie zagroził - zapatrzył się w okno. - Szkoda tylko, że nie wiem, kto go zabił.

- Czemu? - spytała, wyczuwając jego niepokój.

- Bo wtedy, moja droga, wiedziałbym, kto chce mojej śmierci - umilkł nagle. - Oczywiście wiem, kto za tym stoi - dodał po chwili.

- Czy to dlatego nie ubrałaś się na czarno? - spojrzała na niego prowokująco. - Zauważyłam. Nie myśl, że nie mam oczu.

- Wiem, że jesteś spostrzegawcza - roześmiał się cicho. - I inni tak samo. Wiadomo, że hrabia Saint-Germain nosi tylko czernie i biele, i że ktoś w ciemnym brązie i burgundach to nie może być on. Nie pragnę, by plotki o naszej znajomości doszły do niepowołanych uszu.

Przechyliła głowę.

- Jeśli nie Saint-Germain, to kto mnie odwiedził? - w jej głosie krył się niepokój.

- Och, graf Tsarogy, jeśli ci się podoba. Używałem tego imienia w Schwalbach. Albo lord Weldon, tak kazałem na siebie mówić, jak pamiętam, w Lipsku i Mediolanie. Lub hrabia Soltikoff, którym byłem w Genui i Livorno. Mam oczywiście jeszcze inne imiona. Możesz wybrać najbardziej atrakcyjne.

- Przestań, Saint-Germain - pokręciła głowę. - Nie podoba mi się, gdy tak mówisz. Zaczynam obawiać się, że zmienisz się tak, jak zmieniasz swoje imię, a gdy nie będziesz już Saint-Germainem, zapomnisz o mnie - odwróciła się od niego. Widział teraz jedynie jej profil.

- Czy naprawdę tak sądzisz, Madelaine? - spytał z nagłym rozbawieniem i pogładził jej ciemne, lśniące włosy w miejscu, gdzie padał na nie blask ognia.

- Czy sądzisz, że kiedykolwiek mógłbym zapomnieć o tobie?

- Żyjesz od tak dawna - powiedziała smutno. - I będziesz żył jeszcze długo. Łatwo byłoby zbyć mnie... Opadł przy niej na jedno kolano, jak rycerz przed wasalem.

- Masz na to moje słowo, że cię nie zapomnę. Jesteśmy związani, ty i ja. Przysięgam, że nie zabawiam się twoim życiem - głos miał nieco chropawy, więcej było w tych słowach srogości, niż żaru.

Krew uderzyła jej do głowy. Nie mogła spojrzeć na niego. Przypomniała sobie lekturę Starego Testamentu i słowa o miłości tak strasznej, jak armia ze sztandarami. Wówczas nie zrozumiała tego.

- To nie jest tylko słodkie rozmarzenie, prawda Saint-Germain? Przez całe życie powtarzano mi, że namiętność jest prawem mężczyzny i tylko mężczyzny, a sprawą kobiety jest poddanie.

- A ty chcesz być zdobywczą? - przysunął się bliżej. Przytaknęła niepewnie.

- A potem zaczynam się bać i gadać od rzeczy... - zacisnęła dłonie - Widzę wkoło tyle pięknych kobiet, i gdy myślę o tym, jak długo żyjesz, to chciałabym je wszystkie przepędzić, byś nigdy mnie nie opuścił. Nie zniosłabym tego... - Rzuciła się na niego z piąstkami. - Wiem, że to nie ma sensu! Nie powstrzymał jej uderzeń.

- Zazdrosna jesteś! Nie musisz.

- Tak! Jestem czasem, gdy myślę, że mnie zapomnisz lub zmęczysz się mną. Odejdiesz, by być jakimś rosyjskim carem czy arabskim matematykiem. Mógłbyś to zrobić, prawda?

Korciło go, by się roześmiać, lecz nie zrobił tego. Ujął jej dłonie.

- Od czasu do czasu będę z pewnością wyjeżdżał. Wkrótce na przykład muszę udać się do Anglii. Dałem słowo Mer-Herbeux. Lecz zawsze będę wracał do ciebie. Nigdy cię nie opuszczę. W twoim czy w moim życiu. Miłość nie jest dla słabych, moja droga. Musisz zdobyć się na odwagę -jego ciemne oczy rozjarzyły się. - Jesteś krwią z mojej krwi, Madelaine. Nie mógłbym

opuścić cię tak, jak nie mogę przejść Sekwany bosą stopą. Nawet, gdyby krew nas nie wiązała, to i tak przysięgłbym ci miłość.

Madelaine uśmiechnęła się ciepło, chociaż nadal potrzasała z niedowierzaniem głową.

- Lecz dla ciebie krew jest częścią miłości, prawda? Zamilkł.

- To wszystko co mam - odezwał się po dłuższej chwili. - Odkąd stałem się wampirem, straciłem normalne zdolności. W większości przypadków zresztą nie żałuję. Lecz dla ciebie chciałbym być mężczyzną i kochać cię ze wszystkimi przyjemnościami ciała.

Uniosła się na kolana, przyciskając się do niego, pozwalając, by ją objął.

- To nie ma znaczenia - wyprzedzała jego wątpliwości. - Nie, nie przypominaj mi, że nigdy nie zaznam niczego z mężczyzną. Nawet gdybym miała tuzin kochanków, nie robiłoby mi to różnicy.

- Może - mruknął. Objął ją mocniej, gdy ucałowała jego lśniąco włosy.

Jej zmysły wyostrzyły się. Miała wrażenie, że na nowy sposób doznaje uścisku jego ramion, że czuje światło jego oczu, że odczuwa napiętność jego dłoni. Odetchnęła gwałtownie, jakby po raz pierwszy zasmakowała powietrza. Wiedziała, że on czeka, powstrzymując swe pragnienie, aż będzie mogła dzielić z nim rozkosz.

- Rozlecę się na kawałki z radości-mruknęła bez tchu. - Chcę, pragnę, głęboko... byś czuł, co robię - spojrzała prosto w jego twarz. - Nie pozwolisz mi posmakować twojej krwi?

- Nie niepokój się. Jeśli rozkosz może sprowadzić szaleństwo... - zdjął kamizelkę i sięgnął do guzików muślinowej koszuli. Pogłaskał jej szyję i ramiona, a potem ujął jej twarz w dłonie. - Jest późno, Madelaine. Krwawię dla ciebie.

- Tak, och, proszę, tak - odwróciła się i ułożyła na plecach na grubym białym dywanie przed kominkiem. W żyłach jej płynął ogień, nie krew, gdy jego usta szukały jej warg.

Wcześniej wydobył dla niej muzykę z klawesynu, teraz wyzwalał muzykę

z jej ciała. Z czułością w oczach zsuwał strój z okrągłości jej ramion, piersi, bioder, ud. Każde odsłonięte miejsce ubierał natychmiast w dotknięcia swych dłoni i warg. Każdym ruchem wydobywał z jej ciała najgłębszą harmonię.

Madelaine drżała, gdy jej ciało rozwarło się, by przyjąć jego rękę, by przyciskać się coraz bliżej do jego ust w nieustającej ekstazie. Jej nierozpoznane, nierozbudzone do tej chwili pragnienia, napływały fala za falą. Krzyknęła, gdy małe dłonie zbłądziły w nauce jej ciała.

Teraz on rozciągnął się obok niej i przytulił do siebie. Jego obecność, ujmujące poczucie bliskości, odgradzały ją od wszystkiego - nikłego ognia w kominku, pokoju, świata. W końcu jego usta przywarły do krągłości jej szyi. Odrzuciła głowę do tyłu i z uczuciem triumfu zacisnęła powieki, aż uniesienie, radość i namiętność przejęły nad nią kontrolę.

Tekst listu czarownika Le Grace do barona Clotaire de Saint Sebastiena; datowane 4 listopada 1743:

*Le Grace przesyła baronowi Saint Sebastien najgłębsze ukłony.*

*Posłuszny pańskim poleceniom i pełen chęci, by wypełnić pańskie rozkazy, poszukiwałem pilnie, mon cher baron, miejsca, gdzie skryli się pozostali członkowie Gildii. Mało się o nich dowiedziałem, lecz wiem, że nie opuścili oni Paryża, gdyż stary Valenaine z la rue de les Cinq Chats widział parę dni temu Anglika Sattina. Ktoś inny rozmawiał z czarownikiem o imieniu Domingo y Roxas, lecz nikt nie potrafił udzielić informacji co do miejsca ich pobytu. Valenaine sądzi, że mogli skryć się pod ochronę jakiegoś potężnego szlachcica, ale o tym to pan by 'wiedział.*

*Lecz jest jeszcze co innego, co mnie zaintrygowało, mon baron. Kazał mi pan odnaleźć księcia Rakoczego dla znanego mu sekretu produkcji diamentów. Dziwne wydaje mi się, że pytał mnie pan o niego, skoro nie dalej jak wczorajszej nocy sam pan z nim rozmawiał. Tuż po tym, gdy rozmawiałem z panem przed rezydencją d'Argenlac, kazał mi pan natychmiast się oddalić, i nie wiedziałem czemu, dopóki nie*



ujrzałem pana pogrążonego w rozmowie z Rakoczym. Wprawdzie ubrany był o wiele bogaciej, lecz to z pewnością ten sam człowiek. To nie tylko czarny strój podpowiedział mi, że to on. Nikt inny nie porusza się w ten sposób, nikt nie ma takich oczu.

Nie chcę być nieuprzejmy, mon baron. Bez wątplenia ma pan swoje powody, by kazać mi tracić czas na bezsensowny z definicji pościg. Jeśli sprawdzał mnie pan, to nie mogę pojąć co chciał pan przez to osiągnąć. Lecz jeśli jest to przebiegły fortel nastawiony na to, by zachować sekret klejnotów dla pana i pańskiego szlachetnego Kręgu, to ostrzegam pana, że rozniosę wiadomość o tym oszustwie. Dopóki nie zaoferuje mi pan powodu, bym tego nie czynił. Czekam.

Przybędę do pańskiej rezydencji dziś wieczorem i mam nadzieję przedyskutować z panem, mon baron, ową kwestię. Garść diamentów gwarantuje moje milczenie. Dwie garści - słowo, że wyniosę się razem z pańskim sekretem z Francji i to na zawsze, a pan będzie mógł kontynuować oszukiwanie niedoświadczonych głupców tak długo, jak długo się panu podoba. To zależy od pana.

Le Grace

## . 4 .

Markiz Chenu-Tourelle podał rękę Madelaine i odsunął się nieco, gdy wsiadała do jego najlepszego powozu. Potem skłonił się z szacunkiem i poczekał, aż dama Madelaine, Cassandre, podąży za swoją panią, uśmiechając się do markiza z wdzięcznością za okazywane jej względy.

- Jak już ci mówiłem - markiz odwrócił się do stangreta - nie musisz się spieszyć, Henri. Nie zajmie nam to zapewne więcej, niż godzinę. Dobrze by było, gdybyś łagodnie obchodził się z końmi - ujrzał, jak siedzący na koźle służący skinął głową, po czym również wsunął się do wnętrza wspaniałego pojazdu z wyrazem twarzy mającym zawierać w sobie szczerzy szacunek. - Jeśli jest pani gotowa, Madelaine, to ruszamy.

Madelaine wzruszyła lekko ramionami. Nie podobał się jej ten lalusiowaty dżentelmen z wysmakowanym do granic, pastelowym ubraniem tak bardzo kontrastującym z rozpustną twarzą.

- Kiedy pan zechce, markizie.

- Jak pani sobie życzy, mademoiselle - postukał laseczką z mętnego bursztynu w dach powozu (dobrana była tak, by podkreślić kolory stroju - bładny koral i bielone płótno). Stangret strzelił batem nad łbami zaprzęgu i powóz ruszył spod rezydencji d'Argenlac.

Był to wspaniały pojazd, z długimi jak łabędzie szyje sztabami utrzymującymi skórzane amortyzatory. Dzięki nim powóz kołysał się tylko lekko na największych nawet nierównościach, w które obfitowały paryskie ulice. Pudło pomalowane było ciemnooliwkową zielenią z akcentami czekoladowego brązu i złota. Na drzwiczkach widniał herb markiza - czerwona, ośnieżona wieża zakreślona czernią na gronostajowym polu. Prawa do tego herbu sięgały panowania Filipa Augusta.

Wnętrze wykończone było najlepszym aksamitem w barwie morskiej

zieleni i atłasem w odcieniu słomy. Drzwiczki dodatkowo wybito nitami. Komfortowy pojazd ciągniony był przez cztery starannie dobrane, bladociemnobrażowe konie, których grzywy i ogony ufarbowano na biało. Wszystkie wspaniale zbudowane, podobne gracją ruchów i siłą. Koń dyszlowy szedł w tradycyjnych kolorach stajni Chenu-Tourelle, czyli w zieleni i brązie.

- Pięknie, markizie - powiedziała Madelaine, gdy przez jakiś czas jechali w ciszy. W końcu doszła do wniosku, że markiz jest zbyt płaszcącym się typem, a powóz jest zbyt modny, i na dodatek te konie z pobielonymi grzywami i ogonami to szczyt sztuczności.

- Prawda? - zgodził się uprzejmie. - Cieszę się niezmiernie, jeśli się pani podoba.

- Nie widziałam nigdy czegoś tak wytwornego - powiedziała. Chenu-Tourelle obdarzył ją szerokim uśmiechem.

- Tak, tak, z pewnością. Bardzo chciałem, by było to coś najlepszego. Ośmielam się mieć nadzieję, że i inne moje marzenia mogą być zrealizowane-te ostatnie słowa, nie dość że dwuznaczne same w sobie, podkreślił tonem głosu i dyskretnym dotknięciem dłoni Madelaine.

Ta cofnęła rękę i zapatrzyła się w okno. Jej mina wskazywała dokładnie co sądzi o jego pomysle i miała zniechęcić markiza do ponownego nawiązywania rozmowy. Zatem to Madelaine przemówiła następna, gdy powóz przejechał już trochę.

- To zadziwiające, mieć tak mało czasu, a niewielką tylko jego część przeznaczać dla siebie. Pragnienia, nauka, nadzieja, wszystko to blednie wobec czasu. A na dodatek jesteśmy jeszcze rozrzutni i sporo z tego, co najcenniejsze tracimy by zabawiać innych naszym kosztem - powiedziała niby w próżnię.

- To szczerza prawda, mademoiselle - wtrącił się Chenu-Tourelle. - Często zauważałem, że nuda jest losem niepospolitych ludzi.

Wyrwana z zamyślenia Madelaine spojrzała na niego z irytacją.

- Słucham?

Biorąc to za zaproszenie do wygłoszenia swoich złotych myśli, markiz ciągnął:

- Taki już jest ten świat, mademoiselle, tak jest urządzone. Zabawa, rozrywka to coś, o co trzeba ciężko walczyć. Ile razy byłem zmuszony przyjąć zaproszenie tylko po to, by zadowolić moich przyjaciół, podczas gdy o wiele bardziej wolałbym oddać się, osobistym przyjemnościom.

Uśmiechnął się tytułem próby, mając nadzieję, że nie powiedział niczego, co mogłoby nią wstrząsnąć.

Madelaine wyglądała na zaniepokojoną, lecz nie tak, jak obawiał się tego Chenu-Tourelle.

- Och, wszyscy jesteśmy podobni! Nuda! Nuda! - zacisnęła leżące na kolanach dłonie w pięści. - Tu nie chodzi o przelotne przyjemności, tu chodzi o życie. Mam dziewiętnaście lat i wszystko, prócz małej części, zostało z tych lat zmarnowane. Za dziesięć lat...

- Mam nadzieję, że będę miał w tej sprawie coś do powiedzenia, mademoiselle - wtrącił się markiz, mimo iż zwrot Madelaine był retoryczny.

- ...za dziesięć lat - ciągnęła bezlitośnie - będę żoną uwiązaną dziećmi, pośród pustych dni...

- Nie, jeśli będą to dzieci takie, jak inne - zaśmiał się z cicha Chenu-Tourelle i znów sięgnął po jej dłoń. - Dzieci, oddanie mężowi, pociechy religii - czy to jest takie złe?

- Tak! - Madelaine zignorowała ostrzegawcze spojrzenie Cassandre.

- Jest jeszcze zdobywanie wiedzy, podróże, odkrycia. Gdybym czuła powołanie, zostałabym z Urszulankami i przynajmniej mogłabym się uczyć. Może i podróżować, zwiedzać inne kraje... Lecz nie miałam powołania, a mój ojciec nie jest dyplomatą - zastanowiła się. - Była ze mną w szkole pewna dziewczyna, nazywała się Ranegonde Chamlysse. Jej ojcem jest hrabia de Etendui. Mieszkała w tylu miejscach - Turcja, Rzym, Sztokholm. Raz była nawet w Rosji, o której mówiła, że to całkiem dziwny kraj. Wyjechała ze

szkoły razem z ojcem - do Indii. Siostry powiedziały, że to szalony pomysł brać ją tak daleko od kraju i rodziny, lecz ja, och, pojechałabym zaraz i zabiła każdego, kto próbowałby mnie zatrzymać. - Spojrzała markizowi w oczy i sprowokowała go, by zaprzeczył jej wzrokiem.

- Siostry miały całkowitą rację - markiz wyraźnie źle odczytał jej wzburzenie. - De Etendui był zawsze nieco dziwny i wszędzie zabierał ze sobą rodzinę. A pani, słysząc opowieści jego córki, wyobraża sobie wszystkie romantyczne przygody, mogące wyniknąć z takiego ryzyka. Widzi się pani otoczoną przez luksusy i podziwianą przez zaintrygowanych mężczyzn. Lecz jeśli wszystko to, co słyszałem, jest prawdą, to życie w tych obcych krajach nie jest tak wygodne.

- Jest pan wielkim głupcem - - powiedziała Madelaine spoglądając na niego oceniająco. - Po co mam dbać o komfort, skoro jest tyle do poznania?

- Zdaje mi się mademoiselle - powiedział markiz - że przyjemności zdobywania wiedzy są trudne do uzyskania w niecywilizowanych krajach. Lecz oczywiście, ty wiesz lepiej. Nie pozwól, bym cię nabierał.

Jego oficjalność nawet ją rozbawiła, łamiąc barierę. Oparła się o pufy i roześmiała.

- Już pozwoliłam, byś mnie zwodził. Prawdę mówiąc, mam zamiar być dobrą, jak życzy sobie lego mój ojciec. Powiedział mi, że pragnie mnie pan za żonę. To nie tak, markizie, to być nie może.

- To moja najśłodsza nadzieja - powiedział przez zęby Chenu-Tourelle.

- Nie - potrząsnęła głową. - Szybko stwierdziłby pan, że jestem nudna i wróciłby do hazardu i kochanek, a ja spotkałabym się ze zwykłym w takich przypadkach współczuciem. Jak wiele innych żon byłabym wyśmiewana. A czemu niby miałoby być inaczej? Taki jest, jak sam pan powiedział, ogólnie przyjęty zwyczaj.

To arbitralne podsumowanie nie ułagodziło markiza.

- Dobrze, mademoiselle. Skoro nie będziesz mnie chciała, to są jeszcze inni, którzy chcą ciebie, i to w mniej honorowych zamiarach - ujrzał

niedowierzenie w jej oczach i skrzywił się z satysfakcją. - Tak, nie myślała pani nigdy o tym, prawda? Możesz żałować tej zamiany, lecz zdarzają się losy nieporównanie gorsze. Mówi pani, że mnie nie przyjmie. Dobrze, mademoiselle - postukał laską w dach powozu.

- Co pan robi? - spytała Madelaine.

- Zmieniam dyspozycje. - Zawołał do stangreta: - Zmieniłem zamiar. Jedziemy do tego drugiego miejsca.

- Co to za miejsce? Dokąd mnie pan zabiera? Chenu-Tourelle uśmiechnął się nieprzyjemnie.

- Zabieram panią do tych, którym się pani przyda.

- Do kogo? - ścisnęła dłonie aż do białości. Strach wezbrał jej w sercu i zdawało się jej, że słyszy echo pościgu z Sans Desespoir.

- Baron Clotaire de Saint Sebastien i niektórzy jego przyjaciele obiecali mi pewną nagrodę, jeśli dostarczę im panią. Powiedziałem, że zrobię to, jeśli mi pani odmówi. Sama wybrała pani swój los, mademoiselle - rozluźniony skrzyżował nogi w kostkach i zaczął gładzić palcami kulkę laski.

Madelaine poczuła, że odwaga ją opuszcza.

- Nie sądziłam, że jest pan aż tak podły, markizie - wydusiła z siebie. - Lecz wciąż jesteśmy na ulicach Paryża. Jeśli zacznę krzyczeć, z pewnością zostanę uratowana. Zawieź mnie i moją damę z powrotem do domu mej ciotki, a dam ci słowo, że nie powiem niczego, by cię skompromitować. Ani teraz, ani później - było to świadome kłamstwo, ale myślała tylko o Saint-Germainie. Nawet wtedy, gdy to mówiła.

- Możesz czynić, co uważasz za słuszne, mademoiselle - szybkim ruchem wyciągnął ostrze z laski - lecz sądzę, że pewnych rzeczy nie zrobisz.

Madelaine zacisnęła wargi, czubek ostrza zakołysał się obok jej twarzy.

- Nic nie rób - powiedziała do Cassandre. - Myślę, że użyje tego tylko w ostateczności - poczuła dumę, że jej głos był opanowany. Założyła z namysłem ręce i przyjrzała się Chenu-Tourelle. - Czy mogę wiedzieć, czemu pan to robi? Jaką nagrodę panu zaproponowano?

Rozpaczliwie próbowała znaleźć jakikolwiek punkt zaczepienia.

Chenu-Tourelle zamachał znów ostrzem.

- Nie wiem, czy mogę to pani powiedzieć.

- A czy wie pan, czego może chcieć ode mnie Saint Sebastien? Nie zna mnie, prawie ze mną nie rozmawiał. Jest w nieprzyjaźni z moim ojcem...

- To była przyjaźń, mademoiselle. On ma do ciebie prawo, pani - sięgnął wolną ręką do obszernej kieszeni i wyciągnął flaszkę, którą zaraz wręczył Madelaine. - Uczyń mi tę uprzejmość i wypij to.

- Nie - oznajmiła Madelaine.

- Jeśli nie wypijesz, zabiję twoją damę. Teraz. - Cofnął ramię by zadać cios, ciesząc się przerażeniem, które pojawiło się na jej twarzy. - Wypij to wino, Madelaine.

- Nie musisz - powiedziała słabo Cassandre, lecz Madelaine wzięła już flaszkę i przytknęła ją do ust. Gdy skończyła, w jej oczach płonęła nienawiść.

- Kiepski rocznik, markizie.

- Do tych celów wystarczający. Nie potrwa długo, a narkotyk zacznie działać, ma belle.

- I tak będzie to za późno, jeśli chodzi o konieczność znoszenia pańskiego towarzystwa - uniosła dumnie głowę. - Wiedziałam, że nie mam z panem o czym gadać. Oszukał pan mojego ojca, prawda? A ja nie cierpię go rozczarowywać - zwróciła się ku Cassandre. - Nie rób scen, gdy zemdleję. Chenu-Tourelle zaplanował sobie to wszystko. Czy nie mamy szczęścia?

Gorzki sarkazm uderzył markiza, który mocniej ścisnął ostrze.

- Jeśli sądzisz, że osłabisz moje zdecydowanie...

- Co? Zwykle skrupuły mogłyby powstrzymać pana od odebrania nagrody?

- zdumiała się na przekór ochryplej mowie. - Nie uwierzę.

Markiz popatrzył na Madelaine z desperacją. Chciał, by ukazała mu się skruszona, by błagała o miłosierdzie, tak, by wzruszony, wstawił się za nią rycersko i uratował przed Saint Sebastienem, mimo żądań barona.

- Gdyby spytała pani ojca, to wiedziałaby, że nie czynię źle.

Zaniepokojona Cassandre spróbowała ocucić coraz bardziej senną Madelaine, rozcierając jej nadgarstki i przyciskając płótno do jej czoła. Ignorowała obraźliwe gesty nakazujące jej odsunąć się.

- Nie bój się, moja mała - wyszeptała, skrywając przerażenie.

- On nie ma do mnie prawa - powiedziała Madelaine powoli, aż nazbyt, wyraźnie wymawiając słowa.

Zachwycony sposobnością wstrząśnięcia dziewczyną markiz przeciągał chwilę. Śmiał się.

- To nie tak, Madelaine. Jest pewien dokument. Widziałem go. Twój ojciec podpisał go własną krwią. - Dotknął lekko ostrzem stanika jej sukni ukazując trochę zaokrąglonego ciała, lecz nie raniąc skóry. Spozrzegł, jak próbuje się odsunąć i od razu poczuł się lepiej. - Ten dokument, ma belle, darowuje ciębie Saint Sebastienowi. Byłaś jego zanim jeszcze się narodziłaś.

Narkotyk mącił jej myśli, lecz poczuła wypełniającą ją cierpką odrazę.

- Darowuje... mnie...? - Potem było już tylko dzwonienie w uszach, nie czuła drżącej ręki Cassandre na swej twarzy, ani nie widziała odprężonego uśmiechu Chenu-Tourelle przyglądającego się, jak popada w nieświadomość.

Tekst napisanej po angielsku notatki zostawionej przez czarownika Beverly Sattina księciu Franzowi Josefowi Rakoczemu w jego pokoju w Hotelu Transylvania; datowane 4 listopada 1743:

*Do Jego Wysokości, Księcia Franza Josefa Rakoczego z Transylwanii.*

*Beverly Sattin przesyła pełne szacunku pozdrowienia.*

*Z przykrością muszę powiadomić Waszą Wysokość, że zostaliśmy odkryci i to przez Le Grace. Pozwoliłem sobie poszukać pana, lecz okazało się, że nie ma pana w apartamentach. Wykorzystuję przynajmniej tę sposobność, by opisać panu okoliczności tego niefortunnego rozwoju wypadków.*



Domingo y Roxas był dzisiaj na la rue de le Cinq Chants, gdzie mieszkają ci, którzy zaopatrują nas w rzeczy potrzebne do wielkiego dzieła. Zazwyczaj jesteśmy jak najbardziej ostrożni, gdy wypuszczamy się na zewnątrz, lecz tego ranka Domingo, nie będąc uprzedzonym zdobył się na wyczyn, którego teraz całym sercem żałuje, i poszedł do sklepu Valenaire. będącego naszym zwykłym dostawcą, i poprosił go o dostarczenie nam pewnych soli i innych komponentów. Zdarzyło się, że gdy Valenaire zajęty był zamówieniem, do sklepu weszła jeszcze jedna osoba. Tą dziwną osobą (Domingo opisał jej niesamowity strój) mógł być (jak sądził Domingo) nawet jakiś zbiegły szaleniec, tak że przestraszył się z początku (Domingo).

Zamówienie złożone zostało po francusku i to takim tonem, że podejrzenia Dominga tylko się umocniły. Znalazł pretekst, by pozostać w sklepie, aż obcy zakupił parę komponentów do własnego użytku, a gdy on (znaczy, obcy), opuścił sklep, Domingo y Roxas poszedł za nim. Może pan sobie wyobrazić zdumienie jego (to znaczy, Dominga), gdy obcy skierował się wprost do Oberży pod Czerwonym Wilkiem. Tam, w szynku, zrzucił z siebie odzienie i Domingo ujrzał, że to był Le Grace!

Le Grace pozostał tam przez jakiś czas, popijając wino i zaklinając się, że znalazł w końcu sposób na pozyskanie bogactwa i bezpiecznego życia. Domingo y Roxas, który nie przerywał obserwacji czynionej przez małe, brudne okno przy kominie, słyszał, jak Le Grace chwalił się, iż Wielki Pan ma mu dać pieniądze i klejnoty, by kupić jego milczenie w pewnej nader szczególnej sprawie.

Widząc, że Le Grace jest już całkiem pijany, Domingo y Roxas pospieszył, by przekazać nam wiadomość o całym zdarzeniu.

Le Grace nie jest martwy, jak na to liczyliśmy. Pewnym jest, że zaszkodzi nam, jeśli tylko będzie mógł. Że zauważył Dominga, to pewne, gdyż nie ukrywał się on (znaczy, Domingo) wcale. Sam ton jego (czyli, Le Grace) głosu, wskazywał, że wie on o nas więcej, niż powinien. Nie odważymy się ignorować tego zagrożenia, które stanowi Le Grace.

Wasza Wysokość, pozwól się nakłonić do zachowania ostrożności. Ty, my, jesteśmy wszędzie w niebezpieczeństwie. Błagam cię, by przy pierwszej sposobności,

*jaka się panu nadarzy, uczynił nam zaszczyt i porozmawiał z nami sam na sam. Prosimy też pańskiego służącego, by ostrzegł pana zanim jeszcze pan to przeczyta. O dwunastej.*

*Pozostaję. Pańskim uniżonym sługą na skinienie,  
Beverly Sattin*

## . 5 .

]Saint Sebastien okrążał Le Grace ze szczególnie nieprzyjemnym wyrazem wyczernionych spod ciężkich powiek oczu. Przemawiał powoli, rozwlekłe, lecz na zwykle srogiej twarzy nie było śladu gniewu.

- Może - powiedział do Le Grace, który rozwalił się nieelegancko na okrytej brokatem sofie pod regałem - byłbyś na tyle dobry, by powiedzieć mi, Le Grace, co właściwie pragnąłeś przez to osiągnąć? - Ujął wymiętą kartkę papieru z niezdarnie wypisanym listem pełnym gróźb.

Le Grace potrząsnął głową, zapewne by zaprzeczyć, a może by pozbyć się oszołomienia wywołanego winem, którym tak szcudrze raczył się kilka godzin wcześniej. Potarł szczeciniasty podbródek.

- To... nie było... tak, baronie - wypowiedział niewyraźnie. - Pan mnie źle zro... zrozumiał.

- Nie wydaje mi się, Le Grace - powiedział słodko baron uderzając palcami w list. - Grozisz mi zdemaskowaniem. Nie - rzucił ostro, widząc, że Le Grace zamierza się podnieść - nie zaprzeczaj. Podsunąłeś mi ten nonsens o człowieku w czerni i bieli. Niemądrze wybrałeś obiekt. Nie sądzę, że będę tolerował oszustwo czy groźby.

- Lecz ja nie kłamię - na próżno protestował Le Grace.

- Przyznałbyś się lepiej do błędu, Le Grace - Saint Sebastien podszedł do sofy i ułożył dłoń na jej oparciu. Aksamit szlafroka Saint Sebastiena przejechał po policzku alchemika i ten przez chwilę bliski był krzyku. - Jeśli masz zamiar doprowadzić mnie do szału swoją głupotą, to ostrzegam, że to ci się nie uda.

- Powiedziałem panu, że to on jest tym mężczyzną! - Le Grace wykręcił się ku Saint Sebastienowi po to tylko, by stwierdzić, że spoczywająca dotąd na oparciu dłoń schwyciła jego kołnierz i mocno trzyma.

- Co mam zrobić, by cię przekonać, Le Grace? Nie mogę pozwolić przecież, byś nadal tak się zachowywał - w miarę jak Saint Sebastien z wolna skręcał dłoń, nacisk na krtań czarownika był coraz dokuczliwszy.

- Nie jestem cierpliwym człowiekiem, Le Grace. Ostrzegam, że głupim oporem tylko pogarszasz sprawę.

Twarz Le Grace przybrała niezdrowy wygląd. Jak oszalały starał się poluznić palcami kołnierz.

- Ale to on! - obstawał przy swoim, ciężko łapiąc powietrze. Saint Sebastien westchnął z rezygnacją.

- Dobrze, Le Grace. Skoro nie chcesz mi powiedzieć... - odstąpił, puszczając kołnierz.

Mile zdziwiony tym obrotem sprawy czarownik miał już się podnieść, gdy usłyszał za plecami spokojny, zniechęcony i lodowaty głos:

- Nie ruszaj się, Le Grace. Nie pozwalałem ci się ruszyć.

- Lecz z pewnością...

- Nie kazałem ci mówić - powiedział z ujmującym czarem, obchodząc sofę. - Nie skończyłem. Muszę prosić cię, byś został ze mną jeszcze chwilę.

- Między jego palcami, jak żywy, wił się długi, cienki bicz.

Le Grace poczuł, jak ogarnia go ziąb.

- Ach, baronie...

Skulił się na sofie próbując osłonić się przed uderzeniem, które jednak nie nastąpiło.

- Powiedziałem panu, że nie kłamię.

- Ale ja już ci nie wierzę. - Był coraz bliżej, wyciągał dłoń, rozkoszując się strachem wyzierającym z oczu czarownika i nagłym smrodem jego potu.

- Wiem. To nie moja wina, że nie wie pan nic o Rakoczym - coraz bardziej wciskał się w sofę.

- Biedny Le Grace - mruknął Saint Sebastien. - Nieudolnie kłamiesz. Jesteś głupcem, lecz możesz się jeszcze przydać. - Odstąpił, by mieć swobodę ruchu. Zamach był tak szybki, że czarownik nie spostrzegł, kiedy bicz spadł

na jego szczękę, przecinając ciało aż do kości.

Z krzykiem bólu, zaskoczenia i rozpacz Le Grace przycisnął dłoń do krwawiącej twarzy i rzucił się na swego dręczyciela.

- Dostałem ten bicz od człowieka, który był handlarzem niewolników - poinformował go uprzejmie Saint Sebastien oddalając się i wypatrując następnej sposobności. - Zrobiony jest ze skóry nosorożca, z jego pyty, mówiąc dokładnie. Oliwię go regularnie i naciągam, tak że tnie głębiej, niż stal. Też to stwierdziłeś, prawda? - bawił się ciężkim biczem, którego koniec podskakiwał na podłodze. - Gdy mi go ofiarowywał, nie obyło się bez demonstracji. Miał własnego niewolnika, oporną sztukę, i zabawiał się z nim popołudniami. Czasem wydaje się, że bicz wciąż jeszcze zaplamiony jest jego krwią - uniósł dłoń znowu, tym razem pozwalając rzemieniowi spaść na ramiona Le Grace.

Czarownik wrzasnął i spróbował potoczyć się gdzieś w bok. Nadaremnie. Bicz rozdarł skórę na plecach, a ból napędził zółci do ust.

- Nie! Nie! - chciał osłonić się przed następnym atakiem, lecz udało mu się jedynie przewrócić sofę.

Ciężki łomot padającego mebla spowodował, że drzwi do biblioteki otwarły się i stanął w nich Tite, służący Saint Sebastiena.

- Panie? - spytał z wyraźną troską.

- Nie, Tite, to nie ja mam kłopoty - Saint Sebastien wzruszył ramionami. - To ten biedak Le Grace. Weź go stąd i zadbaj, by opatrzone jego rany. Nie skończyłem z nim jeszcze. Nie odpowiedział na moje pytania - na twarz barona wystąpił rumieniec, łamiący się głos zdradzał podniecenie.

Mruczając coś pod nosem, Tite podszedł do skulonego na czworakach w kącie pokoju Le Grace, który jednym ramieniem nadal osłaniał się przed spodziewanymi uderzeniami. Jego twarz i grzbiet spływały teraz krwią. Skamłając, cofał się, pozostawiając na ścianie pasmo szkarłatu.

- Zabierz go do stajni. Wiesz, gdzie - Saint Sebastien odzyskał już trochę spokój i dobre maniere. Wytarł twarz ciężką jedwabną chustką i upuścił

rączkę bicia na podłogę. - Pamiętaj, że będę chciał rozmawiać z nim za godzinę.

Tite bez kłopotów schwycił przerażonego Le Grace.

- Stajnie. Jak pan sobie życzy. - Z niewzruszoną twarzą ruszył ku drzwiom, nie zwracając zupełnie uwagi na jęki, które towarzyszyły każdemu jego ruchowi.

- Tak, sądzę, że on będzie dla mnie. Krąg może zadowolić się innymi, lecz on będzie dla mnie - doprowadził do porządku swój żabot i rzucił Le Grace uszczęśliwiający uśmiech. - Możesz kłamać. Możesz mnie oszukiwać. To bez znaczenia. Możesz nawet umrzeć dla mnie, Le Grace - przesunął palcami po brzegu rany na twarzy czarownika. - Mówią, że obrażenia twarzy są najbardziej bolesne i ustępują tylko cierpieniom po utracie męskości. Sam się nad tym zastanawiam.

Czarownik był zbyt przerażony, by się odezwać.

- Wyjdź przez taras - rozkazał baron. - Lepiej, żeby reszta służby go nie widziała.

Tite przytaknął i skierował się do szerokich, przeszklonych drzwi, które zajmowały całą ścianę biblioteki. Na zewnątrz świat zasnuty był szarym welonem deszczu i zupełnie wyprany z kolorów. Gdy Tite otworzył drzwi, zimny podmuch wpadł do pokoju.

- Miejsce w stajni - powtórzył raz jeszcze i wyszedł w deszcz.

- A poranek był taki obiecujący - zrzędził Saint Sebastien, zamykając drzwi za Tite. Nie myśląc o niczym szczególnym, wpatrzył się w zapadające ciemności. Po twarzy błędził mu lekki, przewidyjący uśmieszek.

Z zamyślenia wyrwał go nagły turkot kół na wyłożonym kamieniami łuku podjazdu. Podniósł wzrok i uśmiech rozszerzył się. W zamglonym powietrzu dał się rozpoznać zarys powozu Chenu-Tourelle. Pełen nowych sił, jakby widok charakterystycznej karety go odrodził, Saint Sebastien cofnął się do biblioteki i zamknął za sobą przeszklone drzwi. Pociągnął za sznur, by wezwać lokaja.

Niemal natychmiast drzwi się otwarły i w bibliotece pojawił się młody lokaj w ciemnoniebieskiej liberii. Skłonił się z szacunkiem. Nie uniósł głowy, czekając na rozkazy.

- Wydaje mi się, że mamy towarzystwo, Maurice - hrabia był nadzwyczaj miły. - Chyba widziałem, jak przed chwilą przyjechał markiz Chenu-Tourelle. Ufam, że został powitany.

- Tak, panie. On i jego goście.

- Przybył z gośćmi? Wspaniale! - Saint Sebastien skinął głową, potem niedbale zamachał ręką. - Chcę, by posłaniec zaniósł wiadomość. Nie od razu. Tak, by znalazła się w rezydencji d'Argenlac nie wcześniej, niż o dziewiątej wieczorem, ale dam ci ją teraz. Potem mogę być zajęty.

- Wiadomość zostanie dostarczona zgodnie z pańską wolą.

- Oczywiście. Życie jest łatwiejsze, gdy oszczędza mi się komplikacji, prawda Maurice? - schylił się, by podnieść bicz. Pozwolił, by rzemień łagodnie przepłynął mu przez palce. - Nie, nie dzisiaj, Maurice. Dziś jestem zajęty. Lecz lepiej, żebyś o tym nie zapominał - musnął palcami koniuszek bicza i przyglądał się, jak Maurice blednie. Z westchnieniem zostawił tę rozrywkę i skierował się ku sekretarzykowi pod ścianą. - To potrwa tylko chwilę, Maurice. Potem zaprowadzisz mnie do gości. Gdzie ich umieściłeś?

- Jeden z nich -jąkał młodzieniec -jedna z nich... była w omdleniu... Lecz markiz... on... on... powiedział, by zanieść ją do gabinetu - ostatnie słowa zostały wypowiedziane w panicznym pośpiechu.

Saint Sebastien przerwał ostrzenie pióra.

- Mojego gabinetu. Dziwne. Czy jest z nimi ktoś jeszcze?

- Nie. Nie, markiz, młoda dama i jej towarzyszką, ciężko wystraszona starsza pani.

- Naprawdę? - powiedział z troską Saint Sebastien. - Co za pech. Będę musiał jakoś temu zaradzić. Zaraz się tym zajmę, lecz najpierw wiadomość - skończył ostrzyć pióro, wyjął kałamarz i dwa arkusze gładzonego papieru. Uśmiechnął się do wytłoczonego na kartkach herbu. Był to stary, od dawna

oficjalnie uznawany znak, który jego zasłużony wuj otrzymał w czasach, gdy Inkwizycja zniszczyła Zakon Templariuszy. Na pamiątkę tego zdarzenia tarcza herbu ukazywała srebrnik, którego gałęzie oznaczały alegoryczne postacie: na szczycie widniał kozioł usadowiony na tronie, niżej czaszka odwrócona na kształt pucharu, potem świeczka płonąca knotem w dół i korzeń mandragory. Na końcu zaś wysoki, grozę budzący kapelusz Inkwizycji.

Saint Sebastien z lubością przesunął wzrokiem po godle i zastanowił się, czy jego przodek, Inkwizytor, byłby zdziwiony, odkrywszy, że jego własny potomek zajmuje się heretyckimi, bluźnierczymi praktykami, które niegdyś tak rygorystycznie zwalczane były przez Święte Oficjum. Przypominając sobie niektóre spośród nabrzmiałych bólem zapisków, czynionych przez cnotliwych księży, opisujących przesłuchiwanie podejrzanych heretyków, odniósł wrażenie, że w drobiazgowych detalach tortur odnajduje przyćmione echo rozkoszy, której sam zaznał już wielokrotnie zadając cierpienia.

Wrócił myślami do Madelaine. Wiedział dokładnie, jaki będzie mógl z niej mieć pożytek. Cieszyło go przewidywanie cierpienia, jakie jej śmierć sprowadzi na Roberta de Montalia. Tak... To było naprawdę coś. Nie zamierzał powiedzieć Robertowi nic ponad fakt, że ma Madelaine w swej mocy, lecz zastanowiwszy się, doszedł do wniosku, że jeśli sprecyzuje swe intencje, to doprowadzi tym markiza do szału.

Spojrzał rozpalonymi oczyma na lokaja, który czekał z kamienną twarzą. Upewnił się, że jego sługa jest ledwo żywy z przerażenia i przysunął papier. Z szerokim uśmiechem zaczął pisać.

Tekst listu barona Clotaire de Saint Sebastiena do markiza de Montalia; dostarczone przez posłańca krótko po dziewiątej wieczorem 4 listopada 1743:



Do mojego kochanego, dawno nie widzianego przyjaciela, Roberta, markiza de Montalia.

Przesyłam ci pozdrowienia i życzenie pomyślności.

Jak smutno mi było, że nie wiedziałem wcześniej, iż zdecydujesz się jeszcze wrócić do Paryża. Gdy przypomnę sobie te godziny, które spędzaliśmy razem dwadzieścia lat temu, rozpacz ogarnia mnie na myśl, że mogłeś zapomnieć poinformować mnie o twej wizycie, tak bym mógł przygotować dla ciebie właściwą rozrywkę.

Lecz los mi sprzyja, Robercie. W końcu znalazłem sposób, by złożyć ci wyrazy szacunku tak, jak wymaga tego nasza wieloletnia przyjaźń i wszystkie uroczyste przysięgi, które przetrwały od naszego rozstania. Wynikające z naszej znajomości zobowiązania nie dają się łatwo zapomnieć. Robercie.

Wyobrażam sobie, jak przytulasz do serca nadzieję, iż córka twoja zostanie markizą Chenu-Tourelle. Bez wątpienia sądzisz, że jest ona w tej chwili na kolacji z nim i jego rodziną. Moim nad wyraz przykrym obowiązkiem jest poinformować cię, że sięgnąłem po moją własność, której tak bardzo nie kwapiłeś się mi oddać. Nie sądziłeś chyba, że ujdiesz temu zobowiązaniu. Szczególnie, że Madelaine jest tak bardzo podziwiana za jej maniery i tak czarująca. I mnie zachwyca tak samo, jak młodych mężczyzn. Trudno, żeby było inaczej. Jest tak wspaniała, kochana. Nadmienię, że trudno mi będzie doczekać cierpliwie dnia, kiedy złożymy ją w ofierze. Lecz do tego czasu, rzecz jasna, będzie ona służyć nam wszystkim, by w ten sposób przygotowywać się do zimowego przesilenia. Pewien jestem, mój drogi Robercie, że znajdę sposoby, by ją rozbawić. Tite, na przykład (pamiętasz mojego służącego?): wciąż największą przyjemność sprawia mu strach, który wzbudza, a wiem, że naprawdę potrafi być straszny. Oczywiście to ja pozbawię ją dziewictwa, lecz Tite będzie następny. Jak to widzisz? Ułatwi wszystkim sprawę, dobierając się do niej przed nimi. Nie znałem nigdy nikogo, kto długo opierałby się Tite.

Pomyśl tylko: twoja córka jako moja własność, na ołtarzu, związana, naga. Przez czterdzieści dni będzie zlegać tam co wieczór, Robercie, a każdego wieczoru będzie wykorzystywana. Gdy ja już skończę, zabawi się z nią Tite; będzie używał jej po swojemu, aż przymusi ją do swojej woli. Gdy to już się dokona, przystąpi do niej

reszta Kręgu, zaspokajając wszelkie przyjemności. Jest nas niewielu, lecz kilku bardzo tęskni za taką sposobnością.

Bez wątpienia pamiętasz wciąż upodobania Beauvrai. Ciekawe, co pomyśli o tym Madelaine, gdy trzech użyje jej na raz? Szkoda, że Beauvrai jest takim prostakiem, gdyż nie będę przez to w stanie powstrzymać jego namiętności, gdy przyjdzie jego czas. Poprosi zapewne de la Sept-Nuit do towarzystwa, gdyż Donatien na równi uwielbia prostactwo. Czy pamiętasz ten genialny wynalazek, nad którym pracował Beauvrai, ten, który pozwalał penetrować od przodu normalnie, ciałem, a od tyłu rozgrzanym Członkiem Diabla? Sporo nad tym przesiedziało przez ostatnich parę lat. Po reakcjach innych ofiar mogę przypuszczać, że jest to dość bolesne.

Do czasu, gdy wydrzemy z niej bijące serce, będzie sama pragnęła śmierci, Robercie. Będziemy bezczęścić ją na każdy znany nam sposób. Zrobimy wszystko, co podsunie nam nasza wyobraźnia, wyjąwszy zabicie jej. Zgwałcimy ją, pobijemy, zeszpecimy, poddamy torturom, tak by jej śmierć była mila Szatanowi.

Gdybyś dał nam ją od razu, wówczas nie zdarzyłoby się to. Zostałaby jedną z nas i mogłaby uczestniczyć w naszych uroczystościach, zamiast stać się ich ofiarą. Za jej upadek i śmierć nie możesz winić nikogo, prócz siebie. Pomyśl o tym, gdy ruszysz, by poszukiwać jej.

W tym cię zapewniam: znalazłem nowe miejsce, w którym Krąg może składać ofiary. Nikt nas nie będzie podejrzewał. Możesz dręczyć się tą myślą jak i świadomością, że przez cały czas twoje dziecko cierpi, by wzmocnić moją potęgę.

Nie wybaczam ci zdrady naszej przysięgi. Nie wybaczam ci, że zabrałeś moją własność. Nie wybaczam ci wychowania jej w klasztorze. Krótko mówiąc, nadal uważam cię winnym i uprzedzam cię, że gdy wraz z nowym rokiem Krąg zabierze się za ciebie, oznaczać to będzie twój koniec.

Pozwól, że ostrzegę cię jeszcze, iż żadna próba odnalezienia Madelaine nie ocali jej, a jeśli zdybiemy cię gdzieś w trakcie poszukiwań, oznaczać to będzie tylko, że umrzesz wcześniej. Dwie ofiary to zawsze lepsze od jednej. Proszę cię, byś rozważył to, zanim przystąpisz do jakichkolwiek daremnych prób ratowania córki, czy osobiście, czy poprzez ślanie petycji do Króla. Jego Majestat Ludwik XV może nie

zdążyć z rozkazami na czas, by uratować Madelaine. Na pierwszy znak, że rozpocząłeś takie działania, Madelaine umrze, mój przyjacielu.

Gdybyś znalazł kogoś dość nieroztropnego, by wesprzeć cię w poszukiwaniach, nie licz na jego powodzenie. Jest nas dość, by zadbać o dwudziestu lub więcej takich, jak ty. Każdy, kto będzie ci towarzyszył, naraża się na karę taką samą, jaką wymierzymy tobie. Czy nie dość stracić córkę? Po co jeszcze uśmiercać przyjaciół, Robercie?

Aż do czasu, gdy znów będziemy razem, a nastąpi to wcześniej czy później, pozostaję twoim.

Saint Sebastien

## . 6 .

Budząc się, Saint-Germain poczuł, że opanowują go złe przeczucia. Przeszukał oczami spartańską alkowę z zakonnym łóżem, na którym sypiał, jakby w gęstniejącym mroku chciał znaleźć przyczyny zaniepokojenia. Zmarszczył brwi i przyłożył dłonie do oczu. Zmarszczki pogłębiały się. Skinął głową, jakby samemu sobie dając sygnał. Szybkim ruchem ześliznął się na podłogę, zamiótł ciemną szatą z egipskiej bawełny i odsunął kotarę oddzielającą alkowę od reszty pokoju.

Był to ten sam pokój, do którego parę dni temu przyprowadził Madelaine. Przez chwilę wydało mu się, że widzi odbity na podłodze blask jej granatów i ją samą stojącą przy drzwiach, z twarzą wypełnioną tęsknotą. Uśmiechnął się do wspomnień, lecz zniknęły szybko, ustępując miejsca nowemu przyływowi niepokoju.

Jedyną płonąca na lichtarzu świecą Saint-Germain zapalił pozostałe. Pokój rozjaśnił się, lecz ciepło nie udzieliło się jego lokatorowi. Pociągnął za sznur, wciąż zastanawiając się niestrudzenie, co może być źródłem niepokoju. Musnął palcami astrolabium, jakby to ono mogło udzielić odpowiedzi.

- Panie? - Roger skłonił się zaraz po wejściu do pokoju.

- Hm? - odwrócił się Saint-Germain. - Zamknij drzwi, Rogerze. To, co mam do powiedzenia, nie jest przeznaczone dla zbyt wielu uszu.

Roger wykonał polecenie i czekał cierpliwie na dalsze instrukcje. Przez ramię przewieszony miał ręcznik, w drugiej ręce trzymał miednicę. Położył to wszystko i przypatrywał się Saint-Germainowi chodzącemu szybko po pokoju.

- Najpierw trzeba będzie się umyć - powiedział powoli hrabia, robiąc przystanek przy kominku. - Mycie, potem ubiór. Coś prostego, na przykład

płóciennie lub wełniane bryczesy, i tę koszulę, którą dostałem w Persji, tę z rosyjskimi haftami. Buty z szerokimi cholewami. Sprawdź, czy podeszwy i obcasy wypełnione są ziemią. Czuję, że będę tego potrzebował dziś w nocy.

- Jak pan każe.

- Przygotuj też mój łośiowy strój jeździecki. Wyjeżdżam zaraz, jak się ubiorę - przystanął, widząc notatkę pozostawioną przez Beverly Sattina na obramowaniu kominka. Rozłożył dwukrotnie zgiętą kartkę i przeczytał szybko z coraz bardziej mroczniejącą twarzą. - Le Grace widział Dominga - powiedział tytułem wyjaśnienia, paląc list.

- Kiedy?

- Rano. Sattin nie sądzi, by Le Grace znał obecną siedzibę Gildii, lecz niewielka to pociecha. Teraz, gdy Le Grace wie, że Gildia jest wciąż w Paryżu, znajdzie sposób, by ją wytropić, a to sprawi nam wszystkim wiele kłopotów. - Rozwiązał bawełnianą szatę. - To tyle na razie - powiedział, lecz zaraz zmienił zamiar. - Właściwie, to przyślij do mnie jeszcze Hercule. Chcę powiedzieć mu jeszcze parę słów zanim zacznę się myć.

Ukląkł, by rozniecić ogień w kominku. Zapatrzył się w płomienie. Uderzyła go ich żarłoczność. Wydało mu się, że dostrzega w nich Madelaine... Pochylił się, przypalając skraj szaty.

Drzwi otwarły się i do pokoju wszedł Hercule. Stał tuż za progiem. Nadal poruszał się niepewnie, lecz nie używał kuł.

- Panie? - lecz Saint-Germain wciąż nie odwracał się do niego.

- Hercule - hrabia nadal wpatrywał się w płomienie, robił wrażenie nieobecnego duchem. - Będę cię potrzebował, tak dzisiaj, jak i jutro.

- Co mam robić? - zawahał się, potem zamknął drzwi.

Szybkim, płynnym ruchem Saint-Germain otrzepał pył z rąk i wstał.

- W nocy będę potrzebował tylko berberysa, lecz na jutro muszę mieć powóz. Pokierujesz nim dla mnie?

- Nawet do piekła, panie, bylebym tylko mógł znów trzymać lejce.

- Może nam się trafić droga i tam - Saint-Germain był wciąż poważny.

- Proszę cię, zastanów się, zanim się zgodzisz. Obawiam się, że będzie to niebezpieczne. Jeśli mnie zawiedziesz, zginę. Lecz i ciebie może to spotkać.

- Proszę mi powiedzieć - spytał Hercule po namyśle - czy winien temu niebezpieczeństwu jest baron Saint Sebastien?

- Tak.

- Rozumiem - Hercule popatrzył pewnie w oczy hrabiego, a gdy przemówił, w jego słowach było twarde postanowienie. - Jeśli to Saint Sebastien, a ja mogę zrobić coś, by przyspieszyć jego porażkę, to nawet jeśli kosztować mnie to może życie i duszę, nie cofnę się. Poczuję się oszukany, jeśli odmówi mi pan zemsty.

Saint-Germain upewnił się, że dobrze wybrał.

- Będę potrzebował karete, Hercule. Ufam, że ją przygotowałeś. Weźmiesz ciężki zaprzęg, gdyż będziemy musieli jechać szybko i daleko.

- Ale dokąd?

- Skierujemy się do Anglii. Mój przyjaciel Mer-Herbeux prosił mnie o przekazanie szeregu wiadomości różnym ludziom w Londynie. Dyskretnie, rzecz jasna. Nikt nie powinien zauważyć mego nagłego odjazdu. A to pozwoli nam zrobić od razu dwie rzeczy.

- Kto pojedzie z panem? - spytał Hercule myśląc już o drodze do Calais.'

- Muszę zadbać o zmiany koni po drodze, a nie wiem, ile osób będzie jechać. Czy może pojedzie pan sam?

- Sędzę, że nie sam - powiedział powoli Saint-Germain. - W drugim powozie za nami, pojedzie Roger, lecz to nas nie dotyczy. Możliwe, że wezmę paru pracujących u nas czarowników. Lepiej, żeby tu nie zostawali.

Hercule przytaknął, wspominając zimne okrucieństwo Saint Sebastiena. Każdy, kto by tu został, znalazłby się w wielkim niebezpieczeństwie.

- Zatem zabieramy ich.

- Dobrze. Roger powie, gdzie powóz ma na nas czekać i o której godzinie. Wypełnisz dokładnie jego polecenia. Słuchaj go, jakbym to ja mówił. Uczulam cię - dopilnuj, by pod podłogą karety znalazła się świeża warstwa

ziemi. Odpowiednią ziemię znajdziesz w specjalnej skrzyni w stajni. Roger ci pokaże. Sprawdź to, zanim zabierzesz się za cokolwiek innego. To najważniejsze.

Zbity z tropu tym niezwykłym życzeniem nie ustał jednak w gorliwości.

- To najważniejsze. Zrobię jak pan każe.

- Nie wolno ci zawieść. To decyduje o mojej mocy - przyjazna ziemia, która dała mi życie. A będę potrzebował tej mocy, gdy przyjdzie do spotkania z Saint Sebastienem.

- Jak pan każe - skłonił się Hercule. - Wypełnię co do joty. - Chciał już wyjść i chociaż Saint-Germain zdawał się zupełnie o nim zapomnieć, wahał się, czy może uczynić to nie odprawiony.

- Hercule - powiedział hrabia w powietrze. - Lepiej będzie, gdy ostrzeżesz Sattina i jego przyjaciół. Muszą być w każdej chwili gotowi do drogi. W lochach pozostałych po starym klasztorze jest wejście do tunelu, który biegnie do rzeki. Mnisi używali go do ucieczki w razie ataku. Należy zejść pod trzecią kondygnację piwnic i znaleźć zapadkowe drzwi. Są w północno-zachodnim kącie piwnicy. Przejście zaprowadzi ich najpierw do starej kaplicy pogrzebowej. Tunel zaczyna się w krypcie obok kaplicy, w północnej ścianie. Cała ta rezydencja została wzniesiona na fundamentach klasztoru. Jeśli nie będą w stanie opuścić jej nie zauważeni, pozostanie im skorzystać z tunelu. W przeciwnym razie grozić nam będzie zdemaskowanie.

- A zatem to już niedługo?

- Nie wiem dokładnie, Hercule. Sądzę, że przed jutrzejszym zmierzchem będę wiedział, co i gdzie przyjdzie nam czynić. Jeśli do jutra, do zachodu słońca nie dostaniesz ode mnie żadnej wiadomości, to niezależnie od tego, co się stanie, bądź w gotowości. Nie zważaj na jakiegokolwiek inne polecenia. Powóz ma być gotowy, a konie zaprzężone. W powozie ma leżeć kilka grubych koców, gdyby było zimno.

- Czy będziemy potrzebowali forysiów?

- Jeden wystarczy. Tobie zostawiam znalezienie kogoś zaufanego. Zresztą,

pewnie masz już kogoś. Gdybym nie zjawił się pojutrze przed świtem, wówczas będziecie musieli uznać, że Saint Sebastien zwyciężył. W takim przypadku odnajdziecie w Chambord kardynała Fouteta. Powiecie mu, co wam wiadomo o Saint Sebastienie, o Beauvrai i innych. Powiedzcie o Mszy Miłosnej, którą odprawili nad ciałem Lucienne Cressie, i że przebywa ona w Bretanii, w zakonie de la Misericorde et la Justice de le Redemptour, gdzie wraca do zdrowia. Ona potwierdzi wszystko, każde wasze słowo. I, Hercule - dodał z powagą w głosie. - Nie pozwól, by ktokolwiek inny dostał te informacje. Gdybyś wpadł w ręce Saint Sebastiena, możesz być pewien swojej śmierci. Życie zbyt wielu ludzi zależy od twego milczenia - spojrzął na drzwi, które właśnie otwały się przed Rogerem. - O co chodzi?

- Kąpiel gotowa. Przygotowałem też buteleczkę święconej wody i hostię do cyborium. Może pan ich potrzebować.

- Dziękuję. Wkrótce tam przyjdę. - Raz jeszcze zwrócił się do Hercule. - Pamiętaj, co powiedziałem. Jeśli jesteś wierzący, wyspowiadać się jeszcze dzisiaj. Hercule zbladł nieco.

- Zajdę do St. Sulpice, to niedaleko stąd. Uwinę się w godzinę.

- Bon. Lecz nie mów księdzu więcej, niż trzeba. Nie możesz w spowiedzi napomknąć o Saint Sebastienie. Nie ujawniaj niczego ponad minimum.

- Oczyszczę się tylko z grzechów - obiecał Hercule i wykuśtykał z pokoju.

Roger milczał. Saint-Germain zapatrzył się w ogień, pieszcząc dłonią haft na wysokim kołnierzu.

- Nie pochwalasz mojego zaufania wobec Hercule.

- Nie.

- Tobie zaufałem kiedyś, chociaż wcale cię nie znałem.

- Z dobrym skutkiem.

- A nie wierzysz Hercule? - uniósł brwi. - Czemu?

- To służący panie. Zawsze był służącym Saint Sebastiena. Posłuszeństwo wobec niego jest jego naturą. Saint Sebastien okaleczył go, to prawda, ale nawyki nie zmieniają się tak łatwo. Jeśli stanie twarzą w twarz ze swym



byłym panem, może nie być w stanie mu się przeciwstawić.

- Może - powiedział Saint-Germain po namyśle. - Trudno powiedzieć. Sądzę, że mnie nie zdradzi. Jego nienawiść wygląda na dość żarliwą, by wypalić zeń wszystkie minione lata.

Roger przytaknął nieśmiało, lecz widać było, że nie został całkiem przekonany.

- Chodź - Saint-Germain lapidarnie zakończył rozmowę, przerywając swe zamyślenie wywołane wpatrywaniem się w tańczące płomienie. - Kąpiel, potem cyborium.

Roger odstąpił od drzwi, puszczając Saint-Germaina przodem.

Tekst listu l'Abbe Ponteneufa do markiza de Montalia; datowane 4 listopada 1743; zwrócony opatowi przez kontesse d'Argenlac 17 grudnia 1743:

*Mon cher cousin, pozdrawiam cię w imieniu Boga i Dziewicy.*

*Miałem nadzieję przyjąć twoją córkę dziś po południu, tak, byśmy mogli odbyć ową rozmowę, na którą tak bardzo nalegałeś. Bez wątpienia opanowała ją panieńska płochliwość i waha się ona teraz, czy rozmawiać ze mną na tak osobiste tematy pomimo, że jestem jej spowiednikiem. Twój list, który miałem szczęście przeczytać rano, a w którym informowałeś mnie o prośbie markiza Chenu-Tourelle, wyjaśnia wiele i mam nadzieję, że Madelaine zdaje sobie sprawę z zaszczytu uczynionego jej przez tego znakomitego dżentelmena.*

*Jest moim zamiarem wysłuchać jej spowiedzi w środę lub czwartek i przy tej okazji raz jeszcze spróbować zmienić jej zdanie o rozkoszach małżeństwa i słodkich obowiązkach żony. Przeczytała mój list tyjący owych spraw i powiedziała, że uważa go za pouczający.*

*Wspominałeś o jej wychowaniu i o szkole, i miło mi jest poinformować cię, iż jej myśli nadal owładnięte są wpojonymi wówczas wartościami. Lektury, które wybiera z historii godne są pochwały, chociaż nie zawsze wybiera pozycje właściwe dla oczu*

kobiety niezamężnej. Przyznać jednak trzeba, iż wiele z tego, co zdarzyło się w dziejach nie jest budującym przykładem dla dobrze urodzonych i troskliwie wychowanych. Powiedziała, że jak dotąd nie rozumie, skąd biorą się objawy współczucia, z którymi się spotyka i narzekania na brak szczęścia, sugerowane jej przez innych. Za to lektura książek historycznych daje jej nowe spojrzenie na ludzkość, i o ile przedtem nie pojmowała tego wcale, tak teraz widzi to w prawdziwszych kolorach.

Twoja troska o córkę jest jak najbardziej chwalebna, Robercie. Wiem, że twoje uczucia odegrały wielką rolę w uczynieniu jej wspaniałą młodą kobietą. Lecz to nie tylko jej dusza mnie obchodzi, ale i twoja. Ileż to razy namawiałem cię usilnie, byś przystąpił do spowiedzi, aby powtórnie zostać przyjętym na łono Kościoła Błogosławionej Matki. Jeśli myślisz o Madelaine i jej przyszłości, musisz myśleć też o sobie. Nie jest mądrym to odwlekanie momentu, gdy twoja dusza raz jeszcze weźmie udział w Świętej Komunii z Przybytkiem Miłosierdzia. Robercie pomyśl o wielkiej pustce, która cię otoczy, jeśli nie będziesz mógł uczestniczyć w ślubie twojej córki. Byłby to wstyd dla niej, gdybyś odmówił przyjęcia komunii razem z nią, szczególnie dotkliwy w tak radosnym czasie. Pomyśl o swoich wnukach, na które wcale tak długo nie będziesz musiał czekać. Będziesz chciał, by cieszyły się ochroną Kościoła i brały udział we wszystkich ceremoniach i obrządkach, które umożliwiają nam kontakt z Bogiem przez jego Świętych.

Najzarliwiej proszę cię, byś przystąpił do spowiedzi, mój kuzynie. Jest to ważne nie tylko dla mnie i dla twojej kochanej córki, lecz i dla ciebie jest to sprawa najwyższej życiowej wagi. To twoja dusza znajduje się w niebezpieczeństwie wiecznego potępienia. Nie zaprzeczysz przecież, iż wraz z wiekiem czas staje się coraz bardziej cenny i skłania do myślenia o śmiertelności i poprawy przed nadejściem Mrocznego Anioła.

Uwierz mi, modłę się za ciebie codziennie i błagam naszego Pana i Dziewicę, by natchnęli twoje serce i przywiedli do nas szczerze skruszonego. Nie dla ziemskiej chwały to robię, lecz dla zbawienia twojej duszy. W mniej tolerancyjnych czasach zostałbyś potraktowany o wiele bardziej surowo, a nawet dzisiaj, gdybyś mieszkał w

Hiszpanii, to szybko stwierdziłbyś, że twoje odepchnięcie czulej miłości Kościoła Triumfującego, postawiło by cię w bardzo nieprzyjemnej sytuacji. Co prawda, dni Torquemady już minęły, lecz Inkwizycja wciąż strzeże świętych zobowiązań Kościoła. Myśl o cierpieniach ciała w tym życiu przywołuje zwykle do rozsądku, chociaż napawa to lękiem i tak mniejszym, niż cierpienia piekielne. Nie sądz, że zdołasz przed tym uciec. Wykaż skruchę teraz i oszczędź sobie całej wieczności cierpienia.

Lecz dość już na ten temat. Póki co masz moje zapewnienie, że porozmawiam z twoją córką przy sposobności i nakłonię ją do uznania mężowskich życzeń za własne i uległości jego woli, do miłowania jego praw tak, jak w życiu religijnym wszyscy kochamy ten cep, który oczyszcza nas z naszych błędów.

Z pełnymi wiary wyrazami szacunku i modlitwą, pozostaję  
Twoim kuzynem krwi i bratem twoim, jako że Jego jesteśmy dziećmi,  
l'Abbe Ponteneuf, S. J.

## . 7 .

W gustownej jadalni w rezydencji d'Argenlac panowała cisza. Siedzący przy jednym końcu stołu Gervaise napoczął drugą butelkę Bordeaux i konsekwentnie ignorował turbota z wołowiny nadziewanej grzybkami i świeżego, przypieczonego na maśle homara. Ani to mięsne danie, ani dwie sałatki warzywne, jedna przyrządzona na sposób genueński, nie odciągnęły go od wina. Spojrzał krzywo na następne półmiski, czekające na bocznym stoliku, i westchnął,

- O co chodzi, Gervaise? - spytała nerwowo Claudia, spoglądając na brata, który siedział po jej prawej ręce.

- Nic, nic - ujął kieliszek za nóżkę tak, że światło przebijało przez wino.

- Pomyślałem o tym, że powinienem wyjść wkrótce. Wybiła dziewiąta, a ja jestem umówiony na dziesiątą z Lambeaugarenne. Wątpię, bym był w stanie skończyć z wami kolację. Z radością zostaniesz sama z Robertem. Pewien jestem, że poplotkujecie o rodzinie, a ty ponarzekasz sobie na mnie. Starczy ci tematów póki świece się wypalą, a mnie mało to obchodzi - miał już wstać niepewnie, gdy do jadalni wpadł bardzo wzburzony jeden z lokajów.

- Co jest?

- Jest... jest wiadomość, panie - lokaj z trudem wymawiał słowa.

- Posłaniec przyniósł...

- Przeczytam ją w żółtym salonie - z irytacją przypomniał sobie przegraną tego dnia sumę sześciu tysięcy ludwików. Z rozdrażnieniem pomyślał o swoim pechu. - To gęś powinna wygrać - mruknął, odtwarzając raz jeszcze przebieg wyścigu pomiędzy gęsią a zającem. - Gęś ma skrzydła.

- Kochany...? - spytała z niepokojem Claudia.

- Przepraszam pana - ośmielił się wtrącić lokaj - ale wiadomość jest nie do pana, hrabio, lecz do markiza de Montalia. Przestraszony Robert odwrócił

się gwałtownie.

- Do mnie? - przelotnie żywił nadzieję, że może Madelaine potrzebuje jego wsparcia w rezydencji Chenu-Tourelle, lecz myśl ta szybko zniknęła.

- Dziękuję. - Wyciągnął dłoń i poczekał, aż lokaj poda mu zapieczętowany list. Chciał położyć go przy talerzu, gdyż wydawało mu się nieuprzejmym czytać coś takiego przy jedzeniu.

- Nie, Robercie, proszę, przeczytaj - Claudia spojrzała na lokaja.

- Kto to przyniósł?

- Służący w niebieskiej liberii. Z czerwonymi akcentami. Nie znam tych kolorów.

Robert de Montalia nie miał wątpliwości. Ręce zaczęły mu się trząść, a twarz stała się blada jak kreda. Nawet Gervaise mruknął coś zaczepnie, pamiętając, ile to pechowe zaproszenie na wczorajsze przyjęcie spowodowało przekleństw na jego głowę.

- Wygląda na to, że to człowiek Saint Sebastiena - powiedział, by uprzedzić wszelkie oskarżenia, które mogły paść pod jego adresem.

- Tak - powiedział cicho Robert. - Pozwolisz? - zwrócił się do siostry, sięgając po zapieczętowane kartki. Jedno spojrzenie na sygnet odcisnięty w pieczęci upewniło go co do nadawcy. To Saint Sebastien! Złamał pieczęć i rozpostarł dwa arkusze papieru, czytając wolno, jakby przekładał treść z obcego języka.

- Ach, Święta Matko - powiedziała Claudia do siebie, widząc jak twarz Roberta zamienia się w maskę bóleści. - Czy to Madelaine?

- Tak - Robert zmiął obie kartki i odrzucił je z przekleństwem. Wstał, rozlewając przy tym kieliszek burgunda na jasny, adamaszkowy obrus.

- Saint Sebastien? - spytał zaintrygowany Gervaise. - Pojechała z Chenu-Tourelle. Co może mieć do niej Saint Sebastien?

- To mój wróg - Robert zazgrzytał zębami. - Porwał Madelaine. Mówi... nie ośmielę się tego powtórzyć.

- To jakaś pomyłka - po raz pierwszy Gervaise zastanowił się. Pociągnął

solidnie wina, wytarł dłonią usta. - Zastanów się, de Montalia. Znam Saint Sebastiena. Powiedział niedawno, że pragnie odnowić przyjaźń z tobą, przyjaźń sprzed dwudziestu lat. Poprosił zapewne Chenu-Tourelle, by przyjechał z dziewczyną do niego, a teraz chce, żebyś i ty się przyłączył. Owszem, jest trochę odpychający, lecz nie powinieneś się tym przejmować.

- Trochę odpychający? - Robert uniósł głos i zacisnął pięści. - On jest niebezpieczny. On jest złem! Píše mi o tym... w tym złośliwym liście, że zamierza złożyć ofiarę z mojej córki! - urwał nagle, widząc przerażenie, które pojawiło się w oczach Claudii.

- Ofiara? Co to za bzdura?

- To nie bzdura - powiedział ciężko Robert. - Saint Sebastien zamierza złożyć Madelaine ciałem i krwią w ofierze Szatanowi - zakrył oczy dłonią. - Muszę go powstrzymać!

Gervaise spróbował zakpić i prawie mu się udało.

- Szatanowi w ofierze? Ostatni raz coś takiego zdarzyło się, gdy Montespan była kochanką Króla Słońce. Policja położyła temu kres. Możecie być spokojni.

- Gervaise, przestań - poprosiła go Claudia.

- Nie, to się nie skończyło wtedy - powiedział Robert, z trudem wyrzucając z siebie słowa. - Przestało rzucać się w oczy, zeszło do podziemia, lecz się nie skończyło. A Saint Sebastien przewodzi teraz nowemu Kręgowi. Wiem. Wiem - powiedział głośniejszym głosem, powstrzymując Gervaise'a, który chciał coś wtrącić. - Wiem, bowiem kiedyś sam należałem do Kręgu. Wiem, że zrobi co przyrzekł, ponieważ darowałem mu ją zanim się jeszcze narodziła. - Głos mu się załamał, a łzy strugami popłynęły po twarzy. - Boże, wybac mi. Nie wiedziałem - łkał.

Claudia wstała i wzięła brata w ramiona. Ogarnęła wzrokiem zakłopotanych służących i chociaż sama zdenerwowana, opanowała się dość, by wydać kilka poleceń.

- Paulin, brandy dla markiza. Zaraz. Soussere, każ powiedzieć w stajni, by

zaprzęgali do wyścigowego powozu. Aigulle sprzątnij ze stołu i odnieś wszystko do kuchni. Powiedz szefowi, że właśnie doszły nas tragiczne wieści i nie jesteśmy w stanie docenić jego sztuki - odgarnęła Robertowi włosy z twarzy i spojrzała mu w oczy. - Znajdziemy ją - powiedziała z pewnością, której sama nie czuła. - Znajdziemy ją i przyprowadzimy ją tutaj całą i zdrową. Możesz zaraz jechać. Gervaise z tobą...

- Ale Lambeaugarenne... - zaprotestował Gervaise.

- Pewna jestem, że Everaud Lambeaugarenne może poczekać jeden wieczór, aby obdrzeć cię ze skóry, mój drogi - powiedziała opryskliwie.

- Poślesz mu przeprosiny.

- Ale to jakaś pomyłka!

- A zatem im szybciej zawieziesz Roberta do Saint Sebastiena, tym prędzej sprawa się wyjaśni i będziesz mógł udać się na spotkanie z Lambeaugarenne. - Spojrzała na Roberta. - Znajdziecie ją, kochany. Znajdziecie.

- Na rany Chrystusa... - wykrztusił markiz.

- Napiszę o pomoc, Robercie, napiszę petycję do Jego Majestatu. Dopilnuję, by zpstala natychmiast doręczona. Wyjaśnię wszystko. Gdy tylko dowie się o co chodzi, rozkaże aresztować Saint Sebastiena - Claudia starała się odwrócić myśli Roberta od złowrogich wizji opisanych w liście.

- Zniszczyłem twój obrus - mruknął, spoglądając na stół. - Nie chciałem...

- To nic. Chodź, Robercie. Jeśli zamierzasz wyjść w noc taką, jak ta, to musisz założyć surdut. Gervaise pojedzie z tobą. Jestem pewna, że wszystko będzie dobrze - mówiąc to, uwolniła się z ramion Roberta i powróciła do męża. - I ty powinienes się ubrać, Gervaise. W nocy będzie burza.

- No dobrze, dobrze - sarknął Gervaise. - Będę do twojej dyspozycji za kwadrans. Muszę napisać liścik do Lambeaugarenne. - Skłonił się i wezwał służącego.

Gdy wyszedł z pokoju, Claudia zwróciła całą swoją uwagę na brata.

- Gdzie ona jest?

- W rezydencji Saint Sebastiena zapewne. Stamtąd przyszedł list.

- Umilkł na chwilę. - Pisze, że zostanę zabity, jeśli spróbuję jej poszukać. Zginie też każdy, kto spróbuje mi pomagać. Nie będę miał pretensji, jeśli Gervaise nie zechce mi towarzyszyć.

- Mamy pozwolić ci pójść samemu między tych strasznych ludzi?

- Claudia nie była przekonana. - Gervaise zna niektórych spośród nich. Nie skrzywdzą go, Robercie. Wiedzą, że jest nadużywającym alkoholu hazardzistą. To dla nich żadna groźba. Ty owszem, ale ty nie jesteś znany w Paryżu, mało kto by zauważył, gdybyś zniknął. Gervaise to co innego. Gdyby przez kilka dni z rzędu nie pojawił się w Hotelu Transylwania czy Hotelu de Ville, połowa Paryża zaraz by o tym wiedziała. - Zawarte w tych słowach zgorzknienie powiedziało Robertowi więcej o jej stosunkach z mężem niż jakiegokolwiek wyjaśnienia.

- Bardzo jesteś nieszczęśliwa? - spytał ze smutkiem.

- Nie. Może trochę - poprawiła i dodała: - Skłonna jestem sądzić, że gdybyśmy mieli dzieci, byłoby inaczej. Mężczyzna pozbawiony spadkobierców nie jest przesadnie zainteresowany własną przyszłością. Ale - porzuciła nieproduktywne rozważania - sprawdza się jako towarzystwo w potrzebie. Jest w stanie ułożyć się z Saint Sebastienem. To może wymagać pieniędzy...

- Wątpię.

- ...lub innego rodzaju zapłaty. Lecz to się da zrobić. - Podeszła do marmurowego frontonu kominka. - Chciałabym ci jeszcze coś poradzić. Mam nadzieję, że tego nie zlekceważysz.

- Czyli?

- Wyślij lokaja do Saint-Germaina - widząc dezaprobatę na twarzy brata, dodała: - Wysłuchaj mnie, zanim odpowiesz. Saint-Germain nie jest Francuzem i jako taki jest niewrażliwy na skandale. Może na takiego nie wygląda, lecz wiem, że jest groźny w walce. Jego pojedynek w zeszłym tygodniu zadziwił połowę beau monde. Lubi Madelaine i wiem, że zechce ci



towarzyszyć.

Robert postarał się opanować, nim sztucznie spokojnym głosem zwrócił się do siostry:

- Dość poniżającym jest już prosić twego męża, by wikłał się w tę brudną sprawę. Nie zwrócę się do nikogo spoza naszej rodziny, a tym bardziej do obcokrajowca, niezależnie od tego, jak bardzo lubi on Madelaine. Nie pozwolę, by zetknął się z czymś, co musiałoby wzbudzić w nim obrzydzenie.

- Zwilżył wargi, jakby usuwał z nich ślad zatrutego napoju. - Muszę cię teraz opuścić, jeśli mam znaleźć się u Saint Sebastiena na czas. Módl się, by mi się udało, Claudio.

- Całym sercem, Robercie. - Opanowała łzy. Ze sporym wysiłkiem zmusiła się do pozostania przy kominku z twarzą ukazującą nie zmagające wątpliwościami skupienie. - Będę się modliła. Przywieź Madelaine jak szybko się da.

- Zrobię to - obiecał, wychodząc.

Teraz, gdy była już sama, wstrząsnął nią płacz. Czuła żal, raniący niemal tak samo jak fizyczny ból. Wiedziała, że płacz będzie długo jeszcze widać na jej twarzy i że cała wieczorowa koafiura będzie do niczego, lecz przestała się tym przejmować. Zatracona w rozpacz nie usłyszała powozu odjeżdżającego spod rezydencji. Nie usłyszała również, jak w dwadzieścia minut później zajechał samotny jeździec.

Z odrętwienia wyrwał ją dopiero dobrze znany głos.

- Kontesso, moja droga.

Uniosła pełną smutku twarz. W drzwiach stał Saint-Germain.

- Proszę o wybaczenie. Nie pozwoliłem lokajowi, by mnie zapowiedział. Bałem się, że mnie nie przyjmiesz. - Podszedł do niej. Ubrany był do jazdy konnej, w strój jeszcze bardziej surowy, niż zwykle.

- Ja... my... dostaliśmy niedawno złą wiadomość.

- Madelaine - stwierdził, nie pytając.

- Tak. Została... zatrzymana... A Robert pojechał ją przywieźć. On i

Gervaise... Będą żałowali, że cię nie spotkali.

- Wątpię - przysunął sobie krzesło i usiadł obok. - Gdyby Madelaine została po prostu zatrzymana, to wątpię, by trzeba było aż jej ojca i twojego męża, by przywieźć ją z powrotem. A ty, moja droga - dodał łagodniej - nie zalewałabyś się łzami. Powiedz mi co się stało.

- Robert nie chce...

- Jeśli twój nieznośny brat nie pragnie pomocy, to jest głupszy, niż myślałem - ujął rękę Claudii. - Uwierz mi, kochana, nie mieszałbym się, gdyby markiz był w stanie uratować ją sam. Ale to nie jest możliwe. Oni tam zdecydowani są zabić Madelaine, prawda? To Saint Sebastien i jego Krąg?

- Nie wiem - rozłożyła bezradnie ręce. - Robert dostał list...

- List? I wziął go ze sobą?

- Nie wiem... - podniosła zapłakane oczy, otrząsając się nieco z przygnębienia. - Nie. Gdzieś go rzucił. Powinien być... - spojrzała na podłogę. - Tam. Pod drugim świecznikiem.

Saint-Germain wstał i odszukał pognieciony papier. Wyprostował kartki. W miarę jak czytał, jego twarz stawała się coraz bardziej poważna. Gdy skończył, oddał list Claudii.

- Spal to - nakazał krótko. - Nie czytaj, tylko spal! - Przeszedł się po pokoju. Czerń jego oczu stała się bardziej intensywna.

Claudia posłusznie wsunęła list w płomień jednej ze świec stojących na obudowie kominka.

- Saint-Germain, czy to coś poważnego?

- Obawiam się, że tak - przystanął i spojrzał na nią uważnie - Saint Sebastien zamierza ją zabić. Ale dopiero na końcu.

- Ale z pewnością... - Claudia zakryła usta dłonią.

- Jeśli chcesz jej pomóc, musisz zrobić parę rzeczy.

Przytaknęła, stwierdzając nagle, że w słowach Saint-Germaina pojawiła się moc autorytetu. Zawsze był przekonujący i sugestywny w tym co robił, ale skłonna była sądzić, że to po prostu sztuczka związana ze

sposobem bycia. Teraz jednak ujrzała całą jego siłę, nie maskowaną fasadą uprzejmości, i wiedziała, że jest groźniejszym przeciwnikiem, niż kiedykolwiek przypuszczała.

- Słucham. Zrobię wszystko dla mojej bratanicy.

- Dobrze. Po pierwsze pošlesz wezwanie na la rue de Ecoule-Romain, do lekarza o nazwisku Andre Schoenbrun. Jest biegły jak nikt w sztuce leczenia, a przy tym bardzo dyskretny. Wykonuje co trzeba wedle życzenia i nie naraża na plotki.

- Sądzisz, że Madelaine może potrzebować lekarza?

- Najprawdopodobniej. Będzie też potrzebowała księdza. Kto jest jej spowiednikiem?

- L'Abbe Ponteneuf. To nasz kuzyn.

- Słyszałem jak o nim mówiła - Saint-Germain zmarszczył brwi. - Nie lubi go, podejrzewa, że rozpowiada co nie trzeba. Będziemy potrzebowali innego. Wybór zostawiam tobie. Najlepiej, żeby to był ktoś młody, odważny i umiejący milczeć. Musi być taki jeden w Paryżu.

- Ksiądz - powtórzyła jak echo Claudia. Saint-Germain w milczeniu zapinał płaszcz.

- Nie mogę zostać. Każda minuta zwiększa niebezpieczeństwo. Jeśli jest tak, jak mówisz, to znajdę ich razem z Madelaine w rezydencji Saint Sebastiena. Wrócimy razem przed północą. Gdyby jednak zdarzyło się inaczej, nie ujrzysz nas zapewne przed świtem. Gdyby żaden z nas nie wrócił do dziewiątej rano, zawiadom mojego służącego Rogera. On wie, co robić.

- Dobrze, zrobię tak - powiedziała głosem już pewniejszym. - Z Bogiem, Saint-Germain.

- Z Bogiem? - hrabia uniósł brwi. - Czemu nie? Potem drzwi się zamknęły i po chwili Claudia usłyszała tętent konia oddalającego się od rezydencji.

Tekst listu lekarza Andre Schoenbruna będącego odpowiedzią dla

kontessy d'Argenlac; datowane 5 listopada 1743:

*Lekarz Andre Schoenbrun z la rue de Ecoule-Romain przesyła kontessie cTArgenlac swe pełne szacunku pozdrowienia i pragnie poinformować ją, że otrzymał notatkę z życzeniem, by stawił się w rezydencji d'Argenlac najszybciej, jak może.*

*Lekarz ma zaszczyt przyjąć uprzejmą prośbę kontessy i stawi się osobiście na godzinę przed świtem. Do tego czasu pragnąłby otrzymać od kontessy nieco więcej informacji o naturze i objawach choroby czy chorób, z jakimi się spotka. Sztuka medyczna ma swoje wymagania i lekarz nie chciałby działać na ślepo.*

*W przypadku, gdyby złe przewidywania kontessy miały się sprawdzić, lekarz przyprowadzi pielęgniarkę, osobę o wielkim doświadczeniu jak najlepiej nadającą się, by czuwać nad ofiarą, o której wspominała kontessa. Często bywa tak, że to dusza cierpi bardziej niż ciało, niezależnie od tego, jak rozległe są obrażenia fizyczne. Już wielokrotnie lekarz miał okazję przekonać się, że człowiek jest w stanie umrzeć ze strachu lub rozpacz, których nie można leczyć tak samo, jak zwykle choroby. W rzeczy samej, lekarz uważa, że to umysł i dusza doprowadzają do apopleksji, gdyż wielokrotnie zauważał, że najbardziej podatni na nią są cholerycy. Inaczej wygląda to z kobietami. Spośród kobiet najbardziej podatne na apopleksję są te spokojne, łagodne i ciche. O ile mężczyźni do ataku apopleksji doprowadza nadmiar temperamentu, to kobiety jego brak. Lecz nie zamierza rozwijać spraw, które wcale kontessy nie muszą interesować. Prosi ją o wybaczenie swego zbytniego entuzjazmu wobec tematu i zapewnia kontessę, że pozostaje na jej usługi*

*Andre Schoenbrun, lekarz*

## . 8 .

Gdy zmysły jej wróciły, każdy dorzucił ciężar do ogólnego strachu Madelaine. Ręce i nogi jej zdrętwiały, a gdy spróbowała się poruszyć, poczuła liny krępujące nadgarstki i kostki. Leżała na zimnej, kamiennej powierzchni. W ustach jej zaschło; z umysłu wietrzały z wolna resztki narkotyku. Co takiego zrobiła pod jego wpływem, zastanawiała się, że trzeba było ją związać w tak niewygodny i zawstydzający sposób? Otworzyła oczy, lecz poczuła zaraz zawrót głowy i znów je zamknęła.

- Obudziłaś się zatem - powiedział pełen ogłady, lecz zniechęcony głos.  
- Ulżyło mi.

Poczuła jak czubkami palców i paznokciami przesuwa lekko po jej brzuchu.

- Jeśli zrobi pan to raz jeszcze, dostanę mdłości. Saint Sebastien zachichotał nieprzyjemnie.

- Nie powinnaś mi grozić. Jeszcze się przestraszę - znów dotknął jej ciała, tym razem przesuając palce po łuku żeber. - Jesteś wspaniale jędrna. To oznacza siłę i zdrowie - czubkiem języka oblizał wargi. - Nie - powiedział półgłosem do siebie. - Jeszcze nie teraz. Nie za wcześnie. Teraz to tylko złość, a musi być strach i rezygnacja, nim dojdziemy do czegoś więcej. Musi poznać poniżenie i ból.

Madelaine wiedziała, że powiedział to z rozmysłem, by ją przestraszyć. Uzbroidła się w odwagę przeciwko tym słowom, przetykając kulę, która urosła jej w gardle. Dyskretnie raz jeszcze spróbowała zluzować więzy, lecz stwierdziła, iż są aż nadto solidne.

- Moja droga - mruknął Saint Sebastien - gdy tak wyginasz swe ponętne ciało i wiercisz tak boleśnie, ledwo mogę oprzeć się twojemu urokowi - zamilkł na dość długo, by móc przeciągnąć paznokciami przez całe ciało, od

szy do zagłębienia między jej nogami. - Lecz jeszcze nie czas. Przedtem musimy zrobić parę innych rzeczy. - Zupełnie niespodziewanie uszczypnął ją w okolicy biodra, pod piersiami i w przedramię.

Oczy Madelaine zasły łzami, lecz zdławiła krzyk bólu i obrazy. Gdy była już pewna, że otworzy usta bez płaczu, powiedziała:

- Niech pana Bóg przeklnie.

Saint Sebastien rozciągnął usta w bezgłośnym śmiechu.

- Jesteś trochę niedoinformowana moja droga - powiedział uprzejmie.

- Twój ojciec powinien ci coś o tym powiedzieć.

- Nie! - krzyknęła, zamykając oczy przed spodziewanym uderzeniem.

- A więc wiesz coś o przysiędze? - spytał z namysłem baron. - Kto mógł ci to powiedzieć?

- Jakiej przysiędze? - Jej serce zdawało się zamierać w obecności Saint Sebastiena. Przeklinała siebie za tak zdecydowaną odmowę Chenu-Tourelle.

- Chodzi o ślubowanie, które on złożył wiele lat temu. Zanim się narodziłaś, moja droga. - Wpakował jej rękę między nogi i zabawiał się niedbale, raniąc delikatne tkanki. - Dał mi cię na własność, Madelaine - dla zaznaczenia wagi tych słów wepchnął brutalnie palce w głąb jej ciała i z uśmiechem przyglądał się, gdy krzycząc, szarpała się daremnie w więzach.

- Nie, jeszcze nie, moja droga. Poddaj się mojej woli. - Przesunął dłoń powodując nowy wstrząs bólu. - Nie dziś, lecz jutro pozbawię cię dziewictwa. Nie ja jeden cię wykorzystam. Wraz z mijającymi nocami nasza wyobraźnia będzie coraz bogatsza, a sposoby, w jakie będziemy cię używać, coraz bardziej urozmaicone. Ty naprawdę uważasz, że to jest bolesne?

- zachichotał bestialsko. - To tylko przedsmak, i to lichy, Madelaine. Pamiętaj o tym - odsunął się, zostawiając ją dyszącą, oblaną strugami zimnego potu i drżącą ze strachu.

- Na razie - ciągnął dalej w wielkopańskim geście - pozostaniesz tutaj. Ze mną. - Rozejrzał się po gabinecie, jakby to sam pokój miał dostarczyć mu przyjemności. - A w najciemniejszej godzinie nocy, która nadejdzie wraz z

wybiciem trzeciej, przyłączymy się do reszty.

- Reszty? - jej słowa były stłumione przerażeniem.

- Jest ich trochę. Znajdziesz tam parę znanych twarzy, Madelaine - przeszedł przez pokój, z satysfakcją obserwując, jak jej wzrok podąża za nim. - Ci, którzy pożądali cię, zostaną zaspokojeni. Ci, którzy tobą pogardzali, będą mieli sposobność to wyrazić. Najbliższe czterdzieści dni poświęcone będzie odbieraniu ci twego człowieczeństwa, moja droga. A gdy będziesz już niczym, umrzesz, by wzmocnić siłę Szatana, który uwielbia niszczenie - pociągnął za linkę dzwonka i niemal natychmiast w drzwiach pojawił się wysoki mężczyzna o ponurej twarzy i zachłannych oczach. Ubrany był w ciemnoniebieską liberię. - To Tite, mój służący. Będzie twoją strażą. Nie licz na to, że będzie miał jakieś względy dla twojej urody. Nie wzbudzisz w nim też litości. On czerpie przyjemność z zadawania bólu. Tite skłonił się, skupiając spojrzenie na nagiej Madelaine.

- Pięciu już przybyło - poinformował swego pana nie odwracając się od niej. - Kiedy ją dostanę?

- Jutrzejszej nocy, Tite. Po mnie. Będzie twoja przez resztę nocy.

- Mówił to, jakby zapowiadał dziecku, że da mu cukierka. - Przyprowadź innych. I jej damę. Z ukłonem, w którym była tak wyniosłość, jak i służalczość, Tite opuścił gabinet.

Przez chwilę Saint Sebastien stał przy drzwiach, potem podszedł do niedużej skrzyni, która stała pod przeciwległą ścianą. Podniósł wieko i wybrał ze środka kilka przedmiotów. Zamknął skrzynię i wrócił do Madelaine. Wokół ramienia owinięty miał bicz, w ręku trzymał coś, co wyglądało jak bambusowa miotełka. Przypatrzył się jej krytycznie.

- To chyba będzie najlepsze - powiedział. - W zasadzie nie narusza skóry.

Madelaine poczuła przypływ strachu, który udało się jej zwalczyć. Nie chciała dawać satysfakcji ujrzenia siebie załamanej. Marmurowy blat stołu wydawał się jej coraz zimniejszy.

- Dobrze - przyznał Saint Sebastien. - Szkoda by było, gdybyś poddała się

za wcześnie. Upór dodaje wdzięku późniejszemu upadkowi.

- Uderzył lekko bambusem po dłoni.

Drzwi znów się otworzyły i do gabinetu weszło pięciu mężczyzn. Madelaine rozpoznała ich i zdumienie odebrało jej oddech. Był tam de la Sept-Nuit z wyrazem lubieżnego wyczekiwania na twarzy; obok stał nerwowy i podniecony Chateaurouse; dalej Achille Cressie, który zaśmiał się pogardliwie do Madelaine, zanim nie wznowił rozmowy z de les Radeux. Ten ostatni przyszedł ze swoim wujem, baronem Beauvrai.

Chateaurouse podszedł spokojnie do stołu, na którym leżała Madelaine.

- Miło cię spotkać, mademoiselle - powiedział. - Nie masz pojęcia, jaką rozkoszą jest dla mnie ujrzeć cię w takim właśnie stanie.

- Wszyscy jesteście zachwyceni - zgodził się de la Sept-Nuit. - Nie wyobrażasz sobie pani, jak bardzo tęskniłem, by poznać cię lepiej. - Również podszedł do stołu i spojrzał na nią. - Przepiękna, przysięgam - stwierdził z wdziękiem.

Madelaine milczała. Rumieniec złości pokrył jej twarz i szyję.

Wstrząsający krzyk, który rozległ się od drzwi, odwrócił jej uwagę. Spojrzawszy, ujrzała Tite, który wciągał do pokoju Cassandre.

- Boże miłosierny i wszyscy święci - zawodziła starsza dama.

- Tite - zażądał bez namysłu Saint Sebastien. - Ucisz ją.

- Jak pan każe. - Tite opuścił masywną dłoń na kark Cassandre. Uderzenie było mocne. Wyczerpana przerażającymi wypadkami kobieta, osunęła się na podłogę bez najmniejszych oznak przytomności.

Wszyscy zebrali się teraz wokół stołu. Milcząc przygotowywali się do czekających ich zadań.

Nie musieli długo czekać.

- Sądzę, że powinniśmy ją obrócić - powiedział z rozmarzeniem Saint Sebastien. - To coś - wskazał na bambusową miotełkę - najlepsze efekty daje na pośladkach i udach. Ty, Donatien, chwycisz ją za ramiona, a pan, mon cher baron - skłonił się przy tym oficjalnie Beauvrai - jej stopy. Reszta może



zająć się rozwiązywaniem więzów i ponownym spętaniem, gdy będzie już leżała jak trzeba. Uważajcie przy tym, bo może zechcieć stawiać opór.

Achille spojrział z zaciekawieniem na bambusową miotełkę.

- Czy to grzebień?

- Z bólem serca muszę cię rozczarować, Achille, lecz przez najbliższych kilka dni nie będziemy używali grzebieni. A to przeznaczone jest na podeszwy stóp. No, teraz to zupełnie co innego. Czy mam pokazać wam jak to działa?

Madelaine wiała się, szarpała i próbowała gryźć, lecz szybko i sprawnie została związana twarzą w dół, z szeroko rozstawionymi nogami. Głowa zwisała jej poza krawędź blatu. Zacisnęła zęby, gdy Saint Sebastien zaczął ponownie wodzić po niej palcami, obiecując pozostałym, że też dostąpią tego przywileju po demonstracji.

- Używa się tego w ten sposób - uderzenia muszą być bardzo szybkie i lekkie, niewiele mocniejsze niż kłaśnięcia. Muszą być rytmiczne - mówił, stosując narzędzie na pośladkach dziewczyny. - Powiecie, że to nie boli. Poczekajcie. Za parę minut zobaczycie, jakim genialnym wynalazkiem jest ten chiński pejcz. Zawsze uważałem, że Chińczycy to zdolny naród.

Madelaine czuła już efekty działania bambusa. Krew napłynęła jej do pośladków, a skóra zaczynała puchnąć. Każde kolejne uderzenie było coraz bardziej bolesne.

- Widzicie? - spytał Saint Sebastien. - Jeszcze dziesięć minut, a skóra opuchnie jeszcze dwa razy tyle i sprawiać zacznie niewymowne cierpienie. Wtedy nawet kropla wody czy puch wywoła paroksyzm bólu.

- Doprowadzisz do tego? - spytał Beauvrai z nadzieją.

- Jeszcze nie teraz. Lecz z pewnością dojdzie do tego nim z nią skończymy. Pomyśl o posiadaniu jej całej tak obolałej. Musimy to zostawić na później.

Miał już kontynuować, gdy nagle z brzękiem szkła i trzaskiem łamanego drewna runęły drzwi prowadzące na taras i do pokoju wkroczyli Robert de

Montalia i Gervaise d'Argenlac. Resztki przeszkłonych drzwi trzeszczały im pod nogami.

- Stójcie! - krzyknął Robert de Montalia przykładając muszkiet do ramienia i mierząc pewnie w Saint Sebastiena.

Większość mężczyzn wokół stołu miała na tyle przyzwoitości, by poczuć się wstrząśniętymi, a Chateaurouse wyglądał na mocno przestraszonego. Tylko na Saint Sebastienie nie zrobiło to wrażenia, a nawet, sądząc po uśmiešku, który rozciągnął mu kąciki ust, był rozbawiony.

- Dobry wieczór - powiedział, gdy miał już pewność, że Robert de Montalia nie pociągnie od razu za spust. - Widzę, że postanowiłeś przyłączyć się do nas.

- Odsuńcie się od niej.

- Nie! - Skinął lekceważąco głową. - Twoja córka jest w moich rękach, Robercie. Tak jak mi to obiecałeś.

- Nie możesz tego zrobić! - rozpacz Roberta była bliska szaleństwa, a głos krzyku.

- Czemu niby? Bo chcesz zachować ten zaszczyt dla siebie? - Wskazał na swoich towarzyszy. - Pewien jestem, że ci dżentelmeni poczekają, jeśli takie właśnie jest twoje życzenie. Masz do niej prawo. Zaraz po mnie. - Uszczypnął opuchnięte pośladki Madelaine, a krzyk, który jej się wyrwał, przydał twarzy Roberta wyraz głębokiego cierpienia.

- Uwolnij ją, Clotaire - powiedział chrapliwie Robert. - Uwolnij ją, a ja zostanę. I nieważne, co wtedy zrobicie ani, na jak długo to rozciągniecie. Zostanę.

- Oczywiście, że zostaniesz - zgodził się uprzejmie Saint Sebastien. I dodał z rozbawieniem: - Nie sądzisz chyba, że pozwolę ci odejść? Czytałeś mój list, jak przypuszczam. Spośród wszystkich ludzi ty najlepiej powinieneś wiedzieć, że zawsze mówię co myślę.

Gervaise, który po drodze do rezydencji Saint Sebastiena wypił jeszcze w powozie sporą część butli wina, zebrał rozbiegane myśli i podszedł

niepewnie do stołu.

- Panie Boże od Ryb - wymamrotał. - Co robicie z Madelaine?

- Składamy ofiarę - Saint Sebastien odepchnął Gervaise'a jednym lekceważącym ruchem ręki. Ten nie dał za wygraną. Gotów był wszcząć pijacką burdę.

- Nie możecie złożyć szlachcianki w ofierze. Nie uchodzi. A swoją drogą, komu ją poświęcacie? Tyle możecie mi powiedzieć.

- Mocy - warknął Saint Sebastien, podnosząc znowu rękę. - Niezbyt mądrze wybierasz sobie sprzymierzeńców, Robercie.

- A niech cię cholera, ty złośliwy sukinsynu - rozdarł się Gervaise zataczając się w kierunku stołu. - Nie będziesz wiązał damy wysokiego urodzenia i bił ją dla zabawy. - Spojrzał na pozostałych. - Coś tu jest cholernie nie w porządku - powiedział powoli.

- Nie należę do cierpliwych, Robercie - Saint Sebastien zupełnie zignorował Gervaise'a. - Im dłużej będziesz przeciągał ten melodramat, tym mniej będę miał dla ciebie miłosierdzia.

- Odsuńcie się od mojej córki. - Głos Roberta był lodowaty.

- Nie mamy zamiaru - Saint Sebastien nie zwrócił uwagi na jego rozkaz.

- Tite, jeśli ten głupiec mnie zastrzeli, zabijesz go w sposób, jaki uznasz za stosowny. Z pomocą przyjaciół - skinął, by służący odsunął się z linii ognia.

- Zabijanie - stwierdził Gervaise, chociaż najwyraźniej nikt go nie słuchał - to sprawa sądów. Potrzebny nam jest ktoś z magistratu.

- Odtoczył się od stołu i przez potłuczone szkło skierował się ku rozbitym drzwiom. - Przytrzymaj ich, Robercie, a ja przed upływem godziny wrócę z policją, jeśli kogoś znajdę... Gdzieś powinien być cho... Saint Sebastien odwinął bat z ramienia.

- Odsuńcie się, panowie - powiedział i w chwilę później bat, niczym żywa, drapieżna istota, owinał się ciasno wkoło szyi Gervaise'a tuż ponad żabotem. Gervaise wydał głos, jakby nagle dostał czkawki, gdy krew trysnęła z przeciętej skóry. Saint Sebastien poluźnił uchwyt bicia, jak gdyby bawił się

z rybą na wędce, następnie pociągnął gwałtownie. W pokoju rozległ się suchy trzask, przypominający pęknięcie konaru drzewa. W niesamowity sposób, jak marionetka, której odcięto sznurki, Gervaise opadł nieruchomo na podłogę.

Przez chwilę w gabinecie panował martwy bezruch.

- Ty potworze - równo z krzykiem Robert wycelował muszkiet. Saint Sebastien błyskawicznie uwolnił bicz. Rozległ się rozdzierający huk; muszkiet wystrzelił w tej samej chwili, gdy bicz wyrwał go Robertowi z ręki i odrzucił na gablotę z antycznymi instrumentami muzycznymi.

- Przytrzymaj go, Tite - rozkazał Saint Sebastien zwijając śmiercionośny bicz.

- Tak, panie - Tite zbliżył się do Roberta. Madelaine, gdy to ujrzała, jęknęła boleśnie.

Markiz de Montalia cofnął się przed Tite dobywając szpady, która dotąd była skryta w pochwie pod płaszczem. Z krzykiem rzucił się naprzód, wbijając szpadę do połowy gardy w pierś Tite.

Ten zawył i złapał najpierw za szpadę, potem wyciągnął rękę ku Robertowi. Wielkie, poplamione krwią ręce uderzyły markiza w twarz. Zaraz potem Tite runął prosto na ciało Gervaise.

Robert zachwiał się, lecz nie upadł. Uderzenie Tite było słabe, inaczej zostałby ogłuszony. Pośliznął się tylko na szkle i opadł na kolano by przyjść do siebie.

- Niezmiernie zabawne - powiedział powoli Saint Sebastien. - Co zamierzasz w ten sposób udowodnić, Robercie? - zbliżył się do markiza. W dłoniach wciąż trzymał bat, palce bawiły się rzemieniem. - Nie sądziłeś chyba, że uda ci się mnie powstrzymać?

- Nie wiem. - Gdy wypadali z domu Claudii wszystko to wydawało się być łatwe. Przepelniony był siłą męstwa i miłości, przeciw występкови i degeneracji. Po przybyciu do rezydencji Saint Sebastiena wszystko miało polegać jedynie na powstrzymaniu barona, dopóki Madelaine nie zostanie

zabrana w bezpieczne miejsce. Teraz wiedział, jak bezsensowna była ta prostota zamiarów.

- Biedny, prawomyślny Robert - baron wskazał na pozostałych obecnych w pokoju. - Ale widzisz, mam ją, a teraz mam i ciebie, mon cher Robert. Przypuszczam, że powiedzieliście wdowie po Gervaise gdzie jedziecie? Widzę, że nie muszę pytać. To trochę kłopotliwe. - Obrócił się do członków Kręgu. - Niech jeden z was zabierze go do stajni, tam gdzie jest już Le Grace. Mam nadzieję, Achille, że znajdziesz sposób, by zabawić naszego gościa, aż zdecyduję co z nim zrobić.

- To bardzo atrakcyjny mężczyzna - oczy Achille pojaśniały. - Daj mi tylko dość czasu. - Robert zrozumiał o co chodzi i wzdrygnął się. - Nie ma ochoty - Achille był zachwycony. - Zmieni zdanie, gdy się do niego dobiore.

- Z pewnością - zgodził się baron i pchnął Roberta w kierunku Achille.

- Lecz upewnij się, czy jest dobrze związany. Mógł zostawić jeszcze dla nas jakieś niespodzianki.

Achille z chichotem podszedł bliżej.

- Czy jesteś pewien, że nie chcesz, bym zaopiekował się nim tutaj, na oczach jego córki?

- Może później. Ale nie teraz. - Podszedł do skrzyni i wyciągnął dwa splecione rzemienie. - Proszę. Skrępuj go tym. Nie stawiaj oporu, mon cher Robert, bo tylko dodasz cierpień swojej córce. - Począł, aż Achille zwiąże markizowi ręce z tyłu. - Nie zamierzałem wychodzić stąd przed świtem, ale może lepiej będzie, jeśli udamy się do kaplicy jeszcze tej nocy.

- To ile mam czasu? - Achille zrobił kwaśną minę.

- Z godzinę. Nie więcej. Mam tu jeszcze coś do skończenia - mimochodem przesunął wzrokiem po Madelaine. - Nie wyczerpaliśmy jeszcze wszystkich możliwości.

- Niech będzie - Achille popchnął Roberta ku drzwiom gabinetu.

- Mam nóż, markizie. I wiem jak go użyć, by cię bolało - chichocząc, wypchnął Roberta z pokoju i wyszedł za nim.

- Dokąd pójdziemy, Clotaire? Nie muszę ci mówić, że nie lubię gdy nam się przeszkadza.

- Ani ja, Beauvrai. Oto dlaczego idziemy do kaplicy. To jedna z ukrytych kaplic, które La Yoison przygotował dla markizy de Montespan, gdy ta praktykowała Sztukę. Policja odnalazła tylko jedną, ale było ich więcej. Ta jest najbliżej i ma najlepszą lokalizację. -Wrócił do stołu i spojrzał na Madelaine.

- Zabierzemy ją do powozu. Reszta pojedzie za nami wierzchem.

- Ale, Saint Sebastien - zaprotestował de la Sept-Nuit. - Obiecał mi pan, że będę mógł spędzić z nią trochę czasu...

- Tak powiedziałem? Niech będzie. Mam jeszcze kilka listów do napisania. Muszę przekazać wszystkim nieobecny, gdzie mamy się spotkać. Masz kwadrans. Potem Beauvrai, następnie Chateaurouse. Możecie jej dotykać, lecz nie wolno wam jej bić. Na razie. Macie dość wyobraźni, by się tym zadowolić. Ale ostrzegam was - jej dziewictwo należy do mnie. Nie oddam go nikomu. - Przytrzymał drzwi, pozwalając wszystkim wyjść i uśmiechnął się do de la Sept-Nuit. - Miłej zabawy.

Madelaine usłyszała, jak drzwi się zamykają i wstrzymała oddech. Kątem oka widziała ciała męża ciotki i Tite, które leżały jedno na drugim, jak połamane meble. Widziała też stopy de la Sept-Nuit, gdy zbliżał się do niej. Zaciśnęła związane dłonie.

- De la Sept-Nuit - powiedziała tak łagodnie, jak potrafiła. - Czemu pan to robi? To jest złe, kawalerze. Niech pan pomyśli o karze. Mężczyzna przebiegł po niej znieważające dłońmi.

- Pomyśl o Mocy, Madelaine. Clotaire obiecał mi przywództwo Kręgu, gdy sam się wycofa. O ile uzna, że jestem tego wart. Ty jesteś częścią testu.

Po raz pierwszy poczuła się całkiem bezradna. Na próżno usiłowała stłumić ból, który sprawiał jej de la Sept-Nuit, myśląc o czymś innym. Rozciągnięte na podłodze ciała, wokół których rozlewała się coraz szerzej kałuża krwi i budząca współczucie bezwładna postać Cassandre, nie

pozwalają jej zapomnieć, gdzie jest i co się zdarzyło. Ręce kawalera sięgały coraz głębiej. Bardziej niż czegokolwiek w życiu pragnęła obecności Saint-Germaina, który mógłby ją uratować, oddalić strach, ból i poniżenie. Lecz jak dotąd z dwóch mężczyzn, którzy próbowali ją uratować, jeden nie żył, a drugi był uwięziony i równie bliski śmierci jak ona. Modliła się zatem tylko cicho, żarliwie, żałośnie. Modliła się, by zesłane jej zostało szaleństwo.

Wyjątek z jednego z serii listów napisanych przez barona Clotaire de Saint Sebastien do nieobecnych członków Kręgu; bez daty:

*(...) Do kaplicy dojść można tunelem, który zaczyna się nad Sekwaną i prowadzi do opuszczonych podziemi klasztoru wzniesionego w pobliżu rzeki ponad pięćset lat temu. Wejście znajduje się na brzegu rzeki przy Quai Malaquais, między la rue des Saints Peres a la rue de Seine. Sklepienie tunelu opiera się na solidnych kamieniach, lecz powinniście wziąć ze sobą patki, gdyż jest w nim sporo szczurów.*

*(...) Po drugiej stronie katakumb znajdziecie kaplicę. Krążą plotki, że była używana do praktyk podobnych naszym na długo przed panowaniem Króla Pająka, co wydaje się dobrze nam wróżyć. Z pewnością zaś była w użyciu w późniejszych czasach, gdyż La Yoison wspominał o niej, jak i o innych, wielu członkom Kręgu, do którego należał mój dziad.*

*Kaplica znajduje się dokładnie pod Hotelem Transylwania. To zestawienie wydaje mi się być zabawne. Nad nami wspaniali, szlachetnie urodzeni będą grać w kości i ryzykować majątek kilku pokoleń na szczęście kart, myśląc, że znaleźli sposób na zdobycie władzy i sławy, podczas gdy my będziemy pod ich stopami odprawiać obrządek, który przyniesie nam potęgę, o której istnieniu nawet nie mają pojęcia, i władzę nad Francją o wiele rozleglejszą niż monarsza.*

*Pozwólcie, że was ostrzegę: wszystko wskazuje na to, że istnieje jakiś sposób, by dostać się do kaplicy z wnętrza Hotelu Transylwania, a skoro ja go nie odkryłem, to wątpliwym jest, by właściciele i służba rezydencji miała pojęcie o jego istnieniu. Lecz przyznacie, że byłoby bardzo nie na miejscu, gdyby ktoś z członków naszego Kręgu*

użył tego wejścia, nie mówiąc już o sytuacji, gdyby jakiś pechowiec ze służby odkrył naszą obecność. Z tego i innych powodów będę nalegał, aby każdy z was po kolei trzymał wartę. Nie pozbawi was to rozkoszy składania ofiary ani użycia osoby ofiarowywanej, co, jak sądzę, będzie wspaniałym zdarzeniem. Chociaż dopiero ledwie jej posmakowałem, powiedzieć mogę, iż zglądzenie jej będzie czystą przyjemnością. Lecz musimy pozostać w ukryciu. Wspomnienie skandalu, który towarzyszył odkryciu ostatniego Kręgu niech będzie wam wystarczającą przestrogą, uzasadniającą wszelkie środki ostrożności. Jedna afera z truciznami to dość dla Francji. Nie będę tolerował niezręczności i nieuwagi, którymi popisała się Montespan.

Teraz, gdy piszę ten list, wybija pierwsza. Wzywam was, byście byli w kaplicy o trzeciej nad ranem, tak jak to planowaliśmy. Dobrze będzie przybyć wcześniej, gdyż zmniejszy to ryzyko odkrycia i da czas na swobodniejsze przygotowanie ofiary.

Jeśli zawiedziecie mnie w tym, uznam was za moich wrogów i rozprawię się z wami przy pierwszej sposobności. Jeśli nie skłonicie się przed Szatanem, pozostanie wam rola ofiary, którą przyjmie tak On, jak i ja. Pomyślcie o smutnym losie tych, którzy stanęli mi na drodze i niech to ułatwi wam podjęcie decyzji.

Czekam na was o trzeciej nad ranem, kiedy to odprawimy nasz pierwszy rytuał, składając na ołtarzu ciało tego, który mnie zdradził. Możecie być pewni, że pamiętam o was i o korzyściach i luksusach, o jakich się wam nawet nie śniło, jak i o zagładzie, zgodnie z tym, co wybierzecie. Pozostaję, oddany wam

Baron Clotaire de Saint Sebastien



## . 9 .

Gdy rezydencja Saint Sebastiena wyłoniła się wreszcie zza zakrętu drogi, Saint-Germain usłyszał, jak odległy zegar wybija pierwszą. Pewnie powściągnął berberysa, przyglądając się ogromnej bryle budynku. Bramy będą zamknięte - tego był pewien, można też było przypuszczać, że na terenie posiadłości rozstawiono strażę. W zasadzie rezydencja była nie oświetlona; tylko kilka okien na tyłach rzucało przyćmione światło. Nie był pewien, w którym to pokoju, lecz nawet z tej odległości widział poruszenia zasłon świadczące, iż jedne z przeszklonych drzwi były otwarte.

Postanowił, że wejdzie przez te drzwi, gdy nagle ciężkie żelazne bramy osadzone w murze, który otaczał cały teren, rozchyliły się i pojawiło się w nich dwóch mężczyzn na koniach. Obaj pognali drogą do Paryża. Saint-Germain ucieszył się w duchu, że nie został zauważony. Cofnął wierzchowca pod rozrosłe krzewy osłaniające mały sad przylegający do rezydencji.

Jeźdźcy przegalopowali obok. Saint-Germain rozpoznał, że jednym z nich był Chateaurouse. Obawa, która nie opuściła go odkąd wyjechał od Claudii d'Argenlac, ożyła w nim z nową siłą. Wiedział o tych mężczyznach dość, by zdawać sobie sprawę z konsekwencji ich postępowania. Jediną rzeczą, która mogła spowodować nagły ich wyjazd, musiała być raptowna zmiana planów.

Po chwili zobaczył następnego jeźdźca, który minąwszy bramę pogalopował w innym kierunku.

Saint-Germain nie chciał ryzykować odkrycia, a nie był pewien, ilu jeszcze jeźdźców może wypaść na niego z mroku. Skierował berberysa na krzewiasty żywopłot, zmuszając ciemnosiwego ogiera, by przeskoczył ponad przeszkodą do sadu. Gdy uznał, że jest dość daleko od drogi, zsiadł i uwiązał uzdę wierzchowca do jednego z migdałowych drzew.

Wszystkie światła w domu zgasły. W blasku latarni widział teraz jedynie

kilka postaci idących do stajni.

Biegł skulony. Poruszał się tak miękko, jakby niezupełnie był człowiekiem. Pilnie obserwował owe postacie, a gdy zniknęły w stajni, przyspieszył maksymalnie i znalazł się na szerokim podjeździe dla powozów, blisko tarasu rezydencji. Tam przystanął, niepewny, czy iść za mężczyznami do stajni, czy też wejść do domu przez przeszklone drzwi, które, jak teraz zobaczył, zostały wyłamane.

Z wielkim hałasem wytoczyła się nagle ze stajni karetą zaprzężoną w czwórkę narowistych, jasno umaszczonych koni. Nie musiał wypatrywać herbu na drzwiczkach, by rozpoznać pojazd Saint Sebastiena.

Miękko prześliznął się przez otwór drzwi do mrocznego wnętrza pokoju. Pośliznął się, unikając upadku, a gdy uniósł dłoń, poczuł, że jest lepka. Nie potrzebował zapalać światła, by wiedzieć, że to krew. Jego zmysły aż nadto wyraźnie ostrzegały go całą mocą. Rozejrzawszy się, dostrzegł dwie bezwładne postacie. Na wprost niego leżał Tite, pod nim Gervaise. Przez chwilę stał nad nimi bez ruchu.

- Biedni głupcy. Gervaise, czemu mi nie wierzyłeś? - Wiedział, że to daremne, lecz uczynił znak krzyża na czole Gervaise'a. Potem skierował się z powrotem do drzwi.

Zatrzymał go jęk, który rozległ się gdzieś w kącie. Obrócił się szybko, gotów na odparcie ewentualnego ataku. Dostrzegł Cassandre leżącą bezwładnie pod ścianą. Ostrożnie raz jeszcze przeszedł przez pokój i klęknął przy służącej Madelaine.

Cassandra patrzyła na niego ze zdziwieniem, a gdy spróbowała się poruszyć, jej ciało wykonało tylko kilka nieskoordynowanych drgawek. W końcu, z wielkim wysiłkiem, zdołała otworzyć usta.

- Poszli sobie... Madelaine... z nimi... słyszałam jak... Saint-Germain próbował uspokoić ją, przemawiając spokojnie i łagodnie. Wiedział, że dopóki będzie przerażona, tak długo niczego od niej nie usłyszy.

- Tak. Zrobiła pani co mogła. Nie trzeba się już bać. Oni odeszli, a ja chcę

pani pomóc. Chcę pomóc Madelaine. Jeśli powie mi pani, co mówili, to obiecuję, że znajdę Madelaine zanim zostanie skrzywdzona.

Łzy popłynęły z oczu służącej.

- Madelaine... Madelaine... - na próżno próbowała je powstrzymać. - Och, moje kochane dziecko... - głośny szloch zagłuszył jej słowa.

- Nie, nie, madame - uspokajał ją. - Płacząc, nie powie mi pani nic o Madelaine. Gdzie ją zabrali?

Przez nie kończące się minuty czekał, aż Cassandre opanuje łzy i znajdzie dość siły, by mówić sensownie.

- Czuję się już lepiej - powiedziała cicho. - Lecz bardzo się boję. Och... Baron zabrał Madelaine... - zadrżała, utrzymując nerwy na wodzy. - Nie, nie mogę... Baron zabrał Madelaine i jej szlachetnego ojca ze sobą. Powiedział, że mają miejsce, kaplicę, tak je nazwał. Musi być poświęcona złu, jeśli ten potwór może tam wejść...

- Tak, ma pani rację - ponaglał niecierpliwie Saint-Germain.

- Oni chcą zabić tam Madelaine i markiza. Och, moja słodka Madelaine!

- Ale gdzie jest ta kaplica? Powiedział? Cassandre musiała raz jeszcze opanować ból.

- To jest... jedna z tych, których kiedyś używała Montespan.

- Powiedzieli gdzie?

- Nie - na twarzy Cassandre odbił się ciężki wysiłek, lecz nie dała rady powstrzymać łez, zwilżających jej pomarszczoną twarz.

Saint-Germain czuł, że ręka zaczyna mu drętwieć i już miał wyjść, gdy pomyślał jeszcze o jednym.

- Czy nie został tu nikt więcej, madame? Ktoś może jednak wie, dokąd pojechał Saint Sebastien.

Cassandre pokręciła nieprzytomnie głową, cichy jęk wydobył się z jej ust. Nagle ożywiła się.

- Nie... proszę poczekać... Stajnie... markiza zabrali do stajni... Tam może coś być...

- Bon. Dobrze się pani sprawiła, madame. - Saint-Germain ujął obie dłonie Cassandre, zauważając z niepokojem, że są bardzo zimne. - A teraz proszę mnie posłuchać. Odchodzę, by znaleźć Madelaine i jej ojca. Ma pani moje słowo, że przyślę tu kogoś, by pani pomógł, lecz to może trochę potrwać. Proszę nie rozpaczać, nie trzeba się już bać. - Pochylił się nad nią. - Teraz odpocznie pani, madame. Zasłużyła pani na to. Zaśnie pani i ból panią opuści. Strach zniknie, gdy się pani obudzi, i będzie pani lekko na duszy. Zaśnij teraz. - Przesunął dłonią przed jej oczami, które posłusznie się zamknęły. Gdy wstał, usłyszał, jak jej oddech staje się coraz bardziej regularny. Był pewien, że nic jej nie będzie.

Zanim wyszedł z gabinetu, zerwał jeszcze dwie aksamitne zasłony i narzucił je na zwłoki hrabiego d'Argenlac i służącego Tite.

Nie zachowując już przesadnych środków ostrożności skierował się do stajni. Miał nadzieję, że tam naprawdę znajdzie jakąś informację, gdzie też mogli się udać Saint Sebastien i jego budzący obrzydzenie Krąg. Stajnia była otwarta, konie wierciły się niespokojnie w boksach. Nie było nikogo, lecz zwierzęta wyraźnie pociły się ze strachu. Saint-Germain położył dłoń na boku dużego wałacha, który stał w boksie przy drzwiach. Koń usunął się nerwowo położywszy uszy po sobie i pokazując białka ślepi. Wszystkie próby uspokojenia zwierzęcia okazywały się bezowocne. Hrabia zaczął zastanawiać się nad przyczyną. Spośród wszystkich koni jeden był szczególnie niespokojny. Jego boks znajdował się tuż koło siodłami.

Zdecydowany zbadać to pomieszczenie, Saint-Germain odszedł od boksu. Ani na moment nie za wcześnie, bowiem zirytowany wałach usiłował poczęstować go kopytem. Zasunął jeszcze rygiel na drzwiach boksu, po czym przeszedł przez drzwiczki prowadzące do siodłami.

Uprząż i siodła lśniły w słabym blasku zamierającej latarni. Były tu najprzedniejsze skóry i polerowany metal, których delikatny zapach mieszał się z wonią zgrzanych koni. Saint-Germain zawsze lubił ten specyficzny aromat. I tym razem czerpałby z niego przyjemność, gdyby nie

mężczyzna zwisający z krokwi. Podeszedł szybko, mając nadzieję, że nie będzie to daremny pośpiech i że ten człowiek, mimo wszelkich pozorów, okaże się żywy.

Gdy był już blisko, ujrzał twarz wisielca. Był nim Le Grace.

Czarownik poruszył się lekko, zakołysawszy na uwięzi. Dojrzał ubraną na ciemno postać. Odrażający bulgot dobył się z jego gardła. Ciało było w większej części spalone i porozrywane. Niektóre z potwornych ran krwawiły obficie.

Saint-Germain zatrzymał się pośrodku siodłami, zdając sobie sprawę, że mógł przestraszyć czarownika.

- Le Grace - powiedział zniewalającym tonem. - Le Grace, słyszysz mnie?

Czarownik szarpnął się.

- Le Grace, dokąd oni poszli? Gdzie jest Saint Sebastien?

- Nie mogę... Nie wiem...

- Le Grace - niecierpliwił się hrabia. - To ja, książę Rakoczy. Odpowiedz na moje pytanie. Gdzie jest Saint Sebastien?

Przez chwilę w oczach czarownika odbił się strach, potem coś z aury autorytetu hrabiego zaczęło docierać do jego zmaltretowanego umysłu.

- Saint Sebastien... Saint-Germain. Saint-Germain... - urwał, charcząc. W chwilę później zemdłał.

Saint-Germain stał bez ruchu. Czuł się pokonany. Nic już nie można było zrobić. Saint Sebastien przechytrzył go. Odwrócił się, by wyjść z siodłami. Szybkimi ruchami maskował przed sobą poczucie porażki. W głębi ducha wiedział jednak, że tego należało oczekiwać. Le Grace był szalony. Zbyt wiele wycierpiał. Był w stanie tylko powtórzyć pytanie i zaraz strach porywał go w otchłań.

Saint-Germain stał wciąż w drzwiach stajni. Le Grace nie znał go pod tym imieniem. Dla niego był księciem Franzem Josefem Rakoczym... Zatem to, co powiedział musiało pozostawać w związku z le Fraubourg Saint-Germain, przedmieściem wokół d'Eglise de Saint-Germain-des-Pres i le Boulevard

Saint-Germain - tą częścią Paryża, w której stał Hotel Transylwania. Zawahał się jeszcze przez chwilę, po czym pobiegł w kierunku sadu.

Tekst napisanej po łacinie notatki hrabiego de Saint-Germain do jego służącego Rogera; doręczone przez posłańca około drugiej nad ranem 5 listopada 1743:

*Mój wierny Rogerze:*

*Wybierzesz dwóch godnych zaufania służących i wyślesz ich do rezydencji Saint Sebastiena. Jej właściciel był ostatnio mocno zajęty i zostawił po sobie kilka niemiłych spraw do załatwienia. Razem ze służącymi możesz wysłać Dominga, gdyż wie on co nieco o medycynie i zna się na narkotykach uśmierzających ból. W gabinecie, który poznacie po wyłamanych drzwiach znajdziecie służącą Madelaine, Cassandre. Jest żywa, lecz w ciężkim stanie, oraz ciała osobistego służącego Saint Sebastiena i hrabiego d'Argenlac. Tych dwóch ostatnich pod aksamitną zasłoną.*

*Lecz to jeszcze nie wszystko. W stajni, dokładnie w siodłami, wisi na krokwi Le Grace. Na oko sądząc Saint Sebastien potraktował go rozgrzanymi do czerwoności szczypcami, ulubionym narzędziem Inkwizycji Torquemady. Trzeba mu pomóc jak najszybciej, jeśli ma żyć. Zobowiązuję cię, byś nie zwlekając wykonał wszystko, co należy.*

*Z tego co się dowiedziałem, obawiam się, że Saint Sebastien mógł udać się do podziemi pod rezydencją Transylwania. Jeśli tam go nie ma, to w grę wchodzi jeszcze podziemia pod FEnglise de Saint-Germain des Pres, lecz jest to mało prawdopodobne. To wciąż wyświęcony teren. Wątpię, by Saint Sebastien mógł tam postawić nogę.*

*Gdy tylko ta wiadomość przyjdzie, chcę byś usunął z rezydencji cały personel i odprawił wszystkich lokajów. Jeśli potrzebna ci będzie wymówka, możesz mówić, iż podejrzewa się, że w budynku znajduje się ognisko choroby zakaźnej, co jest po części prawdą.*

*Nie próbuj mi pomagać. Przygotuj co nasze i oczekuj mnie razem z Hercule, który został zobowiązany do utrzymywania mojej karety w natychmiastowej gotowości.*

Więcej mi się przysłużycie będąc tam właśnie, niż wikłając się w walkę.

Porozmawiasz również z Mr Sattinem i przypilnujesz, by on i jego bracia z Gildii usunęli się na ten czas z rezydencji. Możesz dać im dwukótkę, by mieli na czym przenieść wyposażenie i athanora. Możesz być z nimi na ile uznasz to za stosowne, lecz niech nie lekceważą sobie niebezpieczeństwa, które im grozi.

Gdyby tak się zdarzyło, że więcej się nie spotkamy, ufam, że dopilnujesz by moja Ostatnia Wola została skrupulatnie wypełniona, a miejsce mojego spoczynku zostało oznaczone w sposób, jaki opisałem.

Wykonaj moje polecenia tak, jak dotąd je wypełniałeś, i wiedz, że zasłużysz sobie na moją wieczną wdzięczność.

Saint-Germain (Jego pieczęć: eklipsa)

## . 10 .

Wilgotne kamienie tunelu lśniły ciemno, a nierówne płyty posadzki pokryte były warstwą mułu, utrudniając marsz. Powietrze przenikał odór powolnego rozkładu, od którego nawet pochodnie zdawały się dławić kaszlem.

- Nie upuście go! - upominał Saint Sebastien.

- Czemu go oszołomiłeś? - narzekał Achille Cressie, który dźwigał ramiona Roberta de Montalia. - Mogliśmy go związać.

- Tak, by mógł cię zabawiać konwersacją? - ton głosu barona był słodki jak trucizna.

Achille tylko zachichotał nieprzyjemnie.

- Powinieneś usłyszeć, co wygadywał w siodłami. Jak pogardzał sobą, gdy jego ciało rozgrzało się dla mnie.

- Bardzo lubisz chwalić się swoimi bohaterskimi wyczynami, Achille - westchnął lekceważąco de les Radeux, który trzymał nogi markiza - lecz nigdy nie pozwalasz nikomu popatrzeć, czy przyłączyć się. - Zaklął, pośliznąwszy się na rozwodnionym szlamie.

- Uważajcie! - warknął Saint Sebastien.

- Ciężki jest - stwierdził nadąsany de les Radeux.

- Tym bardziej powinniście zwracać uwagę na to, co robicie. A ty mógłbyś zapomnieć na chwilę o karesach z Achille. Jeśli nie potrafisz wykonywać poleceń, to na nic mi się nie przydasz.

De les Radeux mruknął pod nosem coś, co miało być inwokacją do mocy piekielnych, zacisnął dłonie na kostkach Roberta de Montalia i powłókł się dalej w ciszy.

Gdy odeszli trochę od rzeki, powietrze przestało być takie duszne, z podziemi ustępować zaczęły chłód i wilgoć. Niemniej nadal było to ponure



miejsce. W niszach pod ścianami leżały częściowo zmumifikowane szczątki mnichów, którzy umarli przed ponad pięciuset laty. Bliższe przyjrzenie się im pokazywało, że większość ciał została sprofanowana, a krucyfiksy, które kiedyś włożono im w dłonie, zastąpione zostały fallusami. Tam, gdzie święcony olej został namazany na ich czoła, na znak, że przynależą do Boga, widniały teraz wyschłe, krwistoczerwone znamiona Szatana.

Saint Sebastien wzniósł pochodnię i ruszył szybciej przez podziemia. Dotarli w końcu do grubych drzwi osadzonych w murze. Wyglądały trochę dziwnie w romańskiej framudze - były nowe, współczesne, a żelazne zawiasy i okucia lśniły od oliwy. Pokrywające je płaskorzeźby jednoznacznie wskazywały do jakich to perwersyjnych celów została przystosowana kaplica za nimi.

Otworzyły się bezgłośnie. Saint Sebastien westchnął, przytrzymując je, gdy Cressie i de les Radeux wnosili markiza. Reszta powinna pójść łatwo. Uniknęli wykrycia, a w kaplicy nic nie świadczyło, by została zauważona i oczyszczona z obecności zła.

Baron wszedł do środka. Pochodnia rzucała blask na prymitywną murarkę nałożoną na stare mury i ukazującą wszystkie okrucieństwa Szatana. Uśmiechnął się do jednego szczególnie okrutnego wyobrażenia i podszedł do ołtarza.

- Połóżcie go tutaj - powiedział do zadyszanych tragarzy. - Zwiążcie go i rozbierzcie. Nie mam ochoty po raz drugi łamać jego oporu.

- Cała przyjemność po mojej stronie - powiedział zgryźliwie de les Radeux. Spojrzał na ołtarz, potem na Saint Sebastiena i na mężczyznę, którego przyniósł. To było zupełnie coś innego, zupełnie nie to, czego oczekiwał. Powiedziano mu, że obrzędy Kręgu są wielkimi wydarzeniami. Jego wuj, Beauvrai, z zamiłowaniem rozwodził się nad wszystkimi możliwościami zaspokojenia wszelkich pragnień. Teraz znalazł się w zimnym kamiennym podziemiu. Przyniósł tu markiza de Montalia, na dodatek przez cały czas musiał kłaniać się i ocierać sobie kolana przed Saint

Sebastienem, zupełnie jak gdyby baron był królem czy archaniołem stojącym przed najmizerniejszym pacholkiem Francji. Co gorsza, wilgoć nie pozostała bez wpływu na jego aksamitny surdut i białe, jedwabne pończochy, które nadawały się już tylko do wyrzucenia. Żałował teraz, że nie był przewidujący i nie zabrał wysokich butów do konnej jazdy.

Sapnąwszy, de les Radeux i Achille Cressie położyli Roberta na ołtarzu i zajęli się zdzieraniem z niego odzieży, co okazało się być zadziwiająco trudne.

Przez następne dziesięć minut Saint Sebastien zajęty był recytacją wymaganych rytuałem inkantacji i zapalaniem piętnastu pochodni tkwiących w uchwytych na ścianach. Było coraz jaśniej, lecz była to jasność niepewna, rozmigotana, wijąca się i rzucająca, ożywiająca niesamowite malowidła na ścianach.

Zgiełk dochodzący zza drzwi odwrócił uwagę barona ku sprawom bardziej doczesnym. Wykrzyknął hasło i poczekał na odzew. Gdy zza drzwi padło właściwe słowo, poszedł je otworzyć.

Stał tam Jueneport z Madelaine w ramionach.

- Gdzie mam ją położyć?

- Najlepiej w takim miejscu, z którego będzie mogła widzieć co zrobimy z jej ojcem - powiedział przyglądając się bezwładnej postaci. - Tam - wskazał odwrócony krucyfiks, który wisiał nad ołtarzem.

- To może być zbyt niebezpieczne - powiedział z namysłem Jueneport.

- Jest dość silna, by wyrwać to ze ściany.

- Rozumiem - Saint Sebastien rozejrzał się po wnętrzu. - Niech będzie tam. Będzie widzieć ojca, a my popatrzymy sobie na jej reakcje. Wspaniałe połączenie. - Wskazywał na parawan, który dla wygody mnichów oddzielał niegdyś kaplicę od reszty świątyni.

- Jest mocny - zgodził się Jueneport. - Dobrze. Rozumiem, że są tu gdzieś liny?

- Za ołtarzem. Weź ile trzeba.

Jueneport przytaknął i poszedł tam, gdzie pracowano tymczasem nad związaniem Roberta de Montalia. Achille działał powoli, z namysłem, przystając co chwilę, by przebiec palcami po nagim ciele.

- To też moglibyśmy mu związać - powiedział z niemiłym błyskiem w oku.  
- W ten sposób cierpiałby dwa razy bardziej, a nam byłoby o tyle samo przyjemniej.

De les Radeux spojrział na niego z hamowanym obrzydzeniem.

- Czy potrafisz myśleć tylko jajami, Achille? Innych pragnień już nie masz?

Achille roześmiał się tylko w odpowiedzi. Był na tyle głośny, że Saint Sebastien obrócił się z gniewną twarzą.

- Przestań, Achille, albo zabronię ci brać udział w ceremonii.

Achille wyduł wargi, zrobił kwaśną minę, wzruszył ramionami i wrócił do przerwanej roboty.

Znów ktoś zapukał do drzwi. Po wymianie haseł wszedł de la Sept-Nuit, który z miejsca odszukał wzrokiem żalostną postać Madelaine.

- Mam szaty, mon baron - wskazał na swą torbę. - Wszystko jest gotowe. Trzeba tylko, żebyś je przeklął, zanim je założymy.

Saint Sebastien nakreślił w powietrzu pentagram i wypowiedział w prymitywnej łacinie parę sylab.

- Możecie już je założyć. Pamiętajcie, że musicie zdjąć wszystkie wasze rzeczy.

- W porządku - de la Sept-Nuit odszedł do bocznej niszy i po paru minutach wrócił w fałdzistej, jedwabnej szacie Kręgu. Przypominała sutannę, lecz jedwab przylegał do ciała w sposób, w jaki nie zdarzało się to szatom księży. Była też rozcięta z przodu przez całą długość, tak że materiał odchyłał się, ukazując ciało.

- Twoją odłożyłem na bok - powiedział de la Sept-Nuit. - Czerwona z obszyciem, tak?

- Tak. Weźmiesz teraz tę pochodnię i zamocujesz ją przy ołtarzu. Ja się

ubiorę. Bransolety też są?

- Dwie srebrne, jedna z czarnego szkła. Są z szatami. Znajdzie je pan, baronie. Są owinięte, jak pan kazał.

- Miło mi to słyszeć. Postępuj tak dalej, a sporo zyskasz.

- Wie pan, jakiej nagrody pragnę najbardziej - wskazał na Madelaine, którą Jueneport kończył właśnie przywiązywać do parawanu. Była naga, z coraz wyraźniej widocznymi sińcami i opuchnięciami.

- Może. Skoro Tite nie żyje - odszedł na bok, by założyć swoje szaty.

Gdy wrócił, obecni byli już wszyscy członkowie Kręgu i kończyły się przygotowania do pierwszej ceremonii.

Chateaurouse był trochę podпиты, lecz pamiętał wszystkie swoje powinności.

- Czy nasze ofiary już się obudziły? - spytał Saint Sebastien podchodząc do ołtarza. Wyglądał teraz wspaniale w ciężkim, czerwonym jedwabiu, który rozchyłał się z przodu ukazując dobrze zbudowane, mocne ciało, lekko dotknięte jedynie przez upływ lat. Zniknęła cała ogłada cechująca go w miejscach publicznych. Tutaj był okrutnym mistrzem, który dodawał sobie jeszcze powagi poprzez znaki swego urzędu - pentagram i obsceniczny krucyfiks zawieszony na szyi.

- Jeszcze me, chociaż kobieta już się rusza.

- Powinni obudzić się w ciągu dwudziestu minut. Sprawdźcie - odwrócił się, nie patrząc jak Krąg usiłuje skłonić Madelaine i jej ojca, by dali znaki przytomności.

- No i cóż, Clotaire. Jaka jest twoja zemsta - spytał Beauvrai podszedłszy do Saint Sebastiana. Pozbawiony dziwaczного stroju i dworskiej finezji nie przypominał już wyfiokowanego głupca, za którego często był brany. Czarna szata odebrała mu całą absurdalność postaci i tylko złośliwość rozkwitła w nim teraz z pełną mocą, nie hamowana już przez wymogi zachowania.

- Nie obmyśliłem jej jeszcze. Ale to już niedługo. Wkrótce.

- A co przewidujesz dla Roberta? Myślałeś o tym?

- Oczywiście - ujął w palce oba zwieszające mu się z szyi medaliony. - Spodoba ci się, mon baron.

- Mam nadzieję - odwrócił się, mrużąc pod nosem: - Ten mój krewniak jest raczej żaloszny, Clotaire.

- Też mi się tak wydaje - zgodził się Saint Sebastien. - Ktoś mógłby osądzić, że jest za głupi, by zostać przy życiu.

- Z ust mi to wyjąłeś - skłonił się baronowi i odszedł, by zająć miejsce w pierwszym szeregu czcicieli.

Achille wpadł w końcu na to, by przynieść dwa cebry wody, które wylane zostały na Madelaine i Roberta de Montalia. Z radością usłyszał jej mamrotanie i jego westchnienie.

- Sądzę, że jesteśmy gotowi - powiedział z nie skrywaną satysfakcją.

- To i dobrze. Godzina się zbliża - Saint Sebastien podszedł do Madelaine i uderzył ją boleśnie w piersi i policzki. Odpowiedziała krzykiem, który upewnił barona co do przytomności dziewczyny.

- Tak, moja kochana - powiedział pieszczotliwie. - To ja. Nie uciekłaś przede mną.

Madelaine uchyliła fiołkowe oczy i poczuła jak ogarniają lodowaty chłód, nie mający wiele wspólnego z wodą, którą na nią wylano.

- Saint-Germain - wyszeptała w rozpaczy.

- Co, stęskniłaś się za tym farbowanym fircykiem? - roześmiał się szyderczo Sain<sup>^</sup> Sebastien. Uderzył ją w twarz. - Lecz to nie z tym oszustem masz teraz do czynienia. - Odwrócił się od jej twarzy pełnej furii i podszedł do ołtarza.

- Obudził się - powiedział mu Achille. - Wystarczy go dotknąć, by ujrzeć obrzydzenie na jego twarzy. - Zademonstrował to, o czym mówił, naśladując wielkopańskie i z gruntu złe maniery Saint Sebastiena.

- Dobrze się sprawiłeś, Achille. Pozwolę ci raz jeszcze się zabawić, zanim wyprawimy Roberta na tamten świat. - Położył jedną dłoń na zimnym

ciele markiza. - Jakie to smutne, mój przyjacielu, że nie mogę zaproponować ci koca. Obiecuje jednak, że już wkrótce rozgrzejesz się w inny sposób. Wiesz, że zawsze dotrzymuję obietnic.

Robert, który w reakcji na nowe obelgi zacisnął zęby, splunął teraz z podziwu godną celnością, trafiając Saint Sebastiena.

- Tylko pogarszasz swoją sytuację, Robercie - baron odstał, uniósł ramiona i zawołał do pozostałych członków Kręgu, którzy czekali, milcząc. - Spotkaliśmy się tutaj w imię Szatana, byśmy mogli wzrosnąć na jego potędze i jego niezmierzonej sile, która jest potęgą kłamstwa. Spotkaliśmy się, by móc połączyć się z nim w potędze, potencji i dzikości, i w ten sposób złożyć mu ofiary.

- Złożyć mu ofiary - powtórzył Krąg.

- Żywoty krwią splecione i poniżeniem.

- Krwią i poniżeniem.

Ręce bolały Madelaine od więzów, ciało było ogarnięte cierpieniem. Zaczęła szarpać się, prawie całkowicie opanowana strachem i rozpaczą. Wiedziała, że jeśli o nią chodzi, to te odrażające kreatury nie zaczęły jeszcze nawet tego, co zostało jej obiecane. Pamiętała, że na jej złamanie przeznaczili sobie czterdzieści dni. W głębi duszy przekonana była, że nie może im się to udać, że przecież będą jej szukać, tak jak i jej ojca, że przecież ktoś ich uratuje. Znowu zatęskniła aż do bólu za Saint-Germainem, ogarnięta była pragnieniem ucieczki. Wątpiła, czy ma prawo do jakiegokolwiek nadziei. Zebrani tymczasem coraz głośniejszawodzili swoje hymny.

- Ten krzywoprzysięzca, zdrajca twój, Szatanie!

- Twój zdrajca!

- Sprowadzony tu dla pokuty za swą dwulicowość - Saint Sebastien uniósł wysoko osobliwie zakrzywiony sztylet, pozwalając, by ostrze odbiło migoczący blask pochodni.

- Twój zdrajca!

Opuścił metal przytykając czubek ostrza do piersi de Montalia i ze

skupieniem wyciął na skórze zarys pentagramu.

- Oznaczony jest jako twój, Szatanie!

- Oznaczony!

Triumfalny wrzask zagłuszył jęki, których Robert nie zdołał powstrzymać.

- Gdyż twojej mocy nie można ukrócić, a twej potęgi nie można okpić!

- Doskonałe są twoje potęga i moc!

Madelaine potrząsnęła głową, tak jakby w ten sposób mogła się odciąć od odgłosów, które ją osaczały. Nie mogła patrzeć na ojca, który uzbrojony w cierpliwość i samozaparcie czekał dalszego ciągu.

- Niech zapozna się z twym gniewem!

- Niech zapozna się z twym gniewem! - wrzasnął Krąg, gdy Saint Sebastien przesunął powoli ostrzem i uniósł jak trofeum skrwawione ucho Roberta. Krzyk Kręgu zmieszał się z jękiem markiza. Zgiełk osiągnął apogeum, gdy Saint Sebastien przytknął ucho do swoich ust i oblizał. Krąg ruszył do przodu, histeria pchała ich do wzięcia udziału w upiornym spektaklu. Saint Sebastien gestem nakazał im ciszę. Czekał ze wzniesionym wysoko nożem.

Ten dramatyczny efekt został całkiem zniweczony przez głos, który dobiegł nagle z tym kaplicy, głos pięknie modulowany i naznaczony lekkim piemonckim akcentem.

- Cieszę się, że zdążyłem na czas, panowie - powiedział hrabia de Saint-Germain.

Madelaine wypełniło uczucie ulgi silniejsze, niż uprzedni strach. Nogi zrobiły się miękkie i powstrzymywane dotąd łzy popłynęły po policzkach. Poczowała przelotnie ból tak silny, jakby Saint Sebastien zatopił nóż w jej piersi.

Członkowie Kręgu odwrócili się; na ich twarzach malowało się głupkowate zdziwienie, jakie widuje się czasem, gdy obudzi się kogoś z głębokiego snu. Poruszyli się niezgrabnie, w jednej chwili wyparowała z nich cała dzikość.

Saint-Germain podszedł bliżej ku ołtarzowi. Wszystkie eleganckie ozdobniki jego wytwornego zachowania zniknęły wraz ze strojem. Poruszał się teraz tak, jak należy się poruszać w stroju jeździeckim z czarnej skóry dopasowanym do czarnych bryczesów i butów z szerokimi cholewami. Z dumnie uniesioną głową, pogardliwie spoglądał na Krąg. Nie niósł ze sobą szpady, ani żadnej innej broni. Był sam.

Saint Sebastien przyglądał mu się z oburzeniem, widocznym w na pół przymkniętych oczach, i ze złośliwym uśmiechem. Przytaknął swoim myślom i nakazał Kręgowi cofnąć się parę kroków.

- Rakoczy - powiedział. - Nie wierzyłem. Nie domyśliłem się.

- Mówiłem panu, baronie, że pozory mylą - skłonił się Saint-Germain.

- Ale to było trzydzieści lat temu - podszedł bliżej, w ręce wciąż ścisnął sztylet.

- Naprawdę? Przyjdzie mi uwierzyć pańskim słowom. - Jeśli nawet zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, w jakim się znalazł, to nie świadczyło o tym nic prócz spojrzenia jego może nieco ciemniejszych oczu.

- A zatem twój ojciec? - Saint Sebastien był coraz bliżej, wystarczająco, by uderzyć.

- Nie wiedziałem, że aż tak bardzo zmieniłem się przez te lata. - Poznał do czego służy kaplica ledwie do niej wszedł i dobrze przygotował się do spotkania z Saint Sebastienem na jego terenie. Musnął palcami mały, przypominający medalionik pojemniczek, który zawieszony był na łańcuszku na jego piersi.

Saint Sebastien uniósł już sztylet i miał właśnie zadać cios, gdy ramię hrabiego wystrzeliło do przodu i uchwyciło rękę barona, nie po to, by go odepchnąć, lecz by przyciągnąć. Tym samym ruchem Saint-Germain wysłał barona na stos połamanych kamiennych ław, które zalegały tył kaplicy.

Saint-Germain spojrział na sponiewieranego barona, po czym skierował oczy na członków Kręgu.

- Jakimż absurdem jesteście - powiedział lekko. - Powinniście móc się



zobaczyć jak stoicie w owych pięknych szatach, spomiędzy których męskość wygląda na świat niczym dziób ptaka. O ile nadal jest to męskość - czekał, aż przerwą mu przekleństwami. - Jesteście głupi. Czy naprawdę sądzicie, że podążając za Saint Sebastienem i wypełniając jego rozkazy zdobędziecie władzę i pozycję? Wasze bluźniercze przysługi służą poprawie tylko jego pozycji. To jego tylko pragnienia są zaspokajane. A wy, myśląc że zdobywacie to wszystko dla siebie, poddajecie mu się bez pytania. Gdybyście mnie czcili, nisko oceniłbym wasze praktyki.

Pierwszy sprzeciwił się Beauvrai.

- Uważasz nas za głupców, ty, który przyszedłeś tu zupełnie bezbronny... Saint-Germain uniósł w górę to, co miał zawieszzone na łańcuszku.

- Przepraszam, baronie, ale mam to. Nie zerwałeś chyba jeszcze tak do końca z tym sobą, którym byłeś kiedyś, by nie rozpoznać cyborium? Szmery niepokoju, które rozlegały się od jakiejś chwili, znów umilkły.

- W myślach zastanawiacie się teraz, czy to jest prawdziwe - uniósł cyborium wyżej jeszcze. - Możecie spróbować go dotknąć. Oparzenia, jak wiem, pojawiają się natychmiast - odczekał, a ubrani w jedwab mężczyźni cofnęli się bezwiednie. - Rozumiem.

Odwrócił się gwałtownie, słysząc jakiś hałas za plecami. W tej samej chwili przeklął się za nieostrożność; nie sprawdził, czy Saint Sebastien stracił przytomność. Teraz przywódca Kręgu pędził ile sił w nogach ku Madelaine, i chociaż zgubił gdzieś sztylet, ścisnął w ręce nierówno złamany kawałek deski gotów uderzyć.

W tej właśnie chwili, cisza tak głęboka jak somnambuliczny trans, która trzymała członków Kręgu w bezruchu, posłusznych Saint-Germainowi, pękła jak holenderska tama ustępująca przed morzem. Ze straszliwym krzykiem i łopotem czarnych szat rzucili się wszyscy na Saint-Germaina.

Wyjątek z notatki l'Abbe Ponteneufa do jego kuzynki, kontessy d'Argenlac; datowane 5 listopada 1743:

*(...) Z całego serca modłę się do Boga, by pocieszył cię i otworzył twoje oczy na chwałę, jaka czeka wszystkich dobrych chrześcijan po śmierci. Napisanie tego listu jest moim obowiązkiem, moja biedna kuzynko, lecz nawet teraz jeszcze pióro moje drży. Nie mogę znaleźć właściwych słów, by opisać ci, co się wydarzyło. Zaklinam cię, byś przygotowała się na te straszliwe wiadomości i byś przyjęła je z hartem ducha, gdyż wszyscy, którzy cię znamy, pragnęlibyśmy żebyś nigdy nie musiała cierpieć tej próby, która cię czeka.*

*Niecałą godzinę temu przysłano po mnie powóz, który zabrał mnie do kościoła na skraju miasta. Możesz wyobrazić sobie, jak zdziwiło mnie to niezwykle wezwanie, gdyż nie jest rzeczą normalną, gdy zdarzają się o tak późnej godzinie. Lecz nie byłbym księdzem, gdybym nie nauczył się przyjmować tego, co zsyła mi Bóg bez narzekań. Stało się więc tak, że zajechałem do kościoła, o którym już napomknąłem. Niezwłocznie, bo jazda nie zabrała nam wiele czasu, zostałem wprowadzony do świątyni, gdzie moje oczy ujrzały bolesny widok. Leżały tam ciała trzech mężczyzn. Jeden na pierwszy rzut oka wyglądał jak szarlatan i nic o nim nie wiedziałem. Drugi był jednym ze służących Saint Sebastiana, co poznałem po liberii. Saint Sebastien jest zatwardziałym grzesznikiem, który popełnił bez wątpienia wszystkie grzechy śmiertelne. Chociaż nie znałem tego człowieka osobiście, to wiem, że nie wygląda na kogoś, kto postawiłby stopę na ścieżce prowadzącej do naszego Pana i jego Najświętszej Matki.*

*Serce moje wzdraga się, gdy przychodzi do opowiedzenia ci o trzecim z tych mężczyzn. Był nim hrabia d'Argenlac, twój ukochany mąż, którego kochałaś tak czule, a który zawsze był twoim wiernym obrońcą. Moim niemiłym obowiązkiem jest poinformować cię też, że nie umarł on w wypadku ani z woli Boga. Został, moja nieszczęśliwa kuzynko, i zimną krwią zamordowany przez osobę, lub osoby, dotąd nieznaną.*

*Proboszcz tego kościoła pozwolił mi skorzystać ze swego gabinetu, tak że mogę tę wiadomość wysłać ci bez zwłoki. Nie jest to człowiek przesadnie rozgarnięty, lecz dobry. Powiedziałem mu, iż znałem hrabiego, i że jest rzeczą jak najwłaściwszą, byś*

ty, droga kuzynko, dowiedziała się o tej tragedii ode mnie, który wie niejedno o twojej szczególnej sytuacji.

Nie załamuj się. Módl się do Marii o zbawienie duszy twego męża. Praktyki religijne, jak sama się przekonasz, uśmierzą twój ból, który w przeciwnym razie z pewnością ogarnie cię bez reszty. Często ci wspominałem, gdy Bóg stworzył kobietę jako towarzyszkę życia mężczyzny, uczynił ją podatną na słabostki, których nie zna jej towarzysz. Pociecha Pisma pomoże ci opanować te emocje, wypełniające twą pierś teraz, gdy to czytasz...

Wezmę na siebie sprowadzenie ciała hrabiego do kościoła w jego parafii i dopilnuję, by właściwe władze otrzymały niezwłocznie odpowiednie pismo zawiadamiające o jego śmierci. Jeśli nie jesteś zbyt przybita tym strasznym wydarzeniem, może pozwolisz mi, bym odwiedził cię i razem z tobą poczytał Pismo Święte, które pocieszy cię w twoim bólu.

W imię Boga, który teraz właśnie przyjmuje twego ukochanego męża w Raju, pozostaję.

Twym oddanym kuzynem, L'Abbe Ponteneuf, S. J.

Z ponurym pomrukiem satysfakcji Hercule zamknął drzwi karety Saint-Germaina. Wypełnił już wszystkie instrukcje swego pana i zostało mu dość czasu, by pomagać czarownikom w przenoszeniu wyposażenia na dwukółkę, która przeciążona do granic możliwości stała na tyłach stajni. Obszedł niezgrabnie karete dookoła i raz jeszcze sprawdził uprząż. Poluźnił ją nieco na prawym koniu dyszlowym i z nową dumą poklepał siwo cętkowany bok zwierzęcia. Nie mógł się doczekać, by znów wziąć lejce w dłonie, znów poczuć tę rozkosz, którą przynosiło mu powożenie. Poruszał się równie niepewnie jak stąpający na zadnich łapach niedźwiedź, lecz nie był już kaleką. Zaprojektowane przez Saint-Germaina szelki spełniały swoją rolę. Zakrzyknął, by wezwać stajennego i nie minęła nawet minuta, gdy przyszło aż dwóch.

- Idę pomóc przy załadunku dwukółki - powiedział wyniośle. - Jeśli zdarzy się cokolwiek, o czym powinienem wiedzieć, wtedy niech jeden z was przyjdzie po mnie. Niech się spieszy, lecz pamiętajcie, by przez cały czas ktoś był przy koniach. Nie chcę, by mój pan mówił, że nie dba się właściwie o jego własność.

Jeden ze stajennych skinął w odpowiedzi, cofając się pod groźnym spojrzeniem Hercule, drugi skłonił się przyjmując polecenie.

- Będę tu zaglądał od czasu do czasu, by zobaczyć, jak się sprawujecie - ostrzegł i kołyszącym się krokiem wyszedł ze stajni. Noc była ciemna, jak zauważył, i mogła jeszcze przynieść deszcz. Czuł jego zapowiedź w bezwładnych kolanach. Saint-Germain mówił mu, że może odczuwać w nich ból co pewien czas i nie uwolni się od tego do końca życia. Zwykle nie kłopotowało to Hercule, lecz dzisiejszej nocy powożenie mogło zadecydować o życiu i śmierci jego pana. Wyprostował się i poszedł ku dwukółce, która

została podstawiona pod tylne wejście do Hotelu Transylwania.

- Życzę wam miłego wieczoru - powiedział do kobiety, która walczyła z dwoma wielkimi koszami wypełnionymi pudełkami i pudełeczkami.

- Będzie lepszy - sapnęła - jeśli pomożesz mi załadować te kosze. Ucieszony w głębi duszy, że może pokazać dumnej czarownicy do czego naprawdę jest zdolny, wciągnął do dwukółki i zarzucił kosze na górę.

- Gdzie są liny? Będziesz musiała uwiązać to wszystko, jeśli nie chcesz rozsiać swoich pudełek na drodze między Paryżem a wybrzeżem.

- No to je obwiąż.

Zrobił co kazała, zabezpieczając liny dwoma mocnymi węzłami.

- Co wam jeszcze zostało do przyniesienia z piwnic?

Mme Lairrez oparła ręce na biodrach i spojrzała na niego wilgotnymi, szarymi oczami.

- Jeszcze parę pakunków takich, jak te, no i athanora. Stary zostaje, ale nowy...

Hercule zgramolił się z wozu.

- Nie mogę oddalić się od stajni, lecz pomogę wam załadować wszystko,

- Jego Wysokość mówił nam o nich - Sattin próbował przypomnieć sobie lokalizację wejścia. - Jeśli pamiętani, są to drzwi zapadkowe, pewnie w podłodze. Od północy? Chyba w północnej części piwnicy...

- No to je znajdziemy! - wykrzyknął Roger, przypominając sobie wszystko co widział, gdy Saint-Germain kazał mu śledzić Saint Sebastiena. Mme Lairrez wstrzymała pakowanie.

- Możecie sobie szukać, jeśli chcecie, aleja mam swoje obowiązki. Muszę przenieść to wszystko do wozu. Wyjeżdżamy stąd przed świtem. Nie pozwolę, byście mi przeszkodzili - wzięła jeszcze jeden owinięty w słomę garnek i wepchnęła go do kosza.

- Który z was? - spytał błagalnie Roger. - Rakoczy jest w niebezpieczeństwie. Jest w strasznym niebezpieczeństwie. Beverly Sattin odłożył książki.

- Jak chcesz. Pomogę ci znaleźć drzwi. - Nie spojrział w oczy braci z Gildii, wiedział ile wyrzutu by w nich znalazł. Chcąc ich ugłaskać, dodał: - To nie potrwa długo. Wiele zawdzięczamy Jego Wysokości.

- No to idź - Mme Lairrez dała się ubłagać. - I żeby udało wam się znaleźć go w zdrowiu.

- Amen, madame - Roger obejrzał się jeszcze i zagłębił w ciemność. Beverly Sattin za nim.

Wyjątek z listu diuka de la Mer-Herbeux do hrabiego de Saint-Germain; datowane 5 listopada 1743:

*(...) Plan pańskiej podróży do Anglii, z którego raczył mi się pan zwierzyć, zjawia mi się w najbardziej szczęśliwym czasie. Ufam, że pańska propozycja jest poważna i nadal jest pan skłonny przewieźć kilka wiadomości, które pragnąłbym przekazać Koronie. Nie musi pan osobiście i formalnie wręczać pism, które dołączam do tego listu, wystarczy, jeśli przekaże je pan mojemu przyjacielowi, Mr Walpole, który najlepiej będzie wiedział co dalej z nim zrobić.*

*(...) Pański list otrzymałem wczoraj, lecz delikatna natura wieści, które przez pana przesyłam, opóźniła moją odpowiedź aż do dziś dnia. Miałem nadzieję ujrzeć pana wieczorem w Hotelu Transylwania, lecz był on zamknięty, podobno z powodu choroby panującej pośród służby. Tak zatem pozwoliłem sobie wysłać papiery pańskiemu służącemu, który powiedział mi, że cieszy się pańskim pełnym zaufaniem.*

*Gdy będzie pan w Anglii, mam nadzieję, że dowie się pan czegoś w sprawie pretensji Stuarta. Karol Stuart najwyraźniej poważnie traktuje swoje pretensje do korony i rzeczywiście zamierza przeciwstawić się Jerzemu. Tak ja, jak i Francja, dalecy jesteśmy od tego, by decydować w kwestii praw Jerzego II do tronu, lecz może pan zrozumieć, dlaczego nasz ukochany i Nade Wszystko Katolicki król Ludwik XV zainteresowany jest sprawami Karola Stuarta, również katolika, jednego z tych, których pretensje do tronu wynikają z dawniejszych koligacji niż te, którymi szczyci*

się Jego Brytyjska Mość Jerzy II. Będzie pan w idealnym miejscu, by poznać zamiary rządu. Jakiegokolwiek komentarze, które by pan usłyszał i przekazał dalej, do mnie, byłyby jak najbardziej mile widziane.

Przygotowałem list dla pańskiego znajomego uczonego, Mr Sattina, który, jak mi pan powiedział, przez wiele lat studiował we Francji. W liście tym polecam pańskiego przyjaciela i jego wiedzę. Zasluguje on na zaufanie możnego patrona w Anglii. Proszę usilnie, by pański przyjaciel Sattin, w miarę możliwości, mnie nie skompromitował.

(...) Kilka tygodni temu napomknął pan o planie wyjazdu do Prus. Jak pan powiedział, wróci pan do Francji przed latem. Ufam, że będziemy wtedy mogli szerzej porozmawiać o tych sprawach.

(...) Jest już późno i bardzo pragnę udać się na spoczynek. Życzę panu miłej podróży i łagodnego morza, by droga nie zajęła panu zbyt wiele czasu (choć moje doświadczenie prawie zawsze dowodzi, że podróż jest uciążliwa, a morze wzburzone). Najuniżeniej dziękuję panu za przyjęcie tego listu i załączników.

Zobowiązany wobec pana

Pierre René Maxime Ignace Ferrand Vivien

Laurent Monhutin

le Duc de ma Mer-Herbeux

## . 12 .

Szarża Saint Sebastienaomal nie zakończyła się powodzeniem. Saint-Germain zdołał uniknąć ciosu, posyłając barona na kamienną posadzkę. Gniew wyznawcy Szatana rozpalił się ze zdwojoną siłą i tylko zadanie cierpienia mogłoby go ugasić. Ale i to nie było mu dane... Gdy usiłował się podnieść by ponowić atak, poczuł rozdzierający ból w kostce i osunął się na ziemię. Kątem oka dostrzegł, jak palce markiza de Montalia wczepiają się w jego stopę. Twarz Roberta, pełna cierpienia wywołanego wrzynaniem się lin w ciało, przypominała krwawą maskę. Saint Sebastien miotał się w uścisku, usiłując drugą nogą odkopnąć ręce markiza. Każde uderzenie w obolałe dłonie nieludzko wykrzywiało twarz nieszczęśnika, lecz nie poluźniał chwytu. Krzyczał coś bez związku, wstrząsając się, gdy nagle Vandonne upadł na niego, zsuwając się pod ołtarz. Na rozpustnym obliczu młodzieńca gościł szeroki uśmiech, wyrażający jak gdyby zdziwienie i rozpacz. Jego niedawne spięcie z Saint-Germainem zakończyło się tragicznie: Vandonne miał wyłamane obydwie barki i zmiażdżoną stopę. Przerażony leżał nieruchomo, wodząc wzrokiem po mrocznym pomieszczeniu. Widział, jak Robert de Montalia - niczym potwór z "Kuszenia Świętego Antoniego" - przyciąga coraz bliżej ku sobie barona Saint Sebastiena, każdym ruchem obiecując zagładę w skrwawionych, jak u rzeźnika, ramionach.

Tuż obok Saint-Germain zmagął się z pozostałymi członkami Kręgu. De la Sept-Nuit schwycił hrabiego za włosy, pragnąc odgiąć jego głowę i wymierzyć serię błyskawicznych ciosów w szyję. Na szczęście zdołał jedynie wyrwać kępkę ciemnych włosów. W chwilę potem zwinął się z bólu, gdy wprawne dłonie Saint-Germaina zacisnęły się na jego przedramionach łamiąc je. Po raz kolejny pomieszczenie wypełniło się przenikliwym wrzaskiem. Hrabia błyskawicznie obrócił de la Sept-Nuit plecami do siebie i,



trzymając za bezwładne ręce, parł kolanem na kręgosłup młodzieńca, z zimnym wyrazem twarzy wsłuchując się w trzask pękających kręgow.

Tymczasem Saint Sebastien z desperacją opierał się szaleńczej sile Roberta, który, cal po calu, przyciągał go do siebie. Baron nie miał wątpliwości, że jeśli skrwawione dłonie de Montalia sięgną jego gardła, wówczas szansę na ocalenie zmaleją do zera.

- Zabiję cię - wycedził przez zęby markiz. Saint Sebastien usłyszał te słowa ponad mieszaniną jęków, krzyków i przekleństw rzuconych przez swoich kompanów.

Wszystko działo się jednocześnie.

Jueneport zdjął ze ściany dwie pochodnie i niósł je przed sobą niczym krótkie miecze. Gestem nakazał współwyznawcom odsunąć się na boki, po czym ruszył w kierunku Saint-Germaina, mierząc w jego twarz.

Chwila ta wydała się Saint Sebastienowi zbawienną. Ponowił kopnięcie w dłoń Roberta i zawył z całych sił:

- W imię naszego Ślubu Krwi, pomóżcie!!!

Chateaurouse i de les Radeux natychmiast odwrócili się w jego stronę i błyskawicznie rzucili na Roberta de Montalia, przyciskając go do podłogi.

Madelaine obserwując tę straszliwą walkę była niemal pewna, że wszyscy o niej zapomnieli. Przerazała ją gniew ojca i brutalny atak, którym go pokonano. Nie płakała jednak, nie czuła nienawiści ani zbliżającego się szaleństwa. Nic nie czuła. Musiała przekonywać samą siebie, że to nie sen, że to wszystko dzieje się naprawdę. Dopiero widok Achille Cressie taszczącego masywny koksownik w pobliże miejsca, gdzie przytrzymał ją jej ojca, zmusił ją do działania. Po raz kolejny sprawdziła siłę krępujących ją więzów. Przy trzeciej próbie zauważyła, że część zwojów w pobliżu lewej ręki nieco się zluzowała. Upatrując w tym szansę, ponowiła czynność, zdecydowana uwolnić się.

Achille Cressie, tymczasem, odepchnął Chateaurouse i stanął nad markizem.

- Nikt nie będzie cię już miał po mnie! - krzyknął. W chwilę później ciężki, żelazny kociołek zmiażdżył twarz de Montalia, odbierając jej wszelkie podobieństwo ludzkiego oblicza.

- Dobra robota, Achille - skrzywił się Saint Sebastien. - Tego mamy już z głowy. - Wskazał na Saint-Germaina. - Chcę, żeby zginął. Ale niech zdycha powoli...

Wyznawcy Szatana raz jeszcze otoczyli hrabiego, który przyjął to ze stoickim spokojem. Skutecznie unikał płomieni pochodni trzymanyh przez Jueneporta, kilkakrotnie zręcznością ruchów zmuszając go do odwrotu.

- Przytrzymajcie go, to go przysmażę! - wrzasnął Jueneport do kompanów.

Słyszając to, Madelaine gwałtownie podniosła głowę. Strach i rozpacz pierzchły. Pamiętała słowa Saint-Germaina, że ogień może go zniszczyć. Przejęła ją do żywego myśl, iż mógłby zginąć daremnie. Ponownie zaczęła szarpać więzy.

Hrabia natomiast puścił mimo uszu groźbę Jueneporta. Odsunął się nieco od niego i pozostałych mężczyzn. Nagle rzucił się na podłogę i przetoczył miękko obok nóg zaskoczonych Jueneporta. Minawszy go, zadał mu dwa szybkie ciosy w tył kolan, po których napastnik upadł ciężko twarzą wprost w wytrącone z rąk pochodnie. Zawył przeraźliwie, gdy płomienie objęły jego włosy, a później jedwabną szatę.

- Madelaine! - ponaglił hrabia. - Madelaine!

Zbliżył się do niej, nie spuszczając oka z pozostałych członków Kręgu.

- Możesz chodzić? - zapytał.

- Chyba tak.

- Będziesz musiała. - Rozsupłał sznur, uwalniając ją. Szybko zdjął ze swojej szyi cyborium i przełożył łańcuszek przez głowę Madelaine. - W środku jest Hostia. Nie tkną cię.

- Ale ty... - zaczęła.

- Drzwi są na tyłach kaplicy, w małej kruchcie. Zaprowadzą cię do

rezydencji. Stamtąd będziesz musiała znaleźć drogę na zewnątrz.

- A co z tobą?

Saint-Germain spojrzał na nią. Na chwilę furia zniknęła z jego oczu.

- Pójdę za tobą, kochanie. Masz moje słowo.

- Ale, Saint-Germain... - szepnęła, drżąc cała. Hrabia przesłał jej uspokajający pocałunek.

- Idź już - nakazał łagodnie. Potem zwrócił spojrzenie na zbliżających się mężczyzn. Trwał nieruchomo, po czym rzucił się na nich z uniesionymi ramionami.

Zaskoczeni wyznawcy Szatana cofnęli się nieco. To niezdecydowanie wystarczyło, by Saint-Germain dopadł Achille Cressie.

Madelaine nie ociągała się. Kuśtykając przeszła przez kaplicę, pokonując ból odrętwiałych stóp. Gdy znalazła się na tyłach, stanęła bezradnie, nie mogąc odszukać drzwi.

Za jej plecami Saint-Germain uniósł Achille i trzymając go przez chwilę nad głową, cisnął nim z całą siłą w Beauvrai. Piskliwy głos Cressie przeszedł w przepojony konaniem charkot.

- Do tyłu! - rozkazał Saint Sebastien. Krąg posłusznie wycofał się poza zasięg śmiertelnych rąk i stóp Saint-Germaina.

Madelaine miała ochotę krzyczeć ze złości i strachu jednocześnie. Nagle, gdzieś w górze, rozległ się delikatny zgrzyt i srebrny promień światła padł na ścianę. Po chwili w otwartych drzwiach pojawili się Roger i Beverly Sattin.

- Bogu dzięki - westchnęła Madelaine, padając w ramiona Anglika. Pośrodku kaplicy panował bezruch mącony jedynie spazmatycznymi drgawkami ciała Achille Cressie.

- Panie - rzekł Roger niewzruszonym głosem. - Powóz zajęchał.

- Dziękuję - Saint-Germain był lekko zdyszany. - Niech tylko skończą tutaj co trzeba.

Roger skłonił się, potem wskazał dłonią.

- Niestety, ktoś zaproszył tu ogień, sir.

Aż do tej chwili Saint-Germain nie zauważał płomieni, które pełzały po stertach połamanych mebli, pożywiając się zachłannie suchym drewnem. Wszyscy przytomnie spojrzeli na ogień.

- Jak pan widzi - powiedział Roger, nie wiadomo zresztą po co - nie da się wyjść przez podziemia. Jedyna droga prowadzi po schodach - odstąpił od wejścia.

- Rozumiem - przytaknęła hrabia. - Weź Madelaine do powozu i pilnuj, by te drzwi były otwarte.

Saint Sebastien skinął do Beauvrai, który uporczywie wpatrywał się w swoje stopy.

- Drzwi! - warknął, gdy tylko Roger, Sattin i Madelaine zniknęli. Beauvrai ruszył ciężko w ich kierunku, a jedwabna szata owijała się nedorzecznie wokół krzywych nóg.

- Teraz - powiedział Saint Sebastien wznosząc ręce w diabelskiej inwokacji. Zaczął zawodzić zaklęcia i płomienie przybrały ciemniejszy odcień. Saint-Germain ostrożnie skierował się ku drzwiom, przystając w chwili, gdy języki ognia objęły drewniane podpory kaplicy. Zrozumiał, że nie minie wiele czasu, nim piwnice zapadną się.

De les Radeux spojrział na swego wuja i w panicznym galopie przebiegł przez pomieszczenie, po drodze odpychając Beauvrai, ku schodom.

Saint Sebastien zdawał się nie zauważyć aktu zdrady. Wciąż zawodził złowrogo, wskazując dłońmi to na płomienie, to na Saint-Germaina. W niedługim czasie rozdzielił ich słup ognia, parząc przy tym Chateaurouse, który zaklął siarczyście.

- Jest mi niezmiernie przykro, że muszę cię opuścić, książę Rakoczy!

- krzyknął Saint Sebastien. - Nasze spotkanie dobiegło końca. Masz kilka minut, by pomyśleć, w jaki sposób zemszczę się na twoich przyjaciółach.

- Skłonił się, kierując ku drzwiom. Tuż za nim Beauvrai i Chateaurouse.

Saint-Germain usłyszał odgłos zasuwanych rygli. Spojrzał na

rozprzestrzeniające się z wolna płomienie, które trawiły ponad tysiącletnie wnętrze kaplicy. Żar powietrza palił mu wnętrzności i osmalał brwi. Nie mógł przesadnie zwlekać. Wycofał się pod ołtarz, biorąc solidny rozbieg, i skoczył ponad językami ognia.

Już po drugiej stronie bariery obserwował, kaszląc, jak z ostrzegawczym łoskotem runęła część piwnicy, odsłaniając strop pomieszczenia powyżej i dając wspaniałą pożywkę żywiołowi.

Rozważał przez chwilę, czy powinien spróbować dostać się do drzwi, lecz ogień sięgnął już drewnianych podłóg piwnicy. Miał niewiele czasu...

Jeden ze opadłych dźwigarów jeszcze nie zajął się ogniem. Saint-Germain oparł go zatem o ścianę i powoli zaczął się wspinać, uciekając przed dymem i żarem, które były już nie do zniesienia.

Gdy doszedł do poziomu podłogi piwnicy, usłyszał odgłos biegnących stóp. Zrozumiał, że musiał wyprzedzić Saint Sebastiena. Wciągnął głęboko powietrze i pobiegł szybko do laboratorium, wiedząc, że tam będzie mógł zagrozić im drogę.

Ledwie otworzył drzwi, gdy w polu widzenia pojawili się Saint Sebastien, Beauvrai i Chateaurouse. Pomieszczenie czarowników zastawione było tylko dwoma athanorami, z czego jeden promieniował gigantycznym ciepłem.

- Miło jest się znowu spotkać - powiedział Saint-Germain wchodząc do środka.

Pierwszy z krzykiem zatrzymał się Chateaurouse. Wyglądał jak człowiek pragnący obudzić się z najgorszego koszmaru.

Beauvrai był zbyt wyczerpany by mówić. Zamachał tylko ramieniem, jak gdyby chciał osłonić się przed ciosem.

Saint Sebastien udawał opanowanego.

- Nie wydaje mi się - powiedział, przysuwając się do najbliższego athanora.

Nigdy nie uda się ustalić, co zamierzał. Gdy tylko jego dłonie zetknęły się z rozgrzаныmi cegłami, krzyknął donośnie i, tracąc równowagę, wywrócił

piec. Z przytłumionym trzaskiem ściany athanora wybrzuszyły się, a potem rozpadły, odsłaniając kociołki z rozgrzanym do białości metalem. Nastąpił wyciek związków węgla i azotu. Wąski, rozżarzony strumień popłynął po podłodze, podpalając wszystko z czym się zetknął. Chateaurouse z pianą na ustach rzucił się do panicznej ucieczki.

W miejscach, gdzie płynny węgiel i azot dotykały metnlu lub drewna, formowały się małe diamenty, lśniące jak okruchy kryształków soli na plaży po odpływie. Diamenty jarząc się, pieścotliwie odbijały blask płomieni.

- Proszę, oto sekret klejnotów - powiedział Saint-Germain do barona.

- Możesz o nim pomyśleć, gdy będziesz umierał. - Odwrócił się, kierując ku drzwiom.

Ściany stopniowo ciemniały, wszechobecny dym gęstniał coraz bardziej, utrudniając oddychanie. Beauvrai stał przy otwartych drzwiach, prowadzących na zewnątrz kaplicy. W jego postawie widać było zwątpienie. Parokrotnie zakaszał, nim rzekł:

- Nie mówiłeś mi nic o diamentach, Clotaire. Co to wszystko ma znaczyć?  
- spytał podejrzliwie.

Tymczasem Saint-Germain wspinał się już po schodach. Zatrzymał się jeszcze, by spojrzeć na przypominającą piekło kaplicę.

- Szkoda mi tylko mojego Velazqueza - powiedział. - Bardzo żałuję, że przez was musi spłonąć.

Saint Sebastien zaklął ordynarnie i z desperacją rzucił się w kierunku hrabiego, klucząc między słupami ognia.

Saint-Germain stoicko sięgnął za koszulę i wydobył mały krucyfiks, który błysnął złociście w blasku płomieni.

- Cztery godziny temu został poświęcony w Saint-Germain-des-Pres...

- rzucił mimochodem. Saint Sebastien stanął w pół kroku, przysłaniając dłońmi oczy. - Tak myślałem. Zatem, mon baron, pora kończyć...

- Wspinał się po schodach, trzymając krucyfiks w wyciągniętej dłoni.

Rozległ się odgłos odpadających tynków, płomienie huczały coraz

głośniej, przenikając powoli podłogę parteru Hotelu Transylwania. Saint-Germain nie wykazywał oznak zaniepokojenia. Szybkimi susami pokonał ostatnie stopnie i prześliznął się przez drzwi, zatraskując je za sobą.

Uwolniony od widoku krucyfiksu, Saint Sebastien ruszył w kierunku schodów. Dopadł do drzwi i pociągnął za klamkę. Czuł, jak rozgrzany metal parzy wnętrze dłoni.

W dole Beauvrai wycofał się do najdalszego kąta, zakrywając oczy dłońmi i z trudem łapiąc oddech. W chwilę później osunął się na posadzkę, przyciskając rękę do piersi. Jego wzrok błędził jakiś czas, zatrzymując się po raz ostatni...

Tymczasem Saint Sebastien mocował się z zamkiem, miotając wściekle przekleństwa. Języki ognia stopniowo zaczęły obejmować jego postać, łączywie ssąc najpierw ubranie, później zwęgłając włosy... Baron odwrócił się od drzwi i niehumanie wyjąc, rzucił się ze schodów w gorejącą otchłań.

Hercule i Roger stojąc przy powozie, obserwowali jak ogień zaczyna przebłyskiwać z wnętrza Hotelu Transylwania. Słyszeli przerażający łomot walących się stropów i przejmujący do głębi jęk, towarzyszący przechodzeniu płomieni na wyższe kondygnacje. Wymienili niespokojne spojrzenia, nie wypowiadając słowa. Widok budynku odbierał im nadzieję na ujście żywym swego pana. Madelaine stała obok nich, owinięta w jeden z długich płaszczy Saint-Germaina. Przed chwilą obserwowali wybiegającego Chateaurouse, który przemknął przez Quai Malaquais i rzucił się do Sekwany zanim ktokolwiek zdołał go zatrzymać.

Płomienie pokazały się już w małym salonie gry.

- Powiedziałem, że będę czekać do jego przyjścia... - Hercule wydał wargi.

- Zasłoń oczy koniom - rzucił Roger, myśląc o ogniu. - Mogą się spłoszyć.

Stangret był w trakcie wykonywania polecenia, gdy zajęło się piętro. Wszyscy troje spojrzeli po sobie. Madelaine zaczęła szlochać, kryjąc twarz w dłoniach.

- Może jednak... - zaczął niepewnie Roger.

- Nie! Czekamy! - Hercule wspiał się na kozioł.

Gdy płomienie ze zwycięskim rykiem wyrzuciły na zewnątrz dwa duże okna, z tłącego się oczodołu poniżej opadła na ziemię lina. W chwilę potem zjechała po niej z kocią zwinnością jakaś postać. Mężczyzna ów, gasząc tłące się ubranie, skierował się ku trojgu czekających.

- Panie! - krzyknął Roger, ściskając dłoń hrabiego.

- Na koń, przyjacielu. Musimy zniknąć stąd, zanim ktokolwiek podniesie alarm. Przed nami długa droga. - Spojrzał na siedzącego na koźle Hercule. - Widzę, że czekałeś.

- Wypełniałem pańskie rozkazy, sir - odpowiedział zwięźle. Po chwili dodał. - A gdzie Saint Sebastien? Saint-Germain rozłożył ręce.

- Obawiam się, że coś go zatrzymało wewnątrz.

- Myślałem, że dane mi będzie... - zaczął.

- Szczerze ci współczuję - przerwał mu z błyskiem w oczach hrabia. - Lecz na co czekamy? Madelaine?

Madelaine zwlekała, biorąc wszystko za przewidzenie, które wywołane zostało gorącym pragnieniem.

- Saint-Germain... - szepnęła.

- Jestem już bezpieczny, kochanie - rzekł, przytulając ją. - I ty także.

- Saint Sebastien nie żyje? - zapytała z niedowierzaniem. Hrabia spojrział na hotel, w którym płomienie pożerały właśnie salę balową.

- Bądź spokojna. - Delikatnie pociągnął ją w kierunku powozu. - Pora odjeżdżać, moja droga. Zajęli miejsca w powozie.

- Do rezydencji d'Argenlac! - zawołał, machając do Rogera.

- Myślałam, że Roger pojedzie z twoimi bagażami - zdziwiła się Madelaine.

- Tak miało być pierwotnie, lecz tym zajmie się Sattin. - Zamknął drzwiczki powozu i opadł na poduszki obok niej.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu. Minione przeżycia nie pozwalały na więcej. Gdy wyjechali poza wąskie uliczki le Faubourg Saint-Germain,



Madelaine zapytała:

- Wkrótce wyjeżdżasz?

- Na krótko, mówiłem ci. Wrócę w maju.

- Rozumiem - powiedziała, wybuchając płaczem.

- Ejże! O co chodzi, kochanie? - zapytał, biorąc ją w ramiona.

- Po tym co zaszło, brzydzisz się mną, prawda?

- Ależ skąd, głuptasku. Jak możesz tak myśleć? - Delikatnie wsunął dłonie pod jej płaszcz. - Brzydzę się Saint Sebastienem i jego Kręgiem. Gardzę nimi za to, co tobie zrobili. Ale to nie zmienia mojego uczucia do ciebie. Nic tego nie zmieni.

Madelaine powiedziała coś bez związku i wtuliła twarz w jego ramię. Obejmował ją, całując we włosy.

- Mam opalone brwi... i włosy - rzekła po chwili.

- Naprawdę? - nieśmiało dotknął palcem jej twarzy.

- ...nawet rzęsy - przylgnęła mocniej do niego. - Omal cię nie straciłam!

- Twoja miłość pomogła mi - ucałował ją - i odwaga. Tracąc oddech odsunęła się od niego. Jej oczy zalśniły, gdy przyłożyła rękę do piersi Saint-Germaina w geście postanowienia.

- Kiedyś powiedziałeś, że pozwolisz mi na to, zanim wyjedziesz do Anglii. Chcę tego teraz. Proszę.

Przyglądał się jej uważnie. Wiedział, że odzyskała pełnię władzy umysłowej. Powiedziała to szczerze, poszukując sposobu spełnienia. W ucieczce przed nienazwanym złem, zwyciężyło dobro. Skinął głową.

- Unieś nogi.

- Co?! - dziwaczność prośby wprowadziła ją w osłupienie.

- Mówię poważnie, Madelaine. Unieś nogi. - Gdy to zrobiła, pociągnął za ukrytą dźwignię, przestawiając siedzenia tak, że połączyły się tworząc jedno, szerokie łóżko.

Madelaine poczuła, jak wraca jej humor. Co za wynalazki uwielbia mieć w swojej karecie Saint-Germain!

- Często sypiam podczas podróży - wyjaśnił, zabezpieczając całe urządzenie. Tytułem próby Madelaine opadła na materace, stwierdzając, że są niczego sobie. Rozłożyła płaszcz i wyciągnęła ręce ku Saint-Germainowi.

- Nie należy się spieszyć - powiedział łagodnie. - Proszę. - Otworzył dłoń, w której spoczywała rubinowa broszka, zwykle wpięta w koronki na jego szyi.

- Co mam zrobić? - spytała lękliwie.

- Poczekać - ściągnął poprzypalaną koszulę i cisnął za siebie. Noc dotknęła jego gładkiej skóry: zadrżał, kładąc się obok Madelaine. Delikatnie włożył rubin w jej rękę, obejmując własną dłońią. Zamknęli oczy.

- Ty to zrobisz. - Pokierował jej ruchami, tak, by zapinka zbliżyła się do jego piersi.

- Nie chcę cię ranić! - zawołała, widząc ciemną stróżkę krwi znaczącą ślad kamienia.

- Nie jestem ranny - zapewnił. Narastało w nim radosne szaleństwo. Położył się na plecach i przyciągnął Madelaine. - To moje życie. Daję ci moje życie. - Mówił cicho, głosem głębokim, poruszającym do głębi. Ciało Saint-Germaina wygięło się pod dotknięciem jej ust, a ręce starały się znaleźć ukojenie pragnień obojga.

Namiętność zaślepiała Madelaine: istniał tylko on. Jej dusza skryła się w małych dłoniach Saint-Germaina, którego obcość topniała teraz w gorączce spełnienia.

Nagle Madelaine odwróciła się.

- Co się stało, kochanie? - Ogarnął go niepokój, że nie będzie w stanie odsunąć od niej dręczących wspomnień minionej nocy.

Dostrzegł, jak Madelaine trzymając w ręku rubin przykładła go do swojej lewej piersi. Zanim zdołał ją powstrzymać, uczyniła na ciele cięcie identyczne do jego rany. Następnie przytuliła się do Saint-Germaina, dzieląc z nim uniesienie. On zaś lekko skłonił głowę ku wspaniałej krągłości jej piersi, szukając ustami sączącej się krwi.

Tymczasem karetą podjechała pod bramę rezydencji d'Argentalac. Stukanie do drzwiczek wyrwało Madelaine z oszołomienia. Hrabia spostrzegł jej żal i objął raz jeszcze.

- Bądź dobrej myśli, kochana - powiedział. - Niedługo wrócę i znowu będziemy razem.

- Przepraszam, panie - dobiegł ich głos Rogera - nie możemy zwlekać.

- Wiem - odparł smutno, nie odrywając wzroku od Madelaine. - Idź już, kochanie. Obiecuję napisać.

- Do zobaczenia - szepnęła, naciskając klamkę. Ciaśniej otuliła się płaszczem, pragnąc jak najdłużej zatrzymać znajome ciepło, Ponownie odwróciła ku niemu wzrok. - Jestem szczęśliwa. Niczego nie Całuję.

- Ja również, zapewniam cię - odparł. Madelaine wysiadła z karety.

- Jest późno - zauważyła mimowolnie.

Nocne niebo skrzyło się gwiazdami, rześki wiatr rozwiewał jej włosy. Saint-Germain wychylił się i złożył na jej czole długi pocałunek- Madelaine odstąpiła od powozu, który potoczył się z wolna, znikając Wkrótce za zakrętem.

Wyjątek z listu kontessy d'Argentalac do markizy de Montalia; datowany 15 grudnia 1734:

*(...) Łączę się z tobą w żalu, siostrze, po stracie Roberta, mego brata, a twojego męża. Był to wspaniały człowiek; jego ojcowskie poświęcenie wynikało ze wszystkich szlachetnych cech charakteru. Płakałam i płaczę po nim, modląc się. lecz Izy ani modlitwy nie przywrócą go nam.*

*L'Abbe Ponteneuf, nasz kuzyn, powiedział mi, że Robert pojednał się w końcu z Bogiem i że jego męczeńska śmierć w obronie córki (Madelaine mało o tym mówi, lecz dość dowiedzieliśmy się o tej straszliwej nocy, by wiedzieć, że to on uratował jej życie okupując sWoim), dała mu miejsce wśród błogosławionych. Jeśli jest to dla ciebie jakimkolwiek pociefteniem, Saint-Germain przesłał z Anglii pieniądze, by F*

Abbe odprawił mszę za spokój duszy Roberta. To on, jak wiesz może, wyniósł Madelaine z ognia i oddał ją mnie.

Jak to jest, że nieszczęścia spadają na człowieka niczym deszcz? Muszę z przykrością poinformować cię, że Madelaine nie całkiem powróciła po tych ciężkich wydarzeniach do zdrowia. Wzywałam księży i lekarzy, lecz nie udało im się spowodować widocznej poprawy. Jej umysł nie ucierpiał za bardzo, co jest błogosławieństwem. Jest całkiem świadoma tego, co robi, lecz jej dusza ogarnięta jest smutkiem. Wiele czasu spędza na nocnych lekturach. To samotne i chwalebne kształcenie się musi jej być teraz pociechą; studiuje pilnie, szczególnie, w tej chwili, języki obce i historię. Jej uroda nie została naruszona, raczej wyostrzyła się. Widząc bystrość jej fiołkowych oczu i lekki rumieniec policzków można by pomyśleć, że jest zdrowa i silna. Lecz tak nie jest. Jej lekarz, Andre Schoenbrun, poinformował mnie, że ten pozór zdrowia jest w rzeczywistości oznaką choroby, która w końcu nieodwołalnie ją pokona.

Zrobiłam wszystko co mogłam i zrobię jeszcze więcej, jeśli będę w stanie, ale wiem, że nic już jej nie uratuje. Ani lekarz, ani księża.

Błagam cię, Margaret, pozwól by została tu, ze mną. Nie opuszczam jej na dłużej, niż to konieczne. Wciąż męczy mnie, co mówią ludzie, bowiem od czasu śmierci mego męża nieustannie otaczają mnie plotki i spekulacje. Zdaję sobie sprawę z tego, że Madelaine nie przeżyje roku, chciałabym jednak dzielić z nią te pozostałe miesiące, czyniąc tym jakąś wartość dla siebie samej.

Wiesz zapewne, że Saint Sebastien i jego kompani zostali unicestwieni w płomieniach, które strawiły Hotel Transylvania. Grupa księży z Saint-Germain-des-Pres przeszukiwała pogorzelsko, lecz nie znalazła dość kości, by złożyć jeden szkielet. Czuwają obecnie, odprawiając w tym miejscu egzorcyzmy.

(...) Błagam cię, byś odpisała mi wkrótce, informując co do decyzji w kwestii Madelaine.

W najgłębszym żalu pozostaję przy tobie w czasie naszego obopólnego nieszczęścia.

Oddana ci siostra, Claudia de Montalia Kontessa d'Argenlac



## . EPILOG .

Tekst listu napisanego nieudolnie po arabsku przez Madelaine de Montalia do hrabiego de Saint-Germain; doręczone osobiście przez Beverly Sattina; datowane 29 kwietnia 1744:

*Mój ukochany Saint-Germainie,*

*Twój podarunek dotarł do mnie cały dzięki Hercule, który wrócił do Paryża tydzień temu. Jak to jest, że zielony kalcedon może lśnić czerwienią, gdy oświetli się go od środka? Pewna jestem, że z czasem nauczysz mnie również czegoś na ten temat.*

*Jak widzisz, wzięłam sobie twoją radę do serca i oddałam się jeszcze pilniejszym studiom. Arabski jest z początku bardzo skomplikowany... Jestem pewna, że to, co piszę, jest nieprzyzwoicie wprost niezdarne. Lecz z czasem opanuję go tak jak ty.*

*Schoenbrun był znów mnie zobaczyć. On i l'Abbe Ponteneuf bardzo starają się zachować wobec mnie pozory. Tak naprawdę czuję się dobrze i pragnęłabym móc powiedzieć im, że wcale nie zamierzam umierać. Lecz ja umieram. To jest proste i łagodne, nie trudniejsze wcale, niż zdjęcie gorsetu na noc. Sądzę, że przed końcem lata będę już w grobie.*

*Jak dziwnym jest to mówić i nie odczuwać przy tym żadnego strachu. Gdy wrócisz w przyszłym miesiącu do Paryża, musisz znów mnie odwiedzić, ukochany. Nie możesz mi odmówić. Nawet teraz, gdy piszę te słowa, płonę pożądaniem. Lekarze mówią mi, że to choroba winna jest żywemu kolorowi skóry i błyszczącym oczom. Ale to nie tak. To twoja krew, która krąży we mnie i nieuchronnie, niepowstrzymanie czyni nas jednością. I to nastąpi, tak jak zawsze zachodzi słońce, chociaż nie myśli się o tym w blasku południa. W maju będziemy mieli kilka dni dla siebie, a potem spocznię w dobrej ziemi, jak ty kiedyś, która da mi siłę, by powrócić do ciebie.*

*Nigdy więcej nie będę musiała znosić lęku przed ulotnością godzin i będę miała*

czas, by się kształcić, by studiować, oglądać i zwiedzać wszystko, co warte jest zobaczenia. Przez stulecia i ponad przestrzenie zawsze będę poszukiwać twoich ramion, a z czasem osiągnę tę umiejętność postrzegania, która ciebie czyni tym, kim jesteś. Jeśli istnieje bowiem samotność, to jest również zwycięstwo. Dzięki tobie ani moje życie, ani moja śmierć nie pójdą na marne.

Studiuję historie, lecz wciąż znajduję tam wojny, zniszczenia, grabieże i żywoty ludzkie gaszone z taką rozrzutnością, że dech mi zapiera. To bezsensowne. Można by pomyśleć, że ludzkość nie ma nic lepszego do roboty, jak tylko pożerać własną padlinę. Pomyśl o całym zniszczeniu, które widziałeś, o nieograniczonej głupocie człowieka. Całym narodom zdarzało się znikać za sprawą chciwości, pożądania lub zabawy garstki szaleńców.

Zastanawiałam się, czytając te książki, ile jest na tym świecie istot i spraw o wiele gorszych niż wampiry.

Poznać twoją wolność. Życ krwią, która ofiarowana jest z miłości. Saint-Germain, Saint-Germain, ledwo mogę się doczekać!

Twoja, na zawsze, Madelaine

# Notatki na marginesie

## *Hotel Transylvania*

Wzniesiony za panowania Ludwika XIII, Hotel Transylvania stoi do dziś przy Quai Malaquais pod numerem dziewiątym, w le Fabourg Saint-Germain. Nazwę wziął od księcia Franza Leopolda Rakoczego, który mieszkał w nim w latach 1713-1717. Przebywał we Francji w związku z wojną o Sukcesję Hiszpańską.

Sławę zawdzięcza przede wszystkim powieści l'Abbe Prevosta Manon Lescaut, która po raz pierwszy ukazała się w 1728 i utrzymała swą popularność do dnia dzisiejszego, głównie dzięki operom Masseneta i Pucciniego, wzorującym swe libretta na dziele Prevosta (w istocie istnieją cztery opery wykorzystujące Manon Lescaut, lecz tylko dwie są często wystawiane).

W Hotelu Transylvania mieszkało, bądź posiadało go, parę znakomitych osób. Wśród nich: diuszessa de Gramont (1724), markiz de Blocqueville (1869-1892) wypełniając miejsce tym, co najlepsze, w sztukach i wiedzy; wcześniej jeszcze, zanim uzyskał swe miano, pod którym wciąż jest znany, Hotel Transylvania zajmowany był przez Marechala de Tallard.

## *Le Comte de Saint-Germain*

Po raz pierwszy pojawił się w Paryżu w maju 1743 roku. Dzentelmen, bogaty, wszechstronnie wykształcony, o wspaniałych manierach, bardzo tajemniczy. Był postacią nad wyraz rzucającą się w oczy, znał go każdy, widywano go wszędzie. Jego namiętność do diamentów była zastanawiająca nawet w tamtym, zbytkownym, stuleciu. Często chwalił się, że jest w stanie



produkować własne diamenty. Parę razy zdarzyło się, że przyjaciele dawali mu swoje kamienie, a on zwracał im je już większe, mówiąc, że to dzięki przeprowadzonemu przezeń procesowi.

Ubierał się tylko na czarno, z białymi akcentami, i to w czasie, gdy zwyczajowy strój mężczyzny zawstydzić mógłby tęczę. Wszystko co nosił było zawsze w najlepszym gatunku i starannie dobrane. Ci, którzy go znali, pozostawali pod wrażeniem tej skromnej manieri, szczególnie Grimm i Fryderyk Wielki. Do pary z bielą i czernią jeździł, tak wierzchem jak i powozami, wyłącznie siwymi końmi, zaś karety miał zawsze najnowocześniejsze.

Przypisuje mu się autorstwo pracy *Le Tres Sainte Trinosophie*, co może, lecz nie musi, być prawdą. Niemniej, nosi ona jego pieczęć (Eklipsa, ze wzniesionymi skrzydłami) i zawiera myśli identyczne z tymi, które Saint-Germain często wygłaszał. Casanovą i Walpole są autorami bezpośrednich relacji świadczących o tym, że Saint-Germain był praktykującym alchemikiem, i to całkiem dobrym. W 1750, a mieszkał wtedy w Hadze, nabył athanora i wynajął dodatkowo dwa pokoje, by móc przeprowadzać rozmaite doświadczenia alchemiczne.

Inną jego pasją była muzyka. Spotkanie z Rameau naprawdę miało miejsce gdzieś latem 1743. Saint-Germain skomponował kilka niewielkich oper, ta wymieniona w kontekście przyjęcia Madelaine, *Persephone*, powstała prawdopodobnie przed rokiem 1750. Grał na skrzypcach, klawikordzie i gitarze; śpiewał do tego jasnym, miłym głosem (jego skala nie została odnotowana). Był znakomitym improwizatorem i siadając do klawiatury lubił czasem puszczać wodze fantazji.

Jego muzyka została zebrana przez rosyjskiego kompozytora, Piotra Czajkowskiego.

Jego opis - mężczyzna średniego wzrostu z drobnymi dłońmi i stopami, ciemnymi włosami, przenikliwym spojrzeniem (o tym wspomina każdy, kto go opisuje), i prezencją sugerującą wczesny wiek średni - nie zmienia się w

relacjach pochodzących z lat 1743 aż do 1786, który jest rokiem jego domniemanej śmierci. To dość długi czas, by wciąż wyglądać na czterdzieści cztery lata. Sam powiadał, że ma trzy lub cztery tysiące lat i zawdzięcza swą młodość popijaniu eliksiru życia.

Czy było to prawdą czy nie, warto odnotować, że rzadko, lub wcale, nie widziano go posilającego się lub pijącego cokolwiek w miejscu publicznym, a nigdy, pod żadnym pozorem, nie pijał wina.

Był entuzjastycznym patronem sztuk pięknych, szczególnie zaś wielbił dzieła Velazqueza. Sam też trochę malował i chociaż jego prace wykazują znajomość rzeczy (nie będąc niczym nadzwyczajnym), znalazł sekret uzyskiwania barw rzadkiej jaskrawości i jasności, o którego to ujawnienie błagało go wielu ówczesnych malarzy.

Urodzony lingwista, znał przynajmniej dwanaście języków, włączając w to rosyjski, arabski i chiński.

To, kim był ów człowiek stawało się obiektem wielu spekulacji przez wszystkie te lata, odkąd pojawił się wśród paryskiej socjety aż do dzisiaj. Mógł rzeczywiście być najmłodszym synem księcia Franza Leopolda Rakoczego z Transylwanii. Jeśli tak, to był wychowywany przez Gian-Gastone'a de Medici i rzeczywiście miał około trzydziestki w chwili przybycia do Paryża. W jednym ze swych listów Walpole podaje listę przypuszczeń, jakie wówczas wysuwano pod adresem Saint-Germaina. Wymienia tam takie wersje, jak: 1) jest polskim arystokratą skazanym na wygnanie z Polski za spiskowanie przeciwko tronowi; 2) jest portugalskim Żydem; 3) jest Włochem, który ożenił się bogato i zamordował swą żonę; 4) jest synem papieża; 5) jest rosyjskim bojarem zabawiającym się cudzym kosztem; 6) jest austriackim handlarzem diamentów, który szpieguje we Francji.

Walpole i Francuzi (jak zapewne i Fryderyk Wielki) wykorzystywali Saint-Germaina do nieoficjalnych misji dyplomatycznych, jako że długo i często przebywał na europejskich dworach. Bez wątplenia miał dostęp do

najznamienitszych ludzi swoich czasów. Po 1768 przemieszkiwał w Chambourgu. Mógł zatem przebywać w pobliżu króla Francji, który zresztą spędzał z nim nieco czasu prawie codziennie. Fryderyk Wielki cenił go zarówno jako muzyka, jak i dworzanina. Często nazywał go “Człowiekiem, który nie umrze”.

Jego oburęczność jest dobrze udokumentowana. Pisanie jednoczesne listu i kopii było sztuczką, która go bawiła. Co niezwykle, podpis Saint-Germaina był w obu przypadkach identyczny. Ma to znaczenie przy ustalaniu daty jego śmierci, ponieważ istnieją dwa dokumenty noszące jego autentyczny podpis, datowane 1791 i 1793, czyli pięć i siedem lat po jego domniemanej śmierci. Oryginalni ówcześni adresaci listów nie wątpili w ich autentyczność, a było jeszcze przynajmniej trzech ludzi, i to spośród tych, którzy znali go dobrze, którzy twierdzili, iż widzieli go lub nawet rozmawiali z nim w 1793, 1796 i 1802.

Kimkolwiek był, udało mu się zaintrygować wszystkich na bardzo długi czas, a tajemnica nie została rozwiązana do dzisiaj.

# . Wampiry .

Chcąc zdecydować się, jaką ogólną charakterystykę wampirów wykorzystać w tej powieści, zapoznałam się z wieloma różnymi książkami na ten temat, od studiów naukowych po naiwne relacje. Moje wnioski są następujące: cokolwiek to jest, co wampiry znajdują we krwi, nie jest to sama krew jako pokarm. Skoro wampiry nie trawią ani nie wydalają, jak robią to żywi ludzie, wypita krew musi służyć jakiejś innej funkcji. Nie ma to również związku z krążeniem, gdyż wydaje się, że większość funkcji układu krążenia zostaje u wampirów przejęta przez system limfatyczny, co może być po części powiązane z narastającą wrażliwością na światło słoneczne (choć dwa wielkie powieściowe wampiry, Dracula i Ruthven, bez widocznej szkody ganiają w pełnym blasku dnia). Tak zatem, jeśli krew dostarcza pożywienia, to w umiarkowanym naprawdę zakresie. O ile pochodzi od ssaków, dostarcza czegoś, co jest im niezbędne.

Psychiczny aspekt wampiryzmu to inna sprawa. To, czego poszukują wampiry najczęściej (przynajmniej w całej gamie różnorodnych utworów literackich), to nie krew, lecz życie ("Bo krew znaczy życie, Mr Harker", mówi Dracula). Krew staje się istotna w związku ze stosunkiem cielesnym, to bliskość jest tym, czego wampiry szukają naprawdę. Idąc dalej tym tropem, wygląda na to, że wampiry są istotami psychokinetycznymi, gdyż posiadają zdolność wpływania na zachowania ludzi i zwierząt, jak i na pogodę.

Niesamowicie wiele zostało napisane o seksualnych podtekstach wampiryzmu. Rzeczywiście, większość ataków zdarza się w nocy, w łóżku i pozostawia po sobie spore wyczerpanie. W wielu kulturach panuje opinia, że wampiry nie są zdolne do stosunków genitalno-seksualnych, którą to ułomność rekompensują przez nadgryzanie ofiary. Już widzę jak wszyscy

freudyści skaczą i wierzgają z radości. Tym samym, to nie krew, lecz sam akt ugryzienia jest dla wampira podstawą bytu. Szczególnie koresponduje to z pewnym chińskim wzorem wampira, który pożąda nie krwi wypijanej z szyi, lecz płynu rdzeniowo-kręgowego.

W krajach europejskich istniała przemożna tendencja przypisywania wampirom cech heretyckich i diabelskich, co jest zupełnie pozbawione sensu. Jeśli wampiry rzeczywiście bałyby się, na przykład krzyża, to dość byłoby pogrzebać je pod takowym i mieć spokój. Tak zatem to nie religijne symbole mają wpływ na wampiry. Podobnie jak satanistyczne. W ich zachowaniu nie ma elementów satanizmu i tylko w chrześcijańskich krajach wierzy się, że ktoś, kto za życia parał się czarami, po śmierci stanie się wampirem.

Traktowane z lękiem lub ciekawością wampiry i dotycząca ich wiedza, wskazują na wielką fascynację ludzkości tym tematem. Jest to jedna z tych rzeczy, które są równocześnie ciekawe i odpychające. Wszystkie opowieści o zmartwychwstałych, którzy atakują i uwodzą żywych. Większość z nich jest wynikiem ogólnie ambiwalentnej postawy wobec nieśmiertelności i przesądów związanych z niektórymi aspektami lęku przed śmiercią.

Varney, Dracula, Lord Ruthven i rozmaitość cała ich dzieci (jednym z nich jest bez wątpienia Saint-Germain), zajmują szczególne miejsce w literaturze grozy. Nie istnieliby, gdyby nie przemawiały przez nich różne ukryte myśli nas samych.